Józef Wiłkomirski

Minęło 10 lat...

2007 - 2016

w 90. rocznicę urodzin




REZERWAC








JÓZEFOWI WILKOMIRSKIEMU













Prezentowane wydawnictwo jest kontynuacją dwutomowej autobiografii Józefa Wiłkomirskiego pt. „Lata 1926 – 2006. Wspomnienia nie tylko muzyczne". Wydało ją w 2009 r. również Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej w Wałbrzychu. Na początku 2010 r. w Sali Maksymiliana Zamku Książ odbyło się spotkanie promujące publikację.

Józef Wiłkomirski

Minęło 10 lat...
2007 - 2016

w 90. rocznicę urodzin

Wałbrzych 2016

Dziękuję mojej żonie za opiekę, troskliwość, zachętę do życia i pracy. Dziękuję pani Elżbiecie Marii Kokowskiej, prezesowi Stowarzyszenia Inteligencji Twórczej, za inicjatywę napisania przeze mnie tej książki, starania o uzyskanie wsparcia finansowego i stałe zainteresowanie jej wydaniem. Dziękuję panu Romanowi Szełemejowi, prezydentowi Wałbrzycha za dotację na wydanie tejże książki. Dziękuję wszystkim, którzy wspierali mnie w zamyśle podsumowania ostatnich dziesięciu lat życia. Działania wielu osób doprowadziły do pomyślnej publikacji. Jestem im za to wdzięczny.

I wreszcie specjalne podziękowania dla pani Anny Motyki za przepisanie niemiłosiernie „zabazgrolonego" rękopisu.

Józef Wiłkomirski

Józef Wiłkomirski
„Minęło 10 lat..
2007 – 2016”

Wydawca
Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej w Wałbrzychu
58-300 Wałbrzych, Rynek 9
tel. 601 786 530

Redaktor wydania i koordynator projektu
Elżbieta Maria Kokowska

Korekta
Elżbieta Gargała

Zdjęcia
Kazimierz Masiuk
ze zbiorów Małgorzaty i Józefa Wiłkomirskich
ze zbiorów Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu - fot. Dariusz Gdesz
ze zbiorów Fundacji Rodziny Wiłkomirskich w Kaliszu
ze zbiorów Cafe-Galerii „Ogród Sztuki”
Jacek Ślaziński

Projekt graficzny, skład, łamanie, druk i oprawa
Drukarnia POLDRUK s.c. Józef Grzywa, Marek Kawka
58-309 Wałbrzych, ul. Wrocławska 39a
www.poldruk.com.pl

Copyright
Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej

Wydanie I
Wałbrzych 2016

Nakład
300 egzemplarzy

ISBN 978-83-930022-2-1

Od wydawcy

Jesteśmy wysoce usatysfakcjonowani, że po raz kolejny przypadło nam w udziale wydanie publikacji Józefa Wiłkomirskiego, wielkiego człowieka kultury, wiolonczelisty, dyrygenta, kompozytora, publicysty, którego nazwisko zapisało się wielkimi literami w życiu muzycznym naszego kraju, twórcy oraz wieloletniego dyrektora naczelnego i artystycznego Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu. Tym razem jest to książka obejmująca dziesięciolecie jego życia po zakończeniu pracy zawodowej, życia niezwykle aktywnego, wypełnionego komponowaniem, uprawianiem publicystki, spotkaniami autorskimi i wykładami, działalnością publiczną. Publikacja, którą Państwo czytacie, wydana została w roku dziewięćdziesiątej rocznicy urodzin pana Józefa Wiłkomirskiego i zawiera jego wspomnienia od 2007 do 2016 roku oraz obrazujące poglądy autora dialogi znanych historycznych postaci, a także wybór felietonów drukowanych na przestrzeni lat. Obecne wydawnictwo jest kontynuacją autobiografii Józefa Wiłkomirskiego „Lata 1926 – 2006. Wspomnienia nie tylko muzyczne", którą nasze Stowarzyszenie wydało siedem lat temu.

Podobnie jak we wcześniejszej publikacji, tak i obecnie Wydawca przyjął zasadę nieingerowania w treść książki napisanej przez Józefa Wiłkomirskiego.

Wydawca dziękuje Autorowi za twórczą i harmonijną współpracę. Dziękuje tym, którzy wsparli finansowo nasz projekt. Dziękuje współrealizatorom publikacji oraz wszystkim za dobre rady i życzliwe słowa.

Wydawca
Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej w Wałbrzychu
prezes Elżbieta Maria Kokowska

Poświęcam tę książkę
mojej żonie, Małgorzacie Wiłkomirskiej,
bez której w ogóle nie zdołałbym jej napisać.

Minęło 10 lat



Minęło 10 lat... Mało to czy dużo? Nie zamierzam wdawać się w analizę lingwistyczno - psychologiczną. A tym bardziej w biologiczną. Pozwolę sobie jedynie na wspominanie tego, co spotkało mnie w tym 10-letnim okresie (2007 – 2016) i przede wszystkim, co robiłem w szerokim zakresie słowa „robić".

Zacznę dla porządku od krótkiego przypomnienia wydarzeń lat 2005/2006. W roku 2005 zostałem odwołany ze stanowiska dyrektora Filharmonii Sudeckiej. Ja to określałem lapidarnie: zostałem wyrzucony na emeryturę. Co nie było czymś niezwykłym, ponieważ miałem wówczas 79 lat. Interesujące jednak były okoliczności, które spowodowały taką a nie inną decyzję marszałka. Jak wiadomo z historii, w roku 2005 do władzy w Polsce doszła partia o nazwie „Prawo i Sprawiedliwość". Rządy zaczęła od wymiany kadr na stanowiskach kierowniczych zarówno w Warszawie, jak i w tzw. terenie. Filharmonia podlegała Urzędowi Marszałkowskiemu i nie wdając się w szczegóły, w wyniku zakulisowych działań, doprowadzono do zmian w „partyjnym" składzie Sejmiku. Z dotychczasowym urzędującym Marszałkiem miałem uzgodnione, że na emeryturę przejdę w roku 2006, równocześnie z ukończeniem 80 lat. Nowy Marszałek, oczywiście z rekomendacji rządzącej partii PiS, odwołał mnie ze stanowiska natychmiast po objęciu urzędowania. Jak słyszałem, podobnie było w innych instytucjach dolnośląskich.

Część pracowników Filharmonii chciała złożyć protest od tej decyzji, ale odradziłem im podejmowania jakichkolwiek kroków. Wytłumaczyłem, że z uwagi na mój wiek, władze miały całkowite prawo „wyrzucić mnie na emeryturę". Natomiast okoliczności towarzyszące odwołaniu były – moim zdaniem – wręcz skandaliczne.

Tutaj mała dygresja: w czasie mojego ponad czterdziestoletniego „dyrektorzenia" liczni pracownicy filharmonii (zwłaszcza w Szczecinie) odchodzili z takich czy innych względów na emerytury. Każdy z nich otrzymywał ode mnie poza oficjalnym pismem również list z podziękowaniem za pracę i życzenia odpoczynku, zdrowia itd. Teraz zaś ja, pomimo że odchodziłem na emeryturę jako założyciel Filharmonii, ale przede wszystkim po sześćdziesięcioletniej pracy (w tym ponad czterdzieści na kierowniczych stanowiskach) nie dostałem najskromniejszego nawet podziękowania. Aż trudno w to uwierzyć. Według mnie, a piszę o tym po dziesięciu z górą latach, był to po prostu przejaw zwykłego chamstwa. Pozwolę sobie zauważyć na marginesie, że obecnie rządzące od roku 2015 władze tej samej partii, postępują w identyczny sposób.

Natomiast wtedy w Wałbrzychu, co warto podkreślić, otrzymałem liczne dowody czegoś, co nazywam przyzwoitym zachowaniem. Od razu w roku 2006 Muzeum zorganizowało wystawę obrazującą moje życie. Były fotografie (m.in. dziadka i babci sprzed I wojny światowej!), afisze i programy ważniejszych koncertów, medale, dyplomy nagród i tytułów, a nawet autentyczny sztandar Hezbollachu, który otrzymałem od tej organizacji. Itd. Na wernisażu obecni byli przedstawiciele władz miejskich oraz wszystkich instytucji kultury.

Z wyjątkiem.... mojej Filharmonii! Poza kilkoma urzędniczkami, które przyszły, jak się to mówi, prywatnie. Oczywiście ani Ministerstwo ani Urząd Marszałkowski również nie uznało za słuszne oddelegować swoich przedstawicieli. Pozostawiam to bez komentarza. W następnych latach przybyły nowe honorowe tytuły - zasłużonego dla miasta oraz dla powiatu. Ja natomiast zabrałem się do pisania autobiografii.

Autobiografia

Istniejące w Wałbrzychu Stowarzyszenie Inteligencji Twórczej, a konkretnie jego prezes, Elżbieta M. Kokowska, zaproponowało, abym wreszcie podzielił się z tzw. społeczeństwem wspomnieniami ze swojego długiego życia. A także doświadczeniami i przemyśleniami. Przyznaję, że rodzina i znajomi od lat namawiali mnie do napisania takiej autobiografii. Zawsze zasłaniałem się brakiem czasu. Teraz ten argument (czy może raczej pretekst) odpadał i chcąc nie chcąc zabrałem się do roboty. Choć mówiąc szczerze, wolałem czytać tzw. zaległe od lat lektury. Dzisiaj już nie pamiętam, ile czasu zajęło mi pisanie. Tytuł ustaliliśmy po licznych dyskusjach z żoną (o której będę w dalszym ciągu pisał skrótem M.) i panią Kokowską: składał się – jak wiadomo – z dwóch: „Lata 1926 - 2006. Wspomnienia nie tylko muzyczne". Nie będę szerzej opisywał licznych zabiegów p. Kokowskiej o pozyskanie pieniędzy na wydawnictwo, ponieważ na szczęście nie musiałem zajmować się tym osobiście. Promocja odbyła się w roku 2009 w zamku Książ i zgromadziła dużą grupę osób. A ja złożyłem – rzecz jasna – na pierwszych stronicach autografy. Zapamiętałem, że wśród obecnych były osoby z różnych poprzednich i obecnych władz i partii. I okazało się, że taka okazja jak promocja książki może stać się okazją do spotkań i rozmów.

Wydawcą jest wspomniane wyżej Stowarzyszenie. Zgodnie z umową nie otrzymałem żadnego honorarium, ale dysponowałem kilkudziesięcioma egzemplarzami autorskimi. Dziś już nie pamiętam do kogo je wysłałem. I chyba nie jest to aż tak ważne, aby teraz o tym pisać. Wspomnę tylko o jednej uwadze, którą ktoś wypowiedział, że za mało pisałem o pewnych osobach wymienionych skrótowo w mojej autobiografii. Odpowiadałem zawsze i to teraz powtórzę: moim założeniem było pisanie o swoim życiu. Tylko i niemal wyłącznie. Nie podobały mi się liczne czytane autobiografie, których autorzy zajmowali się obszernym opisywaniem swoich rodzin, znajomych, przyjaciół, przeciwników itd. Złośliwie mówiłem, że każdy może sam sobie napisać własną autobiografię. A jest to szczególnie zbędne, kiedy autor załatwia osobiste porachunki. Wystarczy przypomnieć wyjątkowo niesympatyczne autobiografie tak znaczących postaci jak Salvatore Dali czy Stanisław Przybyszewski.

Dlatego także to, co teraz piszę, koncentrować się będzie na mojej osobie. Tak sobie bowiem postanowiłem.

Spotkania i pisanie felietonów

Jak mi powiedziano, we wniosku do wałbrzyskiego Urzędu Miejskiego o dotację była mowa o zorganizowaniu przez Stowarzyszenie iluś tam spotkań promocyjnych ze mną. Zaczęliśmy je jeszcze przed opublikowaniem książki.

Pierwsze z takich spotkań miało miejsce w Szczawnie, w galerii „Ogród Sztuki". Widocznie przybyłym około 20 osobom tak się spodobało, że poproszono o następne. Usiłuję sobie teraz przypomnieć o czym mówiłem, niestety bez rezultatu. Tak samo było z innymi spotkaniami, które miałem przez dziesiątki lat mojego długiego życia w różnych miastach i środowiskach. Jak przez mgłę pamiętam jedynie, że niektóre były nawet nagrywane przez lokalne rozgłośnie radiowe lub relacjonowane przez jakieś gazety. W szczawieńskim „Ogrodzie Sztuki" dwie miłe właścicielki kawiarni zapytały, czy takie spotkania nie mogłyby się odbywać regularnie, w co drugie sobotnie popołudnia. Oczywiście, mając czas, wyraziłem zgodę. Potem uczestnicy sami zaczęli proponować tematykę. Następnie poprosili o coś w rodzaju cykli. Najpierw było - o ile pamiętam - „Ciekawi ludzie, których znałem". Przypomniałem sobie rozmowy z Tadeuszem Kotarbińskim i Władysławem Tatarkiewiczem, lekcje dyrygentury z Walerianem Bierdiajewem, studencką współpracę z Leszkiem

Kołakowskim, obiad z Władysławem Broniewskim. Miałem koncerty z kilkoma światowego formatu solistami. Przypominałem sobie coraz to więcej nazwisk, budząc zainteresowanie słuchaczy.

Ustaliła się następująca formuła spotkań: 60 minut mówiłem, choć często zdarzały się zapytania lub polemiczne uwagi. A potem jeszcze przez 30 minut (i dłużej) dyskusja. Na różne nieraz tematy. Zdarzyło się, że kiedy opowiadałem o mojej kilkuletniej prawdziwej zażyłości z duszpasterzem akademickim, ojcem Tomaszem Rostworowskim, słuchacze zapytali, czy mógłbym przygotować cykl o religii. Ponieważ od dawna interesowałem się religioznawstwem, z przyjemnością wyraziłem zgodę. I tak się zaczęło. Najpierw mówiłem o religiach starożytnej Mezopotamii, Egiptu, Persji, Indii, Chin, Japonii, Izraela. Następnie Grecji, Rzymu i o pierwotnym chrystianizmie. Starałem się nie preferować żadnej religii i unikać choćby najmniejszych nawet ocen. A często pytania były prowokacyjne, zwłaszcza gdy omawiałem historię wyznań lub herezji chrześcijańskich. Kiedy po kilku miesiącach spotkań o religiach zbliżaliśmy się do końca, ktoś ze stałych słuchaczy zaproponował kolejny cykl: historię filozofii. Początkowo odmówiłem, nie czując się w pełni kompetentny. Co wyraźnie powiedziałem. Słuchacze jednak nalegali i wreszcie ustąpiłem.

Kolejną propozycję stałych spotkań otrzymałem od Filii „Biblioteki pod Atlantami", mającej siedzibę w dzielnicy Podzamcze. Nader prężna kierowniczka tej filii zorganizowała Klub Dobrej Książki i widocznie jego członkowie usłyszeli o spotkaniach w Szczawnie. Ponieważ od dzieciństwa jestem wielbicielem książek, propozycję spotkań w środowisku bibliotecznym przyjąłem natychmiast. Wybraliśmy co drugie soboty wolne od spotkań w „Ogrodzie Sztuki". Oczywiście zacząłem od mojej pasji książkowej, a następnie przeszedłem do kolejnej, plastycznej. Czyli głównie mówiłem o obrazach. I wtedy kierowniczka filii poprosiła w imieniu słuchaczy, że chcieliby więcej dowiedzieć się także o muzyce. Trudno było odmówić. Tak więc zaczęliśmy cykl pod tytułem „Historia muzyki". Z jednej strony był trudniejszy, gdyż problematyka muzyczna była całkowitą „terra incognita" dla słuchaczy, ale z drugiej strony łatwiejszy, gdyż mogłem posługiwać się nagraniami. I znowu powtórzyła się historia ze znalezieniem tematyki następnego cyklu. Słuchacze sami przedyskutowali różne propozycje i zdecydowali się na: „Moje podróże". A udało mi się być nie tylko w odległych krajach, lecz także je zwiedzić. Przypuszczam, że wspomnień wystarczy co najmniej na kilka miesięcy.

Czas teraz na krótką próbę opisu słuchaczy spotkań. Są wśród nich stali uczestnicy. Nie opuszczą żadnego. Kilka osób regularnie przychodzi i do wałbrzyskiej biblioteki i do szczawieńskiej galerii. To właśnie z uwagi na nich nie mogę poruszać tych samych tematów w obu miejscach. Większość słuchaczy jednak to ci, którzy z różnych względów wybierają tylko jedną z miejscowości. Ostatnia grupa składa się z osób, których interesuje konkretny temat spotkania. Ponieważ i biblioteka i galeria podają informacje do mediów oraz drukują ulotki, znalezienie informacji jest ułatwione. Zdarzało się, że po spotkaniu w Szczawnie podchodzili do mnie kuracjusze, którzy przyszli zupełnie przypadkowo. Ich podziękowania sprawiały mi prawdziwą satysfakcję, gdyż często pochodzili z dużych miast. I żałowali, że u nich tak wspaniałych (ich dosłowne określenia) spotkań nie ma. Zarówno niektórzy bywalcy, jak i ci okazjonalni twierdzą, że to co robię to nie spotkania, ale prawdziwe wykłady. Przesada!

A teraz parę danych. W Szczawnie odbyły się 134 spotkania, w Wałbrzychu 88. Razem ładna liczba: 222. W okresie świąt spotkania się nie odbywały, jak również w lipcu i sierpniu. Liczba słuchaczy wahała się od kilkunastu do maksimum 30. Przeważnie około 20. I sprawa ostatnia. Nigdy nie otrzymałem choćby jednej złotówki honorarium. Było moją zasadą od młodości, że za spotkania nie brałem pieniędzy. Zdarzało się, że organizatorzy byli w kłopocie, bo mieli już przygotowane koperty. Odpowiadałem zawsze słowami Przełęckiego z „Przepióreczki": „Bo takie są moje obyczaje".

Gdzieś – o ile mnie pamięć nie zawodzi – w roku 2014 jedna ze słuchaczek w bibliotece powiedziała głośno, że to co mówię, powinno być nagrywane i następnie drukowane. Jak stwierdziła, nie wolno marnować zawartej w moich słowach wiedzy. Użyła jeszcze bardziej pochwalnego określenia, ale przez skromność tego nie przytoczę. Oświadczyłem natomiast, że sprawa nie jest prosta. W swoich muzycznych komentarzach unikam np. specjalistycznej terminologii. W drukowanym tekście musiałaby się znaleźć. A opowiadając o znanych postaciach, cytuję ich wypowiedzi bez autoryzacji. Podawanie ich zatem do druku, byłoby nieuprawnione. Po dość burzliwej, choć przyjacielskiej dyskusji zaproponowałem, że mogę z okazji każdego spotkania pisać krótki felieton, nie koniecznie na temat tego akurat spotkania. Moja propozycja została przyjęta i po przemyśleniu zmieniłem ją w sposób istotny. Zaproponowałem rodzaj mini - gazetki o rozmiarach arkusza kancelaryjnego, odpowiednio złożonego. I tak powstała gazetka, którą pracownicy biblioteki nazwali „Informatka". Szczegóły nie są istotne, tym bardziej, że obecna bio-

grafia „10 lat" zawiera ich wybór. Uczestnicy spotkań otrzymywać mieli po jednym egzemplarzu gazetki.

Minęło kilka tygodni od wydrukowania pierwszej „Informatki", kiedy właścicielki „Ogrodu Sztuki" poprosiły, abym podobną gazetkę pisał także dla nich.

Prośbę skwitowali uczestnicy – daję słowo, nie przesadzam – okrzykami radości i aprobującym śmiechem. Wymyśliłem żartobliwy tytuł „Dwutygodniczek", jako że gazetka ukazuje się co dwa tygodnie i ma raczej nader małe rozmiary. Tak więc obecnie muszę co tydzień pisać nowy felietonik na najrozmaitsze tematy, przeważnie zresztą aktualne. Oprócz tego dodatkowo kilkunastozdaniowe złośliwe pseudo-komentarze. Także ujęte w cykle: dla Biblioteki - „Teatrzyk Czerwony Pająk" i „Alfabet Wiłkomirskiego". Dla „Ogrodu Sztuki" - „Małą antologię głupoty" z oryginalnymi cytatami idiotycznych wypowiedzi naszych pseudopolityków. Uczciwie dobieram ich ze wszystkich partii.

Jak wynika z tych skrótowych wspomnień, zajęć mam sporo. Współczuję emerytom, jeśli nie mają takich możliwości. Powtórzę w tym miejscu to, co wielokrotnie mówiłem przy różnych okazjach. Przejście na emeryturę kogoś, kto prowadził bardzo czynne życie może być prawdziwą tragedią. Piszę te słowa z całą odpowiedzialnością. Kilkadziesiąt lat intensywnej pracy staje się treścią życia. I nagle, z dnia na dzień to znika. Przestawienie się na diametralnie odmienny dzienny porządek wymaga kolosalnego wysiłku. Człowiek zaczyna czuć się niepotrzebny. Nie przesadzam.

Jedynym ratunkiem... właśnie, co może stać się ratunkiem? Czy zajęcie się chorą żoną czy chorym mężem wystarczy? Albo wnukiem czy wnuczką? A może niezbędne okaże się podjęcie jakiegokolwiek zajęcia, które sprawi, że emeryt stanie się potrzebny jakiejś grupie ludzi?

W moim przypadku okazało się, że poza pisaniem gazetek, zostałem członkiem dwóch Rad przy prezydencie Wałbrzycha: Kultury i Seniorów. Dowiedziałem się także, że przewodniczący i członkowie Rad oczekują na moje wystąpienia i zgłaszanie rozmaitych propozycji. Oczywiście – używając potocznego określenia – narobiłem sobie również wrogów. Jak wiadomo, przedstawiciele władz dawniej i obecnie reagują alergicznie na ośmieszanie. Bardziej nie lubią drwiny niż rzeczowej krytyki. Było tak już w starożytnej Grecji, a jeszcze bardziej w cesarskim Rzymie. Moje gazetki, jak i wystąpienia na zebraniach drażnią wiele osób. Ba, ale „za to" nadają sens mojemu życiu. A jeżeli to, co tutaj piszę, doczeka się publikacji, liczba moich wrogów ulegnie zwiększeniu.

A ja nie będę się czuć niepotrzebnym emerytem. Zwłaszcza, że liczne choroby i inne dolegliwości ograniczają moją tzw. mobilność.

Kończy się dyrygowanie

Zanim z obowiązku „dziejopisa" przedstawię te liczne choroby, warto zająć się przymusowym zakończeniem mojej pracy zawodowej. Tutaj mała dygresja. Moja siostra Wanda w rozmowach bezpośrednich lub telefonicznych powtarzała, że odczuwa ulgę (jej sformułowanie) nie musząc obecnie występować na koncertach. Czy naprawdę tak myśli i czuje – nie mnie orzekać. Ja na to odpowiadam, że ze mną jest dokładnie odwrotnie. Ja nadal, wiedząc, że już nigdy nie będę mógł dyrygować, czuję dominujący żal. Kiedy słyszę o różnych działających dyrygentach albo oglądam w telewizji fragmenty koncertów symfonicznych, robi mi się naprawdę smutno. I pojawia się głupie pytanie: „dlaczego nie ja dyryguję?". A ja wiem, że już nigdy nie będę mógł stanąć przy pulpicie dyrygenckim. Z prostej przyczyny – problemów ze słyszeniem. Już od kilkunastu miesięcy zauważyłem, że mam trudności z selekcją bodźców akustycznych. Przypuszczam, że nastąpiło znaczne zróżnicowanie siły decybeli w poszczególnych oktawach. Podam najprostszy przykład. Na prezentowanej na spotkaniu w bibliotece płycie dobrze mi znanej symfonii, z zaskoczeniem nie słyszę np. fletów, a klarnety – przeciwnie – dominują nad całą orkiestrą. Zniekształca to oczywiście odbiór muzyki. Podejrzewam, że problem tkwi we wspomnianym wyżej zróżnicowaniu potrzebnej ilości decybeli w danej oktawie. Albo w barwie instrumentu. Niezależnie od tego w czym tkwi przyczyna, nie mógłbym w takiej sytuacji prowadzić prób z orkiestrą. Mam bowiem z przyczyn fizjologicznych całkowicie zniekształcony odbiór muzyki. Słyszę nie rzeczywiste proporcje pomiędzy poszczególnymi instrumentami, a coś co jest jedynie wynikiem kalekiego – nie bójmy się tego słowa – funkcjonowania procesu słuchowego. Nie wiem, czy operuję poprawną terminologią ani czy nie przesadzam w swoich reakcjach. Naprawdę nie wiem. Zdecydowałem jednak nie podejmować ryzyka i raz na zawsze zrezygnować z dyrygowania. Wolę pytanie „dlaczego pan już nie dyryguje?", niż to, które padałoby za moimi plecami: „dlaczego on jeszcze dyryguje?".

A poza tym pozostaje także kwestia odporności fizycznej. Czy wytrzymałbym kilkugodzinne próby, nawet prowadzone na siedząco? Albo napięcie ner-

wowe na koncercie? Trudno, pogodziłem się ze smutnym faktem całkowitego rozstania z zawodem dyrygenta. Tym bardziej, że to rozstanie następowało sukcesywnie. Kolejne operacje i pobyty w szpitalach spowodowały, że – jak to się mówi – wypadłem z rynku. Ostatni koncert zagranicą miałem w roku 2002, gościnnie w polskiej filharmonii w 2011, a w Wałbrzychu w 2013. Łącznie przez całe zawodowe życie miałem 1729 koncertów, w operach ponad 100, w operetkach kilkadziesiąt. Były wielkie w Paryżu i innych stolicach oraz małe dla dzieci ze szkół, a nawet przedszkoli. Starałem się, naprawdę, aby każdym dyrygować jak najlepiej. Nadal powtarzam młodym muzykom, że właśnie na tym polega zawodowa uczciwość. Nie mogę się powstrzymać, aby tej mojej opinii nie poszerzyć na wszystkie zawody. Także politykę. Czy przypadkiem nie nazywa się to odpowiedzialnością?

Powinienem jeszcze wspomnieć o koncertach rotariańskich. Rozpoczęły się w roku 1996 z inicjatywy ówczesnego prezydenta Rotary Klub Świdnica – Wałbrzych, Jerzego Ignaszaka. Miały oczywiście cel charytatywny. Grała orkiestra symfoniczna, a ja występowałem w podwójnej roli: dyrygenta i konferansjera, czy jak kto woli – narratora. Programy adresowane były głównie do ludzi, którzy nie byli bywalcami koncertów filharmonicznych. Dlatego starannie dobierałem programy. Kiedy przeszedłem na emeryturę, mój następca natychmiast zmienił formułę. Na marginesie muszę zaznaczyć, że miał po prostu obsesję, aby mnie „wymazać" z Filharmonii Sudeckiej. Dlatego koncerty rotariańskie stały się czymś zupełnie innym. Programy zawierały wyłącznie utwory popularno - rozrywkowe, co – jak się domyślam – mogło odpowiadać części publiczności. Kiedy mój następca odszedł niechlubnie z Filharmonii w roku 2010, rotarianie skontaktowali się ze mną i prosili o przywrócenie dawnej formy koncertów.

I tak też się stało. Niestety na krótko z powodu moich chorób. Obecnie ograniczam swój udział do przygotowania szczegółowych programów, wyboru osoby dyrygenta, omówienie z nim interpretacji i – co ważne – prowadzenia konferansjerki, niestety „na siedząco". To kolejne smutne ograniczenie. Kiedy narzekałem na tę sytuację, jeden z rotarian powiedział: „nie martw się, że nie możesz dyrygować; ludzie przychodzą po to, aby słuchać muzyki, ale bardziej aby słuchać twojego mówienia". Czy te słowa mogą być wystarczającą pociechą?

Rok 2008

Aby zachować w tej autobiografii choćby pozory chronologii, kolejny rozdział poświęcę rokowi 2008. W jego ciągu wydarzyło się bowiem parę rzeczy wartych utrwalenia. Jak wiadomo z historii, w roku 2007 PiS przestało rządzić i do władzy doszła koalicja PO i PSL. Jej zaletą, ujmując sprawę jak najogólniej, była niechęć do radykalnych działań. Co zresztą okazało się po paru latach wadą. Jak się okazuje mieli rację starożytni Grecy, ceniąc nade wszystko umiar. Zmiany w rządzie wpłynęły, rzecz oczywista, na to, co działo się w samorządach. Na Dolnym Śląsku zmieniały się władze w Sejmiku. A w Wałbrzychu zbliżała się trzydziesta rocznica powstania Filharmonii. I oto niespodziewanie zatelefonował do mnie z Wrocławia wicemarszałek Sejmiku Dolnośląskiego, zapraszając na uroczysty jubileuszowy koncert Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu. Brzmi to jak dowcip, ale aktualny dyrektor Filharmonii jakoś o tym nie pomyślał. Wicemarszałek powiedział, że na koncercie mam otrzymać tytuł Honorowego Dyrektora Filharmonii. A później w hallu Filharmonii w roku 2011, z okazji moich 85 urodzin, umieszczono tablicę ze stosownym tekstem.

* * *

Od dzieciństwa marzyłem o zobaczeniu zabytków starożytnego Egiptu. To marzenie udało się wreszcie zrealizować właśnie w roku 2008. Moja córka Wiosna (w dalszym ciągu wspomnień będę pisał tylko W.) załatwiła wyjazd z niemieckim biurem turystycznym „Engel-Reise". Nigdy dotąd nie korzystałem z takiej, jakże popularnej, formy zwiedzania. Dotychczas czy to sam przy okazji podróży koncertowych czy urlopów z rodziną, zwiedzałem najpiękniejsze obiekty. I to wybrane starannie przy pomocy książek i map. Odpowiednio planowaliśmy trasy, aby jak najwięcej zobaczyć. A tym razem zdawałem się na biuro turystyczne i pilota. Muszę obiektywnie przyznać, że mimo moich wcześniejszych obaw, byłem zadowolony. Wszystko było przez biuro turystyczne wcześniej przygotowane, a pilot był doświadczony i kompetentny. Ale zacznę od początku.

Rano polecieliśmy z W. z Warszawy do Frankfurtu nad Menem. Obiad zjedliśmy na lotnisku. Samolot „Lufthansy" był po południu i wieczorem wylądowaliśmy w Kairze. Przywitał nas pilot, który - jak się okazało – był egipskim archeologiem po germanistyce w Berlinie. Jadąc autobusem do hotelu, zobaczyliśmy z daleka oświetlone piramidy. Wspaniały widok. Przedsmak tego,

co nas czeka. Hotel w rozrzuconych w zieleni dwuosobowych bungalowach. Rano, po typowym tzw. szwedzkim śniadaniu, pojechaliśmy do Gizeh. Piramidy z bliska wywierają wstrząsające wrażenie. Świadectwo ludzkiego geniuszu. Musiałem wdrapać się aż do podstawy piramidy, aby dotknąć kamiennego bloku. Tak samo postąpiłem przed laty w Atenach. Na Akropolu musiałem dotknąć kolumny Partenonu. Poczuć, że jest prawdziwa i moje dziecięce marzenie stało się rzeczywistością.

Ciekawe, że przy piramidach sfinks wywarł znacznie mniejsze wrażenie. Na zdjęciach wydawał się bardziej imponujący.

A potem zabraliśmy bagaże i pojechali nad Nil. Kolejne wzruszenie: oto Nil, opiewany od tysięcy lat. Na nas czekał statek, który do końca pobytu stał się naszym domem. Mieliśmy z W. obszerną kabinę i łazienkę. I ciszę. Czego więcej potrzeba? W sali jadalnej siedzieliśmy przy 10-osobowym okrągłym stole. Tylko jedna para składała się z młodego małżeństwa. Pozostali to ludzie w średnim wieku, wśród nich m. in. emerytowany generał lotnictwa, przedsiębiorca budowlany, handlowiec. Tyle zapamiętałem. Cała bodaj trzydziestoosobowa grupa składała się z Niemców. Tylko my z W. byliśmy cudzoziemcami. Nikt głośno nie rozmawiał ani nie narzucał się hałaśliwym śmiechem. Nie było żadnych wypytywań, a tym bardziej zwierzeń. O awanturach nie wspominając. Od rozmaitych osób nieraz słyszałem narzekania na warunki mieszkaniowe, jedzenie, bałagan przy podróżach organizowanych przez biura turystyczne. My z W. mieliśmy – być może – wyjątkowe szczęście. Wszystko było świetnie zaplanowane i zrealizowane. Aha, muszę podkreślić znakomite i obfite jedzenie. Każdy z uczestników sam się obsługiwał i wybierał to, na co miał ochotę, począwszy od pieczywa, a skończywszy na deserze. Kilka rodzajów zup, mięs, warzyw. I oczywiście w dowolnej ilości. Nieraz zastanawialiśmy się z W. czy to typowe dla niemieckich biur. Słynne powiedzenie: „Ordnung muss sein" zaowocowało w naszej podróży.

Nie sposób opisać pokrótce wszystkich wrażeń, a tym bardziej uszeregować. Płynęliśmy Nilem do miejscowości, które znałem z tak wielu lektur. Teby, Memfis, Luksor, Abu Simbel, Dolina Królów, kolosy, Karnak. Nigdy nie zapomnę piękna zaklętego w kamieniach lub utrwalonych farbami na ścianach świątyń. Nigdy nie zapomnę arcydzieł zgromadzonych w muzeum kairskim.

A wspaniałości posągów Ramzesa czy Hatszepsut nie da się z niczym porównać. Nieraz o tym rozmawialiśmy z W. Dzieje ludzkości to pasmo zbrodni i okrucieństw, to miliony niewinnych ofiar. To świadectwo przerażającego

barbarzyństwa ssaka homo sapiens. Ale zarazem zapierające dech w piersiach swoim pięknem dzieła literatury, muzyki, plastyki. To przecież taki sam w sensie genetycznym człowiek stworzył katedry gotyckie i komory gazowe obozów koncentracyjnych. Jak to możliwe? Dzieła ludzkie budzące zarówno zachwyt jak i przerażenie. Nie mogę pojąć.

Dosyć tych rozważań!

Pobyt w Egipcie dobiegł końca. Zebraliśmy pewną kwotę dla pilota, który był naprawdę sprawnym organizatorem, chętnym do pomocy w każdej nawet najdrobniejszej sprawie, a przede wszystkim dysponującym rozległą wiedzą archeologiczno - historyczną. Potem pożegnaliśmy naszych współtowarzyszy, wymieniając wizytówki i dziękując sobie wzajemnie za spędzone wspólne dni. Tak skończyła się moja podróż do Egiptu i warto przypomnieć, że odbyłem ją mając już ponad osiemdziesiąt lat.

I jeszcze, aby przerwać te wszystkie „achy i ochy", o samym zakończeniu. Wiozący nas samolot egipskich linii lotniczych zamiast lądować we Frankfurcie, poleciał do Monachium. Wtedy, pamiętam, po raz pierwszy usłyszałem przeklinających Niemców. Nasi współtowarzysze obwiniali egipskie linie lotnicze i pilotów. A ci tłumaczyli łamaną angielszczyzną, że to nie ich wina, ale złej pogody we Frankfurcie. Niemcy pomstowali, że stracą połączenia do innych miast, że czekają na nich rodziny. My z W. także mieliśmy problem. Ona traciła połączenie do Warszawy, a ja do Wrocławia, gdzie na lotnisku czekała z samochodem M. Ale muszę przyznać, że W. i pracowniczka „Lufthansy", do której zwróciliśmy się o pomoc na lotnisku w Monachium, stanęły na wysokości zadania. Znalazły się dla nas inne połączenia. „Lufthansa" załatwiła jakoś miejsca w zapełnionych samolotach. Pierwsza odleciała W. Mnie stewardessa niemiecka zaprowadziła do samolotu „Lotu" i przekazała polskiej załodze. Zająłem przygotowane, zapewne rezerwowe (dla VIP?) miejsce. Siedzę i czekam, a samolot stoi. Podszedłem więc do stojącej z tyłu kabiny stewardessy i zapytałem dlaczego nie startujemy. Stojący obok pilot wyjaśnił, że czekamy na pasażerów, z jakiegoś innego samolotu, który z powodu złej pogody ma być skierowany do Monachium. Było to dla mnie zbyt skomplikowane i dlatego zadałem kolejne pytanie. Czy wiadomo, jak długo będziemy czekać i i ilu pasażerów mamy zabrać. Na oba pytania pilot odpowiedział, że nie wie. Wtedy świadomie odegrałem zabawne przedstawienie. Wyciągnąłem z kieszeni taki międzynarodowy malutki „paszport". Zaświadcza w języku angielskim, że jestem poważnie chory na serce i mam założony stymulator.

Tak na marginesie, dzięki temu dokumentowi nie muszę przechodzić przez tzw. „bramki" na lotniskach. Otwiera się dla mnie z boku przejście. Pokazałem „paszporcik" pilotowi i stewardessie i powiedziałem – pamiętam dokładnie to kłamstwo - że na lotnisku we Wrocławiu czeka na mnie żona, aby mnie natychmiast zabrać do szpitala. I dodałem, że jeśli nie chcą mieć trupa na pokładzie, to niech natychmiast startują. Chyba poskutkowało, ponieważ pilot pośpieszył do kokpitu i ku mojej radości samolot niebawem wystartował. Tutaj muszę dodać, że na moją prośbę „Lufthansa" monachijska zawiadomiła lotnisko we Wrocławiu, iż pasażer, czyli ja, przyleci nie z Frankfurtu, ale z Monachium. Tak więc wszystko dzięki sprawnej organizacji i ludzkiej życzliwości udało się pomyślnie załatwić. To zdarzenie opowiedziałem, gdyż jest autentyczne, choć wygląda na zmyśloną anegdotę.

W tym miejscu pozwolę sobie na kolejną dygresję. Kiedyś przed 20 laty udało mi się dzięki pomocy „Lufthansy" zatrzymać ogromny samolot Frankfurt - Paryż. Mój samolot z Drezna miał opóźnienie. Kiedy powiadomiono o tym pasażerów, wytłumaczyłem stewardessie, że muszę zdążyć we Frankfurcie na połączenie do Paryża, ponieważ mam tam próbę i koncert, w programie którego jest „Requiem" Mozarta. Zrozumiała i kapitan powiadomił lotnisko we Frankfurcie, że muszą czekać na lecącego na koncert artystę. I tak się stało. Po przylocie we Frankfurcie wypuszczono mnie wyjściem dla załogi. Czekająca już pracowniczka „Lufthansy" przebiegła ze mną przez ogromny dworzec lotniczy i oddała pod opiekę stewardessy samolotu do Paryża. Na moje pytanie co będzie z walizką, powiedziała, że załadują ją do pierwszego porannego samolotu, byle bym tylko „Lufthansie" w Paryżu podał nazwę hotelu. Skomplikowane? Bynajmniej. Wystarczy tylko jako - taka znajomość języka angielskiego lub niemieckiego. I sprawna organizacja.

* * *

I jeszcze jedno wspomnienie z roku 2008. Pewna polska reżyserka, mieszkająca na stałe w Niemczech, postanowiła nakręcić film o mojej siostrze, Wandzie. Szczegóły nie są istotne, gdyż nie wiążą się bezpośrednio z założeniem tej autobiografii. Ale są na pewno przyczynkiem do różnych spraw natury bardziej ogólnej.

Pewnego dnia zatelefonowała owa reżyserka, że w filmie musi się znaleźć obszerna rozmowa między Wandą a mną. I proponuje, abyśmy spotkali się w lecie na kilka dni w Jadwisinie koło Warszawy, gdzie Wanda będzie prowa-

dziła kurs dla młodych skrzypków. Uzgodniliśmy szczegóły i wybrałem się na taką wycieczkę z M., W. i naszym pieskiem. Jadwisin to dawny pałac Radziwiłłów, zamieniony na rządowy ośrodek, w którym odbywały się przeróżne kursy, sympozja, szkolenia itd.

Rozmowę z Wandą nagraliśmy i – jak mi relacjonowano – była interesująca. Film podobno otrzymał jakąś nagrodę i był kilkakrotnie emitowany w telewizji „Polonia". Widocznie spodobało się to reżyserce, ponieważ powiadomiła mnie, że chciałaby nakręcić film o mnie. Z mojej strony nie było sprzeciwu. Po jakimś czasie reżyserka powiadomiła, że niestety musi zrezygnować z projektu, gdyż … i tu zaczyna się najbardziej interesująca część opowieści.

Aby nakręcić film o Wandzi, reżyserka musiała znaleźć sponsorów. Z uwagi na międzynarodową jej pozycję, szczególnie w Niemczech, udało się zebrać wystarczającą ilość pieniędzy. Niestety w moim przypadku było to znacznie trudniejsze. Dlatego reżyserka wystosowała pismo do prezydenta Wałbrzycha, aby został głównym sponsorem. Zapewniała, że chciałaby przedstawić ciekawą – jej zdaniem – historię górniczego miasta, które decyduje się na powstanie Filharmonii. I które, po likwidacji kopalń, nadal otacza ją opieką. A Filharmonia przynosi miastu sławę, występując w kraju i zagranicą, z koncertami w Paryżu włącznie. To połączenie historii miasta w tak trudnym i ważnym okresie z osobą założyciela Filharmonii Sudeckiej reżyserka uznała za warte upamiętnienia w filmie. I za interesujące dla ewentualnych przyszłych telewidzów. Jak również za promocję Wałbrzycha.

A co było dalej? Reżyserka otrzymała odpowiedź odmowną. Rozgoryczona opowiedziała, że pismo było krótkie, o takiej mniej więcej treści: „miasto nie jest zainteresowane". I podpisane przez jakiegoś urzędnika nie najwyższego szczebla. Uważam, że warto było opowiedzieć tę historię, ponieważ ilustruje bezmyślność tzw. decydentów. Tych, którzy decydują o wydawaniu publicznych pieniędzy i o kulturze. I o wielu innych ważnych społecznie celach, kierunkach, preferencjach. Rządy się zmieniają, ale niestety niezmieniona pozostaje mentalność niektórych przedstawicieli władz. Tych, którzy są pewni, że znają się na wszystkim, a zwłaszcza na kulturze. Opłakane skutki takiej mentalności odczuwamy raz po raz w codziennym życiu.

Choroby, ach choroby...

Mówienie, a tym bardziej pisanie o chorobach jest nudne. I przede wszystkim jałowe. Jak wiadomo, choroby są nieodłączną częścią ludzkiej egzystencji. Ba, nie tylko ludzkiej. Przecież nawet rośliny chorują. Można by zaryzykować stwierdzenie, że choroba jest związana z jakąkolwiek formą życia. Zostawiam jednak te rozważania naukowcom i dlatego ograniczę się do jak najkrótszego przedstawienia moich chorób, słabości, dolegliwości, niedomagań. Jest to jednak – moim zdaniem – konieczne, ponieważ z upływem lat stają się nie tylko coraz bardziej dokuczliwe. I w coraz większym stopniu ograniczają to, co potocznie nazywamy życiem. Czasem wręcz uniemożliwiają.

Kiedy byłem dwudziestolatkiem, dyrygowałem koncertami symfonicznymi z temperaturą 38 st. Celsjusza także po nieprzespanych nocach, z bolącym żołądkiem, niemal zaraz po takich czy innych operacjach. Teraz, w moim wieku, byłoby to całkiem niemożliwe. Teraz największe kłopoty sprawia mi – jak by określić – ogólna słabość. Z trudem chodzę, pomimo podpierania laską. A mam ją, mam! Pokonywanie schodów, zarówno w górę jak i w dół, sprawia trudności. I jest po prostu nader męczące. Ta słabość całego organizmu to obok problemów ze słuchem (o których poprzednio pisałem) jest główną przeszkodą przy ewentualnym dyrygowaniu. Zdałem sobie z tego sprawę i podjąłem tzw. męską i nieodwołalną decyzję.

W roku 2007 zaczęły się kłopoty z sercem. Po raz pierwszy od operacji, o której pisałem w poprzedniej autobiografii. Pozwolę sobie przypomnieć, że odbyła się w Katowicach w roku 1999. Dokonał jej osobiście prof. Andrzej Bochenek, który teraz zyskał rozgłos po filmie „Bogowie". Operacja, przypominam, polegała na założeniu trzech tzw. by-passów. Zgodnie z tym, co napisałem wcześniej, nie będę rozwodził się nad szczegółami. W roku 2008 lekarze zdecydowali, że należy założyć mi stymulator, zwany potocznie rozrusznikiem. To właśnie po tym zabiegu otrzymałem wspomniany w rozdziale o podróży do Egiptu, międzynarodowy „paszporcik". Stymulator bowiem, jak mi tłumaczono, reaguje na jakieś prądy elektromagnetyczne (nie wiem, czy piszę wystarczająco fachowo). Reaguje negatywnie, czyli te fale zakłócają funkcjonowanie aparaciku, umieszczonego (a jakże!) bezpośrednio w sercu. Uff, dość o tym!

Tak czy owak różne lekarstwa, które regularnie biorę, by-passy i stymulator pozwoliły mi na … właśnie na co ? No, w miarę czynne życie. Pomijając takie czy inne słabości i ograniczenia. Ba, ale nie wiedziałem, że natura lub jakaś siła

nadprzyrodzona nie szykuje nowej niespodzianki. Zacząłem mieć kłopoty z żołądkiem i okazało się najgorsze – nowotwór złośliwy w dolnej części przewodu pokarmowego. Był to grudzień 2013. Lekarze chcieli, abym poddał się natychmiastowej operacji. I tutaj dygresja. Ludzie – jak słyszałem – czekają miesiącami na operacje. A ja odmówiłem. Z jednego tylko powodu. Jak co roku, na święta Bożego Narodzenia przyjeżdżała do nas W., mieszkająca i pracująca na stałe w Warszawie. Miałem jej i M. zepsuć rodzinne święta? Na które tradycyjnie przygotowywałem bigos? Nazwałem go „kasztelańskim", ponieważ mieszkamy przy ulicy o tej nazwie. Skoro są rozmaite bigosy, m.in. znany myśliwski, to dlaczego nie może być kasztelański? Przyrządzam go według wypróbowanej receptury. Na marginesie dodam, zajmuje to cały dzień.

Tak więc spędziliśmy wspólnie święta, a ponieważ przygotowujemy ogromną ilość bigosu, W. część zabrała do Warszawy. A ja poddałem się radioterapii, czyli dziesięciu naświetlaniom. Potem była operacja, podobno w asyście aż trzech lekarzy. Oszczędzę czytelnikom, co i ile czego mi wycięli. Powiem tylko krótko: było to okaleczenie – choć rozumiem, że konieczne – organizmu. I na tym poprzestanę. I nie będę rozwodził się, jak bardzo ogranicza to nie tylko moje, lecz przede wszystkim M., życie.

Był kiedyś serial zatytułowany „Robocop" o policjancie, który składał się z resztek ciała i mnóstwa sztucznych organów. My żartowaliśmy, że ja powinienem nazywać się „Robodyr". Myślę, że ten dowcip zastąpi wszelkie dywagacje o moich chorobach. A kiedy opiekującemu się mną zaprzyjaźnionemu doktorowi skarżę się na ograniczenia wynikające ze starości, chorób, dolegliwości i licznych, a uciążliwych ograniczeń – słyszę zawsze tę samą odpowiedź: „Nie narzekaj! Ważniejszy jest umysł. Twoi rówieśnicy mają kłopoty z pamięcią, nie wspominając o alzheimerze". I muszę przyznać rację M., która również wciąż to samo powtarza. Dlatego definitywnie zamykam temat chorób i jakichkolwiek innych problemów medycznych. Zgodnie ze starą zasadą: zawsze może być jeszcze gorzej.

Na tle odległych wspomnień

Czas teraz na opisanie społecznej i politycznej działalności mojego długiego życia. Do członkostwa w PZPR oficjalnie zaproszono mnie w Szczecinie w roku 1964. Przedstawiciel Komitetu Wojewódzkiego twierdził, że będzie to

korzystne dla instytucji, którą kierowałem i pomocne w kontaktach z władzami. Pamiętam, że na propozycję odpowiedziałem śmiechem, wraz z takim wyjaśnieniem: „Ja z moimi przekonaniami?" Na to usłyszałem, że „Znamy Wasze, towarzyszu dyrektorze, przekonania. Ale ważniejsza jest pomyślność instytucji". Wziąłem delegację służbową i pojechałem do Warszawy. Tam znajome osoby na stanowiskach w Ministerstwie, a nawet w KC, zgodnie twierdziły, że powinienem przyjąć zaproszenie. Jednym z argumentów, być może najważniejszym, była tak sformułowana opinia: „Jeżeli im zależy, to nie należy odmawiać. Odmową zrazi ich pan do siebie. Będą się czuli urażeni, że odrzucił pan tak zaszczytne ich zdaniem zaproszenie. A jeżeli pan przyjmie - to przeciwnie, będą zobowiązani i skłonni do wszelkiego rodzaju pomocy". To mnie przekonało.

Na zebraniu POP, na którym przyjmowano mnie do PZPR, przedstawiciel KW zapytał; „Dlaczego, towarzyszu dyrektorze (ta forma zawsze była stosowana), wstępujecie do Partii?". Natychmiast odpowiedziałem (pamiętam dokładnie moje słowa): „Bo nie wszystko mi się w Polsce podoba". Zapadła cisza.

Wyczułem napięcie. Odczekałem kilka sekund i z uśmiechem dodałem: „Będąc członkiem rządzącej Partii, będę mógł łatwiej poprawiać to, co mi się obecnie nie podoba". Zacytowałem dokładnie przebieg zebrania, ponieważ członkiem PZPR byłem przez 25 lat, do czasu jej rozwiązania. Warto dodać, że po powstaniu „Solidarności" nie raz namawiano mnie, abym – jak to się mówi – oddał legitymację. Zawsze odpowiadałem, że uczono mnie, iż „tylko szczury uciekają z tonącego okrętu". I dodawałem z całym przekonaniem, że lojalność uważam za cenną cechę charakteru. Partia zawsze mi pomagała i kto wie, czy bez tej pomocy mógłbym w ogóle zorganizować Filharmonię w Wałbrzychu i zapewnić jej szybki rozwój. To dzięki Partii mogłem otrzymać i przebudować salę kinową, wbrew opinii Ministerstwa Kultury i Sztuki dostać od wojewody około setki etatów i niemal tyle samo mieszkań. I to wszystko w ciągu zaledwie kilku lat. A z historii wiadomo, że wówczas kraj pogrążał się w kryzysie ekonomicznym. Pozwolę sobie przypomnieć, iż Filharmonia powstała w roku 1978. Dwa lata później miały miejsce protesty robotników. Głównie z przyczyn ekonomicznych. To wszystko są fakty, niezależnie co dzisiaj mówią i piszą pseudo - historycy oraz przeróżni frustraci i nieudacznicy.

Przez pierwsze lata po tzw. transformacji ustrojowej w 1989 roku proponowano mi wstąpienie do różnych partii, od Konfederacji Polski Niepodległej aż po SLD. Zasłaniając się tym, że „dwudziestopięcioletni staż" w PZPR

wystarczy mi do końca życia, udało mi się nikogo nie urazić odmową. Natomiast zawsze udzielałem się społecznie. Oto najzabawniejszy choćby przykład. Pewnego dnia, a było to w Szczecinie, przyszła do mnie z kwiatami delegacja i powiadomiła, że zostałem jednogłośnie wybrany na prezesa Społecznego Towarzystwa Ognisk Muzycznych (nie daję głowy czy tak brzmiała nazwa). Pointa polega na tym, że zostałem wybrany zaocznie! Nie wypadało odmówić i byłem prezesem przez dwie kolejne trzyletnie kadencje. Ale wykorzystując swoje znajomości we władzach, udało mi się załatwić dla ognisk przydziały lokali i dotacje na zakup instrumentów. Tak więc rezygnując potem z prezesury, miałem czyste sumienie. Zostawiłem ogniska w znacznie lepszym stanie majątkowym i organizacyjnym.

Nie uchylałem się również od pracy w samorządzie, chociaż pozostawiła o wiele mniej przyjemne wspomnienia. Byłem radnym miejskim w Szczecinie, a następnie wojewódzkim w Wałbrzychu. Od roku 1990 zostałem w Wałbrzychu radnym miejskim, pomimo iż nie wziąłem udziału w żadnym spotkaniu z wyborcami. A potem wytrzymałem (nie cofam tego słowa) przez dwie czteroletnie kadencje. Nie wypada się chwalić i dlatego nie napiszę, jak trudne i ważne sprawy udało się w tym okresie załatwić. A przecież to były chyba najcięższe lata w całej historii Wałbrzycha. Reforma Balcerowicza, likwidacja kopalń, rosnące bezrobocie i upadek wielu instytucji, w tym także kultury. Odszedłem w roku 1998 z poczuciem spełnionego obowiązku. Nie przesadzam. Miałem już ponad 70 lat. Czas zostawić miejsce dla młodszych.

Ba, ale i tak nie dało się całkowicie uniknąć pracy społecznej. Ciągle mnie proszono o uczestnictwo w różnych mniej lub więcej oficjalnych tzw. ciałach doradczych. Nie będę ich wyszczególniał, gdyż niestety często nic z ich działalności nie wynikało. Po prostu kończyło się na gadaniu. Jak ja to złośliwie określałem: przedstawiciele władz i przeróżni działacze musieli „odhaczyć" tę formę działalności. Ale chcę być sprawiedliwy. Wina „niedowładu" nie jest wyłącznie po stronie rządzących. Nadal brak u nas tego, co się nazywa społeczeństwem obywatelskim. To z kolei jest wynikiem takich, a nie innych wydarzeń historycznych. Lub krócej – naszej historii. Oto zabrnąłem niechcący w zagadnienia nie związane bezpośrednio z autobiografią. Problemem działalności społecznej jest także jej wpływ na decyzje władzy. W ciągu tych ostatnich dziesięciu lat brałem udział w postulowaniu różnych zmian organizacyjnych takich czy innych instytucji miejskich. Postulujący działacze nie musieli nawet przekonywać o słuszności swoich propozycji. Prezydent lub reprezentująca

go osoba słuchali uważnie, potakiwali, czasem zadawali dodatkowe pytania. A potem okazywało się, że nic nie zostało zrealizowane. Pamiętam, że kiedyś dwie czy trzy osoby u nas w mieszkaniu, korzystając z naszych rad, opracowały nader sensowny plan reorganizacji pewnej instytucji kultury. Własnoręcznie narysowałem schemat organizacyjny. Następnie sporządzono szczegółowy dokument, który dostarczono ówczesnemu prezydentowi do podpisu. Z przyczyn, których absolutnie nie znam i nie rozumiem, prezydent nie podpisał. I instytucja nadal „kuleje". Na szczęście nie ma już tego prezydenta.

Trudno uwierzyć ile cennych inicjatyw upadło w całym kraju z powodu indolencji, oportunizmu czy zwykłego lenistwa osób na wysokich stanowiskach. Smutne, choć zarazem zabawne, że kolejne ekipy dochodzące do władzy, krytykując poprzedników, popełniają dokładnie te same błędy. To jednak także nie jest tematem mojej autobiografii.

Obecnie jestem członkiem dwóch Rad: Kultury i Seniorów. Warto choć trochę o nich napisać. Moim zdaniem pierwsza od początku była źle pomyślana. Zaproszono do niej 30 czy 40 osób. O wiele za dużo. Przy takiej liczbie osób trudno o rzeczową dyskusję. Błędem było również zapraszanie do składu Rady dyrektorów wszystkich instytucji kultury. Przecież wiadomo, że dyrektorzy zamiast debatować nad rozwojem kultury w mieście, będą prezentować przed tak „wysokim" gremium osiągnięcia swoich instytucji. A następnie walczyć o jak najwyższe dotacje. Nic dziwnego, że Rada w takim składzie nie była zdolna do jakiegokolwiek sensownego, pożytecznego działania. Znacznie lepiej funkcjonowała Rada Seniorów. W jej skład w poprzedniej, czyli pierwszej kadencji (2014 - 2015) wchodzili emerytowani i zasłużeni działacze. Ich różnorodne doświadczenie okazało się naprawdę przydatne. I ku mojemu zaskoczeniu, kilka pomysłów udało się już zrealizować, a inne są w zaawansowanym stadium realizacji.

Niestety, o czym wiemy od czasów starożytnej Grecji, demokracja ma swoje immanentne słabości. I tak w niezbyt demokratyczny sposób do składu Rady pierwszej kadencji zapraszał osobiście wyłącznie obecny prezydent. Ba, ale to zakwestionował bodajże Sejm. Rady prezydenckie muszą być wybierane przez społeczeństwo. Zupełnie absurdalne. Mogę się pochwalić, że toczyłem przez wiele tygodni batalię o przyjęcie mojej własnej propozycji. Skoro prezydent nie może sam ustalać składu, zaproponowałem „demokratyczne" rozwiązanie. Udało się przekonać prawników i w Wałbrzychu ustalono następujący układ: 5 członków mianuje osobiście prezydent, 5 wybierają radni miejscy i 5 tzw.

organizacje pozarządowe, czyli owo bliżej nieokreślone społeczeństwo. Zobaczymy, jak będzie teraz działać nowa Rada Seniorów w takim składzie. Obawiam się jednak (i obym się mylił), że nie będzie tak sprawna, jak poprzednia. Już, zaledwie po dwóch zebraniach widzę, że kilka osób ma powiązania partyjne, a także na względzie prywatne sympatie i antypatie. Że już nie wspomnę o ewentualnych interesach.

Wiedzieli już o tym twórcy pojęcia demokracja: Platon i Arystoteles. Dlatego zapewne w swoich utopijnych „Państwach" wprowadzili rozmaite zabezpieczenia przeciwko zarówno tyranii, jak i ochlokracji. Ale – ciągle to sobie powtarzam – nie powinienem gubić zasadniczego celu autobiografii, tj. opisywania mojego życia.

O zawodzie dyrygenta

Myślę, że warto zająć się teraz zawodem, który wykonywałem przez całe moje długie życie. Warto dokonać podsumowania, a także próby choćby skrótowej analizy. Pierwszy raz stanąłem przy pulpicie dyrygenckim jako student bodajże drugiego czy trzeciego roku. Było to na koncercie szkolnym, a orkiestra składała się wyłącznie z koleżanek i kolegów wydziału instrumentalnego. Mogę dzisiaj z całym przekonaniem zakładać, że mój występ był udany, gdyż otrzymałem propozycję dyrygowania zawodową orkiestrą w teatrze. Na normalnych przedstawieniach. Przy pełnej sali, ponieważ byli to „Krakowiacy i Górale" w słynnej inscenizacji Leona Schillera, która przeszła do historii polskiego teatru.

Opowieść o mojej burzliwej współpracy z wybitnym reżyserem wymagałaby osobnego, obszernego opowiadania. Może kiedyś zdążę je napisać.

Tak więc dyrygować zacząłem już w latach 1947/48. A skończyłem w roku 2013. Wszystkich koncertów i przedstawień w teatrach operowych, operetkowych, dramatycznych było ponad 1850. Ta „wyliczanka" była potrzebna, aby udowodnić sobie i ewentualnym czytelnikom, że wolno mi próbować wyciągnąć wnioski z dyrygenckich doświadczeń. Dotyczących – jak sądzę – nie tylko mojej osoby, ale także specyfiki samego zawodu.

Wśród muzyków krążą najrozmaitsze opinie. Jedni twierdzą, że dyrygować może każdy, gdyż „dyrygenta nie słychać". Nie jest to w pewnym sensie pozbawione słuszności, choć zaprawione odrobiną złośliwości. A często i za-

zdrości. Tym niemniej jest prawdą, że każdy, najmniejszy nawet, błąd grającego instrumentalisty jest słyszalny. Nie tylko dla wprawnego ucha. Tzw. meloman uchwyci fałszywe dźwięki i brak rytmicznej precyzji. Natomiast błędu dyrygenta nie da się usłyszeć, można go raczej zobaczyć. Celowo upraszczam, aby wytłumaczyć powiedzenie „dyrygenta nie słychać".

Przed wielu laty pasjonowałem się cybernetyką i tzw. modelami. Narysowałem nawet taki dwuwymiarowy model procesu dyrygowania. Od poznania dzieła, poprzez próby z orkiestrą. Aż do kontaktu z publicznością na koncercie. Ba, ale żaden model nie pomoże w zrozumieniu tego, co dzieje się w umyśle dyrygenta. Kiedy w latach siedemdziesiątych wpadłem na pomysł, aby zrobić doktorat, tematem tzw. dysertacji miała być hipoteza, która brzmiała mniej więcej tak: dyrygentem zostaje się nie z powodu dysponowania szczególnymi uzdolnieniami, ale silnym popędem dominacji. Opierałem się na wieloletnich obserwacjach. Dlaczego znakomity instrumentalista woli zostać nader przeciętnym dyrygentem? Miał wysoką pozycję artystyczną, występował dosłownie na całym świecie, nagrywał płyty itd. I nagle ten wybitny, sławny muzyk przestaje grać i wykorzystuje tę wysoką pozycję, aby otrzymywać po dyrygowanych przez siebie koncertach zdawkowe, grzecznościowe recenzje. Dlaczego?

Podobnie w teatrach. Z pomiędzy dziesiątków czołowych aktorów jeden zaczyna nagle reżyserować. Nie wymienię nazwiska jednego z najlepszych polskich aktorów. Znałem go osobiście i zawdzięczam mu głębokie przeżycia. Postanowił wyreżyserować wielką tragedię, w której grał dotychczas wspaniale tytułową rolę. I nastąpiło rozczarowanie. Nie tylko inni, także dobrzy aktorzy, ale i on sam grali gorzej. Recenzje były miażdżące. Nie pamiętam, czy potem podejmował jeszcze następne próby reżyserowania. Podobne przypadki, o ile się orientuję, zdarzały się również w filmie.

Te problemy nurtują mnie do dzisiaj. Co raz to nowe przypadki potwierdzają wcześniejsze doświadczenia. Mają rację niektórzy psychologowie twierdzący, że ludzkim postępowaniem rządzą przede wszystkim emocje. I że nie jesteśmy aż tak racjonalnie myślący, jak byśmy chcieli. Dotyczy to zresztą nie tylko sztuki. W innych dziedzinach życia – przypuszczam – jest identycznie. Ale tutaj pojawia się inny problem. Czy ta nadmierna emocjonalność sprzyja rozwojowi ludzkości czy przeciwnie – jest szkodliwa? Zostawiam te rozważania na boku, a teraz wracam do dyrygowania.

Prowadziłem kilka znakomitych orkiestr. Głównie w stolicach. Nosiły przeważnie nazwę narodowych: Warszawa, Hawana, Bejrut, radiowa w Katowicach,

Dublinie, Tel - Avivie. Ale zdarzały się zespoły małe i kiepskie, czasem półamatorskie. Szczególnie w ośrodkach prowincjonalnych. Raz nawet zdarzyło się w Rumunii, że po pierwszej próbie zmieniłem zaplanowaną symfonię. Po prostu nie było szans, aby muzycy zagrali w wymaganych przeze mnie tempach. Te różnorodne doświadczenia pozwoliły mi zorganizować orkiestrę w Wałbrzychu. I to w wyjątkowo krótkim czasie. Dlatego jednym z istotnych elementów zawodu dyrygenta jest umiejętność oceny możliwości wykonawczych pojedynczych muzyków. Kiedy w ostatnich latach obserwowałem pracę młodych dyrygentów, naprawdę im współczułem. Prosto po studiach, nie znając poza fortepianem żadnego innego instrumentu i nie mając żadnego doświadczenia w pracy zespołowej, nie wiedzieli na czym się skupić w czasie prób. Trudno mi to tłumaczyć, nie wpadając w fachową terminologię. Ja miałem tę przewagę, że dosłownie od dzieciństwa musiałem uprawiać muzykę kameralną, czyli uczyć się grać zespołowo. Grać swoją partię, ale jednocześnie słuchać partnerów. Ojciec grał z nami, tzn. ze mną i Wandą najłatwiejsze fragmenty trio Haydna, Mozarta, Beethovena. W czasie okupacji grałem zarobkowo w mniejszych lub większych zespołach kawiarnianych. Okazało się, że było to znakomite przygotowanie do późniejszej pracy dyrygenckiej. Tym bardziej, że przez 4 lata studiów musiałem „dla chleba" grać w orkiestrach symfonicznych na wiolonczeli. Była to wymarzona okazja, żeby niejako „od środka" obserwować pracę dyrygentów. Lepszych i gorszych.

Wracajmy jednak do początku rozważań o specyfice zawodu dyrygenta. Przeczytałem kilka autobiografii wybitnych dyrygentów i znaczną liczbę biografii. Dostarczyły mi cennych informacji, choć z wieloma sądami, opiniami, radami, pouczeniami bynajmniej się nie zgadzałem. Zapoznałem się także z paroma podręcznikami dyrygentury. Tutaj miałem sporo zastrzeżeń. Do dzisiaj nie jestem pewien, czy można w ogóle nauczyć się dyrygowania z książki. Doprawdy nie wiem. W podręcznikach są cenne analizy utworów, rysunki pokazujące kierunki rąk w czasie dyrygowania, wskazówki o sposobach organizowania prób oraz rady o charakterze psychologicznym.

Wszystko naprawdę ważne, ale to tylko w sferze teorii. To jakby wyrwanie zęba, jazda na rowerze czy nartach „na sucho", bez praktyki. Nawet nauka gry na dowolnym instrumencie wymaga praktyki: trzymania smyczka, zadęcia, trzymania pałki itd. A to tylko instrumenty, czyli przedmioty. Natomiast orkiestra jest czymś zupełnie innym. To żywy organizm. To nie tylko klawisze czy struny. Ale ludzie z krwi i kości ze wszystkimi swoimi jednostkowymi sprawami: rodzinnymi, zdrowotnymi, ambicjonalnymi.

Mam nadzieję, że nie zagubiłem się w swoich wywodach. Że czytelnicy zrozumieją specyfikę zawodu dyrygenta i zasadnicze różnice pomiędzy nim a innymi muzycznymi zawodami. I że to właśnie wymaga zupełnie innych predyspozycji psychicznych. Pozostaje zatem pytanie, czy dyrygowania można się nauczyć. Moim zdaniem nie; można tylko przygotować do wykonywania tego zawodu. Można – i przyznaję, to jest niezbędne – nauczyć analizowania każdego utworu (ładniej brzmi słowo „dzieła") pod względem formalnym, stylistycznym, historycznym. Dogłębnie poznać instrumentację i przede wszystkim możliwość każdego instrumentu w sensie dynamicznym i technicznym. Podam najprostsze przykłady, zrozumiałe dla laika. Nawet najlepszy tubista nie zagra na swoim instrumencie tak szybko jak flecista na swoim. A trąbka zawsze zagłuszy skrzypce. Tzw. prawa fizyki są nieubłagane i chyba nie muszę tego szerzej tłumaczyć.

Tego rodzaju teoretyczna wiedza jest absolutnie niezbędna, ale jako przygotowanie, jako początek. A potem należy wypracować własną koncepcję, czy jak kto woli interpretację. Dyrygent musi w wyobraźni „słyszeć" dzieło. I potem na próbach starać się tę swoją dźwiękową wizję zrealizować. Lub przynajmniej zbliżyć się do niej. W tym punkcie jestem stanowczy. Dyrygent, młody czy stary, musi być pewny swojej wizji, nawet jeżeli jacyś muzycy w orkiestrze będą się opierać. Pamiętam, że często starsi muzycy protestowali przeciwko takiemu czy innemu fragmentowi mojej koncepcji. Trudno, musiałem konsekwentnie ją realizować, narażając się na nieprzyjemne uśmiechy, wymieniane szeptem uwagi, nawet coś w rodzaju biernego oporu. Ale pamiętam, że nigdy nie ustąpiłem.

Pozostała jeszcze do omówienia kwestia techniki manualnej. Jest nader skomplikowana. Dla jednych ma minimalne znaczenie, dla drugich – przeciwnie, jest podstawowym składnikiem działań dyrygenta. Ja należę do tej drugiej grupy. Zacznę od tego, że wygląd występującej osoby na estradzie nie jest obojętny. Określeniem „wygląd" obejmuję postawę całego ciała, gestykulację, a nawet mimikę. Wszystko musi być związane z wykonywaną muzyką. Tutaj drobny, a zarazem istotny szczegół. Bywalcy koncertów wiedzą, że są soliści, którzy po wykonaniu swojego fragmentu, w czasie tutti orkiestrowego, rozglądają się po sali, wycierają nos, poprawiają uczesanie.

Krótko – zachowują się „prywatnie". Lub inaczej - „wyłączają się". Zapominają, że orkiestra gra, a to znaczy, że muzyka trwa. A solista pozostaje, nawet kiedy pauzuje, integralną częścią dzieła. Te uwagi dotyczą także dyrygentów.

W czasie wykonywania przez solistę tzw. kadencji. Niestety zbyt często, będąc słuchaczem, widziałem jak dyrygent, podczas gdy solista pokonuje wirtuozowskie trudności, postępuje dokładnie tak samo, jak napisałem o zachowaniu niektórych solistów w czasie orkiestrowych tutti. Sprawia to fatalne wrażenie.

Pozwoliłem sobie na ten przydługi wywód, „najeżony" fachową terminologią, ale wiąże się on pośrednio z dyrygencką techniką manualną. Kiedyś, bardzo dawno, dyrygenci ograniczali się tylko do taktowania, czyli pilnowania tempa. Nazywam to „regulowaniem ruchu", jak policjanci na ulicznym skrzyżowaniu. W miarę powiększania zespołów orkiestrowych i rozwoju techniki instrumentowania, taka „regulacja" przestała wystarczać. Dyrygenci musieli pokazywać tzw. wejścia poszczególnym muzykom lub całym grupom. Rozwój muzyki symfonicznej oraz coraz większa komplikacja faktury dzieła wymusiły niejako powstanie techniki dyrygenckiej. A ta technika składa się także z gestykulacji. Pamiętam jeszcze dyrygentów starszego pokolenia, którzy stali prawie nieruchomo w wyprostowanej postawie. Ich technika manualna była nader ograniczona. Trochę większe ruchy rąk przy forte, mniejsze przy piano. I pokazywanie wszystkich „wejść" różnym grupom instrumentów oraz pojedynczym muzykom, mającym tzw. solówkę. Pojawili się jednak dyrygenci, którzy mieli skłonności aktorskie. Byli oczywiście potępiani przez konserwatystów. Nazywano ich wręcz błaznami. Ale stopniowo do świadomości muzyków przebił się pogląd, że zachowanie dyrygenta na estradzie pomaga w odbiorze muzyki słuchaczom, szczególnie niewyrobionym. A także wykonawcom. Że nieruchoma mina i monotonne ruchy rąk nie współgrają z muzyką. Widziałem kiedyś w telewizji film o wielkim kompozytorze Richardzie Straussie. Pozwolę sobie przypomnieć, że zapisał się w historii muzyki jako autor genialnych poematów symfonicznych. „Don Juan" czy „Dyl Sowizdrzał" to nieśmiertelne arcydzieła. Szczytowe osiągnięcia formy poematów symfonicznych. Oczywiście byłem i jestem wielbicielem muzyki Straussa. Niestety, ten wielki kompozytor także dyrygował swoimi dziełami, szczególnie operami. I co zobaczyłem na filmie? Starszego pana, który z wprost niewiarygodnie nieruchomą i co gorsza obojętną, znudzoną miną dyrygował swoją wspaniałą muzyką. Wręcz przerażający widok. Wyłączyłem telewizor.

Tą dygresją chcę wzmocnić opinię, że to, co nazywam techniką manualną, musi być zgodne z wykonywaną muzyką. Musi stanowić jej integralną część. Używając potocznego języka: kiedy orkiestra gra tkliwą, o charakterze miłosnym, melodię – ruchy rąk dyrygenta muszą być miękkie, łagodne. A kiedy

orkiestra wykonuje na przykład ognisty, hiszpański taniec, nie tylko gesty, ale i całe ciało dyrygenta musi podkreślać charakter muzyki. I z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że wielu znakomitych dyrygentów tak właśnie postępuje. I tutaj na marginesie istotna uwaga.

Dla młodego adepta dyrygentury jest absolutną koniecznością jak najczęstsza obecność na koncertach znakomitych dyrygentów. Można ich nazwać mistrzami lub wirtuozami batuty. Ja miałem to szczęście, że od początku studiów mogłem słuchać i patrzeć na nich. Już mój pierwszy szef, dyrektor Filharmonii Łódzkiej, dysponował wyjątkową techniką manualną. Wiedziałem, że brakowało mu teoretycznej wiedzy, co sprawiało, że nie bardzo potrafił interpretować muzykę klasyczną. Ale miał ogromny talent manualny i przez długie lata był pod tym względem dla mnie wzorem. Jednym niewielkim ruchem dłoni lub nawet palca kierował bezbłędnie orkiestrą. Mój przyrodni brat, Kazimierz, z pewną dozą złośliwości mawiał, że „Józio to taki mały Górzyński".

W roku 1947 lub 48 byłem w Pradze i gospodarze zaprowadzili mnie na salę, którą nazywali „Lucerna". Do dzisiaj nie wiem, co to była za instytucja. Trafiłem na próbę orkiestry symfonicznej Filharmonii Czeskiej. Dyrygował Rafael Kubelik. Był to dla mnie szok. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem dyrygenta tego formatu. Czułem, że panuje całkowicie nad orkiestrą. Bogactwo jego techniki manualnej było ogromne: od ruchów najsubtelniejszych, chciałoby się powiedzieć, wręcz pełnych poezji aż do władczych. Grali VI symfonię Czajkowskiego. Nie mogłem powstrzymać łez. To był chyba mój największy w dotychczasowym życiu zachwyt. A potem już jako członek orkiestry Filharmonii w Łodzi podziwiałem starego Bierdiajewa i młodego Rowickiego. Każdemu wiele zawdzięczam. Analizowałem zarówno ich interpretacje, jak i technikę manualną. Nie wstydziłem się na nich wzorować. Natomiast zupełnie nie podobał mi się, słynny podobno, Hermann Abendroth.

Przypomnę teraz nazwiska dyrygentów, którzy wywarli na mnie znaczący wpływ: Herbert Karajan, Charles Munch, Leonard Bernstein, George Georgescu. Wszystkich miałem szczęście słyszeć i widzieć na żywo. Innych tylko na filmach i płytach. Ale to także było bardzo pożyteczne. Te, nazwijmy je kontakty, traktowałem jako rodzaj lekcji. Bardzo wiele z nich wyniosłem korzyści. Nawet na starość, dosłownie w ostatnich latach. Simon Rattle pokazał mi, że można dyrygować z radosnym uśmiechem. To potwierdzenie starego powiedzenia, iż uczyć się trzeba całe życie.

Czy udało mi się zostać sobą?

A teraz spróbuję trochę „popsychoanalizować" siebie. Jestem pewien, że każde zdarzenie, pomyślne czy nie, zostawia ślad w osobowości człowieka.

Zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym. We mnie również. Dobrze pamiętam, jak na przestrzeni lat zmieniały się moje reakcje na otaczającą rzeczywistość. Ba, myślę, że i mój charakter stale się zmieniał. Niektórzy mądrzący się głupcy twierdzą, że oni, będący obecnie dojrzałymi ludźmi, są kimś całkowicie innym, niż byli jako młodzieńcy. Powtarzają: to nie byłem ja. Bzdura! Niestety, to byłem ja, ten sam, choć nie taki sam, kiedy wbrew opinii rodziny i zaprzyjaźnionego księdza ożeniłem się z całkowicie nieodpowiednią osobą. To ja, a nie nikt inny podjął trzy razy decyzję, aby nie zostać „na Zachodzie" w latach 1964, 1968, 1987. Mając w dodatku zapewnione tam dobre muzyczne posady. Ja, a nie jakaś hipotetyczna inna osoba, przerwała pracę nad doktoratem (a miałem już zdane wszystkie egzaminy po dwuletnim kursie i gotowy wstęp oraz I rozdział). A kto, jak nie ja osobiście zdecydowałem się na zorganizowanie w górniczym Wałbrzychu orkiestry. Ba, a także to ja zmieniłem pierwotną koncepcję lokalnych władz i zamiast 16-osobowego zespołu kameralnego powstała prawdziwa Filharmonia z 80-osobową orkiestrą symfoniczną.

To również ja na prośbę władz, organizując filharmonię, zgodziłem się objąć jednocześnie stanowisko dyrektora tutejszej szkoły muzycznej. I przez trzy lata „dyrektorowania" rozbudowałem szkołę i zmieniłem całą strukturę. Obecnie jest to Zespół Szkół Muzycznych, składający się z czterech jednostek. No i uzyskałem dodatkowy budynek w centrum miasta. To wszystko zrobiłem w tzw. życiu zawodowym. A w osobistym? Ożeniłem się w roku 1980 z uczennicą Szkoły Muzycznej, młodszą o 34 lata. Jak słyszałem, wielu ludzi pukało się w głowę. Inni po prostu wyrażali zastrzeżenia, wątpliwości lub kąśliwe uwagi. A po dwóch latach urodziła się W. I pojawiły się kolejne dowcipy. I te wszystkie śmiałe kroki podejmowałem ja sam, na własne ryzyko. Ten sam człowiek, który w latach 1946 i 47 brał udział w 3-Majowych studenckich pochodach w Łodzi. I witał w imieniu łódzkich studentów nowego ordynariusza, biskupa Michała Klepacza. Mam nawet na to dowód w postaci wycinka prasowego ze „Słowa Powszechnego".

Z uporem powtarzam, że nikt inny jak tylko ja podejmowałem tak różne, ryzykowne decyzje. W 1964 roku, jak już pisałem, zostałem członkiem PZPR, w bodajże 1986, będąc służbowo w Warszawie, dałem Wandzi 100 zł (dobrze

pamiętam czerwony banknot) na KOR. A przedtem, w roku 1981, poparłem (i do dzisiaj popieram!) wprowadzenie stanu wojennego.

To wszystko robiłem, często wbrew obiegowym opiniom, dlatego, że zawsze starałem się być niezależnym. I pod tym względem nie zmieniłem się.

Wierzę, że udało mi się pozostać sobą. Mam przynajmniej taką nadzieję.

A teraz o Kaliszu

W poprzedniej autobiografii napisałem, że w latach dwudziestych ubiegłego wieku moja rodzina działała w tym mieście. Ojciec był prezesem Towarzystwa Muzycznego i dyrektorem szkoły muzycznej. Cała trójka jego dzieci: Kazimierz, Michał i Maria zostali nauczycielami tejże szkoły. I co wygląda na dowcip, a jest prawdą, ojciec i obaj synowie ożenili się z kaliszankami. Nie pamiętam, po ilu latach wyjechali z Kalisza do Warszawy, a potem rozjechali się dosłownie na różne świata strony. Wolno mi przypuszczać, że mieli jakiś sentyment do Kalisza, bo mój przyrodni brat Kazimierz utrzymywał niemal do śmierci bliski kontakt z muzycznym środowiskiem tego miasta. Dzięki temu Towarzystwo nosi imię ojca, jak również sala koncertowa w szkole muzycznej.

Po latach przerwy, spowodowanej śmiercią Kazimierza, dowiedziałem się, że pani Elżbieta Piszczorowicz - Mondra zainteresowała się zasługami rodziny Wiłkomirskich dla miasta Kalisza. Nie wchodząc w szczegóły, okazało się, że ta pani doprowadziła Radę Miasta do przyjęcia uchwały o (nie znam urzędowej terminologii) nazwanie roku 2015 Rokiem Rodziny Wiłkomirskich. No, i zaczęły się różne oficjalne uroczyste imprezy, których tak nie lubię. Oczywiście byłem zaproszony i musieliśmy z M. pojechać do Kalisza. Wandę także zaproszono. Oto krótka relacja. Po przenocowaniu w hotelu zostaliśmy zawiezieni na oficjalną wizytę u prezydenta miasta. Po południu koncert, którego program (i tutaj historyczna ciekawostka) był powtórzeniem występu trójki dzieci mojego ojca. Oczywiście jeszcze w Rosji, przed rewolucją. A teraz z całej rodziny pozostała już tylko dwójka starych ludzi. Gdyby tamta trójka żyła, każde z nich miałoby powyżej stu lat.

Po koncercie odbyła się główna część uroczystości: ogłoszenie „Roku Rodziny Wiłkomirskich". Obecne były wszystkie kaliskie władze, a dodatkowo zaproszono na tę okoliczność wałbrzyską delegację z posłanką, senatorem i prezydentem miasta włącznie. Oczywiście musiałem przemawiać, czego

najbardziej nie lubię. Ludziom trudno uwierzyć, że mogę mówić na dowolny temat, ale wręcz nie znoszę oficjalnego przemawiania. Zabrali także głos prezydenci obu miast, Kalisza i Wałbrzycha, wygłaszając stosowne przemówienia. A ja naprawdę chciałem schować się pod stół kiedy prezydent Wałbrzycha stwierdził, że jestem … instytucją. Brr!

Rano udaliśmy się w powrotną drogę do Wałbrzycha, a Wanda pojechała jeszcze do Opatówka, aby zobaczyć tam stałą ekspozycję fortepianów znanej niegdyś fabryki Fibigera. Po tzw. upaństwowieniu dalej robiła fortepiany i pianina jako „Calisia". A teraz, czy jeszcze istnieje?

Po pewnym czasie dowiedziałem się, że czeka mnie jeszcze jeden wyjazd do Kalisza. Tym razem w czerwcu 2015. Zostałem bowiem zaszczycony przyznaniem mi tytułu „Honorowego Obywatela miasta Kalisza". No i pojechaliśmy. W auli filii Uniwersytetu Poznańskiego odbyła się uroczysta sesja Rady Miejskiej. Było mnóstwo „oficjeli", a ja znów musiałem przemawiać. Podziękowałem organizatorom, szczególnie tej pani, która to wszystko zainicjowała. I od tego czasu otrzymuję zaproszenia do Kalisza na różne miejskie uroczystości i koncerty. Ale z uwagi na moje trudności w poruszaniu się nie będziemy mogli z nich korzystać.

Następnego dnia rano wysłuchaliśmy jeszcze, specjalnie dla nas zorganizowanego, popisu uczniów szkoły muzycznej. Tej samej, której dyrektorem przed ponad osiemdziesięcioma laty był mój ojciec. Było też spotkanie w liceum plastycznym, gdzie zrobiono gipsowy odlew moich dłoni dla muzeum fortepianów. Przyznaję, że było mi przyjemnie dowiedzieć się, że będzie to dopiero drugi w zbiorach muzeum odlew muzycznych dłoni. Pierwsze były dłonie Artura Rubinsteina.

Warto jeszcze wspomnieć o wywiadzie, który przeprowadziła ze mną dziennikarka po uroczystości nadania tytułu „Honorowego Obywatela". Padło pytanie, jak się czuję po tym zaszczycie. Odpowiedziałem szczerze, że czuję się naprawdę zażenowany. Wyjaśniłem, że Kalisz opuściłem jako niemowlę i nigdy w nim potem nie mieszkałem. Miałem jedynie dwa czy trzy koncerty z orkiestrą Filharmonii Kaliskiej. I to wszystko, stąd moje zażenowanie. Przecież niczym się dla miasta nie zasłużyłem. Na to dziennikarka powiedziała, że jestem w błędzie. Wytłumaczyła, że przecież w każdej encyklopedii czy „Who is who", w których mam hasło, jest napisane: Józef (albo częściej Joseph) Wiłkomirski (częściej przez „l" niż „ł") urodzony w Kaliszu. I to przynosi zaszczyt miastu. Przyznaję, że nie próbowałem podjąć dyskusji na ten temat. Dla mnie miejsce

urodzenia jest absolutnym przypadkiem. Mało tego, jeżeli ktoś używa zwrotu „urodził się" prostuję żartobliwie, że ja „się nie urodziłem". To mnie „urodzono"; zostałem bez jakiegokolwiek mojego świadomego udziału „urodzony"!

Minione trzy lata

Skoro już opowiedziałem o zaszczytach związanych z rokiem 2015 i 2016, warto wspomnieć jeszcze o jednym, który mnie ominął. Z kronikarskiego obowiązku muszę teraz przypomnieć o posiadanych medalach. Pierwszy dostałem już w roku 1963, po zaledwie 6 latach pracy dyrektorskiej. I jakichś osiągnięciach dyrygenckich. A potem sukcesywnie otrzymywałem następne ordery. Ostatnim udekorował mnie wojewoda dolnośląski, były działacz „Solidarności". Był to rok 1998. I jeszcze w roku 2008 od ministra kultury dostałem Złotą Odznakę Zasłużony Kulturze „Gloria Artis". A potem nastąpiła przerwa. Dla mnie zresztą zrozumiała. Jak kolejni dygnitarze, coraz bardziej prawicowi, mogli brać pod uwagę przy dekorowaniu medalami kogoś takiego jak ja – z lewicową przeszłością, której się nie wypierał. Z rozbawieniem obserwowałem w mediach, jak przypinają najwyższe odznaczenia ludziom, których jedynymi zasługami dla kraju był tylko fakt, że kiedyś działali w opozycji. Rozumiałem, że prawicowe władze mają poważny problem z orderem dla mnie. Ostatnim bowiem, który otrzymałem, był Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Po nim pozostał już tylko Wielki Krzyż tego Orderu, zwanego potocznie Polonia Restituta. Albo ewentualnie Order Orła Białego. Ba, ale jak takim odznaczeniem uhonorować byłego wieloletniego członka PZPR, który w dodatku do końca nie oddał legitymacji partyjnej?

Prezydent Wałbrzycha w imieniu miasta wystąpił z odpowiednim wnioskiem i obszernym udokumentowanym uzasadnieniem. Wojewoda (nie wiem, z jakiej był partii) wniosek poparł i wysłał do kancelarii prezydenta RP. I co? Prezydent, nazywający się Andrzej Duda, wniosek odrzucił. To już koniec całej relacji. Charakterystycznej dla naszych czasów. Mnie osobiście ten order do niczego nie jest potrzebny, ale zapewne wzmocniłby pozycję miasta, którego żaden obywatel nie był dotąd tak uhonorowany. Myślę, że zresztą taki był cel działania prezydenta Wałbrzycha. Ułatwiłby mu starania o pieniądze dla miasta. Zaś pan Andrzej Duda skompromitował się w moich oczach ostatecznie. Być może nie było warto w ogóle o tym pisać.

* * *

Bodajże w roku 2014 zatelefonowała do mnie pani z Warszawy z zapytaniem, czy mogłaby przyjechać do Wałbrzycha i nagrać moją wypowiedź o muzyce i muzykach w okupowanej Warszawie. Byłem zdziwiony i powiedziałem, że na pewno w stolicy jest więcej osób, które mogłyby na ten temat udzielić potrzebnych informacji. Na to moja rozmówczyni powiedziała, że to mają być osobiste wspomnienia, a ponadto większość z tych osób już nie żyje albo nie może lub nie chce wracać pamięcią do tamtych czasów. Tłumaczyła, że ja grałem w różnych kawiarnianych zespołach i na tzw. tajnych koncertach mając zaledwie kilkanaście lat. A inni muzycy byli już wtedy ludźmi dojrzałymi, starszymi ode mnie o przynajmniej kilka lub kilkanaście lat. Stąd trudność, nawet jeśli żyją, ze zdobyciem od nich w miarę spójnych i wiarygodnych wspomnień. Przyznałem jej rację.

Pani przyjechała, nagrała to, co mówiłem i otrzymałem do adiustacji mój tekst. Nie podobał mi się i przesłałem jej poprawioną, autoryzowaną wersję. Ukazała się w II tomie obszernej monografii „Okupacyjne losy muzyków". Okazało się, że tam, gdzie autorka nie mogła uzyskać bezpośredniej relacji „na żywo", przedrukowała fragmenty biografii, autobiografii, wywiadów, artykułów. Nie jestem pewien, czy taka realizacja jej pierwotnego pomysłu miała w ogóle sens.

Tego rodzaju wypowiedzi nagrywałem dla różnych instytucji i osób wielokrotnie. Najważniejsze chyba były łączące słowo z obrazem wspomnienia dla Muzeum Powstania Warszawskiego. Cała ekipa pracowała w Wałbrzychu przez dwa dni. Najwięcej wspomnień nagrałem przed kilku bodaj laty dla znajomego wałbrzyskiego dokumentalisty, Kazimierza Masiuka. Było to chyba ze dwadzieścia dwudziestominutowych odcinków. Nie widziałem ani jednego, aby nie psuć sobie humoru. Przez całe życie, kiedy oglądałem i słuchałem siebie na filmowej taśmie, bardzo byłem niezadowolony. Prawdopodobnie wynika to z mojego szacunku dla słowa, mówionego i pisanego. Czy to przeszkadzało mi w tzw. międzyludzkich kontaktach? Doprawdy nie wiem. Natomiast wiem, że drażni mnie bezmyślne „klepanie" np. przez telefon. Mówienie byle jak o byle czym. A to niestety staje się coraz bardziej powszechne. Jak przyjemne jest czytanie lub słuchanie spokojnych, wyważonych słów intelektualistów. Można nie zgadzać się z wyrażanymi przez nich sądami, opiniami, komentarzami. Ale nie sposób kwestionować formy ich przedstawiania. Do dzisiaj są dla mnie pocieszającym objawem, że elektroniczne media nie zdążyły jeszcze całkowicie nas ogłupić. Choć powinienem raczej napisać, że winna temu jest nie tyle sama

technika ile bezmyślność, z jaką się nią posługujemy. Ja się na tym, co ze wstydem przyznaję, nie znam, ale fachowcy twierdzą, że niestety głównie postępuje tak młode pokolenie. A starsze, aby nie uchodzić za „wapniaków", „sklerotyków", „niedzisiejszych", idzie za taką rzekomą młodzieżową modą. Mogę pochwalić się z niejaką satysfakcją, że nigdy w życiu nie ulegałem jakiejkolwiek modzie, czy to w jedzeniu, ubraniu, zachowaniu. I nie raz słyszałem, że jestem „wczorajszy". To nawet zabawne, ale nie był to dowód moich konserwatywnych np. w sferze obyczajowej, przekonań. Przeciwnie, w tym byłem i nadal jestem, pochlebiam sobie, postępowy. Wbrew obiegowym w naszym kraju poglądom, popieram prawo kobiet do dysponowania własnym ciałem od seksu do aborcji, a także do zapłodnienia pozaustrojowego oraz prawo do eutanazji.

Mogę w tej autobiografii z całym naciskiem raz jeszcze potwierdzić, że – moim zdaniem – żadna ideologia, religijna czy świecka, nie ma prawa wtrącania się do indywidualnej moralności. Pod zasadniczym warunkiem – nie szkodzenia życiu innych ludzi. Ograniczanie czyjegokolwiek światopoglądu pod pretekstem, że – jak się to mówi – uraża jakieś uczucia lub sieje zgorszenie, jest bezprawnym gwałceniem ludzkiej wolności. Wiem, że to, co napisałem, brzmi banalnie. Ale – jak się okazuje – w codziennym życiu wcale nie jest powszechnie uznawane. Myślę, że warto o tym ciągle przypominać.

XX wiek, twierdzę, dokonał w tym zakresie ogromnego postępu. Kiedy w pewnej dyskusji mówiono, że tamto stulecie przyniosło przerażające zbrodnie i w sensie ilościowym najwięcej ofiar, pozwoliłem sobie pomimo wszystko uznać je za ogromny postęp w całych dziejach ludzkości. Po raz pierwszy bowiem międzynarodowa społeczność nazwała barbarzyństwo barbarzyństwem, a mordowanie dzieci dzieciobójstwem. Wprowadzono do prawa międzynarodowego pojęcie zbrodni ludobójstwa. Potępiono bezwzględnie zabijanie ludności cywilnej. Przypominam, że w minionych stuleciach i tysiącleciach w majestacie ówczesnych praw mordowano całe narody, wszystkich wyznawców innych religii, odstępców od oficjalnego wyznania. Niewolnictwo było prawnie usankcjonowane przez Biblię i … Arystotelesa. Zaś cały system pańszczyźniany był de facto formą niewolnictwa. A kobiety nie miały jakichkolwiek praw. Itd. itd.

Dopiero po II wojnie światowej ludzkość (a przynajmniej jej bardziej cywilizowana część!) stworzyła nieporównywalnie bardziej humanitarne prawa. Choć niestety ciągle naginane, omijane, łamane. Pomimo to twierdzę z uporem, że od połowy XX wieku ludzkość dokonała ogromnego postępu w prawnym traktowaniu każdego człowieka, bez względu na kolor skóry, rasę, po-

chodzenie społeczne, religię, wykształcenie. Listę tę można jeszcze przedłużyć. Czegoś takiego nie było w przeszłości. Mam nadzieję, że następnym etapem będzie przyjęcie tego faktu przez ogół (no, przynajmniej przez większość) ludzi. Kolejnym etapem będzie zmiana mentalności, a wreszcie stosowanie tego rodzaju humanizmu w codziennym życiu.

Już widzę drwiące uśmiechy niektórych przyszłych czytelników. Mają prawo nazwać mnie fantastą, naiwniakiem, marzycielem, kimś pozbawionym poczucia realizmu. I będą zapewne mieli rację, używając w stosunku do mnie takich epitetów. Ba, ale czy nie mogę na starość wierzyć, że świat może być kiedyś, kiedy mnie już nie będzie, choć trochę piękniejszy?

Wakacyjne wyjazdy

W 1996 M. przez znajomą dowiedziała się o możliwości spędzenia wakacji w Bawarii, w podalpejskiej miejscowości blisko Fuessen. Miasteczko było rozrzucone na dużej przestrzeni i składało się bodaj z siedmiu niezależnych części. Nazywało się Pfronten. Część, do której pojechaliśmy, nosiła dodatkową nazwę Kappel. Składała się z około 20 domów, dwóch restauracyjek i kościoła. Wspominam o tym, ponieważ pisząc teraz tę autobiografię siedzę na dużym balkonie i widzę na horyzoncie wspaniałe alpejskie góry. Tak nam się bowiem spodobało tutejsze powietrze i niewiarygodna wprost cisza, że postanowiliśmy spędzać kolejne wakacje właśnie we Pfronten - Kappel. Najbliższe zalesione góry i wzgórza zapewniały nam urzekające spacery. I oczywiście mieliśmy czas na zaległe lektury. Zabieraliśmy stosy najróżniejszych książek, którymi się wymienialiśmy. Kiedyś chodziliśmy we czwórkę: M., W., piesek Silver i ja. Piesek umarł w roku 2010, a W. ostatnio także nie zawsze spędzała wakacje z nami. Problemem z uwagi na mój stan staje się także podróż samochodem ponad 800 kilometrów. Tak więc muszę zakończyć tę relację smutnym stwierdzeniem, że obecny pobyt we Pfronten może być ostatnim.

Nie tylko o „Duchach"

Ostatnim wydarzeniem minionego dziesięciolecia na pewno wartym opowiedzenia jest zawarta w tym tomie część autobiografii, nosząca aż trzy tytuły. Wstyd się przyznać, ale nie pamiętam, kiedy napisałem „Dialogi Duchów".

Wiem za to na pewno, że był to kolejny przejaw mojej przekory. Mam podziw dla niewątpliwych osiągnięć występujących w nich postaci. Ale wiem także o ciemniejszych kartach ich działalności. A w przypadku wielkich uczonych o błędach w ich teoriach. I o mało chwalebnych cechach charakteru. Byli po prostu ludźmi o takich samych słabościach jak my, zwykli ludzie. O tym właśnie postanowiłem w swoich dialogach napisać. O ludzkich cechach geniuszy, zarówno szlachetnych, jak i haniebnych. Pomyślałem, że skoro będą rozmawiali po śmierci, nie muszą grać ról, udawać, oszukiwać, kłamać. Nie chodziło mi o tzw. odbrązowianie postaci z podręczników encyklopedii. Ani tym bardziej zdejmowanie z piedestałów. Czy na przykład przynosi ujmę Galileuszowi, że uległ groźbie sankcji Świętego Officium? Albo księdzu kanonikowi Kopernikowi jego nielegalny związek z kobietą?

Władcy w moich dialogach przyznają się do zbrodni, które bynajmniej nie zawsze popełniali dla dobra podległych im narodów. W rzeczywistości zżerała ich chorobliwa żądza sławy, nigdy niezaspokojona ambicja, przerażająca pycha. I znany współczesnej psychologii popęd władzy. Muszę przyznać, że pisząc te dialogi odczuwałem coś w rodzaju radości. I – co jeszcze dziwniejsze – jakąś emocjonalną bliskość z tymi historycznymi postaciami. Nie usprawiedliwiałem ich, ani nie potępiałem; starałem się jedynie zrozumieć charaktery, motywacje i czyny.

Żałuję, że nie napisałem więcej dialogów. Nie wiem, dlaczego przerwałem pracę. Przypuszczam, że mogły to spowodować jakieś zdrowotne komplikacje. Niestety, obecnie przy cotygodniowych felietonach i spotkaniach kontynuacja byłaby chyba niemożliwa. Ostatecznie jestem starym i chorym człowiekiem. I w dodatku – jak ja to mówię złośliwie - „naprawiam Rzeczpospolitą", będąc członkiem aż dwóch Rad przy prezydencie miasta: Kultury i Seniorów. Jeśli się powtarzam, przepraszam. Przyznaję się ze wstydem, że czytając, czy może raczej – przeglądając, współczesne powieści, mam raz za razem poczucie, że mógłbym takie same (lub nawet nieco lepsze!) napisać.

Przez skromność nie podam ani nazwisk autorów/autorek ani tytułów ich … hm, dzieł. Jak to się mówi kolokwialnie, „aż ręka swędzi", żeby napisać złośliwe recenzje. Przeczytałem w moim życiu dziesiątki książek, drukowanych i zapewne czytanych. Były to (podaję pierwsze z brzegu przykłady) XIX-wieczne powieści pani Klementyny z Tańskich- Hofmanowej i XX-wieczne powieści księdza Pasławskiego (niestety zapomniałem jego imienia). Jestem przekonany, że bezpowrotnie przepadły w tzw. mrokach niepamięci. I nigdy już nie będą czytane.

Nie mogę się powstrzymać od innej złośliwości, zapewne powodowany uczuciem zemsty. Jako dziecko musiałem przeczytać „Starą baśń" Kraszewskiego. Nigdy nie zapomnę nudy, która mnie przy tej lekturze obezwładniała. Już jako dorosły sprawdzałem reakcje innych ludzi. Były podobne, by nie rzec – identyczne.

Podobno Kraszewski napisał i opublikował ponad sto powieści. Może oburzą się poloniści, ale ja tego rodzaju czynność nazywam brutalnie grafomanią. Sam pisałem powieści, dramaty, nowele jako kilkunastolatek. Na szczęście przepadły w czasie powstania. Pisałem również później, już jako trzydziestolatek, w Szczecinie.

Kilka opowiadań wydrukowała nawet prasa. Mogę śmiało o tym zapomnieć. Były to próby – moim zdaniem - niestety nieudane. Nazwę je grzechami młodości i niech to będzie usprawiedliwieniem.

Natomiast znajdujące się w tym tomie „dialogi" traktowałem nie jako literacką twórczość lecz intelektualną zabawę. Powtórzę, że żałuję, iż nie mogę jej kontynuować z braku sił i czasu. Na szczęście przyszłe pokolenia nie poniosą z tego powodu specjalnej straty. Wiadomo z historii, że tysiące przypuszczalnych arcydzieł wielkich pisarzy i filozofów przepadło bezpowrotnie. Tylko czasami jakiś fragment został zachowany. W bibliotekach starożytności spaliły się setki tysięcy rękopisów. Nigdy nie poznamy ich zawartości. Pozostaje nam tylko biblijny „płacz nad wodami Babilonu".

A przedwczesna śmierć genialnych pisarzy? Umierali na rozliczne choroby, ginęli w czasie wojny lub religijnych prześladowań. Narzekamy dzisiaj, że ludzkość marnotrawi naturalne zasoby naszego globu. A o ile więcej zmarnotrawiła intelektualnego potencjału i już stworzonych genialnych dzieł? Nie wiem, czy wolno mi snuć takie rozważania w mojej autobiografii. A może właśnie przy końcu życia powinienem utrwalić na tych stronicach tego rodzaju refleksje? Ba, ale czy warto w ogóle prezentować pytanie za pytaniem, wątpliwość za wątpliwością, rozterkę za rozterką? Sądzę jednak, że w autobiografii nie mniej ważne niż relacje z wydarzeń są także przemyślenia, będące owocem nieprzespanych nocy. Ha, a może nawet ważniejsze.

Czy napisałem autobiografię?

Zbliżam się powoli do zakończenia autobiografii 10-lecia. Nie jestem pewien czy to, co napisałem na tych stronicach, zasługuje w ogóle na miano autobiografii. Brakuje bowiem wyraźnego kalendarium. Czytelnikowi zabraknie jasnego przedstawienia tego, co się wydarzyło i co robiłem w kolejnych latach. A to chyba jest podstawą rzetelnej historii czyjegokolwiek życia. Tak więc muszę przyznać, że to co tutaj napisałem, nie jest typową autobiografią. Czy powinienem przepraszać ewentualnego przyszłego czytelnika? Jak zatytułować cały tom, składający się z tego quasi - wstępu, który ośmieliłem się nazwać autobiografią? Bo pozostałymi częściami są „Dialogi Duchów"... i wybór felietonów. Oto kolejne rozterki. Przecież ten tom jest przysłowiowym „pomieszaniem z poplątaniem"! Podejrzewam, że jest to dowód mojego kompleksu niezaspokojonych ambicji literackich. Ha, a może także kompleksu niedoszłego naukowca?

Skoro już ujawniły się moje prawdopodobne kompleksy, to zgodnie z Freudem, znalazłem się na drodze do wyzdrowienia. I jak tu nie śmiać się z samego siebie? Zawsze śmieszyli mnie nadęci politycy wszelkiego autoramentu. Chcąc być sprawiedliwym, tego typu ludzi znajdziemy w każdym zawodzie. Nawet wśród sprzedawców sklepowych i rzemieślników. Pozwolę sobie na krótką analizę. Pierwszym „ważniakiem" w moim życiu był chłopiec z podwórka. A tak! Bawiłem się na podwórku z dwoma chłopcami. Jeden był synem dozorcy, a drugi, ho - ho!, synem dyrektora oddziału PKO w Łodzi. Ten pierwszy mieszkał w ciasnej suterenie przy bramie wejściowej, drugi na pierwszym piętrze rozległego lokalu od frontu budynku. Ale choć bawiliśmy się razem, synek dyrektora nader często mówił, kim jest jego ojciec. Dodam, że razem z nami bawiła się moja siostra Wanda i jeszcze jedna dziewczynka, której ojciec był urzędnikiem magistrackim. Jak zwykle bywało, ja wymyślałem zabawy, ale każde z nas znajdowało dla siebie jakąś rolę. A synek dyrektora, dzień w dzień, domagał się dla siebie roli najważniejszej. Po prostu uważał to za należny przywilej, bo – jak mówił bez ogródek – jego tata jest dyrektorem. W dodatku kamienica była własnością banku PKO. Pamiętam z całą dokładnością, jak mnie to, chłopca 10 - czy 11- letniego, śmieszyło.

W tym miejscu muszę jeszcze zaznaczyć, że wymyślane przeze mnie zabawy nie były bynajmniej zręcznościowe. Może dlatego, że byłem w dzieciństwie słaby i niezręczny. Po prostu, jak to się wtedy mówiło drwiąco – pokraka. Wymyślałem zatem jakieś historyjki o rycerzach, królach, księżniczkach. I „od-

grywaliśmy" improwizowane przeze mnie ich przygody. Czyżby już wtedy były to moje „literackie ciągoty"?

Następnego „ważniaka" spotkałem w gimnazjum. Zdałem wówczas, mając zaledwie 12 lat, do I klasy państwowego gimnazjum im. Mikołaja Kopernika w Łodzi. Było nas, 12-latków, zaledwie dwóch. Reszta uczniów miała 13 i więcej lat. Mój rówieśnik był zresztą prymusem. Mogę się domyślać, że był z nas wszystkich po prostu najinteligentniejszy. Miał na świadectwie same piątki. Ja tylko dwie, z polskiego i historii. Wracając do „ważniaka", to był nim najsilniejszy w klasie chłopiec. Ponieważ był tzw. drugorocznym, musiał mieć – jak sądzę – 14 lat. Terroryzował całą klasę i często wysługiwał się innymi chłopcami. Pamiętam, że na początku roku szkolnego, któregoś dnia po lekcjach w szatni, podał mi swój płaszcz ze słowami: „Ty mały, trzymaj !" Nie wyciągnąłem ręki i płaszcz upadł na podłogę. Wtedy ów „siłacz" coś krzyknął i pchnął mnie na stojącą obok ławkę. Ponieważ nigdy dotąd nie spotkałem się z takim traktowaniem, bez zastanowienia z pozycji wpółleżącej na ławce uniosłem obie nogi i wymierzyłem cios w piersi chłopaka. Szatnia ucichła. Wszyscy stali i czekali, co będzie dalej. A dalej stało się to, co opisują w podręcznikach psychologii. Najsilniejszy chłopak, zamiast mnie pobić, bez słowa podniósł z podłogi płaszcz i odszedł. Daję słowo, że ta jakby filmowa scena, odbyła się dokładnie tak, jak ją opisałem. I nigdy do końca roku nie miałem z tym chłopakiem najmniejszego zatargu. Po prostu mnie unikał.

W czasie okupacji otaczający mnie rodacy mieli ważniejsze sprawy na głowie i nie pamiętam, aby byli „nadęci". Dopiero w czasie powstania spotkałem prawdziwego „ważniaka". Był nim tzw. sierżant - szef w naszej kompanii. Przedwojenny zawodowy podoficer. A my – warszawskie inteligenciki, jak nas nazywał. Usiłował wprowadzić „koszarowy dryl", z czego kpiliśmy. Ja w kieszeni mundurowej marynarki trzymałem plik kartek, na których utrwalałem swoje przeżycia i wrażenia. Na wieczornym apelu w piwnicy banku KKO, który zajmowaliśmy, a który był zarazem pierwszą linią frontu (takie właśnie było powstanie!), sierżant - szef zauważył wystające z mojej kieszeni pogniecione kartki papieru. Stanął przede mną i powiedział oskarżająco: „Wy, Szłom (to był mój konspiracyjny pseudonim), to jesteście cywil". A ja na to: „Tak jest, panie sierżancie i szczycę się tym ". Wszyscy gruchnęli śmiechem, a on odszedł jak niepyszny.

Wśród moich profesorów nie było nadętych nieudaczników. Pierwszych takich osobników spotkałem dopiero w Ministerstwie Kultury i Sztuki. A potem już niemal na skalę masową w organach partyjnych. Byle funkcjonariusz

Komitetu Wojewódzkiego PZPR każdą swoją wypowiedź zaczynał od uroczystego „Partia to a tamto...". Było to równie denerwujące, jak i śmieszne. Napuszone przemowy o socjalizmie, przyjaźni polsko - radzieckiej czy walce o pokój tak „naładowały" partyjnych funkcjonariuszy, że przenieśli ten patos nawet do codziennego zachowania.

I przykro mi to pisać, ale żadne zmiany ekip rządzących nie zdołały już tych nawyków zlikwidować. Przez krótki okres po transformacji wydawało się, że ta „pompa" osłabła, rychło jednak powróciła. W ostatnim dziesięcioleciu, które jest głównym tematem mojej autobiografii, owa „nadętość" niestety znacznie urosła. I co wręcz zabawne, bardziej nawet w zachowaniu i wypowiedziach przedstawicieli opozycji niż rządzących, No, a teraz, w ostatnim roku „ważniacy" rozkwitli. Frazesy zastępują zwykłe słowa. Oto pierwszy z brzegu przykład. Obecne władze wszystko robią dla narodu. Nie dla zwykłych potrzebujących ludzi. O, nie! Wyłącznie dla mitycznego narodu. Wydaje mi się, że ci nadęci, wszystkowiedzący dostojnicy nawet jedzą, śpią i – za przeproszeniem – siusiają dla dobra narodu. I jak mam nie kpić z tej idiotycznej pozy?

Znowu się rozpisałem o moich refleksjach. Z drugiej jednak strony, powtórzę, dlaczego takie czy inne wydarzenia mają być ważniejsze niż moje przemyślenia? Dlaczego nie ma być tych przemyśleń w autobiografii? Nawet jak się mylę w swoich opiniach, to przecież są one moimi własnymi pomyłkami. Czy nie mogę się nimi dzielić z czytelnikami? Czy typowa autobiografia ma być tylko suchą relacją z zachodzących w otaczającym świecie, a związanych ze mną, wydarzeń? Czy to, co jest rezultatem funkcjonowania mojego umysłu, nie jest częścią mojego życia?

Ale, ale... czy nie za dużo tych pytań? Wskazują one, że ostatnie 10 lat wykorzystałem na rozmyślania. Przez poprzednie dziesięciolecia miałem na to zbyt mało czasu. A kiedy zostałem „wyrzucony na emeryturę", okazało się, że zaniedbałem nie tylko lektury, lecz także spokojne obserwowanie ludzi i zdarzeń. Kiedy jednak z tych lektur i obserwacji zacząłem wyciągać wnioski, pojawiło się coraz więcej wątpliwości i pytań. Dotyczyły głównie tzw. dorobku całego życia. Czy nie za mało zrobiłem? Czy nie stać by mnie było na więcej? Czy wykorzystałem właściwie swoje zdolności? I zewnętrzne, sprzyjające okoliczności? Zacząłem inaczej patrzeć na siebie, a tym samym na innych ludzi. Nie było to bynajmniej przyjemne.

Gdybym chciał podzielić swoje długie życie na okresy, to mógłbym wyszczególnić np. okres studiów, następnie praktycznej nauki zawodu, zarządzania, dzia-

łalności społecznej, komponowania itd. Był także okres pokonywania chorób. Ostatnie dziesięciolecie to przede wszystkim czas na refleksje nad własnym życiem i pojawienie się coraz większej ilości wątpliwości. Niepewności co do zastanych i głoszonych pewników. Celowo nie użyłem słowa „prawda", ponieważ unikam go, podobnie jak i innych onomatoidów, takich jak np. sprawiedliwość, fałsz, miłość.

Intuicyjnie wiem, co oznaczają, ale ich sprecyzowanie jest – według mnie – niemożliwe. O jakiejkolwiek definicji nie ma nawet co marzyć. A jak określić – czym jest tak dzisiaj nadużywane określenie „patriotyzm"?

Uwagi na zakończenie

Myślę, że czas kończyć tę krótką autobiografię. W dwóch tomach, napisanych w latach 2006 - 2009 opowiedziałem o swoim 80-letnim życiu. Zajęło to około 600 stronic. Na zrelacjonowanie dziesięciu lat powinno proporcjonalnie wystarczyć zatem kilkadziesiąt. Ale to błędny rachunek. W osiemdziesięciu latach mojego życia była wojna, podróż dookoła świata, setki koncertów i ponad czterdzieści lat „dyrektorzenia". Nie wspominając o czterdziestoletniej historii tzw. PRL. Dlatego doszedłem do rozsądnego chyba wniosku, że muszę kończyć te wspomnienia. Mam świadomość, że czwartego tomu autobiografii już nie będzie. Chociaż... kto to wie? Wolę jednak uznać, że nie warto spekulować i dlatego spokojnie zamknę to dziesięciolecie kilkoma stwierdzeniami. O niektórych już pisałem. Teraz o innych. Odwołam się do trzeciej części tego tomu, do zebranych felietonów. Poruszałem w nich palące kwestie współczesności. A także bardziej ogólne problemy. Niedawno dowiedziałem się, że wybitny harwardzki ekonomista Dani Rodrik twierdzi, że nie można pogodzić ze sobą demokracji, suwerenności i globalizacji. I na tym polega podstawowy konflikt współczesnej polityki.

Nie jestem ekonomistą ani tym bardziej wybitnym, ale w minionym dziesięcioleciu zacząłem mówić i pisać, że trzy wspaniałe hasła rewolucji francuskiej „wolność, równość, braterstwo" wzajemnie się wykluczają. Prof. Dani Rodrik wyjaśnia w książkach i wykładach swoje twierdzenie o niemożności pogodzenia demokracji, suwerenności i globalizacji. Ja, emerytowany dyrygent, nie mam warunków do przekonywania opinii publicznej o słuszności swojego twierdzenia: „wolność, równość i braterstwo także są nie do pogodzenia". W tej sytuacji jedyne co mi pozostaje, to zasy-

gnalizowanie mojego amatorskiego przekonania. A nuż jakiś naukowiec je pozna i wykorzysta.

W swoich felietonach poruszałem także takie kwestie, jak totalitaryzm, patriotyzm, mity historyczne i społeczne, upadek autorytetów, hipokryzję. Wyśmiewałem, piętnowałem i otwarcie atakowałem polityków przejawiających nienawiść i pragnienie zemsty. Te dwa uczucia są mi obce. Mam mnóstwo wad, które mnie złoszczą i martwią, ale nie potrafię nienawidzić i mścić się. Nie wiem, czy to z powodu wychowania, czy doświadczeń okupacyjnych, czy może lektur, ale na szczęście obce są mi nie tylko nienawiść lecz także zazdrość. Odczuwam niechęć do wielu ludzi, między innymi do tych, którzy mi celowo szkodzili. Innymi potrafię pogardzać, ale to nie to samo co nienawiść. Nie mógłbym również zazdrościć; byłby to moim zdaniem dowód słabości. A chęć zemsty – jak sądzę – byłaby wręcz upokarzająca. Po prostu wstydziłbym się ulegać temu pragnieniu.

Uff, auto - psychoanaliza zakończona! Mogę wrócić do zakończenia mojej autobiografii. Cóż jeszcze powinienem dodać? Staram się cieszyć życiem, w tym zakresie, jaki mi pozostał. Z lektury książek i prasy wynika, że tak zachowuje się wiele osób. Przeważnie są to „bracia i siostry w raku". Żyć w miarę normalnie i dawać jak najwięcej ludziom. A jak nadejdzie koniec, odejść w miarę godnie. I dlatego głośno opowiadam się za prawem do eutanazji. Ale to już inny temat. Niech mi nikt nie wmawia, że naruszam prawa naturalne. Robię to bez przerwy jedząc gotowane, wędzone, pieczone czy smażone potrawy. Obcinając włosy i paznokcie. Itd., itp. Zaś całkowitym absurdem jest powoływanie się na Boga. Moim zdaniem przypisywanie Mu jakichkolwiek ludzkich cech, zamiarów, praw jest ściąganiem Go z Absolutu do naszej małości. Ale ten problem wymagałby z kolei dłuższego wywodu. I przekroczyłby ramy autobiografii zwykłej ludzkiej istoty. By nie rzec – nic nie znaczącego pyłku. Żegnam się zatem. I jeszcze jedna istotna uwaga. Wspominanie rozmaitego kalibru wydarzeń z bliższej i dalszej przeszłości niesie zagrożenie pomyłki w datach lub towarzyszących okolicznościach. Dlatego przepraszam przyszłego czytelnika, jeśli cokolwiek „pokręciłem". Nie była to z mojej strony celowa konfabulacja, a po prostu rezultat ułomnej pamięci. Proszę zatem o wybaczenie. I z góry na nie liczę.

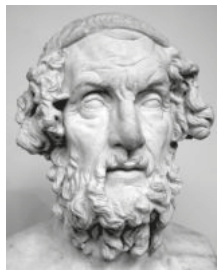
Kończę z nadzieją, że poza tą autobiografią jeszcze coś na świecie po sobie zostawię. Świat ten nie jest może najlepszy, ale innego nie mamy. Dlatego uważałem, że coś powinienem pozostawić. Czy mi się udało?

Rozmowy duchów
lub
Rozmowy z tamtego świata
albo raczej
Rozmowy nie z tej ziemi



Rozmowa pierwsza

Homer i Święty Paweł





Homer

VIII w. p.n.e. - grecki epik, śpiewak i recytator (rapsod) uważany za ojca poezji epickiej. Najstarszy znany z imienia europejski poeta. Autor słynnych eposów: „Iliada" i „Odyseja".

Święty Paweł

Ur. ok. 8 r. n.e. w Tarsie w Azji Mniejszej, zm. ok. 67 r. n.e. w Rzymie, misjonarz, święty chrześcijański zwany apostołem narodów. Zostawił najbogatszą literaturę – listy, wchodzące w skład Nowego Testamentu.

Homer

Witam cię, dostojny duchu świętego Pawła.

Paweł

I ja cię pozdrawiam, czcigodny mistrzu Homerze.

Homer

Od dawna pragnąłem spotkać się z tobą, święty Pawle, aby móc porozmawiać.

Paweł

Z prawdziwą radością spełnię twoją prośbę, mistrzu Homerze.

Homer

A zatem przystępuję do rzeczy. Ośmielam się pytać, czy pomimo dzielących nas setek lat w doczesnym życiu tam na ziemi, nie widzisz licznych podobieństw między nami?

Paweł

Chętnie posłucham, co masz na myśli, mówiąc o licznych podobieństwach.

Homer

Ja urodziłem się na wybrzeżu Azji Mniejszej, a ty nieco głębiej, w Tarsos, w Cylicji. Obaj mówiliśmy językiem greckim. I pisaliśmy także w tym języku. Ale, moim zdaniem, największe podobieństwo tkwi w fakcie, że i ty, i ja stworzyliśmy podstawy nowych religii.

Paweł

Wybacz, mistrzu Homerze, ale nie mogę zgodzić się z ostatnim zdaniem twojej przemowy. Ja nie stworzyłem religii, ja jej tylko służyłem.

Homer

Czyżby mnie oszukano? Czyżby i tutaj, w zaświatach, lęgło się kłamstwo?

Paweł

Cóż ci mówiono?

Homer

Mówiono mi, że Jezus nie zostawił żadnego pisma, a cztery ewangelie, na których opiera się religia zwana chrześcijaństwem, powstały już po twojej śmierci w Rzymie. Tak więc najstarszym zapisanym wykładem doktryny chrześcijańskiej są twoje, święty Pawle, listy.

Paweł

Zapominasz, mistrzu, że Sokrates także nie zostawił żadnego pisma. Całą jego filozofię przedstawił w swoich dialogach Platon. Ale nikt, ani tutaj w zaświatach, ani tam na ziemi, pomimo upływu tysiącleci, nie kwestionuje prawdziwości filozofii Sokratesa.

Homer

Jest jednak pewna istotna różnica. Platon był uczniem Sokratesa i świadkiem jego procesu. Ty, święty Pawle, nie znałeś osobiście Jezusa, nie słyszałeś jego nauk. Nie przeczę, że mogłeś opierać się w swoich listach na słowach Jezusa. Ale były to słowa przekazane przez jego uczniów. Skąd pewność, że zostały wiernie oddane? Zwłaszcza, że obaj wiemy o różnicach w poglądach uczniów, na przykład w sprawie obrzezania.

Paweł

Mistrzu Homerze, tam na ziemi uważają cię za największego poetę w całej historii ludzkości. Chylę przed tobą czoło. „Iliada" i „Odyseja" to najwspanialsze eposy, jakie kiedykolwiek napisał człowiek. Właśnie – człowiek. Ty, geniusz, jesteś człowiekiem. Ty mogłeś wymyślić nową religię, ale nie ja, który nie dorównuję ci genialnością.

Homer

Wdzięczny ci jestem, święty Pawle, za wysoką ocenę moich eposów, której jednak, pomimo szacunku dla ciebie, nie mogę przyjąć. Zapewniam cię, że nie ja wymyśliłem bogów olimpijskich. Istnieli już wcześniej w wierzeniach ludzi, w poezji i pieśniach, w obrzędach, w kulcie świętych miejsc. Ja tylko uporządkowałem, jeśli można użyć takiego słowa, te pradawne podania, legendy, mity.

Paweł

Masz rację, mistrzu. Jest jednak jedna podstawowa różnica. Ty przekazałeś potomnym to, co wymyślali ludzie przed tobą. Ja natomiast przekazałem nauki jedynego syna jedynego boga, stwórcy nieba i ziemi. Twoi bogowie byli tylko wymysłem ludzkiego umysłu. Nie byli rzeczywistością. Dlatego nie ma już na świecie helleńskiej religii. A chrześcijaństwo jest i będzie, ponieważ opiera się na słowach objawionych przez boga. Czy nie czujesz w nich tchnienia boskości?

Homer

Podziwiam twoje niezłomne przekonanie, święty Pawle, o wyjątkowym charakterze religii chrześcijańskiej. A przecież my tutaj, w zaświatach, wiemy

dobrze, że w historii ludzkości było wiele religii. I jest nadal. Obecnie tam, na kuli ziemskiej, żyje około siedmiu miliardów ludzi. Z tego chrześcijan jest niecałe dwa. To mniej więcej jedna czwarta. Nie ma już wyznawców ani egipskiej, ani sumeryjskiej, ani helleńskiej religii. Ale są nadal żydzi, czyli judaiści, a także hinduiści, buddyści, konfucjaniści. Ich religie są starsze od chrześcijaństwa o setki lat.

Paweł

Ale tylko w mojej religii objawia się prawda.

Homer

Wybacz, święty Pawle, tak samo twierdzą zarówno żydzi, jak i islamiści.

Paweł

Za moją wiarę tysiące ludzi oddało dobrowolnie życie.

Homer

W imię tej twojej wiary zabito w okrutny sposób miliony. Czyżbyś o tym zapomniał? Zauważ, święty Pawle, że w imię moich bogów nie zginął choćby jeden człowiek. Starożytni Grecy przez setki lat swojej historii toczyli ustawiczne boje. Jeśli nie z sąsiadami, to pomiędzy sobą. Ale nigdy nie walczyli w imię swoich bogów.

Paweł

Może właśnie dlatego, że greccy bogowie byli tak bardzo ludzcy? Brakowało im wymiaru absolutu.

Homer

Święty Pawle, święty Pawle! Byłeś wybitnym myślicielem, genialnym organizatorem, natchnionym mówcą, niestrudzonym wędrowcem. Oddałeś życie za swoją religię. Ale czy nigdy nie pojawiła się w twoim sercu wątpliwość, że może służyłeś nie absolutnej prawdzie, lecz absolutnej fikcji?

Paweł

Nigdy!

Homer

A czy nie przyszło ci do głowy, że postęp ludzkości ma jedno źródło: zwątpienie? To właśnie ono powodowało, że greccy filozofowie, którzy żyli po mnie, szukali prawdy. Nie na Olimpie, ale w ludzkim umyśle i otaczającej rzeczywistości. To oni właśnie: Pitagoras, Tales, Heraklit, Euklides, Parmenides, Leukippos, Demokryt, Anaksymenes, Anaksagoras, Anaksymander, Diogenes, Sokrates,

Platon, Arystoteles. A było tych filozofów więcej. To oni pchnęli nie tylko Europę, ale cały świat na nowe drogi. Dlaczego? Bo mieli odwagę wątpić.

Paweł

Nie zgadzam się, mistrzu Homerze. Wątpienie prowadzi na manowce. Dla człowieka niezbędna jest pewność. Tylko na niej może budować swoje życie. I znaleźć właściwą drogę do absolutnej prawdy.

Homer

Bez względu na ofiary?

Paweł

Bez względu.

Homer

Dziękuję ci, święty Pawle, za tę rozmowę. Przekonałeś mnie, że istotnie więcej nas dzieli niż łączy. Więcej między nami różnic niż podobieństw. Przyznam się jednak, że wolę moje wątpliwości niż twoją pewność. Wydają mi się bardziej ludzkie.

Paweł

Zgadzam się z tobą, mistrzu, ale ja wyżej stawiam to, co boskie niż to, co ludzkie.

Homer

I to właśnie różni nas najbardziej, ponieważ ja sądzę, że to ludzie stworzyli bogów na swoje podobieństwo, a nie na odwrót: bogowie – ludzi.

Paweł

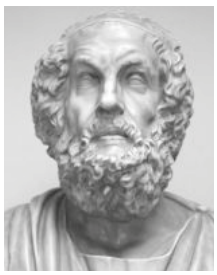
Nie bogowie, mistrzu, a jeden tylko bóg.

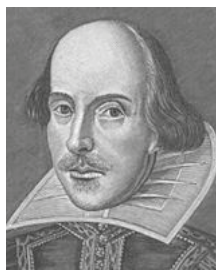
Homer

Chciałbym ci wierzyć, święty Pawle, ale na przeszkodzie stoi mi właśnie moje pełne wątpliwości człowieczeństwo.

Rozmowa druga

Homer i Szekspir





Homer

VIII w. p.n.e. - grecki epik, śpiewak i recytator (rapsod) uważany za ojca poezji epickiej. Najstarszy znany z imienia europejski poeta. Autor słynnych eposów: „Iliada" i „Odyseja".

William Szekspir

Ur. w 1564 r. w Stratfordzie, zm. tamże w 1616 r., słynny dramaturg, reformator teatru, aktor. Jego sztuki przełożono na większość nowożytnych języków, są wystawiane na całym świecie.

Szekspir

Pozdrawiam cię, mistrzu Homerze, największego z poetów.

Homer

I ja ciebie, mistrzu Williamie, największego dramaturga wszech czasów.

Szekspir

Istotnie, tak mnie nazywają.

Homer

A ty sam, też tak uważasz?

Szekspir

Czy takie opinie mają tutaj, w zaświatach, jakiekolwiek znaczenie?

Homer

Żadnego, mistrzu Williamie. Podobnie jak trwające setki lat spory, czy w ogóle istnieliśmy.

Szekspir

Co jest tym bardziej zabawne, że gdybyśmy nie istnieli, nie moglibyśmy teraz rozmawiać ze sobą jako duchy.

Homer

Masz rację. Duchem w zaświatach może przecież być tylko ten, kto żył na ziemi jako konkretna osoba.

Szekspir

Zapominasz jednak, mistrzu Williamie, że w moim przypadku nikt nie wątpił, że istniał aktor o nazwisku Szekspir. Kwestionowano jedynie fakt, że byłem zdolny do napisania choćby jednej komedyjki. Przecież w tamtych czasach uznawano zawód aktora za coś niegodnego szlachcica. Aktora nazywano komediantem, histrionem, wagantem.

Homer

Ze mną jest jeszcze śmieszniej. Do dzisiaj trwają na ziemi spory, gdzie się urodziłem i przebywałem. Ba, twierdzą niektórzy pseudouczeni, że było dwóch Homerów. Inni, że byłem ślepcem. A jeszcze inni, że nie byłem mężczyzną, lecz kobietą!

Szekspir

Te spory, to jednak niezamierzony hołd dla naszych dzieł.

Homer

Wolałbym inne formy hołdu. Chociaż… muszę przyznać, że przez te wszystkie dziesiątki stuleci najbardziej bawiły mnie analizy moich eposów. Ileż głupstw napisano i nadal się pisze na ich temat. Na przykład, czy Achilles i Patroklos byli przyjaciółmi czy kochankami.

Szekspir

Ze mną było jeszcze śmieszniej. Do dzisiaj trwają spory, czy moje sonety miłosne pisałem do kobiety czy mężczyzny!

Homer

Szkoda, że nie możemy jako duchy powiedzieć tym mędrkom prawdy.

Szekspir

I tak by w nią nie uwierzyli.

Homer

Ale wyobrażasz sobie tę sensację? Homer oświadcza zza grobu, że w starożytnej Grecji nie czyniono różnicy pomiędzy homo- i heteroseksualnością! Helleni kochali życie we wszystkich jego przejawach. Oczywiście, tylko oświeceni Helleni. Kochali ciało, jego piękno i sprawność. Nie znały tego kultury Wschodu: sumeryjska, egipska, babilońska, islamska. Kobiety starożytnej Grecji nie zasłaniały się chustami, szalami, długimi czarnymi szatami. Chętnie obnażały swoje ciała. Powtarzam, że czyniły tak kobiety z warstw oświeconych. To w starożytnej Grecji pojawiły się hetery, kobiety nie tylko piękne, lecz także wykształcone. Godne towarzyszki mężczyzn.

Szekspir

Niestety, w Anglii, w tak zwanej epoce elżbietańskiej, nie mieliśmy podobnej swobody obyczajów. Ale potem, kiedy władzę objęli purytanie z lordem Protektorem na czele, było jeszcze gorzej. Bądźmy jednak szczerzy, mistrzu Homerze, życie w starożytnej Helladzie nie było idyllą. Wasze miasta-państwa, zwane polis, toczyły ze sobą nieustanne wojny, a niepokornych obywateli skazywaliście na wygnanie. Swoboda kobiet, o której mówiłeś, dotyczyła niewielkiej ich liczby. Pozostałe nie miały praktycznie żadnych praw; nawet wasze żony.

Homer

Przyznaj jednak, mistrzu Williamie, że potrafiliśmy z życia czerpać więcej radości. A bogowie, choć również kłócili się między sobą, wtrącali się do naszych spraw, zdradzali, intrygowali – byli bardziej przyjaźni ludziom.

Szekspir

Tu muszę ci przyznać rację. Nasz bóg był surowy i wymagający. Przerwijmy jednak dyskusję o religii. Chciałem porozmawiać z tobą o teatrze. Przypuszczam, że za twoich czasów jego znaczenie było o wiele większe niż za moich.

Homer

Oczywiście. Ale to właśnie wiązało się z religią, o której nie chciałeś już mówić. Za moich czasów teatr tkwił jeszcze całkowicie w misteriach, wywodził się z obrzędów wtajemniczenia. Wyzwolił się znacznie później, dopiero po kilkuset latach. I właściwie tylko w Atenach, które za mojego życia były jeszcze nic nie znaczącym miasteczkiem. By nie powiedzieć, że tylko obwarowaną wsią.

Szekspir

Mistrzu Homerze, czyżbyś zazdrościł Atenom ich późniejszej sławy?

Homer

Przepraszam, uniosłem się, a to nie przystoi duchowi. Przyznaj jednak, że światu więcej dały inne części starożytnej Hellady. Przede wszystkim miasta jońskie w Azji Mniejszej, a także Kreta, Peloponez. Stamtąd pochodzili najwięksi filozofowie i artyści.

Szekspir

Jak ty, mistrzu Homerze.

Homer

Nie drwij, mistrzu Williamie. Faktem jest jednak, że teatr grecki wywodził się z religijnych misteriów, o wiele starszych niż tak zwany złoty wiek Peryklesa w Atenach. Zadaniem misteriów było oczyszczenie człowieka i jego wtajemniczenie w sekrety religii. I to pozostało.

Szekspir

Nazywało się, o ile pamiętam, katharsis. Natomiast teatr elżbietański był już, niestety, raczej rozrywką. I nie tylko dla warstw oświeconych. Zadaniem teatru było zabawić widza. Często w nader niewybredny sposób. Ja również musiałem nawet w swoich tragediach umieszczać postacie głupków lub błaznów. Ku uciesze gawiedzi.

Homer

Nie przejmuj się, mistrzu Williamie. I ty, i ja osiągnęliśmy jedno. Stworzone przez nas postacie nadal żyją w książkach i teatrach. Więcej, przeszły

do potocznych języków na całym świecie. Czasami nawet zmieniały się z imion własnych na rzeczowniki pospolite lub przymiotniki. Imię Hektor znaczy po prostu bohater, Narcyz – to osobnik zakochany w sobie, zaś Hades jest nazwą piekła.

Szekspir

Dokonałeś, mistrzu Homerze, rzeczy niezwykłej. Byłeś pierwszym poetą, który stworzył postacie nieśmiertelne. Zastąpiłeś boga. Więcej: stworzyłeś historię. Wojna trojańska z twojego eposu „Iliada" stała się rzeczywistością, choć – być może – nigdy nie miała miejsca. A wędrówki Odyseusza są dla całego świata symbolem dalekich podróży.

Homer

Dzięki ci za twe słowa, ale muszę przyznać, że przewyższyłeś mnie. Ja zbierałem istniejące już mity, legendy, klechdy. Oczywiście, nadałem im artystyczną formę i to jest moją zasługą. Ale ty, mistrzu Williamie, stworzyłeś nowe postacie potęgą swojej wyobraźni.

Szekspir

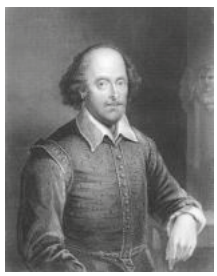
Wybacz, że ci przerywam, ale muszę się również przyznać do licznych zapożyczeń. Historia miłości Romea i Julii była znana dużo wcześniej. Podobnie jak Hamlet. Co więcej, korzystałem z pomysłów innych pisarzy. Nie pytając ich o zgodę. W dzisiejszym języku na ziemi nazywa się to plagiatem i jest ścigane prawem. Gdyby takie regulacje obowiązywały w moich czasach, nie wyszedłbym zapewne z więzienia.

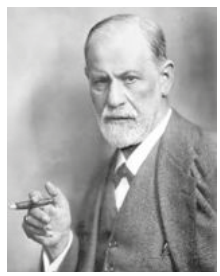
Homer

Miałeś zatem szczęście. Ale szczęście mają także ludzie, którzy od czterystu lat oglądają w teatrach twoje sztuki. Nie miej zatem wyrzutów sumienia, że „podkradałeś" pomysły innych pisarzy. I myślę, że my dwaj daliśmy światu najwięcej nieśmiertelnych postaci i zdarzeń, funkcjonujących w zbiorowej świadomości i nadal zapładniających wyobraźnię kolejnych pokoleń twórców. I to pozwala nam cieszyć się zasłużonym wypoczynkiem tutaj, w zaświatach. Nie sądzisz?

Rozmowa trzecia

Szekspir i Freud





William Szekspir

Ur. w 1564 r. w Stratfordzie, zm. tamże w 1616 r., słynny dramaturg, reformator teatru, aktor. Jego sztuki przełożono na większość nowożytnych języków, są wystawiane na całym świecie.

Zygmunt Freud

Ur. w 1856 r. w Priborze, zm. w 1939 r. w Londynie, słynny austriacki neurolog i psychiatra, twórca psychoanalizy. Jego koncepcja funkcjonowania ludzkiego umysłu wywiera nieprzerwanie znaczącą rolę.

Freud

Mówiono mi, że chciałeś się ze mną spotkać, panie Szekspir.

Szekspir

Tak jest; bardzo tego pragnąłem.

Freud

Czy mogę dowiedzieć się, dlaczego?

Szekspir

Panie profesorze, sława pańska dotarła nawet tutaj, w zaświaty. A ja dowiedziałem się, że pan, najsłynniejszy psycholog w historii, raczył w swoich książkach powoływać się na mnie.

Freud

Istotnie, zdarzyło mi się wspomnieć o panu.

Szekspir

Czy mógłbym dowiedzieć się z jakiego powodu?

Freud

Spróbuję to panu przedstawić, choć nie wiem, czy moje wyjaśnienie będzie zrozumiałe w wystarczającym stopniu. Pan żył na przełomie XVI i XVII wieku, ja o trzy stulecia później, na przełomie XIX i XX wieku. Za pańskich czasów nie istniała jeszcze psychologia jako nauka ścisła. I, bez urazy, nie ma pan naukowego przygotowania. Talent pisarski nie zastąpi przecież studiów psychologicznych.

Szekspir

Szanowny panie profesorze, zdaję sobie sprawę z mojej ignorancji. To ona powodowała, że odmawiano mi za życia, a i potem, po śmierci, prawa do autorstwa moich dramatów. Twierdzono, że pisał je ktoś inny, jakiś utalentowany arystokrata, albo nawet sam Francis Bacon.

Freud

Słyszałem, słyszałem o tym.

Szekspir

Zapewniam pana jednak, że naprawdę to ja i tylko ja jestem autorem „Romea i Julii", „Hamleta" oraz wszystkich pozostałych dramatów.

Freud

Wierzę panu, panie Szekspir. A teraz przystępuję do wyjaśnienia, o które pan prosił.

Szekspir

Słucham z uwagą.

Freud

Moją zasługą, mówię to bez fałszywej skromności, jest odkrycie tajemniczych, utajonych sił, rządzących człowiekiem. Najwięksi filozofowie od tysięcy lat przeczuwali ich istnienie, ale nie potrafili tego w sposób naukowy przedstawić. Dopiero ja, na podstawie zebranego w praktyce lekarskiej materiału, zdołałem sformułować spójną teorię. Jak pan zapewne wie, stworzyłem nową gałąź wiedzy, która nazywa się psychoanalizą.

Szekspir

Słyszałem o tym.

Freud

Psychoanaliza stała się podstawą zupełnie nowego spojrzenia na człowieka. Bez niej nie mogłyby powstać różne, modne obecnie, kierunki, jak psychologia analityczna, indywidualna, głębi, postaci itp. Tworząc teoretyczne podstawy mojej teorii, szukałem w dziełach filozofów i pisarzy minionych epok śladów tych podświadomych sił, o których przed chwilą mówiłem. Znalazłem je w mitach greckich, tragediach Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa, w niektórych dialogach Platona, komediach Moliera, powieściach Balzaca i Dostojewskiego. A także w pańskich dramatach.

Szekspir

Czuję się doprawdy zaszczycony. Nie tylko dlatego, że znalazłem się w tak znakomitym towarzystwie, ale przede wszystkim dlatego, że zechciał pan odkryć w moich dramatach coś dla siebie interesującego.

Freud

Proszę nie przerywać, panie Szekspir. Zaraz wyłożę swoją myśl. Wielcy twórcy przeszłości, a i pana do nich zaliczam, przeczuwali intuicyjnie, że pod świadomym działaniem ludzkim kryją się jakieś nieznane, a potężne siły. Nie potrafili ich jednak ani nazwać, ani bliżej określić, ani tym bardziej usystematyzować. Dopiero ja tego dokonałem.

Szekspir

I to właśnie stało się źródłem pańskiej sławy.

Freud

Zrozumiałem w pełni znaczenie mojego odkrycia, kiedy przeróżni pseudopsychologowie zaczęli obrzucać mnie obelgami. Nie wiem, jak bardzo był pan za życia krytykowany, panie Szekspir, ale jestem pewien, że tego nie da się porównać z trwającą przez wiele lat nagonką na mnie.

Szekspir

Mnie zarzucano niechlujstwo języka, błędy historyczne, niespójną formę, przeoczenia w określaniu imion i wieku bohaterów, a szczególnie przecenianie znaczenia seksualności.

Freud

A mnie zarzucano fałszowanie danych empirycznych, błędne uogólnienia, nielogiczne interpretacje, obniżanie rangi kultury, niedocenianie znaczenia religii, a przede wszystkim pesymistyczne widzenie natury ludzkiej. Jednym słowem uznano mnie za szkodnika społecznego.

Szekspir

Współczuję panu, profesorze. Myślę jednak, że taki los spotyka zawsze wielkich odkrywców i nowatorów.

Freud

Ma pan całkowitą rację. Zdaję sobie sprawę ze znaczenia mojej teorii. Mogę z czystym sumieniem porównać ją z teorią heliocentryczną Kopernika i teorią ewolucji Darwina.

Szekspir

Jestem tego samego zdania. Pozwolę sobie ująć to następująco. W historii ludzkości były trzy wielkie naukowe rewolucje, które przewartościowały pozycję człowieka we wszechświecie. Pierwszego przewrotu dokonał Kopernik. Pozbawił Ziemię, a tym samym człowieka, centralnego miejsca we wszechświecie. Można to nawet nazwać degradacją. Od starożytności wierzono, że cały wszechświat obraca się wokół Ziemi. Kopernik udowodnił, że Ziemia jest nic nieznaczącym pyłkiem i to ona obraca się wokół Słońca. Twórcą drugiego przewrotu był Darwin. Wykazał, że człowiek nie jest wyjątkową, całkowicie odrębną istotą, lecz tylko ogniwem w łańcuchu ewolucyjnym. To kolejna degradacja. A wreszcie pan, panie profesorze, ośmielił się stwierdzić, że człowiek nie potrafi zapanować nawet nad samym sobą. Nie rządzi swoimi

myślami, odruchami, uczuciami i przede wszystkim działaniami. Straszliwa degradacja!

Freud

Znakomicie pan to ujął. I właśnie w pańskich dramatach dostrzegłem przeczucie istnienia tych ciemnych, podświadomych, dominujących sił. „Otello" czy „Macbeth" to najlepsze przykłady.

Szekspir

Panie profesorze, mam jednak pewną wątpliwość. Sam pan ciągle używa liczby mnogiej, mówiąc o tych podświadomych siłach. Ale w swoich książkach na pierwszy plan wysuwa pan popęd seksualny. A przecież obok niego istnieją także inne potężne popędy.

Freud

Cóż, muszę przyznać panu rację. Niestety, najbardziej atakowano mnie za podkreślanie nadrzędnej roli seksualności w życiu człowieka. Broniąc się, istotnie nadmiernie się na tym zagadnieniu skoncentrowałem. Był to mój błąd. Zacząłem nie doceniać inne popędy, jak żądzę władzy, pieniędzy, sławy.

Szekspir

Makbet dla zdobycia władzy zabija, Jagon z nienawiści niszczy miłość Otella i Desdemony, Shylock z chciwości gotów jest torturować.

Freud

A mroczny mit o Agamemnonie, Klitajmestrze, Elektrze i Orestesie? Ileż tam nienawiści, zazdrości, żądzy zemsty.

Szekspir

Chwała ci, panie profesorze Freud, że wydobyłeś, nazwałeś i usystematyzowałeś wreszcie te podświadome moce. A zarazem wskazałeś, że człowiek może nad nimi zapanować. I drugorzędną sprawą jest, że zdarzało ci się popełniać pomyłki. Mylił się także Kopernik, pisząc, że ciała niebieskie mają kołowe orbity. I fałszując własne obliczenia, ponieważ w rzeczywistości orbity mają kształt elipsy. Mylił się Darwin, twierdząc, że ewolucja opiera się tylko na doborze naturalnym. W rzeczywistości wpływają na nią także zmiany genetyczne. Ale, jak wiadomo, mylić się może każdy, nawet geniusz. Co w niczym nie umniejsza jego wielkości i zasług dla nas wszystkich. A w przypadku pańskiej osoby, profesorze, nie można mówiąc o rozwoju psychologii, pominąć tego, czego dokonał Sigmund Freud.

Rozmowa czwarta

Elżbieta I i Katarzyna II



Elżbieta I Wielka

Ur. w 1533 r. w Greenwich, zm. w 1603 r. w Richmond, ostatnia z rodu Tudorów, jeden z najznakomitszych władców Anglii. Za jej panowania Anglia stała się zaczącym państwem Europy, potęgą morską, rozwinęła się gospodarka, kultura i sztuka. Okres ten zwano złotym wiekiem Anglii.



Katarzyna II Wielka

Ur. w 1729 r. w Szczecinie, zm. w 1796 r. w Carskim Siole. Po zamachu na jej męża, cara Piotra III została jednym z najbardziej znaczących władców Rosji. Znana z bezwzględności, była reformatorem, mecenasem kultury, zwolennikiem idei oświecenia. Uczestniczyła w rozbiorach Polski.

Katarzyna

Cieszę się, że cię widzę, królowo, ponieważ od dawna pragnęłam zadać ci parę pytań.

Elżbieta

Ja również jestem rada spotkać się z wielką carycą, która cieszyła się sławą wśród najwybitniejszych filozofów swego czasu.

Katarzyna

Ja także słyszałam, że sławili cię znakomici mężczyźni. Na przykład król Henryk IV.

Elżbieta

A inni opluwali. I to niemal przez całe moje życie.

Katarzyna

To, co o mnie mówiono i pisano, było – jak mniemam – jeszcze gorsze. Ale nie o tym chciałam mówić. Od dziesiątków lat tutaj, w zaświatach, zastanawiam się nad słynnymi władczyniami w dziejach ludzkości. Nie było ich wiele, gdyż – jak na pewno dobrze wiesz – mężczyźni zazdrośnie strzegli władzy. Interesuje mnie to, że pomimo tej męskiej dominacji udało się i tobie, i mnie rządzić przez długie lata i przejść do historii z przydomkiem „Wielka". A przecież żyłyśmy w różnych epokach i zupełnie innych warunkach. Co zatem łączyło twoje i moje rządy?

Elżbieta

To istotnie pasjonujący problem. Spróbujmy najpierw wymienić różnice.

Katarzyna

Dobry pomysł. Ty, królowo, żyłaś w XVI wieku, ja w XVIII, czyli dwieście lat później. Ty władałaś Anglią, w której władzę monarchy w znacznym stopniu ograniczał parlament, ja natomiast w Rosji miałam władzę niczym nieograniczoną. Terytorium Rosji było nieporównywalnie większe niż Anglii, co zmuszało mnie, przy ówczesnych możliwościach komunikacyjnych, do zupełnie innych metod organizacyjno-administracyjnych. Ty byłaś czystej krwi Angielką, ja Niemką, czyli cudzoziemką we własnym państwie.

Elżbieta

Miałyśmy też odmienne dzieciństwo. Ty byłaś pełnoprawną księżniczką, a ja… Jeszcze dzisiaj pamiętam, jak na przemian byłam dla mojego ojca, Henryka VIII, albo ukochaną córeczką, albo zwykłym bękartem. Twoja matka nie została ścięta jako cudzołożnica.

Katarzyna

Ale mój mąż został także podstępnie zgładzony.

Elżbieta

A ja nigdy nie miałam męża. Choć ciągle mnie za kogoś chciano wydać.

Katarzyna

Nie masz czego żałować! Mężczyzn należy używać do realizacji różnych celów. Wtedy mogą być naprawdę przydatni. Ale jako mężowie tylko przeszkadzają.

Elżbieta

W twoich słowach słyszę wpływ filozofów francuskiego Oświecenia.

Katarzyna

Rzeczywiście, to oni zmienili poglądy młodej księżniczki z małego niemieckiego prowincjonalnego państewka.

Elżbieta

Odpowiedz szczerze, cesarzowo, czy te poglądy miały wpływ na twoje metody rządzenia?

Katarzyna

Najmniejszego, królowo, najmniejszego! Filozofować o człowieczeństwie, wolności, sprawiedliwości można w zaciszu salonu. Kiedy się rządzi ogromnym, na wpół tylko cywilizowanym, państwem – o tych wzniosłych zasadach trzeba zapomnieć. Gdybym chciała je wcielić w życie, straciłabym tron w ciągu paru miesięcy. Lub jeszcze prędzej.

Elżbieta

Niestety i ja musiałam postępować równie bezwzględnie.

Katarzyna

A zatem, pomimo tak znacznych różnic, były między nami również podobieństwa?

Elżbieta

Tak, ale ty, cesarzowo, dzięki swojej samowładzy miałaś łatwiejsze zadanie. Mogłaś szybciej, bez zgody parlamentu, potajemnie likwidować nie tylko przeciwników, lecz także osoby niewygodne.

Katarzyna

Czuję zazdrość w twoim głosie.

Elżbieta

Przez cały okres panowania miałam jawnych i skrytych wrogów. Nawet w najbliższym otoczeniu. Spiskowcy czyhali na moje życie. Cudem uniknęłam paru zamachów.

Katarzyna

Królowo, mnie tyle razy usiłowano zgładzić, że przestałam komukolwiek wierzyć. Nawet najbardziej zaufani dworacy okazywali się zdrajcami. Dopóki zaspokajałam ich chciwość i ambicje, mogłam na nich liczyć. Kiedy jednak musiałam, na skutek ich błędów, niedbalstwa czy braku zdolności, odsunąć ich od władzy, zaszczytów, pieniędzy – stawali się zaciekłymi wrogami.

Elżbieta

I zapominali o wszystkich dobrodziejstwach, jakich z twojej ręki doznali.

Katarzyna

Jest jeszcze coś, co nas łączy. Wojny. Przez cały okres panowania byłyśmy zmuszone do walki.

Elżbieta

Zmuszone? A może chciałyśmy toczyć wojny, aby podkreślić naszą potęgę? Mnie na przykład nikt nie zmuszał, abym prowadziła beznadziejną walkę z walczącymi o swoją niezależność Irlandczykami.

Katarzyna

Cóż za szczerość! Ja natomiast byłam stawiana w sytuacji przymusowej. To generałowie i niemal cała arystokracja chciała wojny ze Szwecją i Turcją. A Polacy byli nie mniej buntowniczy niż Irlandczycy.

Elżbieta

Przez cale moje panowanie nie znosiłam buntowników, ale musiałam popierać tę niderlandzką hołotę przeciwko Hiszpanom.

Katarzyna

Słyszałam, że byłaś pierwszą władczynią, która upokorzyła pychę Hiszpanów, niszcząc największą flotę świata, nazywaną Niezwyciężoną Armadą.

Elżbieta

Mówiąc szczerze, pomogły mi straszliwy sztorm, zbytnia pewność siebie króla Filipa II i talenty angielskich dowódców. Ta wojna była obroną przed napaścią. Ale tylko ta jedna jedyna.

Katarzyna

Ja prowadziłam dwie wojny obronne przeciwko Turcji. To ona atakowała pierwsza. Chociaż zgodnie z prawdą, to moje działania prowokowały Turków. Kiedy wprowadziłam swoje wojska do Polski, zażądali ich wycofania. Odmówiłam, a wówczas wypowiedzieli mi wojnę. Za drugim razem na mój rozkaz Potiomkin zajął Krym, likwidując istniejący tam ponad dwieście lat chanat. I tym razem Turcja zażądała wycofania rosyjskich wojsk. Odmówiłam i, oczywiście, wybuchła wojna. Oba te zbrojne konflikty przyniosły Rosji korzyści terytorialne.

Elżbieta

Wymieniłaś nazwisko Potiomkin. Czy to był ten kniaź, który wymyślił tak wyśmiewane dekoracje bogatych wsi na trasie twojej podróży na południe Rosji?

Katarzyna

Och, to było raczej przeznaczone dla oczu zagranicznych dyplomatów, którzy mi towarzyszyli. Ja wiedziałam, że to oszustwo, a Potiomkin wiedział, że ja wiem.

Elżbieta

Ja też, przyznaję, organizowałam rozmaite podróże, bale, pochody i procesy. Wyłącznie dla odwrócenia uwagi ambasadorów i – co zabawniejsze – londyńskiej hołoty.

Katarzyna

Sama widzisz, królowo, jak wiele nas łączy. Powiedz mi jednak, czy prawdziwy był przydomek, którym cię obdarzono: królowa-dziewica?

Elżbieta

Wybacz, cesarzowo, ale nie udzielę ci odpowiedzi. Są sprawy, o których nie chcę mówić nawet ponad czterysta lat po śmierci.

Katarzyna

Rozumiem cię. Ja także do końca świata nie powiem, czy byłam zamieszana w zabójstwo mojego męża. Historycy głowią się nad tą kwestią od trzystu lat. Czy wiedziałam i udzieliłam zgody? Czy nie chciałam wiedzieć? A może sama zleciłam ten mord? Nikt nigdy nie rozwikła tej tajemnicy.

Elżbieta

I w moim życiu było wiele mrocznych, niewyjaśnionych spraw. I niech takimi pozostaną na zawsze.

Katarzyna

Na przykład śmierci Marii Stuart?

Elżbieta

Mylisz się, cesarzowo. W tej sprawie nie mam nic do ukrycia. Były dowody na piśmie, że spiskowała przeciwko mnie. Że szykowano zamach stanu.

Katarzyna

A czy te zarzuty nie były sfabrykowane?

Elżbieta

I ty to mówisz, cesarzowo, która – jak tutaj, w zaświatach głoszono – byłaś mistrzynią w snuciu intryg, tworzeniu fikcyjnych dokumentów, znajdowaniu fałszywych świadków i przekupywaniu najwyższych nawet dostojników w innych krajach?

Katarzyna

Nie kłóćmy się, królowo. Obie wiemy, że aby rządzić, trzeba posługiwać się wszelkimi dostępnymi świadkami. Moralność i władza nawzajem się wykluczają.

Elżbieta

Masz rację. I dotyczy to nie tylko polityki, lecz także spraw osobistych.

Katarzyna

Nawet tych najbardziej osobistych, królowo. Zawsze starannie oddzielałam uczucia od rządzenia.

Elżbieta

Ale słyszałam także, że swoich faworytów obsypywałaś zaszczytami i wysokimi stanowiskami.

Katarzyna

Znałam te plotki. Gdybym, nazwijmy rzecz po imieniu, wszystkich tych, którzy zadowolili mnie w łóżku, obdarzała stanowiskami, to w Rosji byłyby setki nieudolnych ministrów i setki niekompetentnych generałów. O nie, droga królowo! Poza krzepkimi lędźwiami moi faworyci musieli wyróżniać się jeszcze inteligencją, zdolnościami, odwagą, pomysłowością. Nie będę wymieniała ich nazwisk. Są chlubnie zapisani w historii Rosji. A ci inni? Cóż, ślad po nich zaginął.

Elżbieta

Wiesz, cesarzowo, co myślę? Łączyła nas jeszcze jedna cecha. Nie bałyśmy się ludzi mądrzejszych od nas. Nasi doradcy, z którymi często nie zgadzałyśmy się w pierwszych rozmowach, potrafili nas na końcu przekonać. Nie bałyśmy się słuchać ludzi mądrzejszych od nas.

Katarzyna

Masz zupełną rację. Ileż to razy krzyczałam na swoich ministrów, wyrzucałam za drzwi, straszyłam dymisją. A oni w milczeniu wysłuchiwali moich słów, a potem cierpliwie, godzina po godzinie, tłumaczyli, perswadowali, przekonywali. Aż wreszcie sama dochodziłam do wniosku, że to nie ja miałam rację. I ustępowałam.

Elżbieta

Myślę, że to jeszcze jedno podobieństwo między nami. I myślę także, że może właśnie dlatego nazwano nas Wielkimi. Bo prawdziwy władca otacza się mądrymi ludźmi, a nie pochlebcami. Szkoda, że jako duchy nie możemy tej wiedzy przekazać żywym.

Katarzyna

A myślisz, królowo, że wysłuchaliby nas?

Rozmowa piąta

Bach i Mozart



Jan Sebastian Bach

Ur. w 1685 r. w Eisenach, zm. w 1750 r. w Lipsku, jeden z największych kompozytorów i wirtuozów organów w dziejach. Skomponował ponad 1000 dzieł muzycznych, z których wiele zachwyca do dziś. Był kapelmistrzem i kompozytorem na dworze Augusta III Sasa w Dreźnie.



Wolfgang Amadeusz Mozart

Ur. w 1756 r. w Salzburgu, zm. w 1791 r. w Wiedniu, światowej sławy austriacki kompozytor i wirtuoz gry na instrumentach klawiszowych. Żyjąc zaledwie 35 lat pozostawił kilkaset utworów utrzymanych w jego własnym stylu o ponadczasowym charakterze, zachwycających do dziś.

Bach

Kłaniam się najsłynniejszemu kompozytorowi, Wolfgangowi Amadeuszowi Mozartowi!

Mozart

Skąd u ciebie, mistrzu Janie Sebastianie, tyle… nie wiem, jak to nazwać: złości, złośliwości, niechęci, goryczy? U ciebie, uznanego teraz tam, na ziemi, za największego kompozytora wszech czasów?

Bach

Teraz? Zgoda. Tam, na ziemi? Zgoda. A ty, Wolfgangu Amadeuszu, też tak uważasz? Bo za życia nie uznawałeś mojej muzyki. A teraz?

Mozart

Mylisz się, Janie Sebastianie. Źle mnie osądzasz. Wysoko oceniałem twój kunszt kompozytorski, zwłaszcza w technice polifonicznej. Twoje fugi były dla mnie wzorem.

Bach

Ale całą swoją muzyką przeciwstawiałeś się mojej. Należałeś do tych, którzy uważali mnie za relikt przeszłości. Moich utworów nie wykonywano na koncertach. Uznawano, że nadają się tylko na wprawki dla uczniów.

Mozart

Nie denerwuj się, Janie Sebastianie. Nie przystoi to duchowi tak wielkiej postaci.

Bach

A ty, Wolfgangu Amadeuszu, też uważasz mnie za wielką postać?

Mozart

Ależ oczywiście! Musisz jednak zrozumieć, że swoimi arcydziełami zamknąłeś definitywnie pewną epokę. Nikt już nie mógł iść dalej twoim śladem. Byłoby to nędzne naśladownictwo. Twoją epokę nazwano później barokiem muzycznym. Ty byłeś jej ukoronowaniem. Czyżbyś chciał, aby twoi synowie i inni kompozytorzy byli tylko epigonami genialnego Jana Sebastiana Bacha i wyrzekli się własnego muzycznego języka?

Bach

Hm, muszę przyznać, że potrafisz zręcznie rezonować.

Mozart

Urodziłem się sześć lat po twojej śmierci. W muzyce dominowały już inne kierunki. Przeciwstawne do twojej epoki. Jak się orientuję, tak zawsze było w historii muzyki.

Bach

Ale nigdy przedtem tak radykalnego odwrócenia się od przeszłości. Za wszelką cenę chcieliście być inni niż ja. Nawet mój syn, Johann Christian!

Mozart

Może właśnie dlatego, że byłeś tak wielki? I myśmy tę wielkość odczuwali i nie chcieliśmy być przez nią przygnieceni? To właśnie twój najmłodszy syn Johann Christian wyjechał do Londynu, aby uwolnić się od twojego wpływu, aby nie ulec w swojej twórczości twojej wielkości.

Bach

Mylisz się jednak, Wolfgangu Amadeuszu, mówiąc o mojej wielkości. Czyżbyś nie wiedział, że za życia ceniono mnie przede wszystkim jako dobrego organistę, a nie kompozytora?

Mozart

A ty, Janie Sebastianie, nie wiesz, że ze mną było jeszcze gorzej? Ty masz przynajmniej swój własny grób w Lipsku. A ja? Na moim pogrzebie nie było nawet najbliższej rodziny, przyjaciół, znajomych. Aby usprawiedliwić ich nieobecność, wymyślono legendę, że nad Wiedniem szalała śnieżna burza. Nieprawda! Niebo było wprawdzie zasnute chmurami, ale nie było żadnych opadów ani deszczu, ani śniegu, a tym bardziej burzy.

Bach

O mnie krążyło tak wiele krzywdzących legend…

Mozart

… że byłeś strasznym skąpcem?

Bach

Owszem, byłem bardzo oszczędny, bo musiałem. Przy tak dużej rodzinie liczył się każdy grosz.

Mozart

I mnie również przez całe niemal życie brakowało pieniędzy. Szczególnie w ostatnim okresie. Żyłem przeważnie z pożyczek.

Bach

Ale, jak słyszałem, ty byłeś raczej rozrzutny?

Mozart

Rozrzutny? Chyba nie. Po prostu nie przywiązywałem wagi do pieniędzy. Kiedy je miałem – wydawałem. Nie potrafiłem oszczędzać. Kochałem życie i jego przyjemności.

Bach

Na przykład picie alkoholu…

Mozart

To także plotki, rozsiewane przez moich wrogów. Przyznaję, że lubiłem dobre wino. Ale… czy zdążyłbym napisać tyle utworów, gdybym poświęcał czas na pijaństwo? Nie da się komponować w tak zwanym zamroczeniu alkoholowym.

Bach

Mnie wytykano zbyt mieszczański tryb życia. A czy zdążyłbym skomponować na przykład ponad dwieście kantat, gdybym trwonił czas na liczne spotkania towarzyskie? Nigdy, ani za życia, ani po śmierci nie liczyłem moich kompozycji. Przypuszczam jednak, że było ich więcej niż tysiąc. A znaczna większość z nich składała się z kilku co najmniej części i trwała nieraz ponad godzinę.

Mozart

Ty przynajmniej pisałeś ponad sześćdziesiąt lat; ja niecałe trzydzieści sześć.

Bach

Stąd morał, że byliśmy ciężko pracującymi rzemieślnikami.

Mozart

Ale musisz przyznać, Janie Sebastianie, że odczuwaliśmy przemożną konieczność tworzenia. Nie tylko w celu zarobkowania.

Bach

Nigdy nie byłem mówcą i z trudem dobierałem słowa w publicznych wystąpieniach. Dlatego nie potrafię nawet teraz wyrazić mojego stosunku do muzyki. Po prostu musiałem – jak by to powiedzieć – wyrzucać ją z siebie. A miałem jej takie nieprzebrane ilości!

Mozart

I jakże często ludzie nie chcieli brać od nas tej muzyki!

Bach

Przez całe lata spierałem się o swoją muzykę z tępymi zwierzchnikami w kościele, szkole, władzach miasta. Krytykowali ją mierni muzycy, amatorzy, urzędnicy! Mnie potrzebowali tylko jako organistę, klawesynistę, kantora, nauczyciela i wyrobnika, który na zamówienie komponował dowolny utwór, na przykład co tydzień nową kantatę na niedzielne nabożeństwa.

Mozart

Słyszałem wiele o tych sporach. Mówiono mi jednak, że powodował je twój trudny charakter.

Bach

A ty, Wolfgangu Amadeuszu, nie protestowałbyś przeciwko zarzutom jakichś nieuków, którzy twierdzili, że w twoich utworach organowych jest za dużo nut i nie licują z powagą nabożeństw? Za dużo nut, możesz to sobie wyobrazić!

Mozart

A nie mieli pretensji, że ty Janie Sebastianie, kantor protestancki skomponowałeś katolicką mszę, a przede wszystkim kantatę „Magnificat" na cześć Matki Boskiej?

Bach

Drogi przyjacielu, tutaj, w zaświatach, nie musimy kłamać czy udawać. Ani sobie, ani innym. Powiem ci prawdę. Chciałem koniecznie uzyskać tytuł nadwornego kompozytora Augusta, elektora saskiego, króla polskiego i wielkiego księcia litewskiego. On sam był katolikiem, a jego matka okazywała wręcz wyjątkową pobożność. Jemu posyłałem kolejne części wielkiej mszy i oratorium „Na Boże Narodzenie". A jej ofiarowałem „Magnificat". Te wiernopoddańcze hołdy po paru latach odniosły wreszcie skutek – otrzymałem upragniony tytuł nadwornego kompozytora z odpowiednią pensją, Cóż, trzeba to było zrobić dla dzieci. A ponadto ten tytuł wzmocnił moją pozycję wobec lokalnych władz. Kiedy zaś w wyniku sporu z rektorem, musiałem opuścić Collegium Musicum, król stanął po mojej stronie. I wróciłem w triumfie.

Mozart

Niestety, byliśmy uzależnieni od możnych tego świata. Równie możnych co tępych.

Bach

Ale ty, Wolfgangu Amadeuszu, pisałeś liczne msze i inne religijne utwory, choć otwarcie głosiłeś libertyńskie poglądy. Byłeś niedowiarkiem i masonem.

Mozart

Spokojnie, mistrzu Janie Sebastianie. Msze musiałem pisać będąc na służbie u arcybiskupa Colloredo. A Requiem komponowałem na zamówienie hrabiego Wasegga. Za znaczne honorarium.

Bach

Nie musisz się usprawiedliwiać, Wolfgangu Amadeuszu. My, żyjący z komponowania, grania, dyrygowania nie musimy łączyć naszych przekonań z muzyką. Dla nas każdy rodzaj muzyki jest jednakowo ważny.

Mozart

Masz rację. I ty, i ja pisaliśmy na zamówienie utwory przeznaczone na koronacje, śluby, pogrzeby i inne uroczystości. A także utwory taneczne na bale.

Bach

Jak wiesz, protestanci nie uznają kultu Matki Boskiej. Ja także. Kiedy jednak komponowałem „Magnificat", wczuwałem się w wiarę katolików. I starałem się oddać w muzyce ich żarliwą cześć dla matki Jezusa.

Mozart

Dokładnie to samo czułem, pisząc Requiem. Sam nie będąc wierzącym, chciałem wyrazić w muzyce całe bogactwo prawdziwej, szczerej wiary.

Bach

I tak powstało najsłynniejsze dzieło muzyki religijnej w historii świata, twoje nieśmiertelne Requiem.

Mozart

Dzięki ci, mistrzu Janie Sebastianie.

Bach

I możemy sobie tutaj, w zaświatach, powiedzieć, że choć byliśmy za życia lekceważeni, szykanowani, to obecnie nasze nazwiska otoczone są sławą.

Mozart

I, co ważniejsze, nasza muzyka rozbrzmiewa na całym świecie.

Bach

A co jeszcze ważniejsze, jest potrzebna milionom ludzi. Kiedy ludzie słuchają twojej i mojej muzyki, wzruszają się, niezależnie od rasy, narodowości, pochodzenia, wykształcenia czy wieku.

Mozart

A ja mam złośliwą satysfakcję, że nazwiska tych, co nam zazdrościli, którzy nas gnębili, wyśmiewali, tępili – przetrwały w historii tylko dzięki nam.

Bach

Nie powinieneś tak mówić, Wolfgangu Amadeuszu. Po prostu nie wypada.

Mozart

Masz rację. My, geniusze…

Rozmowa szósta

Czyngis-Chan i Aleksander Macedoński





Czyngis – Chan

Ur. w 1162 r. w Delium Bołdak, zm. w 1227 r. podczas oblężenia tanguckiej stolicy, wybitny władca mongolski, twórca i wieloletni władca imperium mongolskiego. Wielki zdobywca i reformator państwa.

Aleksander Macedoński

Ur. w 356 r. p.n.e. w Pelli, zm. w 323 r. p.n.e. w Babilonie, jeden z największych zdobywców w dziejach. W wieku 33 lat władał niemal całym starożytnym światem, dotarł do Indii, założył Aleksandrię. Jego nauczycielem był Arystoteles.

Czyngis

Witam cię, wielki królu. Od dawna już pragnąłem z tobą porozmawiać.

Aleksander

Ja również składam ci pokłon, największy wodzu wszech czasów.

Czyngis

Przesadzasz, królu. Moja ziemska sława nie dorównuje twojej. Stałeś się legendą jeszcze za życia.

Aleksander

Prawda jest taka, wielki chanie, że tam na ziemi historycy stwierdzili, że to ty właśnie stworzyłeś sam jeden, w ciągu swojego życia, największe imperium na świecie. Moje było znacznie mniejsze.

Czyngis

Ale prawdą jest również, że żyłem znacznie dłużej od ciebie. Kto wie, jakie jeszcze kraje mógłbyś podbić, gdyby niebo pozwoliło ci żyć dłużej?

Aleksander

Niebo? Bogowie? A może raczej to ludzie skrócili moje życie?

Czyngis

My tutaj, w zaświatach, mamy większą wiedzę o tym, co działo się tam, na ziemi, nawet za naszych czasów, a nie tylko w przeszłości. Słyszałem od jakiegoś uczonego, że zostałeś otruty.

Aleksander

Też tak przypuszczam, ale nie znaleziono ani trucicieli, ani wiarygodnych świadków. Ani wtedy, przed tysiącami lat, ani potem – wśród duchów. Zresztą… jakie to ma znaczenie?

Czyngis

Masz rację, królu, żadnego. I na ciebie, i na mnie ciągle czyhali wrogowie. Ja sam nie potrafię zliczyć, ile razy udało mi się uratować życie. I tak było od dzieciństwa.

Aleksander

Ja również wielokrotnie uniknąłem śmierci. Raz nawet z ręki własnego ojca. Tutaj, w zaświatach, zapytałem go wprost, czy zamierzał mnie zgładzić jako ewentualnego konkurenta do macedońskiego tronu. A może była to intryga jego nowej żony o imieniu Kleopatra, która urodziła mu syna. Mój ojciec, król Filip, wykręcił się od odpowiedzi.

Czyngis

Słyszałem, że twój ojciec zginął od miecza spiskowca. Podobno za tym zamachem stała twoja matka Olimpias.

Aleksander

Przyznaję, że były takie pogłoski. Ale moja matka, choć była kobietą bezwzględną, zarówno za życia, jak i po śmierci, tutaj, w zaświatach, stanowczo temu zaprzeczała.

Czyngis

Mówiono mi, że w Grecji kwitła wspaniała kultura, która wpłynęła na rozwój całego świata. Że tam powstały pierwsze demokratyczne państwa. Że tam artyści tworzyli dzieła, będące dziś niedoścignymi wzorcami. Że tam filozofowie położyli podwaliny pod wiedzę całej ludzkości. A w tym samym czasie dokonywaliście czynów okrutnych, zdradzieckich, podłych. Jak to możliwe? My, koczownicy bez wielkiej kultury, walczący codziennie o przetrwanie, żyliśmy jednak bardziej uczciwie. Nie zostawiliśmy po sobie tak wspaniałych budowli i takich rzeźb, jak wy. Ale…

Aleksander

Wybacz, wielki chanie, ale zapominasz o jednym – walka o władzę nie ma nic wspólnego z nauką, sztuką, filozofią. Pozwól, że ci to wytłumaczę. Miałem szczęście przez trzy lata być uczniem jednego z największych myślicieli w historii ludzkości o imieniu Arystoteles. Już za życia cieszył się wielką sławą i poważaniem.

Czyngis

Rozśmieszasz mnie, królu Aleksandrze. Wiesz równie dobrze, że twój mistrz Arystoteles, po twojej śmierci musiał uciekać z Aten w obawie o swoje życie. I to, pomimo że – jak twierdzisz – cieszył się wielką sławą i poważaniem.

Aleksander

Niestety, to prawda, czcigodny chanie.

Czyngis

Dowiedziałem się również tutaj, w zaświatach, że w tak wychwalanych Atenach, doprowadzono, po haniebnym procesie, do samobójczej śmierci wielkiego filozofa Sokratesa. A jego uczeń, słynny Platon, którego do dzisiaj wielbią na ziemi, był w ciągu swojego życia nie raz zmuszony do ucieczki, więziony, a nawet sprzedany jako niewolnik. Oto jak postępowaliście z uczonymi w tak sławionej Grecji.

Aleksander

Przyznaj jednak, wielki chanie, że wy, Mongołowie, postępowaliście równie okrutnie. To przecież ty wymyśliłeś zasadę, aby pokonanych wrogów zabijać powyżej osi koła.

Czyngis

Mylisz się, królu. Ten rozkaz dotyczył tylko przywódców, a nie zwykłych żołnierzy. Tych wcielałem do swoich oddziałów. A kobiet nigdy nie zabijaliśmy. Podobnie jak chłopców, których głowy nie wystawały powyżej osi koła. Nie zabijaliśmy także uczonych w piśmie, bez względu na jak wysokich stanowiskach służyli moim przeciwnikom.

Aleksander

A nie kazałeś zabić Dżamuki, swego druha, z którym zawarłeś w młodości braterstwo?

Czyngis

Zdradził mnie, a po klęsce sam się zgłosił. I poprosił o honorową śmierć. Później pochowaliśmy go uroczyście jako wielkiego wojownika i wodza. Nie zapominaj, królu Aleksandrze, że nasze obyczaje były surowe jak nasze życie. Inaczej nie moglibyśmy przetrwać. Ty nie musiałeś ukrywać się i znosić upokorzeń, tak jak ja, dopóki nie zostałem wielkim chanem.

Aleksander

To prawda. Ja od początku wychowywałem się na dworze mojego ojca, króla Filipa. I miałem wielu znakomitych nauczycieli.

Czyngis

A ja przez całe długie życie nie mieszkałem w żadnym pałacu. Moim schronieniem była tylko wojłokowa jurta. Nie miałem nigdy nauczycieli. Do śmierci nie potrafiłem ani czytać, ani pisać.

Aleksander

A pomimo to udało ci się stworzyć największe państwo w historii. Jak tego dokonałeś?

Czyngis

Spróbuję to wyjaśnić. Mongołowie nie byli wcale najliczniejszym plemieniem, a w dodatku dzielili się na wiele zwalczających się wzajemnie rodów. Stepy były zamieszkiwane przez dziesiątki plemion i setki rodów, z których niektóre były naprawdę potężne. I stale ze sobą wojujące. Nikt nie był pewien życia. Aby

zapewnić Mongołom spokój, już jako chan, musiałem zawierać liczne sojusze, aby pokonać najgroźniejszych wrogów.

Aleksander

Tak muszą postępować wszyscy władcy.

Czyngis

Masz rację, ale na stepach zbyt wiele żyło skłóconych plemion i rodów, aby te sojusze mogły być trwałe. Lepszym sposobem zatem było całkowite wytępienie wrogów i przyłączenie do własnego państwa podbitych terenów. I to właśnie było moim zamiarem, który konsekwentnie realizowałem. Musiałem tak postępować, ponieważ przesuwając granice swojego państwa, napotykałem coraz to nowe, wrogie plemiona. I to właśnie zmuszało mnie do prowadzenia ciągłych wojen. Nie były dla mnie celem, a koniecznością. Po rozgromieniu Merkitów, musiałem pokonać Tatarów. A potem kolejno Kereitów, Najmanów, Dżurdżenów, Taugutów, Kitanów. Nie będę cię, królu, zanudzał wyliczaniem tych wszystkich pokonanych plemion, które wcieliłem do swego państwa. Aż wreszcie, jak wiesz, rozciągnęło się od Chin aż po wschodnią Europę, od Chorezmu po Indie.

Aleksander

A nie odczuwałeś dumy ze zdobycia tych ziem, posiadania ogromnego państwa i tak wielkiej władzy? Czy nie było twoim celem podbicie całego świata?

Czyngis

Skądże! Powtarzam, najpierw prowadziłem wojny, aby mój ród i plemię przetrwały. A potem dla zapewnienia pokoju podległym mi ludom. Nigdy natomiast, zapewniam cię, królu, nie myślałem o panowaniu nad światem. Czyżby to było celem dla ciebie?

Aleksander

Starożytni Grecy dzielili świat na cywilizowany, czyli grecki, i barbarzyński – pozostałe ludy. Nawet Macedonię, pomimo iż jej język był greckim narzeczem, zwanym eolskim. Według historyków, począwszy od Hezjoda, sama nazwa Macedonia wywodzi się ze starogreckiego określenia ludzi gór. Macedończycy byli bowiem półkoczowniczymi pasterzami.

Czyngis

Podobnie jak najstarsi Mongołowie.

Aleksander

I tak samo naczelnicy macedońskich rodów nawzajem się wyrzynali w walkach o iluzoryczną władzę. Bo jaką władzą dysponował taki naczelnik? Bez wsparcia

władców sąsiednich krajów nie mógłby w ogóle rządzić. Stąd ciągłe szukanie sojuszników, których zresztą przy pierwszej okazji zdradzano. Dopiero mój ojciec, Filip, stał się pierwszym prawdziwym królem. Jako kilkunastoletni chłopiec, przebywając przymusowo na dworze tebańskim, uczył się sztuki wojennej od słynnego stratega Epaminondasa. I nigdy jej nie zapomniałem. To właśnie Epaminondas twierdził, że w bitwie należy uderzać w najsilniejszy punkt nieprzyjacielskiej armii, a nie jak czyniono dotąd – w najsłabszy.

Czyngis

Zawsze tak postępowałem, choć nie znałem tych nauk.

Aleksander

A o sojuszach mój ojciec mówił: „Chłopców trzeba oszukiwać przy grze w kości, a dojrzałych mężów przysięgami przy zawieraniu układów".

Czyngis

W ten sposób również ja musiałem postępować, zwłaszcza na początku.

Aleksander

Mój ojciec po bitwie pod Cheroneą stał się najpotężniejszym władcą greckim. Tak więc miałem ułatwione zadanie. Cała Grecja po śmierci ojca uznała moją zwierzchność.

Czyngis

To dlaczego nie poprzestałeś na tym?

Aleksander

Ponieważ czułem… a raczej byłem pewny, że zostałem powołany do wyższego celu, do zostania władcą świata.

Czyngis

Powołany? Przez kogo?

Aleksander

Nie wiem, może przez Ananke albo mojry, albo bogów olimpijskich.

Czyngis

Zadziwiasz mnie, królu. Ja, jak większość Mongołów, wierzyłem tylko w moc Nieba, które jest nad nami i Ziemi, na której żyjemy. I to mi wystarczało. Tolerowałem wszystkie religie, które wyznawały podległe mi ludy. W moim państwie nikt nie był prześladowany z powodu religii. A były one różne: buddyzm, islam, nestorianizm zwany chrześcijaństwem. A w waszej wychwalanej Grecji

skazano na śmierć za bezbożność wielkiego Sokratesa. U Mongołów byłoby to niemożliwe. Ty zaś, wielki królu, kazałeś oddawać sobie boską cześć. Najpierw w Egipcie, a potem także w Persji. Ci, którzy ośmielili się krytykować, zostali zabici.

Aleksander

Żałowałem tego. Ale, uwierz mi, wielki chanie, ja naprawdę byłem przekonany o swoim boskim pochodzeniu.

Czyngis

Wierzę, choć nie mogę zrozumieć takiego zaślepienia.

Aleksander

I właśnie dlatego musiałem podbijać coraz to nowe kraje, aby wypełnić powierzoną mi przez Los misję.

Czyngis

A nie przyszło ci do głowy, że to niemożliwe? I zgoła niepotrzebne? Ci, którzy chcieli zdobyć cały świat lub zbawić wszystkich ludzi – zawsze przegrywali. Szkoda, że nie nauczył cię tej prostej prawdy twój mistrz, sam wielki Arystoteles.

Aleksander

Nie masz racji, czcigodny Czyngis-chanie. Zostawiłem po sobie imperium, które promieniowało przez setki lat na Azję i Europę oraz pamięć o moich wielkich czynach, będących natchnieniem dla następnych pokoleń.

Czyngis

Och, Aleksandrze, Aleksandrze! Nawet tutaj, w zaświatach, nie pozbyłeś się swoich mrzonek. Moje, największe w historii imperium przetrwało zaledwie kilkadziesiąt lat, choć początkowo znacznie się powiększyło. Twoje zaś rozpadło się natychmiast po twojej śmierci. Dzisiaj Mongolia jest biednym małym krajem, a Macedonia jeszcze mniejszym. Nic nie pozostało po dawnej chwale.

Aleksander

Byliśmy największymi zdobywcami w historii. Nigdy już potem nie pojawił się ktoś nam równy.

Czyngis

Równy w czym? W zabijaniu? Czy nasze podboje warte były tych ofiar? Odpowiedz sobie sam na te pytania, o wielki Aleksandrze.

Rozmowa siódma

Cornelia i Katarzyna Medycejska



Kornelia Afrykańska Młodsza

Ur. w 190 r., zm. w 100 p.n.e., córka Scypiona Afrykańskiego, matka Grakchusów. Jej dwóch synów Gajusz i Tyberiusz byli w Rzymie trybunami ludowymi. Uznana przez naród za wzór rzymskiej matrony i wzorowej matki.



Katarzyna Medycejska

Ur. w 1519 r. we Florencji, zm. w 1589 r. w Blois, żona Henryka II, króla Francji i matka jej królów – Franciszka II, Karola IX i Henryka III Walezego. Wywierała decydujący wpływ na politykę, jej 3 córki były żonami władców europejskich. Bezwzględna i krwawa w działaniach, była mecenasem kultury i sztuki, protektorka Nostradamusa.

Katarzyna

Cieszę się, że cię widzę, dostojna pani, ponieważ od dawna chciałam zadać ci jedno ważne pytanie.

Cornelia

Przykro mi, królowo, że nie mogę odwzajemnić się taką samą uprzejmością.

Katarzyna

Wiem, że nie cieszyłam się za życia tam, na ziemi, opinią równie dobrą jak ty. A i po śmierci nie doczekałam się wielu pochwał. I tego właśnie dotyczy moje pytanie.

Cornelia

Słucham cię, królowo.

Katarzyna

Czemu zawdzięczałaś, pani, tak wysoką pozycję już za życia? Stawiano cię za wzór rzymskiej matrony, byłaś uosobieniem starorzymskich cnót. A określenie Matka Grakchów stało się symbolem dla dziesiątków pokoleń.

Cornelia

Zawstydzasz mnie, królowo. Na twoje pytanie odpowiadam krótko: nie wiem. Po prostu starałam się wychować synów na dobrych obywateli Republiki. I nic więcej.

Katarzyna

Poświęciłaś się synom. Ja także, a mimo to nie zyskałam takiej sławy.

Cornelia

Mylisz się, królowo. W naszym stosunku do synów istniały zasadnicze różnice. Ja wychowywałam swoich nie dla ich dobra, ale dla dobra ludu rzymskiego. A ty, wybacz, dla korzyści własnej i twoich synów. Czy kiedykolwiek miałaś na względzie dobro Francji?

Katarzyna

Jesteś, pani, niesprawiedliwa. Dobro Walezjuszy było dobrem Francji.

Cornelia

Mam odmienne zdanie. Czy nadal, po upływie kilkuset lat, uważasz, że panowanie twoich synów było pożyteczne dla Francji? O ile się orientuję, historycy uważają inaczej.

Katarzyna

Ale to nie ja jestem winna, że moim synom zabrakło cech prawdziwych władców.

Cornelia

I znowu muszę ci zaprzeczyć, królowo. To ty wychowywałaś swoich synów. To ty ich ukształtowałaś na słabeuszy, egoistów, rozpustników. Mnie nazywano Matką Grakchów i było to pochlebne. A gdyby ciebie nazwano matką ostatnich Walezjuszy, czy byłby to również tytuł do chwały?

Katarzyna

Nie kłóćmy się, pani. Dzieli nas ponad półtora tysiąca lat. Żyłyśmy w różnych epokach, krajach, ustrojach. Ja nie mogłam tak postępować jak ty.

Cornelia

Dzieli nas coś więcej niż stulecia czy epoki. Ja byłam córką Scypiona Afrykańskiego, jednego z największych wodzów w historii. Tego, który pokonał samego Hannibala. Moim mężem był Tyberiusz Grakchus, którego już za życia stawiano za wzór starorzymskich cnót. Po jego śmierci starałam się te cnoty zaszczepić w sercach moich synów. A ty?

Katarzyna

Ja pochodziłam z nie mniej wspaniałego rodu. Moi przodkowie, choć byli tylko kupcami, założyli największy włoski bank tamtych czasów. Potem otrzymali książęcy tytuł i przez dziesiątki lat władali Florencją. To oni uczynili z tego miasta centrum kultury renesansowej. Z rodu Medyceuszy pochodziło aż trzech papieży. A moim mężem był król Francji Henryk II, syn wielkiego Franciszka I, który do śmierci darzył mnie swoją przyjaźnią.

Cornelia

Wybacz, królowo, ale nie wiem, po co mi to mówisz. Tutaj, w zaświatach, miałam dość czasu, aby śledzić to wszystko, co działo się na ziemi. Znam historię Francji i ponury okres jej upadku pod rządami ostatnich Walezjuszy. A to w rzeczywistości były przez prawie trzydzieści lat twoje rządy, Katarzyno Medycejska!

Katarzyna

To fałsz! Ja tylko pomagałam moim synom, kolejnym królom Francji.

Cornelia

Królowo, tutaj, w zaświatach, kilkaset lat po swojej śmierci tam na ziemi, nie musisz już kłamać. Przecież wiesz, że istnieją liczne dowody na to, iż to

ty rządziłaś Francją. Korespondencja ambasadorów różnych krajów, a także francuskich, arystokratów, nuncjusza. No, i wymuszony przez ciebie na Radzie Królestwa tytuł regentki. Franciszek II objął tron mając 15 lat. Chory na gruźlicę, zostawił ster rządów w twoich rękach. Po jego śmierci królem został Karol IX, zaledwie 10-letni chłopiec. Ostatnim królem był Henryk III. Ty, królowo, wiesz najlepiej, że nie nadawał się na władcę.

Katarzyna

Ciężkie rzucasz oskarżenia.

Cornelia

Ale oparte na prawdzie. Francja była skłócona przez trwające od lat spory religijne. A ty, zamiast godzić zwaśnione stronnictwa, starałaś się intrygami jeszcze je bardziej skłócić.

Katarzyna

Tylko dlatego, aby nie doprowadzić do otwartej wojny domowej.

Cornelia

Przyznaj się, że to ty byłaś inspiratorką straszliwej rzezi w Paryżu, w noc świętego Bartłomieja.

Katarzyna

Powtarzam: zrobiłam to, aby uniknąć wojny domowej.

Cornelia

A czym były kolejne rzezie, aż do ostatniej w Bordeaux?

Katarzyna

Po raz trzeci powtarzam, że była to konieczność.

Cornelia

Tysiące zamordowanych niewinnych ludzi, starców, kobiet, dzieci nazywasz koniecznością?

Katarzyna

Wojny religijne były i będą. Ja, jako katoliczka, walczyłam o uratowanie katolicyzmu we Francji. To był mój obowiązek i nie miałam ani wtedy, ani teraz wyrzutów sumienia. A skoro ty, pani, oskarżasz mnie, powiem ci, że i ty także odpowiadasz za krwawe zamieszki w Rzymie.

Cornelia

To był zadawniony antagonizm pomiędzy popularami a optymatami, pomiędzy zwykłymi obywatelami a arystokratami. Moi synowie, najpierw Tyberiusz, a potem Gajusz, walczyli o równe prawa dla wszystkich Rzymian. Czy to przestępstwo?

Katarzyna

Ale słyszałam, że zdarzało się, że obaj łamali lub naginali, albo obchodzili prawo. Czyż nie tak?

Cornelia

Wszystko dla dobra ludu.

Katarzyna

I doprowadzili do krwawych rozruchów.

Cornelia

Sami także oddali życie za lud.

Katarzyna

A tak, tak. Słyszałam. Razem z Tyberiuszem zginęły setki Rzymian, a z Gajuszem nawet tysiące. Jak widzisz, nie da się rządzić bez zabijania.

Cornelia

Zapominasz jednak, królowo, że swobody, które moi synowie chcieli dać ludowi, po ich śmierci zostały wprowadzone. Tak więc odnieśli ostateczne zwycięstwo. Szkoda tylko, że zapłacili za to życiem.

Katarzyna

Nigdy ich nie opłakiwałaś?

Cornelia

Nigdy w obecności ludzi.

Katarzyna

I nie czułaś się odpowiedzialna za tragiczną śmierć swoich synów? Przecież to twoje wychowanie sprawiło, że zginęli.

Cornelia

Śmierć jest częścią życia człowieka. Nie da się jej uniknąć. Lepiej jednak umrzeć za słuszną sprawę niż ze świadomością, że nie wykorzystało się życia. I możliwości jakie daje władza. Czy nie myślałaś o tym, umierając?

Katarzyna

Przyznaję, umierałam pełna goryczy. Mój syn, Henryk III, ostatni z rodu Walezjuszy, otoczył się bandą rozpustników, którzy go wykorzystywali i przede wszystkim odsunęli ode mnie. Wszystkie moje plany runęły. Hugenoci znowu urośli w siłę, a na ich czele stanął „królik" z Nawarry, Henryk Bourbon. A mój syn uczynił go przed śmiercią swoim następcą. W ten sposób zniszczył ostatecznie dzieło mojego życia.

Cornelia

A może twój syn zrozumiał, że twoja polityka była szkodliwa dla Francji?

Katarzyna

Dla Francji, dla Francji! Do dzisiaj wierzę, że to ja miałam rację: to co dobre dla Walezjuszy, musiało być dobre dla Francji. Zresztą, co w tamtych czasach znaczyło słowo „Francja"? Masy ciemnego chłopstwa, miejska hołota, chciwi kupcy, rozpasani magnaci, egoistyczny Kościół? Walczący ze sobą katolicy i hugenoci? A może Liga, opanowana przez ród Gwizjuszy, dążący po trupach do zdobycia królewskiego tronu?

Cornelia

Straszny to obraz!

Katarzyna

Czy możesz mnie potępiać, że w takiej sytuacji byłam zmuszona do haniebnych nieraz ustępstw, układów, kompromisów, sojuszy? Do czynów niegodnych? Do pospolitych zbrodni?

Cornelia

Nie wiem doprawdy, co powiedzieć.

Katarzyna

Mój mąż niemal od początku naszego małżeństwa miał stałą kochankę, starszą od niego o dwadzieścia lat, Dianę de Poitiers. Nie licząc tabunów innych przypadkowych kochanek. Ja byłam niechcianą żoną, z którą jednak płodził dzieci: siedmiu synów i tyleż córek. Przeżyła do dojrzałego wieku tylko czwórka: trzech synów i jedna córka.

Cornelia

Ja mojemu mężowi urodziłam dwanaścioro dzieci, z których dzieciństwo przeżyło tylko dwóch synów i jedna córka. Tak więc nasz los jako matek był podobny. Natomiast mój mąż, w przeciwieństwie do twojego, był mi wierny, tak

jak ja jemu. I oboje nie pragnęliśmy władzy. Obce nam były również intrygi, przekupstwa, spiski.

Katarzyna

A mimo zasług twojego męża – jak słyszałam – oskarżono go o jakieś finansowe malwersacje.

Cornelia

To prawda, ale został całkowicie oczyszczony z tych plugawych zarzutów. To go jednak tak zraziło do działalności publicznej, że do śmierci odmawiał objęcia jakiejkolwiek funkcji.

Katarzyna

Ale wasi synowie poświęcili się całkowicie polityce, co przyniosło im – jak wiadomo – zgubę. Widzisz więc, że cnota nie stanowi żadnej obrony przed panoszącym się złem. Czy nie lepiej zatem posługiwać się takimi samymi metodami jak nasi wrogowie?

Cornelia

Nie przekonasz mnie. Czyste sumienie i pośmiertna sława są więcej warte.

Katarzyna

Ale bynajmniej nie przyniosły korzyści rzymskiemu ludowi, o którym tyle mówiłaś. Ten lud ulegał po śmierci twoich synów rozmaitym wyrachowanym demagogom. Reformy Grakchów doprowadziły niebawem do wzajemnego wyrzynania się na zmianę przez zwolenników Mariusza i Sulli. A potem pojawił się wielki Juliusz Cezar, prezentujący republikańskie przekonania stronnictwa popularów i przygotował grunt do jednowładztwa cesarzy. Oto ironia historii!

Cornelia

Niestety, masz rację. Nie zapominaj jednak, że Rzym zawładnął potem całym tak zwanym światem śródziemnomorskim i ustanowił słynny Pax Romana na wiele stuleci.

Katarzyna

Nie rozśmieszaj mnie, czcigodna Cornelio. Chyba sama w to nie wierzysz? W czasie tego narzuconego siłą pokoju bez przerwy trwały wojny, bunty, powstania. Z Germanami, Partami, Dakami, Scytami, Żydami, Brytami. Czy mam dalej wyliczać?

Cornelia

Ale jednak Rzym zostawił po sobie wspaniałe dziedzictwo, którego wpływu na ludzkość nie sposób przecenić. Również twoja ojczyzna Włochy i miasto rodzinne Florencja, a także Francja, którą rządziłaś, wyrosły przecież na tym rzymskim dziedzictwie. Wierzę, że było to warte poświęcenia życia moich synów.

Rozmowa ósma

Święty Franciszek i Tomas Torquemada





Św. Franciszek z Asyżu

Ur. w 1182 r. w Asyżu, zm. w 1226 r. w Porcjunkuli, w 1228 r. wyniesiony na ołtarze. Głosił apostolstwo i ewangeliczne życie w ubóstwie. Pomagał chorym, głównie trędowatym. Założyciel zakonu franciszkanów, sióstr klarysek i tercjarzy – zakonu świeckich.

Tomas Torquemada

Ur. w 1429 r. w Valladolid, zm. w 1498 r. w Avila. Hiszpański duchowny, dominikanin, przeor klasztoru w Segowii, generalny inkwizytor Kastylii, Walencji i Aragonii, doradca i spowiednik władców hiszpańskich – Izabeli I i Fryderyka II.

Franciszek

Pozdrawiam cię, ojcze Tomaszu i pytam pokornie, czy zechcesz odpowiedzieć na jedno moje pytanie?

Torquemada

W imię Boga odpowiem na każde twoje pytanie.

Franciszek

Dziękuję za twoją gotowość, ojcze. A oto moje pytanie: jak godziłeś w swojej działalności skazywanie tysięcy ludzi na więzienie, tortury i śmierć na stosie z Chrystusową miłością bliźniego?

Torquemada

Wiem, do czego zmierza twoje pytanie, Franciszku. Zanim na nie odpowiem, przedstawię ci kilka faktów. Tam, na ziemi, łączy się do dzisiaj moje nazwisko z inkwizycją. Niesłusznie. Jak świadczą źródła, pierwsze tego rodzaju kościelne trybunały powstały już w IV wieku. Do walki z heretykami, odszczepieńcami, bluźniercami i schizmatykami, zagrażającymi jedności Kościoła. Oficjalnie inkwizycja została zorganizowana w roku 1215. W tym samym czasie, kiedy zatwierdzono twój zakon, Franciszku. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności?

Franciszek

Jak możesz tak mówić, ojcze Tomaszu? To czysty przypadek!

Torquemada

Bluźnisz, Franciszku! Nie ma przypadków. Bóg w swojej mądrości przewidział wszystko. Czyżbyś w to nie wierzył?

Franciszek

Nie jestem uczonym w piśmie. Nie potrafię dyskutować z tobą o zawiłych kwestiach teologicznych. Za życia chciałem tylko służyć Bogu i ludziom.

Torquemada

To zbyt mało, Franciszku. Umysł ludzki pozbawiony oparcia w wierze, błądzi. Schodzi na manowce. Ulega pokusom. I tak powstaje herezja.

Franciszek

Wierzę, że Bóg za wstawiennictwem swego Syna, Jezusa Chrystusa, pomoże człowiekowi pozbyć się błędów. I zechce je w swoim miłosierdziu wybaczyć.

Torquemada

I znowu się mylisz, nieszczęsny! Bóg jest sprawiedliwością, a sprawiedliwość wymaga kary.

Franciszek

Dla mnie Bóg jest miłością, a miłość wymaga przebaczenia.

Torquemada

Bóg przebacza tylko tym grzesznikom, którzy uznają swoje błędy i zostaną oczyszczeni poprzez poniesienie kary.

Franciszek

Skąd to wiesz, ojcze Tomaszu?

Torquemada

Bo tak mówi Kościół ustami papieży. Nie czytałeś papieskich bulli?

Franciszek

Wyznaję ze skruchą, że nie czytałem. Nie miałem czasu, wędrując po świecie, aby nieść ludziom słowa o boskiej miłości.

Torquemada

I dlatego nie wiesz, że to papież Innocenty III, ten sam, który w roku 1210 zatwierdził twój zakon, nakazał o rok wcześniej rozpoczęcie krucjaty przeciwko albigensom. A kiedy przed ostatecznym szturmem na miasto Beziers, jeden z ich głównych ośrodków, zapytano papieskiego legata, księdza Arnolda Amalric, jak odróżnić katolika od heretyka, ten odparł bez wahania: „Zabijajcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich!"

Franciszek

To przerażające, co mówisz!

Torquemada

A po zdobyciu miasta zabito wszystkich mieszkańców, także starców, kobiety i dzieci.

Franciszek

To straszne, straszne! Nie chcę tego słuchać.

Torquemada

Zrozum, Franciszku, każdy musi ponieść karę za swoje grzechy.

Franciszek

Ale dzieci, dzieci. One były niewinne.

Torquemada

Znowu bluźnisz. Czyżbyś podważał zawarty w Piśmie Świętym przekaz o grzechu pierworodnym, który dzięki męce Jezusa Chrystusa może być zmazany tylko przez chrzest? A zatem nieochrzczone dzieci heretyków nie były niewinne.

Franciszek

Nie potrafię tego zrozumieć.

Torquemada

Twoje słowa, Franciszku, dowodzą, że nie tylko za życia nie rozumiałeś w pełni nauk Kościoła, ale jeszcze teraz, setki lat po swojej śmierci, umysł twój błądzi. Nawet nie możesz pojąć, jak bliski byłeś herezji.

Franciszek

Zawsze byłem posłuszny Kościołowi.

Torquemada

Pozornie tak, ale to, co głosiłeś nie zawsze było zgodne z jego wskazaniami. Oto pierwszy przykład: czy wierzyłeś w piekło i potępienie wieczne?

Franciszek

Choć tego nie mówiłem głośno, nie mogłem wierzyć, że Bóg, który jest czystą miłością, mógłby kogokolwiek skazać na wieczne potępienie. Nawet największego grzesznika. Biję się w piersi ze skruchą, ale nie mogłem w to wierzyć.

Torquemad

Jeśli w swoim wątłym, ludzkim umyśle kwestionowałeś jakąkolwiek z prawd wiary katolickiej, popełniałeś grzech śmiertelny. Stawałeś się heretykiem. Gdybyś żył w Hiszpanii, w czasie kiedy byłem inkwizytorem – zostałbyś osądzony i skazany na stos.

Franciszek

Co mówisz, ojcze Tomaszu? Przecież po mojej śmierci, sam nie wiem dlaczego, może za to, że służyłem ze wszelkich sił Bogu i ludziom, zostałem przez Kościół uznany za świętego. A ty teraz, po setkach lat, oświadczasz, że byłem heretykiem zasługującym na spalenie?

Torquemada

Nie kwestionuję decyzji papieża, który ogłosił cię świętym, nie mógł bowiem słyszeć słów, które przed chwilą wypowiedziałeś. Ale ja wiem, że trybunał inkwizycji wydobyłby je z twojego umysłu i serca. I wówczas nie byłbyś świętym, lecz heretykiem. Wyjątkowo niebezpiecznym, ponieważ – jak się teraz okazuje – co innego mówiłeś, a co innego myślałeś. Zapewniałeś o swoim posłuszeństwie wobec Kościoła, a w cichości ducha wątpiłeś w jego prawdy.

Franciszek

Okrutne są twoje słowa.

Torquemada

Dzięki takim jak ja, Kościół wyplenił wszystkie herezje, zachował jedność i przetrwał dwa tysiące lat.

Franciszek

Ale jakim kosztem? Tysięcy niewinnych ofiar?

Torquemada

Wszystko dla dobra jedynej prawdziwej wiary i jej depozytariusza – Kościoła.

Franciszek

Tak sobie myślę, że odpowiedziałeś już na moje pytanie, jak godziłeś przykazanie o miłości bliźniego ze skazywaniem na więzienie, tortury i śmierć na stosie.

Torquemada

Cieszę się, że wreszcie to zrozumiałeś.

Franciszek

Mylisz się, ojcze Tomaszu, nie zrozumiałem. Twoja odpowiedź pokazała, że obca ci jest istota Chrystusowego przesłania. Przy pomocy wymyślnych tortur wydobywałeś z ofiar przyznanie się do win, których często nie popełnili. A potem przekazywałeś tych nieszczęśników w ręce władzy świeckiej, wiedząc, że umrą straszną śmiercią w płomieniach.

Torquemada

To ty się mylisz, Franciszku. Te płomienie oczyszczały ich grzeszne dusze. Czyż nie wypalamy ropiejących ran? Czyż nie odcinamy gnijących członków? Te medyczne zabiegi często ratują życie pacjenta. A jeśli torturami sprawiamy, że heretyk wróci na łono prawdziwej wiary, a potem ogniem stosu wypalamy jego grzechy – ratujemy jego duszę i zapewniamy odpuszczenie win.

Franciszek

Twierdzisz zatem, że to, co robiłeś ty i inni inkwizytorzy było dobre nie tylko dla Kościoła, ale także dla nieszczęsnych ofiar?

Torquemada

Oczywiście. Nigdy nie miałem żadnych wątpliwości.

Franciszek

A jęki, płacz, skargi, krzyki torturowanych i palonych żywcem nie zakłócały twojego snu?

Torquemada

Nigdy. Miałem czyste sumienie.

Franciszek

Powiedz mi jednak, ojcze Tomaszu, czy takie samo czyste sumienie miałeś na procesach żydów i muzułmanów? Oni przecież nie byli odstępcami od katolickiej wiary? Oni tylko chcieli zachować religię swoich przodków.

Torquemada

Żydzi i muzułmanie byli wrogami Kościoła. Wyznając inną religię – zagrażali naszej. A ponadto musisz pamiętać, że i tak byli skazani na wieczne potępienie. Każdy bowiem kto odrzuca naszą, jedyną i prawdziwą, wiarę – sam skazuje się na ogień piekielny. A czymże są płomienie stosu wobec wiekuistych cierpień potępionych?

Franciszek

Nie ma w tobie litości.

Torquemada

Nie ma i nigdy nie było. To ty mogłeś litować się nad każdym grzesznikiem. Ja byłem od wymierzania sprawiedliwości.

Franciszek

Ale Jezus mówił: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni".

Torquemada

Ja sądziłem i sam byłem gotów stanąć przed boskim sądem.

Franciszek

Współczuję ci, ojcze Tomaszu. Jakże byłeś samotny.

Torquemada

Masz rację, bracie Franciszku. Choć cieszyłem się pełnym poparciem królowej Izabelli i króla Ferdynanda, wielu biskupów i grandów było przeciwko mnie. I wiedziałem, że setki ludzi przeklinały moje imię. Czyniono mnie odpowiedzialnym za wszelkie błędy i nadużycia trybunałów inkwizycyjnych; wszak byłem Wielkim Inkwizytorem. Taki bowiem miałem tytuł. Chyba wiesz, że odmówiłem przyjęcia sakry biskupiej? Wszystko dla chwały Kościoła.

Franciszek

Wybacz mi moje słowa, ale czy nie upajała cię władza nad życiem i śmiercią?

Torquemada

Franciszku, znowu mnie oskarżasz, tak jak inni przed wiekami, tam na ziemi.

Franciszek

Nie oskarżam cię, chcę tylko zrozumieć twoje postępowanie,

Torquemada

Wypleniłem herezję w Hiszpanii. To było moje zwycięstwo. A w całej Europie trybunały inkwizycji wzorowały się na hiszpańskiej.

Franciszek

Ojcze Tomaszu, to wzorowanie przyniosło nieopisane cierpienia tysiącom ludzi!

Torquemada

Powtarzam, dobro Kościoła warte było wszelkich ofiar. A przypomnę ci, że później, to właśnie inkwizycja odkryła tajemne knowania czarownic, które były narzędziem szatana.

Franciszek

Czyżbyś nie wiedział, że te czarownice, które palono tysiącami na stosach, były przeważnie przerażonymi staruszkami lub nieletnimi dziewczętami? Nie mogę bez bólu myśleć o tych nieszczęsnych istotach, poddawanych okrutnym torturom.

Torquemada

To była, Franciszku, walka ze Złem. A to Zło tkwi w człowieku. I trzeba je jak zarazę wypalić.

Franciszek

Muszę ci zaprzeczyć. Człowiek nie jest zły z natury. To po prostu niemożliwe, ponieważ to dobry Bóg stworzył człowieka. Nie ma złych ludzi, są tylko nieszczęśliwi. Ich nieszczęście, to oddzielenie się od Boga. I na tym właśnie powinna polegać rola zakonników – pomagać ludziom w powrocie do Boga. Więzienia, tortury, stosy tego nie dokonają. Inkwizycja nie wypleniła Zła. Wystarczy popatrzeć na to, co teraz dzieje się na ziemi.

Torquemada

Ale Kościół przetrwał.

Franciszek

Czy naprawdę myślisz, że zawdzięcza to inkwizycji? Przecież obecnie jest słabszy niż przed wiekami. A poza tym, czy zapomniałeś już co powiedział Jezus apostołom? „Idźcie i nauczajcie w imię moje". Nie powiedział nigdy: zabijajcie w imię moje!

Rozmowa dziewiąta

Kleopatra i Teodora





Kleopatra VII Wielka

Ur. w 69 r. p.n.e. w Aleksandrii, zm. tamże w 30 r. p.n.e., popełniając samobójstwo. Ostatnia królowa Egiptu, jedna z największych kobiet starożytności. Nieprzeciętnie inteligentna, o jej urodzie krążyły legendy. Związana z wielkimi wodzami Rzymu - Juliuszem Cezarem i Markiem Antoniuszem.

Teodora

Ur. ok. 500 r. na Cyprze, zm. w 548 r. w Konstantynopolu, żona cesarza bizantyjskiego Justyniana I Wielkiego i cesarzowa. Pochodziła z nizin społecznych, w młodości uprawiała aktorstwo i nierząd. Okazała się zręcznym politykiem, wspierała męża, ale i prowadziła własną politykę.

Kleopatra

Cieszę się z tego spotkania, słynna cesarzowo Teodoro.

Teodora

Ja także cieszę się, że mogę wreszcie zobaczyć najpiękniejszą kobietę starożytności.

Kleopatra

Ciebie również uważano za najpiękniejszą kobietę w historii cesarstwa rzymskiego.

Teodora

Dzięki ci, królowo, za ten komplement. O moim nosie jednak nie mówiono, że gdyby był trochę krótszy, losy świata potoczyłyby się inaczej.

Kleopatra

To oczywiście przesadne pochlebstwo dworaków. Choć, być może, miałam dzięki Cezarowi pewien wpływ na historię. Ale ja nie rządziłam, w przeciwieństwie do ciebie, całym rzymskim cesarstwem. A to, że panowałam w Egipcie zawdzięczam jedynie Cezarowi i Antoniuszowi.

Teodora

A ja swoją władzę wyłącznie Justynianowi.

Kleopatra

Jak jednak doszłaś do tego? Nie obrażając cię, słyszałam, że nie pochodziłaś ze znacznego rodu.

Teodora

Jesteś bardzo delikatna, królowo. Ja bowiem, w przeciwieństwie do ciebie, pochodziłam z najniższych warstw społecznych. Mój ojciec był tylko niedźwiednikiem, a matka wykonywała najgorszy zawód – była aktorką. Może tego nie wiesz, królowo, ale w tamtych czasach aktorki były stawiane, często zresztą słusznie, na równi z prostytutkami.

Kleopatra

Nie tylko w tamtych czasach, cesarzowo. Tak było przez tysiące lat. O ile się orientuję, dopiero w XIX stuleciu wybitne aktorki zdobyły po raz pierwszy wyższą pozycję w społeczeństwie. A w XX wieku, dzięki filmowi, stały się nawet sławniejsze i bogatsze niż władcy. Cóż za zmiana! Ty jednak, jako pierwsza, już w VI stuleciu udowodniłaś, że dzięki urodzie, inteligencji i silnej woli

można wydostać się z nizin i osiągnąć najwyższe stanowisko – poślubić cesarza rzymskiego imperium.

Teodora

Wiemy, że władcy mogli mieć najpiękniejsze kobiety, coraz to nowe na każdą noc. Ale to nie wystarczało tym najwybitniejszym. Potrzebowali czegoś więcej. Zauważyłam to już jako kilkunastoletnia dziewczyna. Gdybyś ty, królowo, nie przewyższała innych kobiet inteligencją, to czy sam wielki Juliusz Cezar zwróciłby na ciebie uwagę? A potem przez cztery lata, aż do śmierci, był pod twoim wpływem i przyznał ci tytuł sprzymierzeńca i przyjaciela narodu rzymskiego. I – co może najlepiej świadczy o jego stosunku do ciebie – chciał mieć z tobą syna. Kto wie, do jakich godności mógłby dojść wasz Cezarion, jedyny syn wielkiego Cezara, gdyby nie został zdradziecko zamordowany?

Kleopatra

Proszę, nie przypominaj mi o tej największej tragedii mojego życia. Mój syn został zamordowany z rozkazu Oktawiana, mając zaledwie 17 lat.

Teodora

Nie rozumiem, dlaczego cesarz Oktawian, który przeszedł do historii jako mądry władca, tak postąpił.

Kleopatra

Tutaj, w zaświatach, mamy możliwość poznania tego, co działo się przed i po naszym życiu. Śledziłam losy Rzymu i Oktawiana. Po śmierci Cezara przez kilkanaście lat trwały bratobójcze walki. Kiedy Oktawian pokonał Antoniusza, wreszcie nastąpił w Rzymie spokój. Obywatele odetchnęli z ulgą, a historycy obeszli się z Oktawianem nader łagodnie.

Teodora

Słyszałam jednak, że oponentów i krytyków nie tolerował i skazywał na wygnanie.

Kleopatra

Postąpił tak nawet z własną córką i wielkim poetą Owidiuszem. Najpierw przy pomocy intryg skupił w swoich rękach całą władzę, aby potem zrzec się jej wspaniałomyślnie, wiedząc, że senat będzie go błagał o zmianę tej decyzji. Miał wszystkie godności, łącznie z tytułem najwyższego kapłana.

Teodora

Dlatego właśnie musiał na początku swego panowania zamordować Cezariona, który jako jedyny syn Cezara mógłby stać się groźnym konkurentem.

Kleopatra

A ja, domyślając się zamiarów Oktawiana, wysłałam Cezariona daleko na wschód. Po mojej śmierci Oktawian skłonił go podstępem do powrotu, obiecując opiekę. A kiedy biedny chłopiec uwierzył i wrócił, został zamordowany.

Teodora

Ty jednak nie uwierzyłaś Oktawianowi?

Kleopatra

Po zwycięstwie nad Antoniuszem, Oktawian obiecał mi przez posłów, że pozostanę nadal królową Egiptu, jeśli wezmę udział w jego triumfie. Chyba wiesz, na czym to polegało?

Teodora

Domyślam się, musiałabyś kroczyć za jego rydwanem. Wśród gwizdów, okrzyków i wyzwisk motłochu.

Kleopatra

To byłoby zbyt wielką hańbą dla mnie, królowej Egiptu, dziedziczki tronu faraonów.

Teodora

Pozwól, że zadam ci jedno pytanie. Dlaczego nie próbowałaś oczarować Oktawiana? Potrafiłaś podbić serce Cezara, potem Antoniusza. Kto wie, czy nie uległby ci także Oktawian?

Kleopatra

Odpowiem ci szczerze, cesarzowo. Miałam dwóch mężów – braci: Ptolemeusza XIII i Ptolemeusza XIV. Kiedy ich poślubiałam, byli jeszcze chłopcami. Nigdy nie traktowałam ich jak mężczyzn. Pierwszy w dniu ślubu miał zaledwie 10 lat! Ojciec chciał, abyśmy rządzili razem. Brat, kiedy nieco podrósł, zamierzał pozbawić mnie należnej połowy władzy. Cezar ujął się za mną i pokonał jego wojska. Ptolemeusz XIII utonął podobno w czasie ucieczki. Drugi brat z rozkazu Cezara został także moim tytularnym mężem. Pamiętaj, że władcy Egiptu uważani byli za bogów i nie mogli poślubiać zwykłych śmiertelników. Jego sama kazałam zgładzić po powrocie z Rzymu. Chciał bowiem, jak pierwszy brat, pozbawić mnie władzy.

Teodora

Nie odpowiedziałaś jednak na moje pytanie.

Kleopatra

Cierpliwości, cesarzowo. Cezar miał żonę w Rzymie i choć wszyscy wiedzieli o łączącym nas stosunku, oficjalnie traktował mnie jedynie jako królową Egiptu i sprzymierzeńca. Pomimo że nie wyparł się ojcostwa Cezariona. Antoniusz poślubił mnie, nie mając rozwodu z pozostawioną w Rzymie żoną, co było niezgodne z obowiązującym prawem. Urodziłam mu dwóch synów i córkę.

Teodora

Nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

Kleopatra

Opowiedziałam ci, jak układały się moje stosunki z mężczyznami. Byłam już nimi zmęczona. Miałam 38 lat i brakowało mi sił do starań o względy Oktawiana. Przestałam wierzyć w swoje szczęście oraz w to, że warto walczyć o władzę. Wybrałam królewski gest – dobrowolną śmierć. Miałam świadomość, że będzie to zarazem zwycięstwo nad Oktawianem. Oto moja odpowiedź na twoje pytanie.

Teodora

Rozumiem cię, królowo. Choć nie wiem, czy sama zdobyłabym się na taki krok. Zbyt byłam przywiązana do życia; zbyt je kochałam. Aby je zachować, byłam gotowa do wszelkich poświęceń.

Kleopatra

Słyszałam przeróżne wiadomości o tym, co robiłaś jako zupełnie młoda dziewczyna.

Teodora

Ukrywałam to starannie od dnia, w którym poznałam Justyniana. Odcięłam się całkowicie od swojej przeszłości; wymazałam ją z pamięci.

Kleopatra

Ale twoi wrogowie nie zapomnieli.

Teodora

Szczególnie Prokopiusz z Cezarei.

Kleopatra

Nawet tutaj, w zaświatach, jego „Historia sekretna" stała się swoistą sensacją. Wybitny uczony, sławiący w swoim podstawowym dziele cesarza Justyniana, którego nazywał Wielkim, w małej plotkarskiej książeczce miesza go z błotem. Ciebie, cesarzowo, również najpierw oficjalnie wychwalał, a potem w tejże książeczce opisał jako wyjątkowo wyuzdaną ladacznicę.

Teodora

Prokopiusz w swojej „Historii sekretnej" spisał wszystkie najohydniejsze plotki, jakie rozpowszechniali moi wrogowie. Ani Justynian, ani ja nie wiedzieliśmy o tej książeczce. Pisał ją w najgłębszej tajemnicy, bojąc się – i słusznie – o swoje życie. Minęło wiele lat zanim została odnaleziona i opublikowana.

Kleopatra

Przyznaj jednak, że przynajmniej część plotek o twojej młodości oparta była na prawdziwych wydarzeniach.

Teodora

Droga królowo, porozmawiajmy jak dwie kobiety. Jeśli się zgodzisz, mówmy sobie po imieniu. Ostatecznie, pomimo dzielących nas różnic, istniało wiele podobieństw. Obie znałyśmy wybitnych mężczyzn i dzięki nim mogłyśmy rządzić. Ty jawnie, ja w ukryciu. Zgoda?

Kleopatra

Zgoda, Teodoro.

Teodora

A teraz powiem ci jak kobieta kobiecie. Dopóki nie poznałam Justyniana, trudno byłoby uznać moje życie za cnotliwe. To prawda.

Kleopatra

Ja również daleka byłam od życia westalek.

Teodora

Traktowałam mężczyzn, starych i młodych, bogatych i biednych, jako narzędzie do urządzania sobie życia. Nie usprawiedliwiam się, ale czy miałam jakiś wybór? Córka cyrkowej aktorki i cyrkowego niedźwiednika nie posiadała niczego więcej jak tylko własne, trzeba przyznać, urodziwe młode ciało. Kiedy jednak zainteresował się mną Justynian, siostrzeniec cesarza Justyna, zrozumiałam, że otrzymałam jedyną szansę, aby zmienić swoje życie. Resztę znasz już z historii.

Kleopatra

I nigdy nie zdradziłaś Justyniana?

Teodora

Zapewniam cię, że nigdy. Początkowo byłam mu wierna z obawy, aby go nie stracić. Kiedy jednak ożenił się ze mną, a potem został cesarzem i mnie uczynił cesarzową – władza wypełniała całe moje życie.

Kleopatra

Kochałaś Justyniana?

Teodora

A ty kochałaś Cezara?

Kleopatra

Tak jak ty, kochałam przede wszystkim władzę. Zostawmy miłość postaciom z mitologii, takim jak dwoje pastuszków: Dafnisowi i Chloe.

Teodora

Justynian był wielkim człowiekiem, ostatnim władcą całego rzymskiego imperium. Usiłował z powodzeniem wskrzesić chwałę i potęgę dawnego Rzymu. Skodyfikował przy pomocy wybitnych prawników rzymskie prawa. Do dzisiaj na ziemi uczą się ich studenci. Po piętnastu stuleciach! A ja wspierałam Justyniana we wszystkich jego poczynaniach. I mogę jeszcze teraz odczuwać satysfakcję, że przyczyniłam się do chwały swojego męża. Pomimo bowiem ogromnej władzy, a może właśnie dlatego, miał trudności w nawiązywaniu kontaktu z ludźmi. Ja – przeciwnie. Dlatego zdarzało się, że Justynian powierzał mi bardziej delikatne misje dyplomatyczne. I zapewniam cię, Kleopatro, że udawało mi się niejedną wykonać pomyślnie.

Kleopatra

Mówiąc bez złośliwości, Teodoro, mogłaś wykorzystać doświadczenia młodości.

Teodora

Przyjmuję to nie jako złośliwość, lecz komplement. Ale najbardziej czuję się dumna, że mogłam uczestniczyć w powstaniu Kodeksu. Justynian, widząc, iż potrafię łagodzić spory, zlecił mi utrzymywanie stałego kontaktu z prawnikami opracowującymi Kodeks, a szczególnie z nader drażliwym Trybonianem, który odpowiadał za ostatnią redakcję dzieła. Dzięki temu udało mi się choć trochę zmienić niekorzystne dla kobiet prawa.

Kleopatra

I tego ci zazdroszczę.

Teodora

Pomimo wszystko moje życie było szczęśliwsze niż twoje, Kleopatro. Trudne dzieciństwo i często haniebna, upokarzająca młodość minęły jak zły sen. Przez dwadzieścia lat mogłam wpływać – jak to się pięknie mówi – na losy ówczesnego świata. I odejść z niego spokojnie, mając przy sobie oddanego męża.

Kleopatra

A moje życie było ciągłą walką o utrzymanie władzy i zakończyło się klęską.

Teodora

Zyskałaś jednak nieśmiertelną sławę tam, na ziemi. Napisano o tobie setki książek, od romansów po naukowe monografie. Opiewano cię w poezji. Najpiękniejsze aktorki XX wieku marzyły, aby wcielić się w twoją postać. Przeszłaś do historii, co więcej – stałaś się symbolem. Historycy nadali ci przydomek Wielka, aby cię wyróżnić z pomiędzy wielu innych Kleopatr, umieszczonych w podręcznikach, encyklopediach i słownikach. Kto wie, może to więcej warte niż szczęśliwe życie?

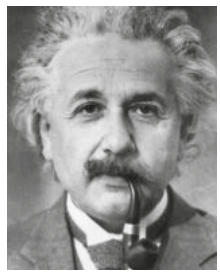
Rozmowa dziesiąta

Newton i Einstein



Isaac Newton

Ur. w 1643 r. w Woolsthorpe, zm. w 1727 r. w Londynie, jeden z najwybitniejszych fizyków, matematyków, astronomów w dziejach, był też filozofem, historykiem, biblistą, alchemikiem. Sformułowanie podstaw fizyki klasycznej, jego odkrycia w dziedzinie optyki, matematyki, praw rządzących Ziemią i ciałami niebieskimi do dziś służą nauce. Otrzymał tytuł szlachecki.



Albert Einstein

Ur. w 1879 r. Ulm w Niemczech, zm. w 1955 r. w Princeton w USA, jeden z największych fizyków – teoretyków w historii nauki. W 1905 r. ogłosił szczególną, a 1916 r. ogólną teorię względności, która zmieniła nauki ścisłe i przyrodnicze. Laureat nagrody Nobla w 1921 r. w dziedzinie fizyki. Inicjator Manhattan Projekt.

Newton

Aaa… to pan, panie Einstein! Ten, który zanegował prawa natury przeze mnie odkryte!

Einstein

Mistrzu, nigdy bym się nie ośmielił zaprzeczać czemukolwiek, co było pańskim dokonaniem. Zbyt pana szanuję.

Newton

Szanuję, szanuję!… To tylko słowa, panie Einstein! W rzeczywistości cała ta pańska teoria, jak jej tam, względności, zaprzecza sformułowanym przeze mnie prawom.

Einstein

Mistrzu, to nieporozumienie! Ani ja, ani nikt inny z fizyków XX i XXI wieku nie twierdził czegoś takiego. My po prostu sprawdziliśmy, że sformułowane przez pana prawa nie odnoszą się do wszystkich możliwych zjawisk we wszechświecie.

Newton

A wy jesteście pewni, że znacie wszystkie zjawiska, mogące zachodzić we wszechświecie? Posiedliście wiedzę Boga?

Einstein

Wprost przeciwnie, mistrzu. My tylko staramy się odkryć jak najwięcej tajemnic natury; szukamy właściwych rozwiązań. I przyznaję, ciągle popełniamy błędy.

Newton

Aa… popełniacie błędy?

Einstein

Oczywiście, mistrzu. Znasz przecież stare powiedzenie: „Rzeczą ludzką jest błądzić". Nikt z nas nie jest nieomylny. Przypomnij sobie, mistrzu, pomyłki popełnione przez takich geniuszy jak Arystoteles. A czy teoria Ptolemeusza nie zawierała podstawowego błędu? Przecież to Ziemia obraca się wokół Słońca, a nie odwrotnie, jak twierdził. Wszyscy wiemy, że dopiero Kopernik odważył się ten błąd poprawić. Pomimo że za teorią Ptolemeusza stała nauka Kościoła. Ale i Kopernik popełnił błąd. Ciała niebieskie nie krążą po kolistych orbitach.Odkrył to i obliczył dopiero Kepler. Czy mam dalej wymieniać błędy geniuszy?

Newton

Nie mogę pojąć, do czego zmierza twój wywód, oparty na dobrze znanych faktach.

Einstein

Chcę ci tylko, mistrzu, uzmysłowić, że rozwój nauki opiera się na ustawicznej korekcie praw, reguł, twierdzeń, poglądów, które dotąd obowiązywały. Czy pamiętasz zasadę, będącą przez wieki podstawą fizyki: natura nie znosi próżni? I ona okazała się błędna. Potwierdziły to ponad wszelką wątpliwość wyniki doświadczeń. W naturze istnieje próżnia.

Newton

Oczywiście, oczywiście! Coraz lepsze instrumenty pomiarowe pozwoliły na rozszerzenie ludzkiej wiedzy. Sam, własnymi rękoma wiele przyrządów wykonałem.

Einstein

Tego ci, mistrzu, zawsze zazdrościłem. Ja nie miałem najmniejszych uzdolnień technicznych. Potrafiłem tylko myśleć.

Newton

A ja, jak zapewne pan wie, panie Einstein, stworzyłem pierwszy w historii teleskop zwierciadlany. Słyszałem, że nadal, po trzystu latach, konstruuje się takie same.

Einstein

Mistrzu, określenie „pierwszy", w przypadku pańskiej osoby, można stosować w wielu dziedzinach.

Newton

Cieszę się, że pan raczył to zauważyć.

Einstein

Mistrzu, bez obrazy, ale czemu jest pan taki agresywny, złośliwy, zrzędliwy, kłótliwy?

Newton

Bo tak jak za życia, tak i po mojej śmierci przeróżne miernoty chcą mnie pozbawić moich zasług.

Einstein

Z całym szacunkiem, mistrzu, ale dlaczego „miernoty"? Przecież Leibniz był wybitnym uczonym i filozofem.

Newton

Możliwe, ale zarazem był oszustem, złodziejem i oszczercą! Kiedy odwiedził mnie w Londynie, pokazałem mu rękopisy dotyczące rachunku różniczkowego i całkowego. A on je przeczytał i potem opublikował jako własne.

Einstein

Mistrzu, przecież chyba sam w to nie wierzysz? Leibniz odwiedził cię w 1673 roku, a swoje dzieło o rachunku różniczkowym i całkowym opublikował dopiero w roku 1684. Czy przypuszczasz, że przez tyle lat pamiętał o tak skomplikowanych obliczeniach, które pobieżnie w twoim towarzystwie przeglądał? Ponadto wiemy, że aż do dzisiaj w podręcznikach matematyki obowiązuje jednak zapis Leibniza, a nie twoje fluksje, mistrzu.

Newton

I w ten nieuczciwy sposób pozbawiono mnie pierwszeństwa! Hańba!

Einstein

Pozwól, mistrzu, że coś ci wyjaśnię. Tylko nie przerywaj. We wszystkich encyklopediach, słownikach, podręcznikach, monografiach uznano cię za największego uczonego wszech czasów. Twój wpływ na rozwój nauki był najbardziej doniosły. Twoje teorie bez przesady zrewolucjonizowały świat. I nikt rozsądny tego nie kwestionuje. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Newton

Miło mi to słyszeć nawet tutaj, w zaświatach.

Einstein

Uznaj jednak, że nie wszystko stworzyłeś sam, z niczego. Przed tobą byli: Bacon i Kartezjusz, Galileusz i Harvey, Kopernik i Kepler, nie licząc wielu pomniejszych. To ty jednak połączyłeś ich odkrycia w spójne teorie i sformułowałeś proste prawa. Czy warto zatem toczyć jałowe spory o pierwszeństwo, skoro i tak jesteś największy? I żadne nowe odkrycia nigdy nie umniejszą twojej wielkości?

Newton

Hm, może masz jednak trochę racji?

Einstein

Ja również niczego bym nie dokonał, gdyby nie moi poprzednicy. Tak jak ty, pochłaniałem w dzieciństwie dziesiątki książek. Szkoła mnie nudziła; nauczyciele głośno mówili, że nic ze mnie nie będzie.

Newton

A widzisz…

Einstein

Studentem również byłem przeciętnym, a potem z trudem dostałem marną posadę młodszego inspektora w Biurze Patentowym. Opowiadam o tym, aby ci, mistrzu, uświadomić, że zanim zdobyłem sławę, przeszedłem długą i trudną drogę.

Newton

Ale wreszcie osiągnąłeś to, że stałeś się najpopularniejszym uczonym na świecie.

Einstein

Zdaję sobie jednak z tego sprawę, że ta popularność oparta była na całkowitym niezrozumieniu istoty mojej teorii. Dotyczyła tylko jej nazwy. Pozwól jednak, że wrócę do sprawy poprzedników. Gdyby nie wielcy uczeni, z których wymienię tylko część, nie wiem, czy potrafiłbym sformułować swoje teorie. To m.in.: Helmholtz, Maxwell, Lorenz, Riemann, Morley, Michelson, Mach. No, i oczywiście pan, mistrzu.

Newton

Chyba jednak pan przesadza, panie Einstein. Obalił pan moje twierdzenia…

Einstein

Ale gdyby ich nie było, nie miałbym czego obalać. Wszystkie niedostatki, braki i błędy w pańskich prawach były dla mnie inspiracją. Tak jak moje dla innych fizyków. Mistrzu, przecież pan dobrze wie, jak bardzo byłem krytykowany. Jak wytykano mi każdą niedokładność moich równań. Jak wyśmiewano moje wieloletnie, bezowocne wysiłki stworzenia jednolitej teorii pola. I niechęć do uznania mechaniki kwantowej, interpretacji kopenhaskiej i zasady nieoznaczoności. Pomimo iż po latach przyznawałem się do swoich pomyłek.

Newton

Słyszałem o pańskich wypowiedziach na różne tematy i o różnych osobach…

Einstein

Czy także o panu, mistrzu?

Newton

Oczywiście. Były pochlebne jak te, które wygłasza pan teraz. Ale traktowałem je jedynie jako czystą kurtuazję.

Einstein

I to kolejna pana pomyłka, mistrzu. A moją największą pomyłką było wymyślenie „stałej kosmologicznej". Sam nie wiem, jak mogłem wpaść na podobnie niedorzeczne rozwiązanie.

Newton

Skoro już rozmawiamy tak szczerze, to moją największą pomyłką była idea stałego, całkowicie niezmiennego wszechświata. Teraz wiem, że jest on w ciągłym ruchu, że się rozszerza.

Einstein

Dzięki ci, mistrzu, za te słowa. Dowodzą twojej wielkości. Prawdziwa nauka nie zamyka się w dogmatach, a prawdziwy uczony musi być gotów zrezygnować z najbliższych jego sercu teorii. Tym bardziej, że najbardziej twórczy okres każdego naukowca zamyka się w obrębie zaledwie kilkunastu lat i kończy mniej więcej po trzydziestce. Tak było i z tobą, mistrzu, i ze mną. I z wieloma innymi. Kiedy ja byłem już uznanym naukowcem i profesorem, dwudziestolatkowie odkrywali coraz to nowe fascynujące tajemnice natury. Słyszał pan zapewne takie nazwiska, jak np.: Penrose, Heisenberg, Schrödinger, Hawking, Feynman, Hoyle. To wspaniali, pełni odwagi naukowcy!

Newton

Tak ich pan chwali, a przecież krytykowali wiele z pańskich sformułowań.

Einstein

Nie tylko ci młodzi kwestionowali szereg moich pomysłów, równań, wyliczeń. Spierali się ze mną także moi rówieśnicy, będący wielkimi fizykami, matematykami, filozofami, astronomami, na przykład: Born, Bohr, Planck, Russel. Te dyskusje, polemiki, ataki były dla mnie wręcz podniecające, a jednocześnie inspirujące.

Newton

I tym się różnimy.

Einstein

Nie tylko tym. Przypuszczam, że podstawowa różnica tkwi w naszym stosunku do Boga.

Newton

Pan mógł wygłaszać swoje poglądy religijne otwarcie. W moich czasach było to niemożliwe, Przez całe życie musiałem ukrywać, że byłem unitarianinem.

Dowiedziano się o tym dopiero po mojej śmierci z pozostawionych, starannie strzeżonych, notatek. Dla mnie wiara w Jedynego Boga i Jego Słowo, zapisane w Biblii, stanowiły podstawę mojego rozumienia natury.

Einstein

Ja nie mogłem sobie wyobrazić osobowego Boga, zwłaszcza po dwóch rzeziach, nazywanych wojnami światowymi. Widząc całe zło świata, doszedłem do wniosku, że jedynym usprawiedliwieniem dla Boga może być tylko jego… nieistnienie.

Newton

Straszne to stwierdzenie! A jak pan wyjaśni na przykład porządek we wszechświecie, niezmienne prawa natury, cudowne funkcjonowanie ludzkiego mózgu?

Einstein

Z tym porządkiem we wszechświecie trudno się zgodzić. Tak modna teraz na ziemi teoria chaosu kwestionuje ład, zarówno w makro-, jak i w mikroskali. A prawa natury? Cóż, poznajemy je coraz lepiej, ale trudno dostrzec tak zwany inteligentny projekt na przykład w narodzinach i śmierci każdej żywej istoty. Mózg zaś, co odkryli już biolodzy, jest wynikiem ewolucji, podobnie jak inne organy.

Newton

Ale początek, początek? Przecież ten ogromny wszechświat nie mógł powstać z niczego? To absurd!

Einstein

Obecnie w nauce, tam, na ziemi, przeważa pogląd, że energia jest wieczna i wszechobecna. A nasz wszechświat powstał w wyniku tak zwanego wielkiego wybuchu.

Newton

A co było przedtem?

Einstein

W continuum czasoprzestrzennym nie ma ani „przedtem", ani „potem".

Newton

Ale dowody, dowody? Pańskie twierdzenia, to tylko spekulacje!

Einstein

A gdzie dowody na istnienie Boga? Brak dowodów zastępuje pan wiarą. Czy to nie jest także tylko spekulacja?

Newton

Nie wyobrażam sobie wszechświata bez Boga.

Einstein

Rozumiem, ale dla mnie jako naukowca, nie jest to wystarczający argument. Podobno wielki Laplace powiedział Napoleonowi, że wiara w istnienie Boga, to zbędna hipoteza. Mistrzu, szanuję pańskie przekonania religijne, ale nie mogę ich zrozumieć.

Newton

A nie odczuwa pan zachwytu nad strukturą wszechświata?

Einstein

Oczywiście, że odczuwam. Ale to właśnie nauka odsłania nam całą potęgę i majestat przyrody. Nie religia. A wiara w osobowego Boga jest mi najzupełniej obca i uważam ją za wręcz naiwną.

Newton

A ja widzę Jego rękę zarówno w ogromie wszechświata i w każdej drobinie piasku.

Einstein

Czy dlatego zajmował się pan alchemią?

Newton

Panie Einstein, jest pan złośliwy. Alchemia była źródłem chemii. A dla mnie ponadto wiązała się z mistyką i ezoteryką. Szukałem nie złota, ale syntetycznego obrazu wszechświata. Podobnie jak pan jednolitej teorii pola. I równie bezskutecznie.

Einstein

Mistrzu, to był celny strzał. Ma pan rację. Poświęciliśmy wiele lat, aby znaleźć jakąś „teorię wszystkiego". Czyżby nie było to w ogóle możliwe?

Newton

Tylko Bóg jeden to wie.

Einstein

A jeśli On tak samo nie istnieje, jak ta teoria?

Newton

Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Einstein

Zostawmy naszym następcom te poszukiwania. Niech się odwołają do naszych, często wykluczających się nawzajem, teorii. Pańskiej mechaniki klasycznej i nowej mechaniki kwantowej, a przede wszystkim do odkrytego przez pana prawa powszechnej grawitacji. I do odkrytych w XX wieku sił: elektromagnetycznej, silnego i słabego oddziaływania atomowego. My musimy zadowolić się tym, cośmy zdołali dokonać.

Newton

Jestem pewien, że dokonaliśmy niemało.

Einstein

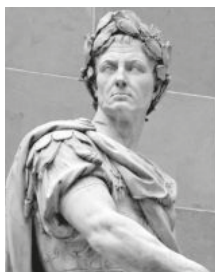
Pan, mistrzu, był pierwszym uczonym w historii Anglii, który za życia otrzymał szlachecki tytuł, a po śmierci został pochowany w opactwie westminsterskim. A o pańskiej wielkości niech świadczy dwuwiersz Aleksandra Pope'a: „Naturę i jej prawa skrywała noc. Bóg rzekł: Niech się stanie Newton! I stała się Jasność".

Newton

A pan był pierwszym i jedynym w historii ludzkości uczonym, który zyskał ogólnoświatową sławę. Nie zmarnowaliśmy życia danego nam przez Boga lub – jak pan woli – Naturę.

Rozmowa jedenasta

Juliusz Cezar i Napoleon



Gajusz Juliusz Cezar

Ur. w 100 r. p.n.e. w Rzymie, zm. tamże w 44 r. p.n.e. Jeden z najwybitniejszych wodzów w historii i wielka postać świata starożytnego. Polityk, wódz, pisarz, dyktator, władca Rzymu – Cezar.



Napoleon Bonaparte

Ur. w 1769 r. w Ajaccio na Korsyce, zm. w 1821 r. na wyspie Św. Heleny, jeden z najwybitniejszych mężów stanu, wodzów, reformatorów ustroju państwowego i systemu prawa. Najmłodszy generał, konsul Republiki Francuskiej, cesarz Francji. Podbił bądź uzależnił od siebie znaczną część państw europejskich.

Cezar

Witam słynnego cesarza, Napoleona Bonaparte, którego nazywano francuskim wcieleniem Juliusza Cezara.

Napoleon

Witam wielkiego Cezara, który był dla mnie wzorem do naśladowania. I którego dzieła studiowałem.

Cezar

I pomimo to uważałeś się za równego mi?

Napoleon

Wybacz, Cezarze, ale nadal uważam, że pod pewnymi względami nawet cię przewyższyłem.

Cezar

Oo, czyżby? Ty mnie przewyższyłeś? Ty, który przegrałeś liczne bitwy i wojny, aż wreszcie skończyłeś jako więzień?

Napoleon

Widzę, że poznałeś dokładnie moje życie, pomimo iż dzieli nas ponad 1800 lat.

Cezar

Tutaj, w zaświatach, czas się nie liczy. Czyżbyś o tym zapomniał, podobnie jak o swoich klęskach?

Napoleon

Czemu mnie atakujesz, wielki Cezarze?

Cezar

Pamiętaj, Napoleonie, że po śmierci ziemska chwała przestaje mieć dla nas jakiekolwiek znaczenie. Powinniśmy zapomnieć, kim byliśmy tam na ziemi: władcami czy niewolnikami, bohaterami czy zdrajcami. Tutaj jesteśmy równi.

Napoleon

Zgadzam się z tobą, Cezarze, czemu jednak w takim razie wypominasz mi moje klęski?

Cezar

Ponieważ słyszałem, że nawet tutaj, w zaświatach, nie możesz pozbyć się swojego ziemskiego przekonania o własnej wielkości.

Napoleon

Któż tak twierdzi?

Cezar

Och, na przykład Aleksander Macedoński.

Napoleon

On? Przecież zawsze uważałem go za wzór!

Cezar

Ale, jak stwierdzają twoi współcześni, opowiadałeś, że dokonałbyś większych podbojów, gdyby twoim ojcem był król, a nie skromny prawnik.

Napoleon

Na pewno, Cezarze! Pomimo niekorzystnego splotu okoliczności, zdołałem pokonać wszelkie przeszkody. I stać się władcą równym takim jak ty czy Aleksander. Wszystko zawdzięczałem sobie i tylko sobie! Czy nie mam racji twierdząc, że moja siła woli przewyższała twoją i Aleksandra?

Cezar

Napoleonie, Napoleonie! Czy nigdy nie pozbędziesz się swojej ziemskiej pychy?

Napoleon

To nie pycha, lecz świadomość własnej wartości. Jeśli chcesz, Cezarze, możemy dokonać porównania twojego i mojego życia, twoich i moich dokonań.

Cezar

Chętnie. Myślę, że będzie to naprawdę interesujące.

Napoleon

Zacznijmy od młodości. Ty, Cezarze, pochodziłeś z rodu julijskiego, jednego z najstarszych i najznaczniejszych w Rzymie. Podobno wywodzącego się prosto od legendarnego Eneasza. Mając zaledwie 22 lata zostałeś kwestorem w prowincji hiszpańskiej. Potem objąłeś urząd edyla kurulnego, a następnie zdobyłeś, pomimo młodego wieku, stanowisko najwyższego kapłana. W rok później zostałeś pretorem.

Cezar

Widzę, że dokładnie przestudiowałeś mój życiorys.

Napoleon

Przecież mówiłem, że byłeś dla mnie wzorem. W młodości, w miarę upływu lat, porównywałem swoje osiągnięcia z twoimi. Po zaledwie roku urzędowania na stanowisku pretora, zostałeś namiestnikiem w Hiszpanii. A potem co roku zdobywałeś coraz to nowe wyższe urzędy: byłeś kolejno triumwirem, konsulem i wreszcie namiestnikiem w obu prowincjach, tworzących Galię.

Cezar

Podziwiam twoją znajomość mojego życiorysu. Zapominasz jednak, że na każdym stanowisku miałem osiągnięcia. Nie będę ich wymieniał; zbyt są znane. I to dzięki nim powierzano mi coraz to nowe urzędy.

Napoleon

Ale prawdą jest również, że przypochlebiałeś się ludowi, organizując igrzyska i festyny połączone z darmowymi ucztami. Jak mówiono, zaciągałeś pożyczki, których nie spłacałeś.

Cezar

Zarówno o mnie, jak i o tobie krążyło mnóstwo niepochlebnych plotek.

Napoleon

O nich też będę mówił. Wracajmy jednak do Galii.

Cezar

Przyznasz chyba, że to, czego dokonałem w Galii, zasługuje na pochwałę? Gdybym nie pokonał połączonych wojsk Galów pod wodzą Wercyngetoryksa, nigdy nie powstałaby Francja, której zostałeś cesarzem.

Napoleon

Zgadzam się. Przez krwawe dziewięć lat rozgromiłeś całkowicie Galów. I dzięki temu ten ogromny obszar i tysiące mieszkańców uległy kulturze łacińskiej. Co po upływie setek lat zaowocowało powstaniem Francji. A w dodatku opisałeś to w swojej „Wojnie galickiej", którą jako uczeń Szkoły Wojskowej z zapałem studiowałem.

Cezar

Miło mi to słyszeć. Wracajmy jednak do tematu: porównania twojego i mojego życia.

Napoleon

Zgoda. Twoje sukcesy w Galii zaniepokoiły senat i Pompejusza. Wezwali cię do Rzymu, zabraniając jednocześnie, abyś przybył z oddanymi ci legionami. Zła-

małeś ten zakaz i rozpętałeś wojnę domową. Ja nigdy nie wystąpiłem zbrojnie przeciwko demokratycznie wybranej władzy.

Cezar

Czyżby? Pozwól teraz, cesarzu, że przedstawię twoje życie. Przyznaję, że w porównaniu ze mną miałeś znacznie trudniejsze początki. Byłeś Korsykaninem włoskiego pochodzenia. Choć później starannie to ukrywałeś, nazywałeś się w rzeczywistości Napoleone Buonaparte. Kto wie, może twoja rodzina wywodziła się od dawnych obywateli starożytnego Rzymu? Bylibyśmy rodakami.

Napoleon

Kpisz ze mnie, Cezarze?

Cezar

Skądże! Wiesz przecież równie dobrze, że Włochy XVIII wieku w niczym nie przypominały wielkości Rzymu. Były podzielone na wiecznie skłócone ze sobą miasta i miasteczka, poddane władzy obcych monarchów i lokalnych książąt. A Korsyka? Na kilka miesięcy przed twoim urodzeniem Genua przehandlowała wyspę Francji. A ta zdławiła opór korsykańskich patriotów. I Korsyka nigdy nie stała się niepodległa. Ale zostawmy te historyczne rozważania. Ty, cesarzu, byłeś w młodości Korsykaninem pochodzenia włoskiego, a zarazem oficerem francuskim. Przyznaj, że to niezwykłe połączenie.

Napoleon

I to właśnie jest jedna z różnic między nami, wyraźnie na moją niekorzyść.

Cezar

Masz rację, ale zarazem była jedną z napędowych sił, aby wspiąć się na szczyt. Nie byłeś także szlachcicem, nie miałeś majątku i w dodatku mówiłeś z fatalnym akcentem, a nawet pisząc popełniałeś błędy ortograficzne.

Napoleon

To obrzydliwe plotki!

Cezar

Niestety, są na to dowody. A ja mówiłem i pisałem wytworną łaciną i nie mniej wytworną greką. Ale to są dla mnie drobiazgi. Ważniejsze, że w przeciwieństwie do mnie nie zakończyłeś życia jako zwycięzca. Pamiętaj, że ja nie przegrałem ani jednej wojny. Nigdy się nie wycofałem z pola bitwy. A ty, cesarzu, po serii olśniewających zwycięstw, ponosiłeś klęski, które doprowadziły do twojej abdykacji i haniebnej niewoli.

Napoleon

A ciebie, Cezarze, zamordowali skrytobójczo bliscy ci ludzie.

Cezar

Wiesz jednak, że w parę dni po mojej śmierci senat, którym zresztą pogardzałem, ogłosił mnie bogiem. Zaś wszyscy zamachowcy co do jednego zginęli. Jedni na polu bitwy, inni popełnili samobójstwo. A moje imię stało się symbolem władzy. Kiedy ogłosiłeś się cesarzem Francuzów, również złożyłeś hołd mojej pamięci. Ponieważ słowo cesarz pochodzi od mojego imienia Cezar.

Napoleon

Zawsze byłem, Cezarze, twoim wielbicielem.

Cezar

Pomówmy zatem teraz o tym, co nas łączy.

Napoleon

Przede wszystkim dążenie do jednowładztwa. Ty pogardzałeś senatem, ja wszelką demokratycznie wybraną władzą.

Cezar

Ja mogłem liczyć na swoje legiony, ty na gwardię.

Napoleon

Obaj umieliśmy rozmawiać z żołnierzami i wiedzieliśmy, jak pozyskać ich zaufanie.

Cezar

Więcej, jak zdobywać ich miłość.

Napoleon

Ale, gdy zaszła potrzeba, szliśmy razem z nimi po piaskach pustyni czy śniegach górskich przełęczy.

Cezar

Szkoda tylko, że twoja pycha, cesarzu, spowodowała tak wielkie ofiary. Rozpoczynałeś wojny, których nie mogłeś wygrać: w Hiszpanii, Egipcie, Rosji. Ja zrezygnowałem z podboju Brytanii i Germanii. Nie stanowiły zagrożenia dla Rzymu. I gdyby nie przedwczesna śmierć, zapewniłbym pokój całemu imperium. Ale udało się to mojemu następcy. Dzięki temu, imperium rzymskie przetrwało ponad pięćset lat. Zaś twoje upadło razem z tobą.

Napoleon

Muszę ci przyznać rację, Cezarze. Moje trudne dzieciństwo i młodość starałem się wymazać zbędnym przepychem cesarskiego domu.

Cezar

Podobnie postępowali w Rzymie wzbogaceni wyzwoleńcy.

Napoleon

Niepotrzebnie starałem się dorównać starym dynastiom.

Cezar

Pomimo że przewyższałeś wszystkich monarchów swoimi talentami. I osiągnięciami. Ale pociesz się, ja również byłem próżny. Każde kolejne zwycięstwo czciłem coraz to bardziej wystawnymi triumfami. Nigdy nie byłem syt zaszczytów. Senat przyznał mi dożywotni tytuł dyktatora i prawo stałego noszenia wieńca laurowego. Zależało mi na tym, aby pokryć powiększającą się łysinę. Nawet włosy, które jeszcze rosły z tyły głowy, zaczesywałem do przodu.

Napoleon

Dzięki ci, Cezarze, za te szczere wyznania. Ja także, przyznaję, podjąłem niepotrzebną wyprawę do Egiptu, z chęci dorównania tobie.

Cezar

Prawda jest taka, Napoleonie, że i ciebie, i mnie zgubiła pycha. Ty chciałeś dorównać mnie i wywyższyć się nad wszystkich władców i wodzów. A ja zrezygnowałem z ochrony, ponieważ nie wierzyłem, że ktokolwiek ośmieli się podnieść rękę na boskiego Cezara. Pomimo licznych ostrzeżeń o grożącym mi niebezpieczeństwie.

Napoleon

A może zbyt ufaliśmy słowom pochlebców, usłużnych dworaków, sprytnych karierowiczów, zwykłych lizusów?

Cezar

I wpatrzonych w nas kobiet.

Napoleon

Czytałem w kronikach, że w twoim życiu, Cezarze, znaczące miejsce zajmowały kobiety.

Cezar

Przyznaję, że nie stroniłem od rozkoszy zmysłowych. Ale nie wierz temu wszystkiemu, co pisze na przykład ten stary plotkarz Swetoniusz. Żył przecież dwieście lat po mnie i prawdziwe fakty mieszał z anegdotami.

Napoleon

Ale dlatego zapewne jego dzieło przez setki lat pozostało interesujące.

Cezar

Słyszałem, że i ty, cesarzu, miałeś liczne miłosne przygody.

Napoleon

Myślę, że obaj potrzebowaliśmy odpoczynku w ramionach kobiet. Te przelotne spotkania dawały chwile wytchnienia.

Cezar

Więcej – zapomnienia.

Napoleon

Myślę jednak, że naprawdę kochałem tylko dwie kobiety: Józefinę i Marię. Pierwsza, jak wiesz, została moją żoną. Niestety, nie była mi wierna. Co zostało dowiedzione.

Cezar

Co do mojej drugiej żony, Pompei, to rozwiodłem się z nią, pomimo iż nie było żadnych dowodów jej zdrady. Oświadczyłem jednak w sądzie, że moja żona musi być wolna nawet od cienia podejrzeń.

Napoleon

I to twoje powiedzenie przeszło do historii. Jak wiele innych.

Cezar

Liczne powiedzenia, które i mnie, i tobie przypisują, nie wyszły z naszych ust. Często były zwykłymi zmyśleniami.

Napoleon

Ale nikt już teraz nie zdoła oddzielić prawdy od zmyśleń.

Cezar

Wymieniłeś imię Maria. Słyszałem, że polska hrabina Walewska była twoją kochanką i urodziła ci syna, Aleksandra.

Napoleon

To piękne, a zarazem bolesne wspomnienie. Kochałem Marię, ale musiałem poświęcić tę miłość dla nieubłaganej racji stanu. Zerwałem z Marią Walewską, kiedy wyłoniła się możliwość poślubienia innej Marii, Marii Ludwiki, córki cesarza Austrii. Kto wie, może był to największy błąd mojego życia?

Cezar

Oto refleksja spóźniona o dwieście lat! Pocieszę cię jednak, Napoleonie. Nasze błędy roztrząsali i będą roztrząsać historycy. Ale tego cośmy dokonali, dobrego czy złego, nikt i nic nie wymaże z historii świata.

Napoleon

I to ma być pociecha?

Cezar

Jedyna, mój biedny, przegrany cesarzu. Jedyna. Ty zostawiłeś po sobie, obok setek tysięcy trupów i setek zniszczonych miast i wsi, także skodyfikowane prawa. Twój kodeks, choć w wielu szczegółach zmieniany i uzupełniany, stał się podstawą prawodawstwa krajów prawie całej Europy. Był, co wszyscy przyznać muszą, ogromnym krokiem w rozwoju demokracji, której jako cesarz tak bardzo nie lubiłeś.

Napoleon

Demokracja, to ustrój dla miernot!

Cezar

Ale lud składa się przeważnie z miernot i dlatego mądry władca musi o niego dbać. Co więcej, w razie potrzeby odwoływać się do niego. Nie raz tak postępowałem w swojej walce z senatem.

Napoleon

To przecież cynizm!

Cezar

Obaj byliśmy cynikami, Napoleonie. Każdy prawdziwy władca musi być cynikiem.

Napoleon

Tak mówił Macchiaveli.

Cezar

Słyszałem o tym genialnym Włochu, którego wszyscy rządzący głośno potępiają, a po cichu czytają. I jego nauki starają się wcielać w życie. On wiedział, na czym polega mechanizm władzy, choć sam z niego nie korzystał. Był bowiem teoretykiem, a nie praktykiem.

Napoleon

W przeciwieństwie do ciebie.

Cezar

Ja żyłem w innych czasach. Ja mogłem sprowadzić do Rzymu Kleopatrę i naszego syna, Cezariona. Wprawdzie wielu to potępiało w imię starorzymskich cnót. Ale z równym oburzeniem przyjmowano inne moje działania, jak na przykład imponujące budowle, które kazałem wznosić, nowe przepisy prawa, nadawanie obywatelstwa rzymskiego wielu mieszkańcom Italii i innych wcielonych do imperium krajów czy osiedlenie tysięcy byłych żołnierzy na ofiarowanych im działkach.

Napoleon

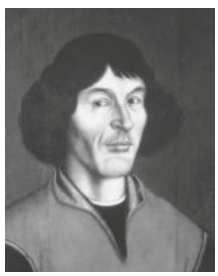
Największą chyba twoją zasługą, Cezarze, jest wprowadzenie kalendarza, który nosi twoje imię i do dzisiaj obowiązuje na całym niemal świecie.

Cezar

Jak więc widzisz, zapisaliśmy się w historii świata i choćby nie wiem jak odsądzano nas od czci i wiary, nasze imiona będą pamiętane dopóki istnieć będzie ludzkość.

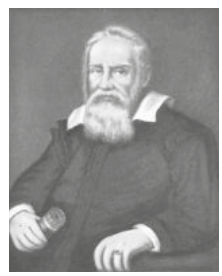
Rozmowa dwunasta

Kopernik i Galileusz



Mikołaj Kopernik

Ur. w 1473 r w Toruniu, zm. w 1543 r. we Fromborku, kanonik warmiński, jeden z najwybitniejszych astronomów. Szczegółowo i w sposób naukowy opracował heliocentryczną wizję wszechświata. Jego dzieło „O obrotach ciał niebieskich" stanowiło przełom, rewolucję naukową. Był lekarzem i tłumaczem, zajmował się matematyką, prawem, ekonomią, strategią wojskową.



Galileo Galilei

Ur. w 1564 r. w Pizie, zm. w 1642 r. w Arcetri, jeden z największych umysłów, włoski astronom, astrofizyk, matematyk, fizyk, filozof, prekursor nowoczesnej fizyki, potwierdził teorię Kopernika. Inkwizycja zakazała mu głoszenia teorii heliocentrycznej i zmusiła do odwołania poglądów. Dopiero w 1992 r. papież Jan Paweł II uznał, że Kościół popełnił błąd potępiając Galileusza.

Kopernik

Cieszę się, że spotkałem cię, mistrzu Galileo.

Galileusz

Składam ci pokłon, doktorze Mikołaju, gdyż tak podobno cię nazywano.

Kopernik

Istotnie, wokół mnie było sporo doktorów i kanoników, więc dla odróżnienia dodawano do tytułu moje imię.

Galileusz

Ale ty naprawdę byłeś doktorem prawa kanonicznego i w dodatku medykiem. A poza tym słyszałem, że wykonywałeś przeróżne, nie związane ze sobą funkcje.

Kopernik

Tak było w rzeczywistości. Musiałem zajmować się rozmaitymi sprawami, od administrowania dobrami kościelnymi, poprzez leczenie i obronę w czasie wojny zamku olsztyńskiego aż po przedstawienie projektu reformy walutowej. Na astronomię, zaiste, niewiele miałem czasu.

Galileusz

Ale pomimo to stworzyłeś najbardziej znaczące dzieło astronomiczne.

Kopernik

Wybacz, mistrzu Galileo, że ci zaprzeczę. Moje dzieło to tylko skromna próba matematycznego przedstawienia teorii, która krążyła wśród uczonych od czasów starożytnych. I w dodatku ta moja próba obarczona była jednym podstawowym błędem.

Galileusz

To ty mi wybacz, doktorze Mikołaju, ale muszę zaprzeczyć twoim słowom. Twoje dzieło przeczytałem dokładnie i to nie jeden raz. Nie sposób przecenić jego znaczenia.

Kopernik

Przyznaj jednak, że już pitagorejczycy, na przykład Filolaus, podejrzewali, iż to Ziemia obraca się wokół Słońca, a nie odwrotnie. Nie umieli jednak nadać temu poglądowi formy naukowego twierdzenia. A w III wieku przed Chrystusem Arystarch z Samos przedstawił tę koncepcję całkiem wyraźnie.

Galileusz

I co z tego? Nie potrafił nadać jej matematycznej formy. Dopiero ty tego dokonałeś. A błąd, o którym wspomniałeś? Wynikał z przekonania, że koło jest najdoskonalszym geometrycznym kształtem i dlatego ciała niebieskie, boskie twory, muszą krążyć po idealnie kołowych orbitach.

Kopernik

I przyznam ci się, mistrzu Galileo, że tworząc tablice sam siebie oszukiwałem w swoich własnych wyliczeniach, aby tylko utrzymać te idealnie koliste orbity.

Galileusz

Tak też przypuszczałem. Nie tak łatwo wyzwolić się z okowów starych nawyków myślenia. Jak zapewne dowiedziałeś się tutaj, w zaświatach, nawet wielki Tycho de Brahe nie chciał uznać twojej teorii. Pomimo iż jego własne obserwacje dobitnie ją potwierdzały. I zabawne, że dopiero Kepler, właśnie na podstawie obserwacji swego mistrza Brahe, dowiódł ostatecznie, że planety krążą po eliptycznych orbitach.

Kopernik

Znasz zapewne, raczej zabawne, historie związane z wydaniem mojej książki?

Galileusz

Znam kilka, choć nie bardzo rozumiem, dlaczego nazywasz je zabawnymi. Dla mnie wszystkie są oburzające, skandaliczne, haniebne! Pozwól, że je wymienię. Po pierwsze bezprawnie zmieniono tytuł twojego dzieła. Pierwotnie brzmiał: „O obrotach". Ale wydawca wydarł pierwszą stronę napisaną twoją ręką i zastąpił inną, ze zmienionym tytułem: „O obrotach sfer niebieskich". Chyba nie wierzyłeś w jakiekolwiek sfery niebieskie?

Kopernik

Ja nie, ale – być może – wydawca postąpił tak dla dobra książki, aby już samym tytułem nie prowokować gniewu władz kościelnych.

Galileusz

Bzdura! I dlatego ten sam wydawca norymberski, Andeas Ossiander ośmielił się zniszczyć twoją przedmowę i zastąpić ją własną, zresztą nie podpisaną, aby wyglądała na twoją? W dodatku bezczelnie napisał w niej, że teoria heliocentryczna może być jedynie użytecznym przypuszczeniem.

Kopernik

Mistrzu Galileo, powściągnij swój gniew. Kto wie, może właśnie dzięki tym zabiegom wydawcy, moja książka nie została od razu potępiona przez Inkwizycję?

Galileusz

Oo, Inkwizycja… To straszliwa instytucja! Miałeś szczęście, że nie musiałeś stanąć przed nią.

Kopernik

Czy wiesz, że przez trzydzieści lat zastanawiałem się, czy opublikować swoją teorię? Obawiałem się reakcji Kościoła. Znałem opinię teologów, że tylko teoria geocentryczna, sformułowana przed wiekami przez Ptolemeusza, zgodna jest z Pismem Świętym. Każdą inną teorię uznawano za herezję. I gdyby nie długotrwałe, gorące namowy młodego niemieckiego matematyka, Georga Joachima von Lauchena, zwanego Retykiem, nie wiem, czy zdecydowałbym się w ogóle na publikację swojej książki. Pomimo iż papież, kardynałowie i biskupi nie potępiali expressis verbis teorii heliocentrycznej.

Galileusz

Tak było za twoich czasów, doktorze Mikołaju. Potem sytuacja znacznie się pogorszyła. Kiedy Giordano Bruno wyciągnął z twojej teorii daleko idące wnioski – został spalony na stosie jako heretyk. Osobiście uważam to za zbrodnię i hańbę Kościoła. Potem, prace Keplera umocniły teorię heliocentryczną i coraz więcej uczonych zaczęło uznawać ją za prawdziwą. Wówczas Inkwizycja przystąpiła do działania, a ja stałem się szczególnym obiektem jej zainteresowania.

Kopernik

Właśnie. Mistrzu Galileo, czas abyśmy pomówili o twoich wiekopomnych zasługach.

Galileusz

Nie przesadzaj. Starałem się jedynie odkrywać prawdę o świecie i rządzących w nim prawach natury.

Kopernik

Zbytek skromności. Tam, na ziemi, uważa się ciebie za pierwszego w historii nowoczesnego uczonego, który nie zadowalał się czystą spekulacją, ale opierał się na wynikach badań i wyciągał z nich ogólne wnioski. Kiedy tutaj, w zaświatach, poznałem liczbę twoich odkryć, poczułem wstyd, że ja sam tak mało zrobiłem.

Galileusz

Zrobiłeś jedną rzecz, która przewyższa wszystkie moje osiągnięcia: zmieniłeś ludzkie myślenie. Tam, na ziemi uważają, że tak zwana rewolucja kopernikańska zmusiła ludzi do przewartościowania dotychczasowych przekonań. Zdegradowałeś Ziemię z centralnego punktu we wszechświecie do rozmiarów nic nieznaczącego pyłku.

Kopernik

Ale dopiero ty to potwierdziłeś przy pomocy teleskopu, który własnoręcznie wykonałeś. Ja tylko obliczałem, ty udowodniłeś doświadczalnie.

Galileusz

Ale to właśnie ty ośmieliłeś się, najpierw pomyśleć, a potem ogłosić publicznie, że Ziemia jest pyłkiem. Wymagało to ogromnej odwagi. Powiedzieć sobie i innym, że człowiek jest czymś nieskończenie małym w porównaniu z ogromem wszechświata.

Kopernik

Było inaczej, mistrzu Galileo. Ja nie doceniłem rozmiarów nie tylko wszechświata, ale nawet naszego systemu słonecznego. To twoje badania wykazały, że Droga Mleczna nie jest kłębowiskiem mgieł, ale ogromnym zbiorowiskiem takich ciał jak nasze Słońce. A inne twoje zasługi? Odkryłeś prawa ruchu i prawo grawitacji. Jak mówiono na ziemi, Newton stał na twoich ramionach. Odkryłeś plamy na Słońcu i jego obrót dookoła własnej osi, kratery i góry na Księżycu, fazy Wenus, satelity Jowisza. Bez ciebie i twoich metod badawczych niemożliwy byłby rozwój nauk ścisłych. I przede wszystkim zrozumienie istoty zjawisk fizycznych. Nic zatem dziwnego, że wzbudziłeś nienawiść wszelkiej maści dogmatyków.

Galileusz

Dzięki ci, doktorze Mikołaju, za tyle pochwał. A skoro mówisz o dogmatykach, warto wspomnieć jakże ciekawy szczegół. Kiedy Kościół katolicki nie potępił jeszcze twojej książki, już zrobił to Marcin Luter. A po nim Filip Melanchton i Jan Kalwin. Jak się okazało, co innego zwalczać dogmaty Kościoła, a co innego trzymać się kurczowo tekstu Biblii. I jeszcze jedna ciekawostka. W roku 1615 Trybunał Inkwizycyjny zabronił mi publicznego głoszenia twojej teorii. W rok później na Indeks trafiło twoje dzieło „O obrotach". Skreślono je dopiero po z górą dwustu latach! A w 1633 Inkwizycja uznała mój „Dialog", w którym przedstawiłem obie teorie: twoją i Ptolemeusza – za książkę zakazaną. Musiało minąć trzysta pięćdziesiąt lat, aby papież, zresztą twój rodak, oświadczył, że skazano mnie niesłusznie.

Kopernik

Mistrzu Galileo, moje życie w porównaniu z twoim, było rzeczywiście łatwiejsze. Ty, z braku funduszy, nie miałeś nawet możliwości skończenia studiów. Mnie nie prześladowano, nie straszono torturami i więzieniem, nie zmuszano do odwołania na klęczkach twierdzeń naukowych, które uważałeś za prawdziwe. A miałeś wówczas siedemdziesiąt lat!

Galileusz

Wstydziłem się mojego tchórzostwa do śmierci i wstydzę się nadal, po setkach lat, tutaj w zaświatach. Giordano Bruno nie uląkł się śmierci i nie odwołał swoich twierdzeń. Został żywcem spalony na stosie. Był prawdziwym bohaterem. Ja, niestety, nie.

Kopernik

Nie oskarżaj się, mistrzu Galileo. Erazm z Rotterdamu napisał: „Nie wszyscy mają dość sił na męczeństwo". Niech te słowa będą dla ciebie pociechą. I ty, i ja byliśmy słabymi ludźmi. Nie urodziliśmy się na wojowników, rycerzy, bohaterów. Naszym przeznaczeniem była nauka. I wypełniliśmy je.

Galileusz

Masz rację, doktorze Mikołaju. Byliśmy słabymi ludźmi. Ja przez wiele lat żyłem w grzesznym związku z Mariną Gabba. I miałem z nią dzieci, a co najgorsze, bynajmniej tego nie żałuję.

Kopernik

Ja również, choć byłem kanonikiem, żyłem bez ślubu z młodszą o 26 lat Anną Schilling. I utrzymywałem ten związek pomimo zakazu biskupa.

Galileusz

Myślę, że te kobiety, które z naszej winy były uważane za nałożnice, dały nam chwile prawdziwego szczęścia.

Kopernik

Po mojej śmierci biskup nakazał wygnanie Anny z Fromborka. Wysoką cenę zapłaciła za to, że zgodziła się żyć ze mną.

Galileusz

Ale kto wie, może i twoja Anna, i moja Marina były jednak szczęśliwe?

Kopernik

Niech te słowa będą dla nas usprawiedliwieniem.

Galileusz

Doktorze Mikołaju, jestem przekonany, że to co dałeś światu, z nawiązką usprawiedliwi wszelkie twoje błędy, grzechy, nieposłuszeństwo wobec władzy duchownej i świeckiej. Otworzyłeś bowiem przed ludzkością zupełnie nowe horyzonty. I tej zasługi nikt i nic ci nie zdoła odebrać.

Kopernik

A ty, mistrzu Galileo, stworzyłeś podstawy nowoczesnej nauki. Jak mało ważne są twoje pomyłki, kompromisy, chwile słabości w porównaniu z tym, co dałeś światu. Zaiste, nie zmarnowaliśmy naszego życia. I chyba tylko to się liczy i tam na ziemi, i tutaj w zaświatach.

Źródło ilustracji w „Rozmowach duchów..." - www.wikipedia.pl

Felietony

- wybór -



Publikowane w:

„DB 2010” - wydawca: PPHU Media-Plan, lata 2010-2013

„Informatce” - wydawca: PiMBP „Biblioteka pod Atlantami” w Wałbrzychu Multimedialna Filia na Podzamczu, od 2014 r.

„Dwutygodniczku” - wydawca: Cafe-Galeria „Ogród Sztuki” w Szczawnie-Zdroju, od 2014 r.

DB 2010

Cykl: „Moim zdaniem”

Bigos kasztelański

Wszyscy w Polsce wiemy, że bigos od kilkuset lat jest naszą narodową potrawą. Opiewali go poeci z Mickiewiczem na czele. Była ogromna ilość odmian bigosu, od staropolskiego, litewskiego, myśliwskiego, hultajskiego aż po wymyślony przeze mnie w Wałbrzychu – kasztelański. Nie jest żadną rewolucją kulinarną, ale zapewniam, że smakuje rewelacyjne.

A oto przepis, który udostępniam bez zastrzegania praw autorskich. Podane niżej ilości mogą być pomniejszane lub powiększane, ale najważniejszą sprawą jest zachowanie właściwych proporcji pomiędzy składnikami.

Na 2 kg kapusty kiszonej i 2 kg kapusty świeżej bierzemy 1 kg karczku i 1 kg łopatki wieprzowej, 1 kg dobrej kiełbasy i 1 kg wędzonego (ale nie gotowanego) boczku. A zatem na 4 kg kapusty – 4 kg mięsa. To jest podstawowa proporcja.

Kapusty gotujemy w dwóch garnkach: osobno kiszoną i osobno świeżą. To ważne, ponieważ czas ich gotowania musi być różny. Kapustę kiszoną odciskamy, a sok zostawiamy do ewentualnego dokwaszenia bigosu w końcowwej fazie przyprawiania. Kroimy niezbyt drobno w przeciwieństwie do kapusty świeżej, którą drobno szatkujemy. Nie solimy!

Boczek drobno kroimy i wysmażamy, często odlewając wytopiony tłuszcz. Po wrzuceniu skwarków do gotującej się kapusty kiszonej, na tłuszczu smażymy grubo pokrojoną kiełbasę. Kiedy się lekko zrumieni, dodajemy do kapusty kiszonej. Następnie na tłuszczu krótko smażymy drobno pokrojoną cebulę (nie więcej niż 2-4 małe główki!), pilnując aby się nie zrumieniła. Dodajemy do kiszonej kapusty.

Czas na przysmażenie pokrojonego w kostkę karczku. Kiedy się obrumieni, wrzucamy do gotującej się kapusty świeżej (nie kiszonej!). na pozostałym tłuszczu smażymy pokrojoną w kostkę łopatkę, którą – gdy już będzie rumiana – dodajemy do świeżej kapusty.

10-15 dag grzybów suszonych moczymy w ciepłej wodzie, kroimy na paseczki i wrzucamy do świeżej kapusty i mięsa.

Teraz bierzemy 20 suszonych śliwek (bez pestek!) i po pokrojeniu na drobne paski, dodajemy do świeżej kapusty, mięs i grzybów. Można także wrzucić 2-3 liście laurowe.

Uwagi:

1. nie używać do bigosu mięsa wołowego, chyba że bardzo, bardzo drobno pokrojonego;

2. nie robić zasmażki z mąki - dobrze ugotowany bigos będzie wystarczająco gęsty i zawiesisty;

3. nie trzeba dodawać jabłek, powinien wystarczyć kwas z kiszonej kapusty.

Kiedy obie kapusty i wszystkie składniki są już miękkie, łączymy je w jednym garnku. Dopiero wtedy solimy i pieprzymy, a następnie mieszamy, często próbując smaku. Jeżeli już nam odpowiada, wlewamy 1-2 szklanki wytrawnego czerwonego (wyłącznie!) wina. I wreszcie dodajemy 1-2 słoiczki koncentratu pomidorowego.

Tak przyrządzony bigos gotujemy jeszcze pół godziny, aby wszystkie składniki się połączyły. Należy pamiętać o częstym mieszaniu. Nawet najlżej przypalony bigos traci swój niepowtarzalny smak i zapach.

Oto przepis na bigos kasztelański. Zdaję sobie sprawę, że jest pracochłonny a przede wszystkim czasochłonny. Jego przygotowanie wymaga przynajmniej pół dnia, zapewniam jednak, że wart jest tego. A odgrzewany smakuje jeszcze lepiej.

Na zakończenie pozwolę sobie przypomnieć, że zgodnie z polską tradycją bigosu nie jada się na kolację wigilijną, ale dopiero w pierwszy dzień Świąt.

Muflony

Byłem na finałowej uroczystości wręczenia nagród w Plebiscycie Gospodarczym Regionu Wałbrzyskiego. I przyznaję ze wstydem, że dopiero tam dowiedziałem się o działalności różnych przedsiębiorstw naszego dawnego województwa. O jej rozmiarach i osiągnięciach.

Nie będę pisał o przebiegu uroczystości ani wymieniał nagrodzonych przedsiębiorstw. Z pewnością media zamieszczą szczegółowe sprawozdania. Ja chciałbym się skupić na pewnym fenomenie społecznym, o którym często zapominamy w codziennym życiu.

Na wstępie konieczne – moim zdaniem – stwierdzenie: nigdy nie byłem i nadal nie jestem wielbicielem systemu społeczno – ekonomicznego zwanego kapitalizmem. Pomimo że sprawdził się w praktyce. Słabości tego systemu są wyraźne i wyrządzają zbyt wiele krzywdy dużym grupom ludności. Ale nie sposób negować, że dla większości kapitalizm stwarza korzystne warunki indywidualnego rozwoju. Pamiętam aż nadto dobrze system panujący w Polsce przed transformacją. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych mówiłem głośno w różnych gremiach, że ten system (który już tylko półgłówki nadal z uporem nazywają bez sensu komuną!) jest po prostu wygodny dla różnego rodzaju średniaków, miernot, cwaniaków, leni, karierowiczów. Nie wymagał wykazywania inicjatywy, pracowitości, ponoszenia ryzyka. Oczywiście, jak zawsze, były twórcze jednostki, realizujące śmiałe pomysły i to dzięki nim odbudowano kraj po wojennych zniszczeniach, wprowadzono w życie wiele nowatorskich rozwiązań i przede wszystkim osiągnięto sukcesy w kulturze. Do dzisiaj rozsławiające Polskę po świecie.

Ale jednocześnie utrudniano życie tysiącom młodych ludzi, pełnych pomysłów i energii. Pamiętam pejoratywne określenie „prywatna inicjatywa". Budziło podejrzane skojarzenia u przedstawicieli tzw. betonu partyjnego. Rzemieślnika czy handlowca, a nawet lekarza mającego prywatny gabinet nazywano w pewnych kręgach pogardliwie „prywaciarzem". Jest sprawą jasną, że w takiej atmosferze było niemal niemożliwością rozwinąć przedsiębiorczość.

Jak wiadomo, od lat dziewięćdziesiątych nastąpiła całkowita zmiana. Obok przeróżnych kombinatorów, oszustów i pospolitych złodziei, żerujących na niedoprecyzowanych przepisach (nie wspominając o pospolitej korupcji) - pojawili się rzutcy przedsiębiorcy z prawdziwego zdarzenia. Nie mieli łatwego życia. Bezwład biurokracji, niekompetencja i często po prostu zła wola urzędników, błędne przepisy – utrudniały założenie własnego przedsiębiorstwa, a potem jego funkcjonowanie. A na dodatek pozostałość poprzedniego systemu: utożsamianie „prywaciarza" z „kapitalistycznym krwiopijcą" i „bezdusznym wyzyskiwaczem". Najłagodniejszy epitet to „nowobogacki".

Dlatego chwała redakcji „Nowych Wiadomości Wałbrzyskich" za pomysł Plebiscytu Gospodarczego „Muflony". Przedsiębiorców, którzy od dwudziestu lat w wyjątkowo niesprzyjających warunkach wałbrzyskich potrafili stworzyć swoje przedsiębiorstwa, rozwijać je i osiągnąć niewątpliwe sukcesy, należy wyróżniać, nagradzać i podawać ich nazwiska do publicznej wiadomości. Dlaczego warunki wałbrzyskie pozwoliłem sobie określić jako wyjątkowo nie-

sprzyjające? Sam się o tym przekonałem, tworząc przed ponad trzydziestu laty Filharmonię w górniczym mieście. Nikt rozsądny nie będzie kwestionował ciężkiej, odpowiedzialnej i niebezpiecznej pracy górnika. Wiadomo również, że węgiel jest niezbędny dla polskiej gospodarki. Ale nie mogę się zgodzić, aby ten szacunek dla górniczego trudu, przeradzał się w swego rodzaju kult pracy fizycznej i lekceważenia każdej innej pracy. Nie będę rozwijał tego tematu, gdyż wart jest osobnego felietonu.

Dopiero na uroczystości wręczenia nagród XIII Plebiscytu Gospodarczego dowiedziałem się, jak zróżnicowane produkty wytwarzają przedsiębiorstwa wałbrzyskiego regionu. I do ilu krajów je eksportują. Byłem pełen uznania dla ludzi, którzy odważyli się na podjęcie ryzyka założenia przedsiębiorstwa i wejścia na zagraniczne rynki. I to z takiego miejsca, które pewni politycy, samorządowcy i dziennikarze z zapałem godnym lepszej sprawy usiłują codziennie oczerniać. A może zamiast ciągle pokazywać odrapane fasady domów i zaśmiecone podwórka, warto byłoby w lokalnych telewizjach zaprezentować piękne, nowoczesne obiekty wałbrzyskich przedsiębiorstw i starannie odnowione przez nasze rodzime firmy budynki?

Należy być konsekwentnym

Od szeregu lat my, zwykli wałbrzyszanie, narzekaliśmy na pracę Urzędu Miasta i miejskich przedsiębiorstw. Są to znane sprawy. Nie podobała się nam niekompetencja licznych urzędników oraz ich arogancja, przy pomocy której pokrywali tę swoją niekompetencję. Krytykowaliśmy przerosty administracji, opieszałość machiny biurokratycznej, a także niechęć Zarządu Miasta do podejmowania trudnych nieraz i niepopularnych decyzji. O konkretnych przykładach wielokrotnie pisano i mówiono, również na łamach naszego tygodnika „DB".

Kiedy po licznych „zawirowaniach" prezydent Wałbrzycha, który wygrał ostatnie wybory złożył rezygnację, premier powołał p.o. prezydenta. Został nim człowiek znany w mieście z nader efektywnego działania na różnych polach. I rzeczywiście, nowy p.o. prezydenta rozpoczął pracę od przestrzegania dyscypliny i usprawnień organizacyjnych w ratuszu. A także od zmniejszenia przerostów zatrudnienia w podległych mu przedsiębiorstwach, m.in. w Miejskim Zarządzie Budynków. Jest jasne, że tego rodzaju porządkowanie nie

wszystkim przypadło do gustu. To zrozumiałe. Ale nie mogę zrozumieć reakcji niektórych polityków, samorządowców i związanych z nimi dziennikarzy.

Zamiast przyklasnąć działaniu zgodnemu z oczekiwaniami znacznej części wałbrzyszan – rozpętano nagonkę na p.o. prezydenta. Oto dla przykładu tytuł z pierwszej strony „Panoramy wałbrzyskiej": „Polecą na bruk". I podtytuł: „Ludzie dostają załamania nerwowego".

Tego rodzaju reakcja jest głęboko niekonsekwentna. Trzeba powiedzieć: albo – albo. ALBO dalej toleruje się dotychczasowy niezadawalający stan – ALBO wprowadza się konieczne zmiany. Osobiście rozumiem lęk ludzi zagrożonych zwolnieniem z pracy, ale taka jest rzeczywistość nie tylko w Wałbrzychu czy Polsce, ale w każdym państwie o ustroju kapitalistycznym i gospodarce rynkowej. Czas aby wyciągnąć wnioski ze skutków transformacji.

Kolejny przykład to wysypisko śmieci przy ulicy Górniczej zarządzane przez spółkę Mo Bruk. Sprawa ciągnie się od lat, mieszkańcy protestują a różne organa władzy podejmują sprzeczne nieraz decyzje. Mówiono nawet o tym w kampanii wyborczej. A zatem rozwiązanie tej sprawy jest społecznie ważne. Poprzedniemu prezydentowi – o ile pamiętam – zarzucano, że nie zajął w tej sprawie zdecydowanego stanowiska. Obecnie p.o. prezydenta podjął energiczne działania aż do złożenia skargi na postępowanie wałbrzyskiej delegatury Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska we Wrocławiu. A skargę złożył bezpośrednio na ręce Ministra Środowiska.

I znowu zamiast pochwalić ten krok, w niektórych wypowiedziach złożenie skargi uznano za naganne i potraktowano jako … donos. Zaskakujący brak konsekwencji: krytykuje się kogoś za brak zdecydowanego działania i z równym zapałem krytykuje się takie właśnie działania. W myśl starego przysłowia: „Jeśli się chce psa uderzyć, zawsze znajdzie się kij".

Kiedy obserwuję takie postępowanie, trudno mi uwierzyć, że jest podyktowane prawdziwą troską o dobro Wałbrzycha i jego mieszkańców. Wystarczy bowiem zadać proste pytanie: czy jesteś za sprawnym funkcjonowaniem miejskich urzędów i instytucji ? Jeśli tak, to nasuwa się kolejne pytanie: jakie kroki należy podjąć, aby uzdrowić obecną sytuację, która - jak wiadomo – wałbrzyszan nie zadowala? Ciekawe co odpowiedzieliby krytycy obecnego p.o. prezydenta.

Ale moim zdaniem, sprawa ma jeszcze jeden aspekt: intencje krytykujących. Wydaje mi się, że jesteśmy świadkami niezbyt czystej gry personalnej. Stałe atakowanie p.o. prezydenta, bez względu na to, co robi czy przeciwnie - nie robi, jest elementem kampanii wyborczej. Wiadomo, że wybory prezy-

denta Wałbrzycha odbędą się w sierpniu. Kto wie, może p.o. prezydenta stanie do tych wyborów. I co wtedy? Jego ewentualne osiągnięcia mogą zapewnić mu zwycięstwo. Dlatego w przekonaniu jego przyszłych konkurentów należy już teraz bez przerwy psuć mu opinię.

Powiem otwarcie, takie postępowanie jest nie tylko pozbawione konsekwencji i zwykłej logiki, lecz także elementarnej uczciwości. Można walczyć, ale należy to robić przyzwoicie i – powtarzam – z myślą o przyszłości miasta i pomyślności jego obywateli.

O.I.U.

O.I.U. to skrót. Co oznacza? Dlaczego został użyty?

Już do dawna zauważyłem modę na używanie skrótów. Jeśli dotyczą partii i zawierają w sobie jej charakterystykę, oraz przede wszystkim podstawę ideologiczną – są usprawiedliwione. Np. P.P.S. lub P.S.L. Ale ze skrótu P.J.N. nic nie wynika. Jest to po prostu hasło, pod którym może się kryć partia prawicowa lub lewicowa, demokratyczna lub autorytarna, katolicka lub komunistyczna. Ale użyty przeze mnie skrót wyraźnie określa zawartą w nim treść. O.I.U. to Obywatelska Inicjatywa Ustawodawcza, która – jak podał nasz tygodnik „DB 2010" - powstała w Wałbrzychu i będzie dotyczyła tak ważnej dziedziny życia społecznego, jaką są wybory samorządowe.

Pozwolę sobie przypomnieć, że powszechne wybory są jedną z podstawowych zdobyczy demokracji. I fundamentem, na którym się opiera. Jako prawo zostały zagwarantowane konstytucyjnie. Zarazem jednak należy je traktować jako obywatelski obowiązek. Dlatego zapewne w niektórych krajach uznano je za obowiązkowy.

Naczelny redaktor tygodnika „DB 2010" poprosił mnie o publiczne ustosunkowanie się do wałbrzyskiej inicjatywy. Spróbuję spełnić te prośbę. A nie będzie to łatwe. Ponieważ każdy przymus traktuję z niechęcią. Podobnie jak wszystkie, podkreślam – wszystkie nakazy i zakazy. Choć rozumiem, że są konieczne w każdym społeczeństwie.

Do wałbrzyskiej inicjatywy w prezentowanej postaci mam sporo zastrzeżeń. Po pierwsze argumentacja, że (cytuję za „DB 2010" z dnia 24 stycznia) „obowiązkowy udział w wyborach jest dziś jedynym skutecznym sposobem walki z kupowaniem głosów" jest zbyt słabym, cząstkowym uzasadnieniem.

Od „walki z kupowaniem głosów" jest policja. I inne służby porządkowe. Jeżeli byłbym za ustawowym obowiązkiem udziału w wyborach, to dlatego, że skandalicznie niska frekwencja, zwłaszcza w wyborach samorządowych, powoduje, iż do władz samorządowych często dostają się ludzie przypadkowi.

Jak wiadomo ustawa podatkowa nakłada na każdego obywatela obowiązek płacenia podatków od dochodów. Uchylanie się od tego obowiązku powoduje sankcje karne. Tak samo jest z ustawą o powszechnym nauczaniu dzieci. Rodzice muszą posyłać dzieci do szkoły; za niewykonanie tego obowiązku grożą kary. Jeśli zatem uznamy, że dla polskiego społeczeństwa ważne jest, aby pełna frekwencja wyborcza odzwierciedlała rzeczywiste potrzeby i preferencje obywateli – należy wprowadzić ustawowy obowiązek udziału w wyborach. Choć nie jestem przekonany, czy to zlikwidowałoby całkowicie proceder kupowania głosów. Najwyżej ograniczyłoby jego rozmiary.

Drugie zastrzeżenie dotyczy ograniczenia inicjatywy tylko do wyborów samorządowych. Jeśli już – obowiązkowy udział powinien dotyczyć wszystkich w ogóle wyborów.

Kolejne zastrzeżenie to zasadnicze pytanie do osób inicjujących: czy zdają sobie sprawę, że wprowadzenie obowiązkowego udziału w wyborach wymagać będzie zapewne zmiany konstytucji? Nie jestem prawnikiem-konstytucjonalistą, ale przypuszczam, że wałbrzyska inicjatywa będzie odrzucona na wstępie jako niekonstytucyjna. Jestem ciekaw opinii fachowców.

Moje zastrzeżenia w niczym nie umniejszają radości z faktu, że O.I.U. jest przejawem ożywienia wałbrzyskiej społeczności. Chciałoby się rzec: nareszcie! Dotychczas bowiem wałbrzyszanie obserwowali jedynie z niesmakiem kolejne kampanie wyborcze, co – moim zdaniem – było jedną z głównych przyczyn słabej frekwencji. Dlatego mam nadzieję, że O.I.U. spowoduje zmianę w Wałbrzychu, niezależnie od tego czy będzie miała pomyślne zakończenie.

Myślę, że w trosce o dobre imię naszego miasta, w otwartą i obiektywną debatę nad tą inicjatywą powinny włączyć się wszystkie wałbrzyskie media.

Wojenne wigilie

Pamiętam liczne wieczory Wigilijne mojego długiego życia, ale najbardziej utrwaliły się wspomnienia dwóch z okresu wojny. I to o nich chciałbym dziś napisać.

Ostatni okres przed 1939 rokiem spędziłem jako dziecko w Łodzi. Ojciec był profesorem Konserwatorium Muzycznego, a matka kończyła naukę w tej samej szkole. Oboje każdą wolną chwilę poświęcali mnie i mojej młodszej o dwa lata i osiem miesięcy siostrze. Jak wiadomo z historii, we wrześniu 39 roku wybuchła wojna i Łódź po kilku dniach została zajęta przez Niemców. Nie wdając się w szczegóły, napiszę tylko, że ponieważ ojciec odmówił podpisania tzw. Volksrusseliste (urodził się w Rosji jeszcze w XIX w. i do Polski przyjechał dopiero w roku 1919 jak tysiące innych Polaków), zostaliśmy wysiedleni ze śródmieścia na dalekie peryferie. Było to i tak lepsze niż wysiedlenie do Generalnej Guberni, co spotkało wielu mieszkańców Łodzi.

Ojciec zarabiał dając prywatne lekcje i grając w kościołach. Pozwalało to z trudem na przeżycie. Ale oto nadszedł grudzień a wraz z nim święta Bożego Narodzenia. Miałem wówczas ponad trzynaście lat, a moja siostra prawie jedenaście. Słyszałem jak rodzice zastanawiali się nad urządzeniem świąt. Podstawowym problemem okazała się niemożność kupienia choinki. Władze niemieckie zabroniły sprzedaży choinek Polakom. W tej sytuacji matka po zmroku (ale przed godziną policyjną) zbierała na ulicach odłamane gałązki choinek. Gdyby przyłapał ją jakiś patrol, mogłaby zapłacić za to aresztowaniem, a następnie obozem.

Przynoszone przez matkę gałązki ojciec przywiązywał drucikami do… kija od szczotki i tak powstała pokraczna raczej choinka, ale jednak choinka. Powiesiliśmy na niej stare bombki, łańcuchy i przyczepiliśmy świeczki.

Pamiętam skromną kolację i jakieś książki na prezenty. A potem ojciec usiadł przy pianinie i śpiewaliśmy, jak zawsze, kolędy. I takiej właśnie pierwszej wojennej Wigilii nigdy nie zapomnę. Miłość rodzinna i przywiązanie do prawdziwej polskiej tradycji okazały się silniejsze niż władza okupacyjna.

I druga wojenna Wigilia, tym razem w roku 1944, w obozie jenieckim w Hamburgu. W naszej „Sztubie", w gronie kilkunastu kolegów postanowiliśmy razem spędzić ten uroczysty wieczór. Słowo „razem" nie jest całkiem ścisłe, ponieważ każdy jadł produkty ze swojej paczki, którą jako jeńcy wojenni otrzymywaliśmy od Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Ale zamiast jeść osobno na pryczach, stłoczyliśmy się obok siebie koło stołu, wspominaliśmy dawne Wigilie a potem śpiewaliśmy kolędy. I co ważne, umówiliśmy się, że zgodnie z polską tradycją nie będziemy jedli żadnego mięsa. Zadowoliliśmy się „przydziałowym" chlebem oraz serem i masłem orzechowym z paczek. Zgodnie zrezygnowaliśmy z mięsnej mielonki.

Kiedy jeszcze teraz, po upływie 66 lat zamknę oczy, mogę z całą dokładnością odtworzyć tamten, jedyny w moim życiu, niezapomniany wigilijny wieczór.

I chciałbym jeszcze wspomnieć jedną Wigilię, tym razem już po zakończeniu wojny. Wróciłem do Polski z obozu w połowie grudnia 1945 roku. Cała rodzina mieszkała i pracowała wówczas w Łodzi, ponieważ w zburzonej Warszawie nie działała jeszcze żadna szkoła muzyczna, a tym bardziej orkiestra. Okazało się, że tzw. los obszedł się z nami łaskawie. Poza ciotką, która nie wytrzymała wypędzenia z warszawskiej dzielnicy Ochota do obozu w Pruszkowie, cała rodzina przeżyła. I kiedy do wigilijnej wieczerzy zasiadły trzy pokolenia Wiłkomirskich, zapanował radosny nastrój. Jedzenia było mało, prezentów jeszcze mniej, ale wiedzieliśmy, że znowu jesteśmy wolni (Wbrew kłamstwom, które obecnie głoszą przeróżni pseudo-historycy). Dokładnie pamiętam nastrój tamtej Wigilii, a zaiste w mojej katolickiej rodzinie nie było wtedy ani jednego lewicowca. I przypuszczam, ze podobna atmosfera dominowała w większości polskich inteligenckich rodzin.

Kończę te fragmentaryczne wspomnienia z przekonaniem, że dawne polskie obyczaje przetrwają i nadal będą pielęgnowane. Wigilijne kolacje bez mięsa, alkoholu i wulgarnych słów.

Dworacy

Istnieje słownikowe rozróżnienie między dwoma wyrazami: *dworzanin* i *dworak,* pomimo identycznego źródłosłowu. Oba pochodzą od „dworu" czyli okazałej siedziby mieszkalnej. Potem nazwą *dwór* objęto także ogół przebywających w nim ludzi. Tych, którzy pełnili określone funkcje nazywano dworzanami. Byli wśród nich zarówno królewscy sekretarze jak i lokaje. Wszyscy znajdowali się w bliskości króla, księcia czy innego magnata.

A słowo „dworak"? Również dotyczy osoby znajdującej się w bliskim otoczeniu możnowładcy. Ta osoba nie musi jednak pełnić żadnej funkcji; ona chce po prostu być w pobliżu swojego pana. Gotowa do służenia mu w każdej chwili, odgadująca jego życzenia, będąca wiernym cieniem oraz bezkrytycznym i gorliwym wykonawcą poleceń. Stad określenie „dworak" ma negatywne zabarwienie.

Dawniej na dworach roiło się od takich ludzi, których nazywano pogardliwie sługusami, pochlebcami, karierowiczami.

Cały ten długi, historyczny wywód był – moim zdaniem – potrzebny, aby zadać pytanie: czy w demokratycznej Polsce XXI wieku nadal można spotkać dworaków? Nie ma już przecież ani możnowładców ani ich dworów. Królowie i magnaci przeszli do historii, podobnie jak cała warstwa szlachecka. A jednak…. Kiedy widzimy jak obok przywódców politycznych kręcą się zawsze te same osoby, wpatrzone w oblicza swych szefów i śpieszących na każde ich wezwanie – trudno uniknąć skojarzenia z dawnymi dworakami. Należy bowiem pamiętać, że nie byli oni bezinteresownymi czcicielami swoich panów. Owe rzesze dworaków wyciągały z gorliwego wysługiwania się całkiem wyraźne korzyści. Jedni czekali na tytuły, inni liczyli na majątki, jeszcze inni na intratne stanowiska. Od łaski władcy bowiem zależała kariera dworaka lub jego najbliższego krewnego. Wystarczy przeczytać dowolną powieść historyczną, aby się o tym przekonać. Osobiste, rzeczywiste zasługi nie miały często w oczach władcy tej samej wartości, co sprytne, powiedziane w odpowiednim momencie pochlebstwo.

Przypuszczam, że każdy z nas lubi komplementy, pochwały, nagrody, medale, awanse. To zwykłe ludzkie uczucie i nie ma w nim nic nagannego. Rządzący są – pomimo wszystko – także ludźmi. I nie dziwmy się, że lubią być chwaleni. A od pochwały do pochlebstwa bliska droga. I kiedy słyszę jak niektórzy członkowie partii mówią o swoich przewodniczących – nie mogę powstrzymać się od porównań z dawnymi dworakami.

W moim długim życiu pamiętam wiele takich pochlebstw. Jeszcze przed wojną śpiewano piosenkę (cytuję z pamięci i mogę mylić pojedyncze słowa) „Nikt nam nie zrobi nic, bo z nami jest marszałek Śmigły-Rydz". Oficjalny kult Hitlera w Niemczech i Stalina w tzw. obozie socjalistycznym niczym się nie różnił od niemal boskiej czci, którą okazywano egipskim faraonom czy rzymskim cesarzom. W podobny sposób czczono papieży, cesarzy, królów, kalifów, sułtanów, chanów. Tych wszystkich władców na przestrzeni tysiącleci otaczały roje dworaków. I choć w naszych czasach nastąpiły w prawach i obyczajach rewolucyjne zmiany – ciągłe okazywanie czci przypomina minione wieki. Np. w Maroku ministrowie klękają przed królem i całują jego dłoń. Ten przykład nie jest odosobniony, co nie raz mogliśmy obserwować nie tylko w telewizji. Warto jeszcze dodać, że czasami niektórzy dworacy pozwalają sobie na publiczne występowanie w imieniu szefa. Czy samowolnie czy za jego zgodą – nie sposób odgadnąć. Nader często także, wykorzystując swoją pozycję w najbliższym otoczeniu szefa, część dworaków potrafi skutecznie oddzielić go od

zewnętrznego świata. Rzekomo aby ulżyć mu w pracy. W ten sposób od nich zaczyna zależeć jakie informacje i osoby dotrą do szefa.

Tak więc ze smutkiem muszę stwierdzić, że wielu szefów: prezydentów, premierów, przewodniczących partii i innych tzw. prominentów nadal otaczają dwory. Ale nie winię tych wszystkich pochlebców i karierowiczów tak bardzo jak ich szefów. Ci dworacy bowiem walczą o swoją obecną i przyszłą pozycję. Natomiast ich szefowie nader często domagają się takich dowodów czołobitności. Podejrzewam, że dowartościowują się w ten sposób. I po prostu leczą swoje kompleksy. Ale to już temat na inny felieton.

Idiotyzmy językowe

Jak wiadomo, nie uciekając się do naukowych definicji, język jest narzędziem porozumiewania się wewnątrz grupy etnicznej; stąd języki narodowe. W obrębie każdego języka możemy spotkać przeróżne odmiany, zwane dialektami lub gwarami, a także liczne zwroty potoczne. Wszystkie one należą do języka, który nie jest czymś statycznym, ale żywym, rozwijającym się. Oprócz tego, niestety, istnieją liczne błędy zaśmiecające każdy język. W rozmaitych okresach historycznych, pojawiają się coraz to nowe błędy, często spełniające określone funkcje polityczne, ideowe, społeczne. Niektóre giną po upływie pewnego czasu, inne zadomowiają się na dłużej. Nie warto nawet o nich wspominać.

W tym felietonie chciałbym zająć się błędami językowo – logicznymi, które pojawiły się w ostatnich latach. Nie tylko zaśmiecają nasz język ojczysty, lecz także wprowadzają zamęt do naszych umysłów. Pamiętać bowiem należy, że związek pomiędzy językiem, a myśleniem jest bezpośredni i ścisły. Tak jak myślimy – tak mówimy. I na odwrót: tak jak mówimy – tak myślimy. Z wyjątkiem oczywiście objawów pewnych schorzeń psychicznych.

Oto najczęstszy błąd: użycie słowa komuna. Są dwa słownikowe znaczenia: pierwsze – wspólnota mieszkaniowa i majątkowa, drugie – zwolennicy komunizmu (A komunizm to doktryna postulująca m.in. zniesienie własności prywatnej). Żadne nie pasuje do systemu politycznego, który panował w Polsce przed rokiem 1989 ani do poglądów dzisiejszej lewicy. Tak więc powtarzanie przy każdej okazji hasła „Precz z komuną !" jest zwykłym idiotyzmem językowym, nie odzwierciedlającym ani historycznych wydarzeń ani aktualnej rzeczywistości.

Jeszcze głupsze jest określenie polityka historyczna. To po prostu pozbawiony sensu zlepek dwóch słów. Gorzej – wzajemnie się wykluczających. Polityka to, najkrócej mówiąc, nauka i sztuka rządzenia, a rządzi się teraz. Natomiast historia dotyczy wyłącznie – co podkreślić należy – zdarzeń przeszłych, minionych. Zaiste, niemożliwe byłoby nimi rządzić.

Może być oczywiście – i takiej uczą na uniwersytecie – historia polityczna. To po prostu nauka o minionych ustrojach politycznych. Natomiast nie może istnieć polityka historyczna. Ten pozbawiony sensu zlepek wymyślono dla doraźnych potrzeb politycznych. Aż dziw, że większość dziennikarzy nie wyśmiała od razu tego absurdu. Niestety również część t.zw. ekspertów zaczęła się nim posługiwać. I jak groźny nowotwór rozrasta się w naszym języku. Ja w każdym razie mam czyste sumienie; nigdy, nawet w rozmowie towarzyskiej, nie użyłem tego idiotyzmu językowego.

Kolejny przykład takiego idiotyzmu ma nieco inny charakter. Mowa o wojnie polsko-polskiej. Tego określenia również nigdy nie użyłem. Wojna to konflikt, walka zbrojna. Walczą ze sobą zbrojnie państwa, narody, plemiona, wyznawcy religii. Ponieważ w historii ludzkości wojny zajmują poczesne miejsce, nic zatem dziwnego, że to słowo weszło do potocznego języka. I zaczęto go używać do określenia ostrego sporu. Mówimy o wojnie w rodzinie, wojnie płci, wojnie pokoleń, wojnie polityków itd. Ta przenośnia znajduje uzasadnienie w życiu codziennym. Kłótnia, spór, sprzeczka, awantura to zdarzenie jednorazowe, ale wojna to stan permanentny.

Wszystkie te wyjaśnienia nie nadają się do kretyńskiego określenia wojna polsko – polska. Jeśli ostry, gwałtowny konflikt w rodzinie nazywamy (z pewną przesadą zresztą) wojną rodzinną, to nie przyszłoby nam do głowy powiedzieć wojna rodzinno – rodzinna. Nie dość, że brzmi to niezręcznie, ale – co gorsza – sugeruje, iż w konflikcie biorą udział dwie różne rodziny, a nie jedna skłócona.

Wojna polsko – niemiecka nie wymaga komentowania. Wiadomo, że w konflikcie (zbrojnym !) udział biorą dwa państwa, lub - jak kto woli – dwa narody. A w wojnie polsko – polskiej ? Dwa narody polskie? Przecież istnieje tylko jeden. Absurdalność tego zlepku rzuca się w oczy. Po prostu nie może istnieć wojna polsko – polska, chyba, że ktoś wzywa do tzw. wojny domowej czyli do wojny bratobójczej, chyba najstraszniejszej ze wszystkich możliwych. Kiedy to naród podzielony stoi naprzeciw siebie i jest gotów do wzajemnego przelewania krwi. Zbyt przerażająca to wizja, aby w ogóle o niej myśleć.

Dlatego proszę czytelników o przemyślenie tego felietonu i wspólne wykpiwanie idiotyzmów językowych. Oby jak najprędzej zniknęły z naszego życia.

Wałbrzych – ładny czy brzydki?

To tytułowe pytanie, będące ostatnio przedmiotem sporu części wałbrzyskich polityków i dziennikarzy jest – proszę mi wybaczyć – po prostu głupie. Taką przeciwstawną ocenę można stosować do pojedynczego przedmiotu, np. kapelusz ładny czy brzydki. Ale w odniesieniu do tak złożonego i skomplikowanego organizmu jakim jest miasto – traci jakikolwiek sens.

W moim długim życiu widziałem prawdopodobnie ponad setkę miast, a może i znacznie więcej. Żadne z nich w całości nie było ani jednoznacznie ładne ani jednoznacznie brzydkie. Nawet w tak opiewanych jako najpiękniejsze miasta świata Florencji lub Wenecji, widziałem budynki, które były wręcz brzydkie. A czy smród bijący w okresie lata z kanałów weneckich nie jest odstręczający? Albo szpetne, zaśmiecone boczne uliczki Florencji? Dlatego – moim zdaniem – określanie miasta w całości przy pomocy takich przymiotników jak ładny czy brzydki jest bezsensowne.

Mówiąc i pisząc o Wałbrzychu, niektórzy ludzie „z lubością" używają słowa „slumsy". I pokazują zdjęcia odrapanych budynków, dziury w nawierzchniach ulic, zaśmiecone podwórka i zdewastowane klatki schodowe. A w telewizji montują programy o popadającym w ruinę mieście. Moim zdaniem jest to po prostu nieuczciwe.

W każdym mieście, w którym przebywałem dłużej niż jeden dzień i mogłem zobaczyć nie tylko śródmieście, znajdowałem podczas spacerów peryferyjne dzielnice, które pasują do nazwy „slumsy". I było to zarówno w wielomilionowych stolicach wielkich krajów, jak i miasteczkach krajów małych. Z całą odpowiedzialnością zapewniam, że wszędzie widziałem dzielnice z brudnymi, walącymi się budynkami, sterty śmieci i dzieci bawiące się na pełnych dziur ulicach. Wystarczyło po prostu opuścić zadbane, pełne turystów, pięknych sklepów i lśniących limuzyn śródmieście, aby znaleźć się w świecie „slumsów". Tyle tylko, że w tamtych miejscowościach nie eksponowano tego tak, jak teraz robi się to w Wałbrzychu.

Pojawia się pytanie: w jakim celu? Nie znam odpowiedzi. Mogę tylko przypuszczać, że za takim działaniem kryją się niezbyt czyste interesy personalno-polityczne. Obym się mylił.

Ostatnio słyszę ciągle, że trzeba poprawić wizerunek Wałbrzycha. Moim zdaniem nie jest to właściwa metoda. Przypomina mało skuteczne działanie medyczne, polegające na usuwaniu objawów, a nie przyczyn. Jak wiadomo powinno się najpierw zdiagnozować chorobę i zająć się jej zlikwidowaniem, a wówczas objawy same ustąpią (oczywiście upraszczam całą medyczną procedurę). W przypadku Wałbrzycha jest podobnie. Trzeba zacząć od określenia słabości życia społecznego naszego miasta. Choć – przyznaję – ten zabieg może być bolesny dla wielu ludzi. Trzeba bowiem powiedzieć sobie wyraźnie, że poziom cywilizacyjny znacznej części mieszkańców Wałbrzycha nie jest zbyt wysoki. Świadczą o tym chociażby zaśmiecone ulice i skwery, „obsmarowane" frontony świeżo wyremontowanych budynków, napisy na ścianach klatek schodowych, zdewastowane latarnie i kosze na śmieci. Dla mnie osobiście to objaw zwykłego barbarzyństwa. To po pierwsze.

Po drugie należy ujawnić błędy administracji miejskiej, często wynikające po prostu z niekompetencji osób na określonych stanowiskach.

I wreszcie po trzecie uwikłanie niektórych mediów, a mówiąc konkretnie – części dziennikarzy w rozgrywki polityczno – personalne. Można to z łatwością zauważyć czytając artykuły i oglądając lokalną telewizję. W takiej atmosferze nie da się ani poprawić wizerunku Wałbrzycha ani tym bardziej usunąć najgorszych bolączek.

Szczegółową analizą słabości naszego miasta i możliwościami naprawy aktualnego stanu rzeczy zajmę się w kolejnych felietonach. O ile oczywiście Redakcja nie ulegnie zewnętrznym naciskom.

Parkinson i Peter

W roku 1958 angielski profesor Northcote Parkinson w niewielkiej książce opublikował swoje *Prawo* dotyczące rozrostu biurokracji w Anglii. Brzmiało mniej więcej tak*: nie ma żadnej współzależności między liczbą urzędników dowolnej instytucji a ilością wykonywanej pracy*. Książka napisana lekkim, dowcipnym językiem szybko zdobyła popularność w Anglii i została przetłumaczona na wiele języków, w tym na język polski już w roku 1960.

Parkinson na podstawie oficjalnych danych z Admiralicji (organ zarządzający brytyjską marynarka wojenną) stwierdził brak jakiejkolwiek korelacji pomiędzy liczbą okrętów wojennych, a liczbą urzędników. Oto porównanie:

w roku 1914 Królewska Marynarka liczyła 62 okręty bojowe, a roku 1928 tylko 20. Można przypuszczać, że to zmniejszenie o 67% było przede wszystkim wynikiem strat w czasie I wojny światowej. Ale w tym samym okresie liczba urzędników Admiralicji wzrosła z 2000 w roku 1914 do 3569 w roku 1928, czyli aż o 78%!

W roku 1970 Northcote Parkinson opublikował jeszcze mniejszą książeczkę pod tytułem *„Prawo Parkinsona po dziesięciu latach"*. W roku 1973 została przetłumaczona i wydana w Polsce. Dane były zaskakujące. Otóż łączna liczba okrętów podległych Admiralicji wynosiła 308 w roku 1938 i spadła w roku 1967 do 114. Natomiast liczba urzędników wzrosła w tych samych latach z 11270 do 33574!

Jeszcze bardziej szokujące były dane z innych urzędów angielskich, np. Ministerstwa Spraw Zagranicznych (Foreign Office). Administracja wzrosła w latach 1935 - 1967 z 1412 osób do 10856. Aż trudno uwierzyć, że coś takiego było w ogóle możliwe.

Kolejne dane przytaczane przez Parkinsona są jeszcze bardziej bulwersujące i w dodatku nie pozbawione pewnego gorzkiego komizmu. W Anglii istniało Ministerstwo Kolonii i Dominiów, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych poddane różnym reorganizacjom z powodu rozpadu imperium po II wojnie światowej. Pomimo tego liczba pracowników administracji stale rosła. W roku 1935 wynosiła 1023 a w roku 1960 - 2827. A przecież w międzyczasie uzyskało niepodległość około 30 krajów dawnego imperium brytyjskiego. W tym Indie.

Parkinson przytoczył jeszcze uogólnione dane wzrostu zatrudnienia w całej rządowej administracji. Wyniósł on rocznie 4,49%. Dla mnie wręcz oszałamiająca informacja. Ciekaw jestem czy w Polsce ten wzrost przebiega podobnie. Słyszałem bowiem, że np. zatrudnienie w wałbrzyskim ratuszu wzrosło od roku 1990 dwukrotnie, czyli mówiąc inaczej – o 100%!

W roku 1969 amerykański naukowiec, profesor Laurence Peter opublikował, przy pomocy pisarza i dziennikarza Raymonda Hulla, swoją *Zasadę*, którą można nazwać *Prawem Niekompetencji*. Jest prosta: *„Każdy pracownik awansując osiąga swój szczebel niekompetencji"*. Myślę, że wszyscy zauważamy słuszność tego prawa w codziennym życiu. Niestety. Oto pierwszy z brzegu przykład. Poznałem kiedyś w jednym z wydziałów Urzędu Miasta młodego, sympatycznego pracownika. Był naprawdę kompetentny; miał fachowe przygotowanie oparte na skończonych wyższych studiach w wymaganej specjal-

ności. Dzięki temu awansował i wreszcie został mianowany naczelnikiem wydziału. Na tym stanowisku okazał się również dobrym i kompetentnym szefem, który potrafił organizować pracę podległych mu pracowników. I oto pewnego dnia rządząca partia, do której należał, wysunęła jego kandydaturę na prezydenta miasta. Wygrał wybory i okazało się wówczas, że całkowicie się zagubił. Jego umiejętności zawodowe, a nawet doświadczenie urzędnicze nie wystarczyły, aby rządzić tak skomplikowanym organizmem jak miasto. Popełniał błąd po błędzie, marnując czas, ludzką energię, publiczne pieniądze. Zapewne czując swoją niekompetencję, stał się opryskliwy, apodyktyczny i nie tolerował jakiejkolwiek krytyki. W konsekwencji przegrał następne wybory.

Znakomity wicedyrektor może okazać się kiepskim dyrektorem naczelnym. Awansując – osiąga swój szczebel niekompetencji. *Zasada Petera* działa bezbłędnie. Dobry sprzedawca okazuje się fatalnym kierownikiem sklepu, świetny lekarz – nieudolnym ordynatorem lub – co gorzej – dyrektorem szpitala.

Piszę o tych dwóch prawach, sformułowanych przez autorów nieco żartobliwie, aby „przygotować teoretycznie" Czytelników do mojego następnego felietonu, który poświęcę omówieniu funkcjonowania wałbrzyskiego ratusza, czyli Urzędu Miasta.

P.S.

Ja sam w latach dziewięćdziesiątych opublikowałem felieton z żartobliwie sformułowanym *Prawem Wiłkomirskiego* (cytuję z pamięci): *„Każda partia po zdobyciu władzy powtarza te same błędy, które potępiała w działaniu partii rządzącej poprzednio"*. Co Państwo sądzicie o tym prawie? Czyż z jego skutkami nie mamy do czynienia każdego dnia?

Wałbrzyszanie z wizją

Kilka kolejnych felietonów poświęciłem krytykowaniu naszego miasta. Moim zdaniem – uzasadnionym. Nie chciałbym jednak zostać zaliczony do „chóru" malkontentów, czarnowidzów, pesymistów, którym z wręcz obsesyjną zaciekłością przewodzi telewizja „Dami". Dlatego dzisiejszy felieton poświęcam paru osobom, które miały wizję i potrafiły ja zrealizować. Udowodniły, że pomimo przeszkód można w Wałbrzychu stworzyć coś dobrego i trwałego.

W jakże trudnych latach dziewięćdziesiątych wojewoda wałbrzyski Henryk Gołębiewski, wykorzystując uchwałę rządową o specjalnych strefach ekonomicz-

nych, wystąpił w roku 1994 z wnioskiem o powołanie takiej strefy w Wałbrzychu. Przeciwników tej idei było sporo, zarówno w samym Wałbrzychu jak i poza nim. Ale wojewoda Gołębiewski konsekwentnie dążył do zrealizowania swojej wizji. Byłem tego świadkiem. Dzięki dyplomatycznemu wyczuciu udało mu się zyskać zwolenników i zneutralizować przeciwników. W roku 1997 wałbrzyska Specjalna Strefa Ekonomiczna stała się faktem. I działa do dzisiaj, podobnie jak ciągle ten sam zarząd powołany przez Gołębiewskiego przed laty. O tym ilu ludzi znalazło w strefie zatrudnienie, wiedzą dobrze wałbrzyszanie.

Kolejną wizją Henryka Gołębiewskiego jest Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa. Zdobył dla niej odpowiedni lokal, pomimo oporu wielu osób. Tego też byłem świadkiem. Szkoła działa do dzisiaj, rozwija się, otwierając coraz to nowe wydziały. Obecnie uczą się w niej tysiące studentów, a młoda kadra naukowców prowadzi badania i zdobywa doświadczenie.

Tak więc jeden człowiek, posiadając wizję, potrafił stworzyć w Wałbrzychu coś ważnego i skierowanego w przyszłość.

Henryk Gołębiewski pomagał również w realizacji wizji dwóch innych wałbrzyszan: Bogusława Lamcha i Andrzeja Tywsa. Z satysfakcją mogę napisać, że ja również wspierałam ich działania. Bogusław Lamch jako dyrektor Biblioteki kipiał energią i zaciekle walczył o poprawę warunków lokalowych podległej sobie instytucji. A warunki te rzeczywiście uniemożliwiały prawidłowe funkcjonowanie Biblioteki, która z powiatowej stała się wojewódzką. Kiedy Lamch dowiedział się, że Spółdzielnia Odzieżowo-Krawiecka im. L. Waryńskiego opuszcza zajmowany w Rynku budynek, rozpoczął walkę o pozyskanie całego obiektu dla Biblioteki. Była to dosłownie walka, ponieważ znalazło się wielu chętnych na tak atrakcyjny budynek w samym centrum Wałbrzycha. Lamch odniósł zwycięstwo, ale niestety nie zdążył się nim nacieszyć; w roku 1989 zginął w katastrofie samochodowej, wracając z podróży służbowej do Warszawy.

Byłem członkiem komisji konkursowej, która wybrała w roku 1990 na dyrektora Biblioteki Andrzeja Tywsa. Okazał się znakomitym kandydatem. Przeprowadził remont i adaptację całego budynku. A potem zaczął realizować wizję prawdziwie nowoczesnej biblioteki wojewódzkiej, promieniującej na cały region. Wkrótce została uznana przez Ministerstwo Kultury za jedną z najlepszych jednostek w skali całego kraju. W roku 2003 Tyws na skutek nieporozumień z ówczesnymi władzami wyjechał z Wałbrzycha i objął stanowisko dyrektora Biblioteki Wojewódzkiej we Wrocławiu. Jego odejście to – moim zdaniem – niepowetowana strata dla naszego miasta.

Kiedy w 2002 roku doktor Roman Szełemej, dotychczasowy zastępca ordynatora oddziału kardiologii wałbrzyskiego szpitala im. A. Sokołowskiego został dyrektorem, zaczął realizować swoją wizję nowoczesnego szpitala. Także i tej imponującej działalności byłem świadkiem. Szełemej potrafił przede wszystkim zdobywać środki finansowe. Rok po roku remontował i wyposażał kolejne oddziały. Otwierał nowe. Rozbudowywał obiekty. Doprowadził do powstania przy Szpitalu pierwszego w dziejach Wałbrzycha lądowiska helikopterów. W tej iście wizjonerskiej działalności Szełemej napotykał rozliczne przeszkody i – co smutniejsze – narażał się wielu osobom. Ale taki już jest los nowatorów i wszystkich tych, którzy chcą cokolwiek stworzyć, usprawnić, ulepszyć lub zmienić wygodny dla niektórych *status quo.* Dzięki Szełemejowi wałbrzyski szpital stał się jedną z najlepszych na Dolnym Śląsku placówek służby zdrowia. Nasi lekarze dokonują w niej przy pomocy nowoczesnej aparatury takich operacji, na które przez dziesiątki lat trzeba było jeździć do Klinik Akademii Medycznej we Wrocławiu.

Pozwoliłem sobie przedstawić Czytelnikom kilku ludzi, a może właściwiej byłoby użyć określenia: kilka wybitnych osobistości z terenu naszego miasta. Ich osiągnięcia pokazują czym jest odwaga posiadania własnej wizji i umiejętność jej realizacji. A to, że przy okazji – mówiąc kolokwialnie – narobili sobie wrogów nie ma żadnego znaczenia wobec społecznych korzyści. Henryk Gołębiewski, Bogusław Lamch, Roman Szełemej, Andrzej Tyws zapisali się złotymi zgłoskami w historii Wałbrzycha.

Typologia dziennikarzy

Na początku lat sześćdziesiątych napisałem do dwutygodnika „Ruch Muzyczny" (jedynego wówczas czasopisma dla zawodowych muzyków) duży satyryczny felieton, dzielący recenzentów na określone typy. Przyznaję, był bardzo złośliwy. Wyodrębniłem na przykład typ recenzenta-cmokiera, albo recenzenta-impotenta. Każdy z typów szeroko komentowałem. Oczywiście ówcześni recenzenci rozpoznawali siebie i poczuli się urażeni.

Po pewnym czasie w podobny sposób scharakteryzowałem dyrygentów. Jednych na przykład nazwałem dyrygentami-kapralami, innych dyrygentami-kumplami. Ciężko zapłaciłem za swoje poczucie humoru. Koledzy dyrygenci obrazili się na mnie i coraz rzadziej zapraszali na tzw. koncerty

gościnne, a recenzenci pisali zjadliwe krytyki z tych koncertów. Ale jakoś to przetrwałem.

W dzisiejszym felietonie z kolei chciałbym podzielić dziennikarzy na rozmaite typy. Trochę dla zabawy, ale także trochę dla dobra naszych mediów. Na wstępie krótka definicja. Dziennikarz to osoba, która ukończyła studia dziennikarskie i zawodowo pisze artykuły do prasy bądź pracuje w redakcji radiowej lub telewizyjnej. Mój podział dziennikarzy na rozmaite typy opiera się na wieloletniej obserwacji tego, co dzieje się w mediach. Zarówno centralnych jak i lokalnych, czytaniu prasy, słuchaniu radia i oglądaniu telewizji.

Oto pierwszy typ: dziennikarz-chwalca. Bezkrytycznie chwali osoby na stanowiskach, albo ludzi, których lubi. Szafuje określeniami w rodzaju „wybitny mąż stanu", aby przypodobać się jakiejś partii. O popularnym sportowcu mówi, że „genialnie kopnął piłkę", aby przypodobać się kibicom. Taki sam dziennikarz-chwalca nazywa miernego dyrygenta „wielkim artystą" i żałuje, że opuszcza nasze miasto.

Przeciwny typ to dziennikarz-zoil. Tutaj krótkie, konieczne wyjaśnienie. Zoil, a właściwie Zoilos, to imię greckiego filozofa z IV wieku przed nasza erą, który zajadle krytykował Homera jako poetę, nazywając go kiepskim mitografem. Odtąd określa się zjadliwych krytyków mianem zoil. Znam wielu dziennikarzy, którzy bez pardonu krytykują ludzi mających inny światopogląd lub przekonania polityczne. Nie przyznają przeciwnikom żadnych dobrych stron ani nie uwzględniają jakichkolwiek okoliczności łagodzących. Ten typ dziennikarza-zoila, nie dopuszczającego oponentów do głosu, spotkać można przy pseudo-dyskusjach politycznych w telewizji.

A oto dziennikarz-Sherlock Holmes. Śledzi, bada, węszy korupcję, układy, zmowy, spiski. Obsesyjnie podejrzewa ludzi mających inne poglądy o wszelkiego rodzaju mafijne powiązania. On sam natomiast jest „rycerzem bez zmazy i skazy", kimś w rodzaju świętego Jerzego.

Inny typ to dziennikarz-mędrzec. Gdybym był bardzo złośliwy, zamieniłbym słowo mędrzec na mędrek. Ten typ dziennikarza zna się absolutnie na wszystkim. Jest ekspertem od lotnictwa, a szczególnie od lotniczych katastrof. W tym zresztą upodabnia się do wielu polityków. Dziennikarz-mędrzec zna się oczywiście na zarządzaniu państwem lub miastem, na problemach oświaty, na zagadnieniach medycznych. Jest specjalistą w sprawach kultury i wie np. co powinno znajdować się w repertuarze filharmonii.

I wreszcie dziennikarz-polityk. To w naszych czasach najczęściej spotykany typ. Nie potrafi i nie chce oderwać się od polityki. Wszystko co mówi i pisze - upolitycznia. Zatraca obiektywne spojrzenie na otaczającą rzeczywistość, na ludzi i wydarzenia. Zna tylko przeciwstawienie: my, czyli ci dobrzy i wszyscy inni – wrogowie. Moim zdaniem to ponura postawa.

Kończąc typologię dziennikarzy, przyznaję, że nieco ją wyostrzyłem na potrzeby felietonu. A Czytelników proszę, aby moje słowa traktowali „pół żartem, pół serio". (Niestety!)

Wielkanoc

Wspominałem w grudniu 2010 roku niektóre wigilie Bożego Narodzenia z mojego życia. Chciałbym teraz opowiedzieć Czytelnikom o zwyczajach wielkanocnych, które zapamiętałem z dzieciństwa.

Przed 39 rokiem wydawano w Polsce dwa pisma: „Płomyk" dla starszych dzieci i „Płomyczek" dla młodszych. Nie mogę sobie przypomnieć czy był to miesięcznik czy dwutygodnik, ale wiem, że się na nim wychowywałem. Kto był wydawcą – nie pamiętam, ale chyba Związek Nauczycielstwa Polskiego. Gdzieś w roku 36 lub 37 przeczytałem reportaż o góralskich zwyczajach wielkanocnych. Najbardziej podobało mi się „ciukanie" (a może „cukanie"?) jajkami. Jak wynikało z opisu, dwie osoby brały po jajku ugotowanym na twardo i oczywiście świątecznie ozdobionym. Otaczały jajko dłonią tak, aby na zewnątrz wystawał tylko czubek. Zabawa polegała na uderzaniu czubkami jajek, najpierw z jednej strony, potem z drugiej. Wygrywał ten, w którego jajku czubki nie pękły. Właśnie owo uderzanie nosiło nazwę „cukanie" czy „ ciukanie". Niestety nie pamiętam prawidłowej nazwy.

Pamiętam natomiast, że dość szybko zauważyłem, że mocniejszy był ostry czubek jajka. Ale – przyznaję dzisiaj ze wstydem – tę wiedzę zachowałem dla siebie. Dzięki temu „ogrywałem" moją młodszą siostrę Wandę. I jeszcze jedno wspomnienie związane z owym góralskim obyczajem. Jajko, które „pokonało" wszystkie inne jajka, otrzymywało nazwę „mocuk". Zjadaliśmy je jako ostatnie po zakończeniu świąt Wielkiej Nocy.

Po wielu latach, już w Wałbrzychu pokazałem tę zabawę mojej żonie, a potem mojej córce. I do dzisiaj w każde święta wielkanocne, przy wtórze wybuchów śmiechu „ciukamy" się jajkami. Stało się to naszą rodzinną trady-

cją. Zachęcam Czytelników do wprowadzenia tej góralskiej zabawy do własnych domów. Nawet w dzisiejszy wieczór na pewno zostały jeszcze jakieś świąteczne jajka.

A teraz inne wspomnienia z dzieciństwa. W naszej parafii w Wielką Sobotę ksiądz chodził po domach, aby święcić przygotowane pokarmy. Nie mam pojęcia ile mieszkań odwiedzał np. w dużej kamienicy, w której mieszkaliśmy. W każdym razie pamiętam, że u nas był w każdym roku. Ksiądz przychodził około południa i my z siostrą czekaliśmy na niego niecierpliwie, ponieważ po święceniu rozpoczynał się uroczysty obiad.

Dzisiaj, pisząc te słowa, mam przed oczyma stół przykryty białym obrusem, a na środku duży talerz z tradycyjnymi pisankami, białą kiełbasą, szynką, solą i chlebem. Wszystko to przystrojone gałązkami borówki. No i my, dzieci, ubrane świątecznie i nasłuchujące czy z klatki schodowej nie dobiega już odgłos kroków księdza i ministranta. Myślę, że nie ma nic cenniejszego od takich wspomnień z dzieciństwa.

No i wreszcie dzwonek u drzwi wejściowych. Po ceremonii święcenia, ojciec wręczał ministrantowi kopertę z pieniędzmi i żegnał się z księdzem uściskiem dłoni. Kiedy tylko zamknęły się drzwi wejściowe, pędziliśmy z siostrą do stołu, aby wybrać sobie po jajku. Najpierw „ciukanie", a potem dzielenie się tym jajkiem, które miało rozbite czubki. Oraz życzenia, pocałunki, uściski. I obiad złożony ze smakowitych potraw.

Tutaj niezbędne wyjaśnienie. Ojciec był nauczycielem, a matka nie zarabiała, ponieważ była jeszcze uczennicą Konserwatorium Muzycznego, aby po jego ukończeniu zostać także nauczycielką. Tak więc – jak się to mówi potocznie – w naszym domu nie przelewało się, nie stać było rodziców na dobre i obfite jedzenie. Żyliśmy nader skromnie, a wyjazd na wakacje umożliwiała jedynie finansowa pomoc przyrodniego rodzeństwa. Ale święta obchodziliśmy zawsze uroczyście. To także polska tradycja.

Piszę o tym, aby przekazać Czytelnikom jak przed wojną żyli polscy nauczyciele. To smutne, że u nas ustroje się zmieniają, ale nie ulega zmianie stosunek władz do zarobków pracowników oświaty. A także pracowników kultury.

Wracam jednak do swoich wielkanocnych wspomnień. Były kapitałem, z którego korzystałem przez całe długie życie. I dlatego – moim zdaniem – warto pielęgnować te stare i piękne obyczaje. Nawet w obecnych, stechnicyzowanych czasach. Zostawmy miejsce dla „ciukania" obok komputerów, internetu, telefonu komórkowego, i-poda.

Wyjaśniam…

Wydaje mi się, że czytelnikom naszego tygodnika „DB" należy się istotne wyjaśnienie. Dotyczy ono samego założenia i celu moich felietonów. A więc tego czym mają być.

Moim zamysłem było od początku i jest nadal przedstawianie w kolejnych felietonach mojego stanowiska w rozmaitych sprawach, dzielenie się z Czytelnikami swoimi wątpliwościami w wielu społecznie ważnych kwestiach i wyrażanie własnych (co podkreślam) opinii o problemach nurtujących nas wszystkich. I mam nadzieję, że ten zamysł udaje mi się realizować. Natomiast nigdy, zapewniam, nie było moim zamiarem namawianie, nakłanianie, agitowanie, „nawracanie" kogokolwiek. Nie po to piszę, aby zyskać zwolenników takiego czy innego swojego poglądu. A tym bardziej zabiegać o poparcie dla moich przekonań. Chciałbym jedynie pobudzić Czytelników do ich własnych przemyśleń.

Nie jestem politykiem i nie należę do żadnej partii, związku, stowarzyszenia. Nie jestem związany z żadną instytucją czy organizacją. Stąd wszystkie wyrażane w felietonach opinie są moimi prywatnymi opiniami. A przedstawiam je nie po to by stworzyć jakieś nowe polityczne ciało, czy nowy społeczny ruch. Prezentuję swoje opinie tylko w jednym celu: aby zachęcić Czytelników do przemyślenia moich słów. Przemyślenia całkowicie samodzielnego, bez odwoływania się do przeróżnych schematów, stereotypów, nawyków. Chciałbym zachęcić Czytelników, aby po przeczytaniu moich felietonów zapomnieli o tym co piszą i mówią politycy i tzw. eksperci. Moim zdaniem bowiem, każdego stać na własne przemyślenia. Zachęcam zatem do podjęcia prób samodzielnego myślenia.

Wszyscy wiemy, że media, a szczególnie telewizja, to potężne narzędzia w kształtowaniu publicznej opinii. Więcej – w kształtowaniu obrazu rzeczywistości. Już w latach pięćdziesiątych, a więc ponad pół wieku temu, kanadyjski naukowiec Herbert Marshall McLuhan zanalizował i opisał nieznaną dotąd w historii ludzkości potęgę jaką jest oddziaływanie telewizji. I wymyślił określenie „globalna wioska", jakże trafnie oddające współczesny świat. To co wydarzy się w dowolnym punkcie naszego globu, dzięki telewizji błyskawicznie zostaje przekazane do powszechnej wiadomości. Przyzwyczailiśmy się do tej wygodnej sytuacji. I już nie zauważamy, że te wszystkie „njusy" i komentarze zaczynają zastępować nasze własne, samodzielne myślenie.

Dlatego jeszcze raz powtarzam, że nie jest moim zamiarem przekonywanie Czytelników aby zgadzali się z moimi – wyrażanymi w felietonach – poglądami, opiniami, przekonaniami. Przeciwnie, mogą oburzać się na takie czy inne moje sformułowania, protestować przeciwko krytyce instytucji lub osób, mieć przeciwne zdanie – ale niech to będzie rezultatem ewentualnej dyskusji i przemyśleń po przeczytaniu felietonu. A nie uleganie zastanym, wygodnym formułkom.

Mogę się mylić w moich ocenach; każdy ma prawo do błędów. Ale wolę mylić się „na własny rachunek" niż przyjmować czyjeś rzekomo słuszne zasady. Muszę się przyznać w tym miejscu, że nie ufam instytucjom i ludziom twierdzącym, iż zawsze mają rację. I nigdy się nie mylą. Historia pokazuje jak straszliwe nieszczęścia spadały na ludzkość w wyniku działań instytucji i osób przypisujących sobie nieomylność i posiadanie „monopolu na Prawdę". Ale to już temat na inny felieton.

W tym natomiast, na zakończenie, raz jeszcze zachęcam Czytelników do wyzwolenia się z zewnętrznej presji jaką wywierają media i za ich pośrednictwem niektórzy politycy. Oraz do stałych prób samodzielnego myślenia

Zamiary i siły

W roku 1948 (dla dwudziestolatków to zamierzchła historia!) zmuszony z przyczyn politycznych do rezygnacji z działalności studenckiej na Uniwersytecie Łódzkim, poszedłem na pożegnalną rozmowę z rektorem, którym był wówczas profesor Tadeusz Kotarbiński. Znany na świecie 62-letni filozof dał mi wówczas cenną radę. Powiedział, co dokładnie pamiętam: „Młody kolego, jeżeli chce pan rozpocząć jakąś akcję, należy sprawdzić czy ma choć jeden procent szansy powodzenia. Jeśli nie – lepiej w ogóle nie zaczynać".

Mickiewicz napisał: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług siły". Sens rady, która dał mi Kotarbiński, był całkowicie odwrotny: „Mierz zamiary na siły". Muszę dodać, że do tej rady stosowałem się przez całe swoje długie życie.

Zamiar według „Słownika języka polskiego" to projekt, plan, intencja. To coś bardziej konkretnego niż pragnienie, marzenie, wizja. Marzyć można o czymś niemożliwym do urzeczywistnienia. Ale „mieć zamiar" oznacza, że chcemy go zrealizować i widzimy takie możliwości. Oto najprostszy przykład różnicy pomiędzy zamiarem a marzeniem. Marzymy aby kupić Mercedesa, ale

brak nam odpowiedniej ilości pieniędzy. Mamy jednak zamiar kupić samochód według zasobności naszej kieszeni.

Tak więc nie miał racji Mickiewicz w swoim romantycznym „mierz siły na zamiary". Racje miał natomiast Kotarbiński w logicznym obliczaniu szans powodzenia.

Piszę o tym w kontekście „politycznych przepychanek" zarówno na szczeblu centralnym jak i lokalnym u nas w Wałbrzychu. Rzucać hasła jest łatwo, jak również krytykować przeciwników za brak takich haseł. Widziałem i słyszałem zbyt wieli sloganów – jak to się potocznie mówi – bez pokrycia. Przed wojną całą Polskę oklejono plakatami, na których widniał dumny profil Rydza-Śmigłego, a nad nim sylwetki lecących samolotów. I napis „Silni – zwarci – gotowi". Ładnie to brzmiało, ale rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Miałem wtedy 13 lat i od tamtego czasu unikam tzw. wielkich słów.

Hitler także używał sloganów, kiedy mówił o swoich planach i projektach. Czyli o zamiarach. Chciał rządzić jeśli nie całym światem, to przynajmniej Europą od Atlantyku po Ural. Przeliczył się z siłami i przegrał. Podobnie zawiedli się inni „naprawiacze świata". Mieli np. zamiar zbudować komunizm na całej kuli ziemskiej. Głosili hasło „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!". A proletariusze jakoś się do tego nie kwapili. I znowu nie sprawdziło się romantyczne „mierz siły na zamiary".

Religie od tysięcy lat zamierzają zbawiać ludzi. Bez rezultatu. Nie wiem tylko czy to kapłani mają za mało siły czy wierni są zbyt słabi. A może po prostu popełnia się błąd w obliczaniu szans realizacji najbardziej szczytnego zamiaru? Kiedy w roku 1977 zaproponowano mi zorganizowanie w Wałbrzychu orkiestry symfonicznej, przedstawiłem swoje warunki. O ile władze chciały powołać taką orkiestrę, musiały zapewnić odpowiednie środki. Czyli dać mi możliwość realizacji. A zatem zmierzyć siły niezbędne do wprowadzenia w życie zamiaru. Gdyby mi tych środków nie zapewniono, nigdy nie podjąłbym się realizacji pięknego zamiaru władz, aby w Wałbrzychu powstała filharmonia.

Obserwując teraz to, co dzieje się w Warszawie lub w Wałbrzychu, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że obecne władze rzucają po prostu słowa na wiatr. Są to znane obietnice wyborcze. Rządzący obiecują budowę autostrad (w Wałbrzychu skromniej – obwodnicy). I co? Ano nic. A przecież komunikację porównuje się słusznie do krwioobiegu. Władze obiecują, czyli mają zamiar usprawnić (niektórzy złośliwie mówią – uleczyć) służbę zdrowia. Nie wiem na ile jest to konkretny zamiar, a na ile po prostu nierealistyczne pragnienie.

Tak czy owak następuje rozziew pomiędzy pragnieniami a możliwościami. Powiedzenie „chcieć to móc" także często się nie sprawdza w praktyce.

Dlatego stwierdzam z naciskiem, że rządzący zanim zaczną przedstawiać swoje plany, projekty, zamiary - powinni obliczyć szansę ich realizacji. Każdy może marzyć, ale nie wolno łudzić ludzi obietnicami. Teraz nazywa się takie postępowanie populizmem; za mojej młodości – demagogią.

W Wałbrzychu można zrealizować różne piękne plany czy projekty. Sprawdźmy jednak przedtem jakie mamy możliwości. Mierzmy zamiary na siły. Wierzę, że tylko takie działania będą korzystne dla mieszkańców naszego miasta.

183 „Końce świata"!

Dociekliwi badacze na podstawie zachowanych dokumentów obliczyli, że w ciągu całej historii ludzkości aż 183 razy przepowiadano koniec świata! Brzmi to wręcz niewiarygodnie. A jednak…. Najstarszy zapis ma około 5 000 lat. Na sumeryjskiej tabliczce utrwalono dla potomności mit o potopie. Bogowie postanowili zatopić wszystkich ludzi, karząc ich za grzeszne życie. Ale jeden z bogów o imieniu Ea (w innych wersjach nazywał się Enlil) postanowił uratować wyjątkowo cnotliwego człowieka. Ostrzegł go o nadchodzącej zagładzie i nakazał mu zbudowanie arki. I w ten sposób ocalał wraz z rodziną człowiek o imieniu Utnapiszczim. Sumeryjski mit przejęli Babilończycy, a od nich starożytni Izraelczycy. I został unieśmiertelniony w Biblii. Potop i arka pozostały, zamieniono tylko imię tego jedynego sprawiedliwego na semickie Noe.

W każdej niemal kulturze pojawiały się mity, legendy, proroctwa, przepowiednie o totalnej zagładzie. A jej formy były najrozmaitsze: potopy, pożary, zarazy, trzęsienia ziemi, najazdy obcych przybyszów. Zaś przyczyną – zbrodnie, grzechy, łamanie praw i przykazań, zrywanie przymierza z bogami itd. Chrześcijanie oczekiwali końca świata połączonego z ponownym przybyciem Jezusa czyli paruzją najpierw po upływie 500 lat od Jego ukrzyżowania i zmartwychwstania. A potem na pierwsze tysiąclecie. Jak wiadomo – nic się nie stało. Na wzmiankę zasługują także przepowiednie dwóch założycieli nowych religii w niezbyt odległych od nas czasach. Działający w XVIII wieku teolog Jan Albrecht Bengel przepowiedział, że koniec świata nastąpi dokładnie 18 czerwca 1836 roku. Jak wiadomo – nie nastąpił. W XIX wieku w USA William Miller, założyciel adwentyzmu, wyliczył, że ponowne przyjście Jezusa i koniec świata będą miały

miejsce 21 marca 1844. On sam i jego wyznawcy przeżyli wielkie rozczarowanie. Zmienił wtedy datę końca świata na podstawie poprawionych wyliczeń na 21 października tego samego roku 1844. I tym razem nic się nie stało.

Ale te wszystkie przewidywania, wyliczenia, przepowiednie są niczym wobec Apokalipsy św. Jana. Słowo apokalipsa to po grecku objawienie. Objawienie napisane przez świętego Jana stało się synonimem końca świata. Weszło do potocznego języka: apokalipsa oznacza całkowitą zagładę i koniec świata. Jest to – moim zdaniem – wybitne dzieło literackie. Zawarte w nim wizje są niezwykle sugestywne i pomimo grozy – poetyckie. Ba, ale o koniec jakiego świata chodzi? Ówczesnego, starożytnego? Czy tylko naszej planety? Czy może całego wszechświata, który był przecież starożytnym całkowicie nieznany? Którego nie potrafili sobie nawet wyobrazić? Nie chcę być złośliwy, ale ilu ludzi w naszym XXI wieku jest w stanie wyobrazić sobie rozmiary wszechświata?

A oto przykład innego końca świata, tym razem oparty rzekomo na badaniach naukowych. W roku 1705 angielski astronom Edmund Halley odkrył i opisał istnienie tzw. komet okresowych. Jedna z nich, nosząca nazwę od jego nazwiska pojawia się stosunkowo blisko ziemi co 76 lat. Żądni popularności i pieniędzy niedowartościowani, trzeciorzędni naukowcy i uganiający się za byle jakimi sensacjami dziennikarze rozpętali histerię. Przewidywane na rok 1910 zbliżenie do ziemi komety Halley`a miało spowodować koniec świata. Tysiące naiwnych uwierzyło w pseudonaukowe wyliczenia, według których warkocz komety miał objąć ziemię i zniszczyć całkowicie wszelkie przejawy życia. Tysiące naiwnych gromadziło zapasy wody i żywności, budowało schrony, modliło się lub przeciwnie – oddawało najrozmaitszym rozrywkom. Oczywiście – jak wiemy – koniec świata nie nastąpił. Podobnie jak 22 grudnia 2012 roku!

Zadaję sobie jednak pytanie: komu zależy na takim, trwającym od wieków, straszeniu ludzi? Czyżby rozmaitym władcom duchownym i świeckim? Wiadomo bowiem, że łatwiej rządzi się przestraszonymi poddanymi. A straszenie zaczyna się już od wczesnego dzieciństwa, np. znane nam wszystkim „jak nie zjesz kaszki, to cię oddam…". Od dorosłego zależy komu się odda nieszczęsnego malucha: Babie-Jadze, diabłu, policjantowi itd. Te groźby są równie realne jak ów koniec świata. Drodzy Czytelnicy, nie wierzcie też w apokaliptyczne przepowiednie w rodzaju globalnego ocieplenia, dziury ozonowej, zniszczenia przyrody, braku surowców, przeludnienia itp. Tę listę można by dowolnie przedłużać. Lepiej szukać odpowiedzi na pytanie: kto ma interes w tym aby nas straszyć?

P.S.

Astronomowie obliczyli, że koniec całego naszego układu słonecznego wraz z ziemią nastąpi prawdopodobnie za 4 - 5 miliardów lat. Mamy zatem sporo czasu!

Napisane 10 stycznia 2013

Co dalej z palmiarnią?

Przypuszczam, że każdy wałbrzyszanin wie co to jest palmiarnia. I choćby raz ją odwiedził. Ja sam byłem jeszcze w latach pięćdziesiątych w palmiarni poznańskiej i oczywiście także, zaraz po rozpoczęciu pracy w Wałbrzychu, w końcu lat siedemdziesiątych w palmiarni wałbrzyskiej. Dla mnie jest to miejsce pełne specyficznego uroku. Tajemnicze, egzotyczne rośliny i ciepłe, nieruchome powietrze stwarzają jedyny w swoim rodzaju nastrój. Piszę o tym, ponieważ doszły do mnie nieoficjalne wieści, że nasza wałbrzyska palmiarnia popada w ruinę. A oto czego się dowiedziałem.

Palmiarnia przed wojną stanowiła – jak mi mówiono – część zamku w Książu. Z nieznanych przyczyn i zamek i palmiarnię przekazano po 1945 ministerstwu rolnictwa. Kiedy na jesieni 1977 zawieziono mnie do Książa, byłem dosłownie wstrząśnięty. Położenie zamku i jego otoczenie wywołały mój zachwyt, ale stan większości pomieszczeń budził wręcz przerażenie. Dowiedziałem się od ówczesnego dyrektora, że ministerstwo rolnictwa nie tylko nie daje pieniędzy na renowację zniszczonych pomieszczeń, ale skąpi nawet na bieżące, najpilniejsze remonty. Interwencje wałbrzyskich władz samorządowych napotykały na całkowitą obojętność ministerialnych urzędników.

Po transformacji, w roku 1990 miasto przejęło zamek, ale z nieznanych mi powodów palmiarnia nadal pozostała w gestii rolnictwa, tym razem Agencji Nieruchomości Rolnych. Czyżby pielęgnacja tropikalnych roślin miała sprzyjać rozwojowi polskiej wsi? Zaiste, niezbadane są meandry biurokratycznego myślenia.

O ile zamek i jego otoczenie w ostatnich latach zostały poddane zabiegom renowacyjno–adaptacyjnym, o tyle w palmiarni nie widać żadnej troski właściciela o poprawę istniejącego stanu. Nie chcę być czarnowidzem, ale z tego co słyszałem – palmiarnia powoli popada w ruinę. I tu dochodzimy do przedziwnej, absurdalnej sytuacji: palmiarnia jest własnością Agencji Nieruchomości

Rolnej, dla której jest nic nie znaczącym, małym obiektem, położonym daleko od Warszawy. Dla Wałbrzycha natomiast byłaby cenną atrakcją turystyczną i Urząd Miasta – jak sądzę – chętnie by obiekt przejął. Ba, ale Agencja nie chce – jak słyszałem – oddać go miastu czyli nieodpłatnie przekazać. Zamiast tego w połowie minionego roku ogłosiła przetarg na sprzedaż. Cena wywoławcza – 4.500.000 zł. Nie zgłosił się żaden nabywca. Urząd Miasta byłby chętny, ale brak w budżecie pieniędzy. A żadna prywatna firma lub osoba nie wyłoży takiej kwoty na niszczejący obiekt, wymagający znacznych nakładów. I w dodatku (uwaga, uwaga!) zapisany jako zabytek. A to oznacza, że bez zgody konserwatora zabytków nie wolno wykonywać w nim jakichkolwiek prac. Kolejny absurd. Obiekt zabytkowy będzie popadał w ruinę, ale pomimo tego nie wolno w nim wykonywać żadnych prac renowacyjnych, adaptacyjnych, modernizacyjnych. Uzyskanie zgody konserwatora zabytków jest – jak wiadomo – czasochłonne i obwarowane znaczną ilością przepisów, obostrzeń, zastrzeżeń, uwarunkowań. Nieraz bardzo kosztownych.

I tak może dojść do następującej sytuacji: zabytkowy obiekt zamieni się w zabytkową ruinę, zamiast służyć ludziom i przynosić dochody. Nawet po ewentualnie mniej stylowej adaptacji.

Wałbrzychowi brak – jak wiadomo – atrakcyjnych zabytków w porównaniu z innymi miastami dolnośląskimi, a ciągle mówimy o zwiększeniu oferty turystycznej. Palmiarnia mogłaby stać się prawdziwą atrakcją. Według posiadanych przeze mnie informacji, w żadnym innym polskim mieście poza Poznaniem nie ma palmiarni. Stwarza to dla nas prawdziwą szansę. Nie jestem prawnikiem, ale może istnieją jakieś prawne możliwości, aby minister kultury „dogadał się" z ministrem rolnictwa i Agencja Nieruchomości Rolnej przekazała miastu nieodpłatnie palmiarnię? Podobnie jak przed dwudziestu laty Wałbrzych przejął cały zamek Książ wraz z otoczeniem. Przypuszczam, że palmiarnia już teraz byłaby co najmniej tak atrakcyjna dla turystów jak Stara Kopalnia za ileś tam lat.

W związku z tym mam konkretną propozycję. Może by tak skłóceni wałbrzyscy działacze wszystkich rodzajów i szczebli oraz dociekliwi dziennikarze połączyli wysiłki w celu pozyskania palmiarni dla miasta. Korzyści takiego działania byłyby wielorakie: integracja mieszkańców, ochrona przyrody, ochrona zabytków, ożywienie turystyczne, wpływy finansowe. I na koniec bez żadnej złośliwości jeszcze jedna uwaga. Ile czasu antenowego, papieru gazetowego, energii zaoszczędziliby ci, którzy teraz wzajemnie się oskarżają, atakują, obrażają, za-

miast wspólnie zrobić coś pożytecznego – pozyskać dla miasta i jego mieszkańców palmiarnię. A potem „uwiecznić" to następującą tablicą: „Obiekt pozyskany dzięki wspólnemu działaniu wszystkich sił politycznych Wałbrzycha".

Napisane 8 stycznia 2012

Czy warto?

W kolejnych latach pewne słowa, określenia, pojęcia były nader często używane, by nie rzec – nadużywane. Stawały się „modne"; robiły „karierę". Tak było np. ze słowem „pluralizm" w latach dziewięćdziesiątych. Niektóre określenia były i są niestety nadal używane mimo ewidentnego braku logiki. Najbardziej rażącym przykładem jest „polityka historyczna". Polityka to – jak wiadomo – nauka i sztuka rządzenia. Dotyczy tego, co dzieje się obecnie czyli w teraźniejszości. A historia to nauka o tym, co już było czyli o przeszłości. Jak zatem można łączyć te dwa tak sprzeczne pojęcia? Ten, który wymyślił taki slogan był zatem albo głupkiem albo oszustem. Albo cynicznym demagogiem.

Teraz „modnym" słowem jest suwerenność. Politycy, którzy go ciągle używają, prowadzą – moim zdaniem – brudną grę polityczną. I co najgorsze wprowadzają w błąd opinię publiczną. A oto co mówią słowniki: suwerenność – niezależność władzy państwowej w stosunkach z innymi państwami i organizacjami międzynarodowymi. Albo inaczej: suwerenność to niezależność podmiotu politycznego, zwykle państwa, od obcej władzy. Wyrazami bliskoznacznymi są: niepodległość, niezależność. Czy w świetle tych definicji ktokolwiek myślący i obiektywny, może sobie w dzisiejszym zglobalizowanym świecie wyobrazić całkowicie suwerenne państwo?

Kiedyś, przed wiekami, marzono o samowystarczalnej gospodarce. Nazywało się to autarkią. Nie dało się tego marzenia urzeczywistnić. Nawet dla niewielkiego państwa i kosztem ogromnych wyrzeczeń ludności. Wiemy, że w starożytności między państwami trwała nie tylko wymiana towarów. Przez granice wędrowali także uczeni różnych specjalności, artyści, rzemieślnicy. Rozwój ludzkości dokonać się mógł wyłącznie dzięki wymianie myśli i umiejętności. Tylko najbardziej prymitywne plemiona z buszu i dżungli przetrwały w całkowitej izolacji. Dzisiaj Afryka płaci za to straszliwą cenę.

Proponuję, aby Czytelnicy rozejrzeli się po swoim mieszkaniu. Otaczają nas przedmioty pochodzące dosłownie z całego świata. Zarówno jedzenie jak

i odzież kupujemy z bardzo nieraz odległych krajów. Jeśli nawet produkujemy je w Polsce, to zostały wymyślone gdzie indziej. I tam opracowane technologicznie. Cegła, stal, bawełna przyszły do nas w odległej przeszłości. A koleje, samochody, samoloty, radio, telewizja, plastik, komputery? Zaiste, umarlibyśmy z głodu i chłodu, gdybyśmy chcieli być samowystarczalni. Oczywiście, za wszystko musimy płacić, nie tylko pieniędzmi. Również uzależnieniem. A tak, właśnie uzależnieniem od innych państw. Aby uzyskać to, co potrzebujemy, np. ropę naftową czy gaz, musimy dbać o dobre stosunki z tymi, którzy posiadają takie surowce. Nikt rozsądny temu nie zaprzeczy.

Angielski historyk Geoffrey Barraclough w 1964 roku napisał, że we współczesnym świecie istnieje między państwami tak ogromna zależność, że dawne państwa oparte na idei narodowej tracą rację bytu. To, co się dzieje po upływie pięćdziesięciu lat potwierdza tezę uczonego. Choć to może być dla wielu ludzi przykre. A inni naukowcy idą jeszcze dalej i twierdzą, że nacjonalizm sprowadził na ludzkość w XX wieku najstraszliwsze klęski. Osobiście niczego Państwu nie sugeruję, ale zachęcam do samodzielnych przemyśleń i dyskusji.

Zarzuca się polskim władzom sprzed 1989 roku, że nasz kraj nie był w pełni suwerenny. Zarzut słuszny, choć winę za ten stan ponoszą alianci, którzy podzielili Europę na strefy wpływów. My niestety z uwagi na geograficzne położenie znaleźliśmy się w strefie radzieckiej. To są fakty historyczne. Ale wyłania się pytanie: czy teraz, po transformacji ustrojowej, Polska jest całkowicie suwerenna? . Czy nie wiążą nas poza opisanymi wyżej zależnościami ekonomiczno – gospodarczymi liczne umowy międzynarodowe? A czy wstępując do Unii Europejskiej nie zrzekliśmy się dobrowolnie części własnej suwerenności? Jak wszystkie inne państwa będące członkami Unii. Chyba nikt nie zaprzeczy, że było to dla nas niebywale korzystne

Podsumowując: za wszystko trzeba płacić. Państwu odstępujemy część swojej wolności, poddając się prawodawstwu i płacąc podatki. W zamian otrzymujemy (a przynajmniej powinniśmy otrzymywać!) gwarancję porządku, ładu i przede wszystkim bezpieczeństwa. Podobnie z suwerennością. Oddajemy jej część za członkowstwo w Unii Europejskiej, we wspólnocie wolnych, demokratycznych państw. I za to, że w razie jakiegokolwiek zagrożenia otrzymamy pomoc. Pozwolę sobie przypomnieć, że w takiej „ograniczonej suwerenności" żyją od dziesięcioleci cywilizowane i bogate państwa Europy. Zatem odpowiedź na tytułowe pytanie brzmi: chyba warto.

Czyj interes ważniejszy?

Podobno w spółdzielniach mieszkaniowych żyje około jednej czwartej obywateli naszego kraju, licząc zarówno stulatków jak i nowo narodzone niemowlęta. Ta ogromna ilość ludzi podlega w tak ważnej życiowo dziedzinie stosunkowo niewielkiej grupie osób, czyli zarządom spółdzielni. Od wielu lat wiadomo z dziesiątków artykułów w prasie centralnej i lokalnej, że w spółdzielczości mieszkaniowej źle się dzieje. Członkowie czyli mieszkańcy nie mają praktycznie żadnego wpływu na bieżącą działalność zarządu, a na składane zażalenia słyszą odpowiedź, że wszystko jest zgodne z regulaminem. Uchwalanym przez... zarząd.

Ja również należę do tych członków spółdzielni, którzy czują się pokrzywdzeni przez ustalone kiedyś przepisy regulaminu. A dotyczą one przede wszystkim opłat za czynsz, a zwłaszcza za ogrzewanie. Jeśli zarząd uchwala kolejne zmiany tych przepisów, to zawsze w kierunku zwiększenia opłat.

W dzisiejszym felietonie (na prośbę licznych „podzamczan") chciałbym się zająć systemem, na którym oparte są wyliczenia kosztów ogrzewania. System ten został wprowadzony po transformacji ustrojowej, kiedy zniknęły dotacje państwowe dla spółdzielni mieszkaniowych. I okazał się – moim zdaniem – błędny, niesprawiedliwy, krzywdzący. Niemiecka firma „Metrona" wprowadziła go przed laty w Niemczech. Zaprotestowali tamtejsi obywatele i firma musiała zmienić zasady naliczania. Donosiły o tym gazety. Nie wiem jak postąpiły inne spółdzielnie mieszkaniowe, ale na Podzamczu nie nastąpiły żadne zmiany. Na zgłaszane zastrzeżenia, zarząd odpowiadał, że obowiązujący regulamin przewiduje takie właśnie procedury.

Znam ludzi, którzy mając w mieszkaniu temperatury poniżej 18 st.C, chodzą otuleni w swetry i koce, a mimo to po zakończonym sezonie grzewczym i tak muszą dopłacać do ogrzewania po kilkaset złotych. I odwrotnie, są mieszkania np. nad tzw. węzłem cieplnym. Ich lokatorzy mogą w ogóle nie otwierać kaloryferów (mają darmowe „ogrzewanie podłogowe") i po sezonie otrzymują zwrot zaliczek. Czy to nie jawna niesprawiedliwość? Od lat tolerowana przez kolejne zarządy?

Jeszcze bardziej rażący przykład krzywdzących przepisów w spółdzielni mieszkaniowej „Podzamcze" to wysokość ryczałtu za ogrzewanie liczona za metr kwadratowy mieszkania. Okazuje się, że jeśli członek spółdzielni nie chce być zależny od wyliczeń „Metrony", może zgłosić chęć płacenia ryczałtu. Jeden

z kolejnych zarządów ustalił kiedyś, że stawka za metr kwadratowy mieszkania będzie wynosić miesięcznie ponad 6 zł. Przypuszczam, że taka wysokość nie jest oparta na rzetelnym wyliczeniu. Wiadomo bowiem, że w tzw. wspólnotach mieszkaniowych stawka wynosi ok. 3 zł, czyli połowę mniej! A, jak mi mówiono, choć lokatorzy nie oszczędzają ciepła - zdarza się, że po sezonie grzewczym otrzymują jeszcze częściowy zwrot wpłaconych zaliczek. Zastanawiające jest, że te wspólnoty działają na Podzamczu, w takich samych blokach i ogrzewanych przez tę samą ciepłownię! W razie potrzeby służę adresami.

Wniosek - moim zdaniem – oczywisty: kolejne zarządy w swoich działaniach nie dbają o dobro członków spółdzielni. Dlaczego tak jest – nie będę spekulował.

I jeszcze jedna sprawa. Przed kilku laty powstał w Sejmie projekt nowelizacji ustawy o spółdzielczości mieszkaniowej. Przewidywano w nim m.in. znaczne ułatwienia w zawiązywaniu tzw. wspólnot mieszkaniowych. Ponieważ, jak uczy doświadczenie, małe wspólnoty są sprawniejsze organizacyjnie i przede wszystkim nieporównywalnie tańsze od molochów, w których żyje kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Kiedy jednak projekt nowelizacji został upubliczniony, prezesi licznych spółdzielni na terenie całego kraju zaprotestowali. Sam słyszałem w telewizji wypowiedzi w rodzaju: „To koniec spółdzielczości!", „Czeka nas zagłada spółdzielczości mieszkaniowej!", „To zamach na demokrację!".

Kończąc ten felieton, jeszcze raz powtarzam, że obecnie stosowany system rozliczania kosztów ogrzewania ma same wady. Dlaczego kolejne zarządy nie zrezygnowały z niego, jest dla mnie niewytłumaczalne. Czas wreszcie aby ten system zmienić. Im prędzej – tym lepiej dla nas, członków spółdzielni, których interesu powinien zarząd bronić!

Degrengolada?

Na pewnym spotkaniu, w którym uczestniczyłem, dyskutanci zgodnie utyskiwali na poziom osób rządzących naszym krajem. Z troską podawali przykłady upadku obyczajów, niekulturalnych wypowiedzi i niewłaściwych zachowań. Ja również, obserwując to co dzieje się w parlamencie, rządzie i samorządzie, ze smutkiem dostrzegam postępującą degrengoladę publicznego życia. Aby nie być gołosłownym, pozwolę sobie na podanie kilku najbardziej rażących przykładów.

Wicepremier Waldemar Pawlak oświadczył, że nie wierzy w państwowe emerytury. Tego rodzaju sformułowanie było co najmniej dziwne w ustach kogoś, kto współrządzi Polską od 2007 roku i z tej racji odpowiada także za funkcjonowanie ubezpieczeń społecznych. Ale jeszcze bardziej niestosowna była dalsza część wypowiedzi pana Pawlaka. Doradził Polakom, aby sami, we własnym zakresie oszczędzali na swoje emerytury. Czyli mówiąc inaczej – już teraz zbierali pieniądze na starość. Nie wątpię, że pan Pawlak i jemu podobni mają z czego odkładać pieniądze. Na przykład na konta w bankach. Mogą gromadzić kapitał w postaci nieruchomości lub złota i brylantów. Ale zaiste miliony Polaków nie mają takich możliwości! Ich zarobki w najlepszym razie wystarczają na przetrwanie z miesiąca na miesiąc. Mówią o tym wyraźnie oficjalne dane GUS-u. Milionom Polaków brakuje także pieniędzy na spędzenie wakacji poza domem. A co z bezrobotnymi? Czy oni również mają oszczędzać z otrzymywanych zasiłków? Uważam, że wypowiedź pana Pawlaka była po prostu nieprzyzwoita. I gorzej – głupia!

A oto oświadczenie Donalda Tuska. Przyznał się (doprawdy, wzruszyłem się tą samokrytyką!), że jego decyzja w sprawie Acta była nieprzemyślana. To smutne, że szef rządu podejmuje w ogóle takie decyzje. Wynika z tego, że jest po prostu nieodpowiedzialny. A jeżeli sam nie potrafi myśleć, to może by zapytał się swoich ministrów i doradców? Uważam, że sprawa jest po prostu skandaliczna.

Jeszcze drastyczniej przedstawia się projekt reformy emerytalnej. Tutaj kompromitacja dotyczy nie tylko rządu i osobiście premiera, lecz także wszystkich partii. Nikt rozsądny nie zaprzeczy, że reforma emerytalna jest absolutną i niezwykle pilną koniecznością. Obecny system jest przestarzały, nie uwzględniający współczesnych realiów demograficznych i medycznych, a w dodatku niesprawiedliwy w rozbudowanej sferze środowiskowych przywilejów. Jest po prostu szkodliwy dla kraju. Ale sposób przedstawienia projektu reformy społeczeństwu jest żenującym dowodem niekompetencji władz. A jak zachowuje się opozycja zarówno lewicowa jak i prawicowa? Zakładam, że kierownictwa opozycyjnych partii nie składają się z samych idiotów i że uświadamiają sobie pilną konieczność przeprowadzenia reformy emerytalnej. Pomimo to prowadzą raczej obrzydliwe gierki polityczne, strojąc się w piórka obrońców ludu. Zamiast podjęcia rzeczowej, trudnej, otwartej debaty – szermują demagogicznymi hasłami. Ciekawe czy wreszcie któraś z partii opozycyjnych zdecyduje się na taką debatę? I powie nam, jak widzi rozwiązanie tak ważnego problemu emerytur.

Czy te trzy zaledwie przykłady nie świadczą o degrengoladzie naszej tzw. klasy politycznej? Przecież my, zwykli obywatele nie jesteśmy ekspertami w tak specjalistycznych dziedzinach jak ekonomia, demografia, statystyka, socjologia. Na podstawie jakich danych możemy stwierdzić po czyjej stronie jest racja? To właśnie nasi politycy powinni przedstawić nam niefałszowany obraz dnia dzisiejszego, różne sposoby rozwiązania trudności i możliwe zagrożenia. Powiem brutalnie: po prostu zachować się uczciwie wobec społeczeństwa.

Demokracja i guma do żucia

Awantura na sesji rady miejskiej, relacjonowana przez media, skłoniła mnie do napisania tego felietonu. Od razu zaznaczam, że nie zajmę się rozważaniem, czy likwidacja paru wałbrzyskich szkół była słuszna, a nawet niezbędna. Zbyt mało bowiem mam merytorycznych danych, zaś znane mi argumenty skłóconych stron różnią się diametralnie. Chciałbym natomiast przedstawić Czytelnikom wyłącznie moje zdanie na temat samej awantury i wynikających z niej wniosków.

Jak wiadomo prawo do publicznego wyrażania sprzeciwu, do protestów i różnych form demonstracji jest nieodłączną cechą demokracji. Obywatele mają prawo do niezgadzania się z decyzjami władz, zarówno w sprawach zasadniczych jak i osobistych. Ba, ale zdarza się nader często, że to prawo przeradza się w swoją własną karykaturę. Zdarza się również, że demonstracje przynoszą wręcz odwrotny od zamierzonego skutek. Znamy to niestety z naszej historii. Najbardziej chyba bolesnym przykładem były demonstracje w gdańskiej stoczni. Stoczniowcy mieli rację w swoich protestach; przyczynili się do transformacji ustroju. Chwała im za to. Ale dzisiaj nie ma już w Gdańsku stoczni…

Wracajmy jednak do Wałbrzycha i wydarzeń na sesji w dniu 12 kwietnia br. Protestujący na sali to zaledwie kilkudziesięciu rodziców. Ta liczba nie stanowi nawet 1 procenta mieszkańców naszego miasta. Jeżeli dobrze pamiętam czego mnie uczono w szkole, to raczej jest to zaledwie około 1 promila wałbrzyszan. Czy istotą demokracji ma być możliwość blokowania obrad rady miasta przez taką maleńką grupkę? Jedna z osób protestujących oświadczyła, że została oszukana przez pana Szełemeja, bo choć na niego nie głosowała – i tak czuje się oszukana. Dziwnie pokrętna „logika". Na uwagę dziennikarki, prowadzącej rozmowę, że na Szełemeja głosowało 60% mieszkańców Wałbrzy-

cha oświadczyła, że to było 60% głosujących. I znowu kolejny brak „logiki". Przecież 60% głosujących, oznacza 20-30000 ogółu mieszkańców. To jednak więcej niż garstka protestujących!

Ale ta garstka była głośna, bardzo głośna. Krzykami zakłócała przebieg obrad i w kółko powtarzała te same argumenty, zarzuty, pretensje, oskarżenia. Tutaj pozwolę sobie na wyrażenie słów uznania dla opanowania i kultury przewodniczącej rady. Dowiodła, że wybór takiej osoby był jak najbardziej właściwy.

Wracając do wypowiedzi osób protestujących, to niektóre z nich były wręcz humorystyczne. Zarzucono np. jednej z radnych, że wzięła udział w głosowaniu. A nie powinna, ponieważ… jest żoną prezydenta. Stwierdzono, że to niemoralne. Nie mogę pojąć jaki jest w tym przypadku związek pomiędzy głosowaniem a moralnością. Toż to kompletny brak logiki. Obrzydliwą formą demonstracji było także przywiezienie do ratusza taczki. W dodatku starej, odrapanej, brudnej. Czy straszenie „wywiezieniem na taczce" demokratycznie wybranego prezydenta nie jest przypadkiem całkowitym zaprzeczeniem istoty ludowładztwa czyli właśnie demokracji?

Brakiem kultury było pozbawione sensu rzucanie przez protestujących monet na radnych w sali obrad. Nie mogę pojąć co miał oznaczać ten ordynarny gest. W dodatku niektóre osoby rzucające monety miały na twarzach radosne uśmiechy. Czyżby uważały cały protest za zabawę, tzw. rozróbę lub inaczej – zadymę? Aby potem przez długie tygodnie opowiadać sąsiadkom jak to „przyłożyły" radnym i samemu prezydentowi. Jedna z protestujących pań (nie wiem czy bardziej nie pasowałoby określenie „baba"), która występując przed kamerą, żuła bez przerwy gumę. Moim zdaniem było to okazywanie lekceważenia nie tylko dziennikarce przeprowadzającej rozmowę, lecz także telewidzom. A ponadto pokazało jak ta pani traktuje Radę Miejską i przede wszystkim tak ważną, podobno, sprawę.

I jeszcze jedna uwaga. Sprawa likwidacji szkół stała się dla niektórych osób narzędziem gry politycznej. Co osobiście uważam za wstrętne. Przed paroma tygodniami pewna posłanka (przez litość nie wymienię jej nazwiska) powiedziała: „likwidacja szkół zagrodzi wałbrzyskim dzieciom drogę do wiedzy". Zapewniam, że słyszałem to głupie, nieprawdziwe, demagogiczne zdanie na własne uszy.

W związku z całą sprawą nasunęło mi się jeszcze sporo uwag, z którymi podzielę się w innym felietonie.

Napisane 16 kwietnia 2012

Drażliwe tematy

Moim zdaniem jednym z podstawowych obowiązków felietonisty jest pisanie o sprawach, którymi aktualnie interesują się ludzie. Niezależnie od tego jak mogą być trudne, bolesne, kontrowersyjne. A do takich należy obecnie między innymi likwidacja w Wałbrzychu kilku szkół. Dotychczas unikałem poruszania tego drażliwego tematu, ograniczając się jedynie do opisów niewłaściwych – moim zdaniem – zachowań pewnej grupy osób. Moje powściągliwe stanowisko wynikało po prostu z braku pełnej wiedzy. Nie jestem ani ekonomistą ani socjologiem ani psychologiem. Ani tym bardziej demografem. Argumenty, które do mnie docierały, były całkowicie sprzeczne i na ich podstawie nie mogłem wyrobić sobie w miarę obiektywnej opinii. Dlatego i teraz zamiast wdawać się w merytoryczną polemikę, ograniczę się do całkowicie osobistego wspomnienia. A dotyczyć będzie jednego z „koronnych" argumentów przeciwników likwidacji: przewidywanej konieczności dojeżdżania dzieci autobusami do szkół.

Moja córka w wieku lat sześciu została uczennicą I klasy Podstawowej Szkoły Muzycznej w Wałbrzychu. Ponieważ jej matka, a moja żona, pracowała na pełnym etacie, studiując jednocześnie zaocznie – musiałem przejąć znaczną część obowiązków domowych. Między innymi odwożenia córki rano do szkoły. Był rok 1988 i żyjący wówczas wałbrzyszanie dobrze pamiętają „dantejskie sceny" rozgrywające się na przystankach autobusowych. Tak więc czy ulewny deszcz czy śnieżna zawieja usiłowałem z małym dzieckiem w tłumie „szturmujących" mieszkańców Podzamcza każdego ranka dostać się do autobusu. Jedną ręką pomagałem córce wejść na stopień, trzymając w drugiej teczkę, tornister i futerał ze skrzypcami. A jednocześnie całym sobą osłaniając dziecko przed napierającym ludźmi. Myślę, że każdy z Czytelników może to sobie z łatwością wyobrazić. Wysiadaliśmy na Piaskowej Górze, pędziliśmy do Szkoły, pomagałem sześcioletniej córce rozebrać się, a potem biegłem na następny przystanek, gdzie znowu „walczyłem" o dostanie się do kolejnego autobusu, aby jak najprędzej dostać się do pracy. A miałem wówczas ponad 60 lat. Zaś po pracy albo żona albo ja zabieraliśmy córkę ze szkoły i znowu w tłoku wracaliśmy do domu. I jaki z tego wniosek? Moim zdaniem – optymistyczny. Nie narzekaliśmy ani na obowiązki, ani na ustrój, ani na to, że szkoła nie jest blisko domu. Nieporównywalnie ważniejsze były: możliwość nauki dziecka i tzw. rodzinna więź. A dzisiaj mamy satysfakcję, że pomimo takich czy innych trudności, kłopotów, zmartwień wychowaliśmy naszą córkę i zapewniliśmy jej prawidłowy rozwój.

Drugie życie GDK

Każdy wałbrzyszanin wie co oznacza skrót G.D.K. I czym był kiedyś Górniczy Dom Kultury, niszczejący od prawie dwudziestu lat. Kolejni prezydenci i rady miejskie nie zdobyły się na ratowanie zasłużonej placówki i pozwoliły, aby niewykorzystany obiekt szpecił jedną z głównych arterii Wałbrzycha. Dopiero wybrany w ubiegłym roku na prezydenta Roman Szełemej postanowił przywrócić dawny GDK do życia. To ostatnie zdanie adresuję do zaciekłych przeciwników Szełemeja, apelując aby wstrzymali się z kolejnym na niego atakiem. Przynajmniej do momentu poznania projektowanego zakresu przyszłej działalności dawnego GDK.

Projekt odbudowy przewiduje wykorzystanie obiektu na różne cele. Powstać ma przede wszystkim tzw. sala wielofunkcyjna na 500 – 700 miejsc. Zostanie tak zbudowana, aby mogły się w niej odbywać koncerty symfoniczne i rozrywkowe, występy dowolnych zespołów, przedstawienia teatralne, wszelkiego rodzaju imprezy okolicznościowe, sympozja naukowe, spotkania polityczne itd. Sala w dawnym GDK miała jedyny na Dolnym Śląsku poza Wrocławiem tzw. kanał orkiestrowy czyli inaczej orkiestron, pozwalający na organizowanie przedstawień operowych, operetkowych, musicali i występów dużych zespołów pieśni i tańca. Przewidywana w projekcie wielofunkcyjna sala miałaby właśnie taki kanał orkiestrowy, który na innego rodzaju imprezy byłby zakrywany.

Poza dużą salą, projekt przewiduje zbudowanie mniejszej sali kameralnej na 100 - 150 miejsc, która pełniłaby również funkcje sali prób dla zespołów instrumentalnych, wokalnych czy baletowych. Na parterze gmachu mogłyby znaleźć miejsce także: kawiarnia, księgarnia, sklep z płytami i taśmami. A może także sklep z instrumentami i nutami. Wiadomo, że w Wałbrzychu nie ma galerii obrazów. Biuro Wystaw Artystycznych (BWA) znajduje się właściwie poza miastem, w Książu. A zatem BWA powinno znaleźć się w odbudowanym dawnym GDK i tam organizować stałe i tzw. czasowe wystawy plastyczne. A także dysponować punktem sprzedaży dzieł wałbrzyskich plastyków. I jeszcze jedna sprawa. Blisko budynku dawnego GDK znajdują się aż trzy duże szkoły. Należałoby związać działalność pedagogów i uczniów z przyszłym obiektem. Nie tylko artystyczną lecz także dydaktyczną i społeczną.

Czas teraz na zadanie istotnego pytania. Czy w obecnej sytuacji ekonomiczno – gospodarczej stać nas na taki wydatek jak odbudowa GDK? Moim

zdaniem – tak! Odrapane fasady domów i dziury na ulicach nie mogą przesłonić perspektywicznego myślenia. Bieżące potrzeby zawsze będą liczne i dla nas wszystkich dokuczliwe. Ale jestem przekonany, że obowiązkiem władz samorządowych powinno być szersze spojrzenie. I troska o przyszłość miasta i dbanie o wszechstronny jego rozwój. Od wielu lat nie można zorganizować w Wałbrzychu znaczącej imprezy masowej. Występy światowej sławy zespołów, takich jak Bieriozka czy Chór Aleksandrowa odbywały się w Świebodzicach, w hali sportowej. Przyznaję, że osobiście byłem zażenowany; ponad stutysięczne miasto nie ma możliwości organizowania imprez, które są prawdziwymi wydarzeniami.

Jest rzeczą jasną, że nasze miasto nie ma możliwości sfinansowania inwestycji rzędu stu kilkudziesięciu milionów. Prace mogłyby się zacząć dopiero po zatwierdzeniu wstępnego projektu i uzyskaniu niezbędnych środków finansowych spoza Wałbrzycha: z Unii Europejskiej, Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Samorządu Województwa Dolnośląskiego.

Pozostaje jeszcze kwestia nazwy przyszłego obiektu. Niestety nie może to być np. Górnicze Centrum Kultury, ponieważ nie ma już w naszym mieście górnictwa. Ale uważam za konieczne podkreślenie w nazwie zarówno tradycji samego obiektu jak i decydującej roli górnictwa w historii Wałbrzycha. Dlatego proponuję aby przyszłą wielofunkcyjną instytucję nazwać: Centrum Kultury im. Wałbrzyskich Górników. I na frontowej ścianie wmurować tablicę informującą, że w latach takich a takich mieścił się tutaj Górniczy Dom Kultury.

I na zakończenie apel: odłóżmy na bok wszelkie spory, różnice polityczne i personalne antagonizmy. Razem zbudujmy obiekt, który będzie służył następnym pokoleniom wałbrzyszan. Zostawmy po sobie coś wielkiego. Wałbrzych na to stać! Zawsze powtarzam: Wałbrzych ma przyszłość!

Gadanie głupot

Przed kilkoma tygodniami rozpoczęła się kolejna pseudodyskusja, tym razem o głodnych polskich dzieciach. Napisałem „pseudodyskusja", gdyż nikt nie podał konkretnych liczb ani – przede wszystkim – informacji o jakichkolwiek rzetelnych badaniach. Poniektórzy politycy i dziennikarze prześcigali się natomiast w mówieniu przeróżnych głupstw, nie dysponując w rzeczywistości żadnymi wiarygodnymi danymi. Mnie osobiście szczególnie drażniło zamien-

ne stosowanie dwóch nieprecyzyjnych określeń: głodne dzieci i dzieci niedożywione. A przecież całkowicie czymś innym są głód i niedojadanie. Ja sam w moim długim życiu zaznałem jednego i drugiego. I wiem czym się różnią.

A skoro już mowa o gadaniu głupot, to zaskoczyła mnie wypowiedź pana Stefana Niesiołowskiego, zajmującego od lat wysokie stanowiska rządowe i parlamentarne. Nie wierzyłem własnym uszom, że skądinąd inteligentny, wykształcony człowiek może użyć tak bezsensownych argumentów. Pan Niesiołowski powiedział, że polskie dzieci nie mogą być głodne, ponieważ, tak jak on w swoim dzieciństwie, maja do jedzenia mirabelki i ulęgałki oraz dziki szczaw między trawą porastającą tory kolejowe. Autentyczne! Głupota tego powiedzenia wynika z faktu, że samymi mirabelkami, ulęgałkami i szczawiem trudno się wyżywić, zwłaszcza, że są do pozyskania jedynie miesiąc czy dwa w ciągu roku. Nawet jeżeli pan Niesiołowski przejęzyczył się w ferworze dyskusji, to taki tok rozumowania jest po prostu kompromitujący.

Następną szokującą głupotę wypowiedział pan Adam Szejnfeld, także zajmujący wysokie państwowe stanowiska. Przytoczył przykład niemożności pomocy głodnym dzieciom z powodu… ich ojca–pijaka. Pan Szejnfeld powiedział dosłownie, że taki alkoholik przepija wszystkie domowe pieniądze i dlatego dzieci są głodne. Pan Szejnfeld dalej wywodził, że nie można nic zrobić, ponieważ kiedy pomoc społeczna zamiast pieniędzy dawała produkty żywnościowe, to ten ojciec–pijak sprzedawał je i za uzyskane w tak niegodziwy sposób kwoty kupował sobie wódkę. Słuchając „na żywo" tego wywodu, zastanawiałem się, czy pan Szejnfeld uważa mnie i wszystkich telewidzów za idiotów. Państwo jest bezradne i nie może pomóc głodnym dzieciom, ponieważ tatuś wszystko przepija. I to mówi były minister? Wręcz żenujące. Na świecie są setki tysięcy ojców–pijaków, w Polsce również niemała ilość. Ale jak można twierdzić, że to przez nich dzieci są głodne? Lub nawet niedożywione? A że są, miałem okazję sprawdzić.

Było to wprawdzie przed kilkunastu laty, ale nie przypuszczam, że w Polsce sytuacja uległa od tamtego czasu znaczącej poprawie. W pewnej szkole kierowniczka kuchni podjęła mądrą decyzję. Ogłosiła, że po zakończeniu wydawania obiadów (wykupionych przez pedagogów i uczniów), pozostałą w kotle zupę będzie dawać za darmo chętnym uczniom. I co się okazało? Sam na własne oczy widziałem jak dużo było dzieci czekających pod drzwiami stołówki na zakończenie wydawania obiadów. Jaki miały wyraz twarzy i jak łapczywie zjadały talerz zupy. Chwała kierowniczce kuchni, która bez wielkich słów robiła to, czego jakoś nie potrafiło zrobić nasze państwo.

I drugi przykład, również sprzed kilkunastu laty. Późną jesienią na zebranie Klubu Rotary przyszedł kierownik małej podstawowej szkoły w biednej popegeerowskiej wsi. I powiedział, że dzieci przestały chodzić do szkoły, bo nie mają zimowego obuwia i kurtek. Obecni na zabraniu przeżyli szok. A potem moja córka i jej koleżanki przy pomocy Rotarian, zebrały używaną odzież, buty, podręczniki oraz trochę słodyczy, aby zawieźć to wszystko potrzebującym dzieciom. Słabe to państwo, które nie potrafi zapewnić swoim obywatelom, a zwłaszcza dzieciom zaspokojenia podstawowych potrzeb. Moja córka i jej koleżanki kiedy zbierały używaną odzież i buty miały łzy w oczach.

Wielokrotnie powtarzałem, że nie drażnią mnie dochody właścicieli prywatnych (podkreślam: prywatnych!) banków i jakichkolwiek przedsiębiorstw. Nie muszę z nich korzystać; mam możliwość wyboru. Ale doprowadza mnie do furii kiedy za pieniądze takich jak ja zwykłych podatników (a podatki musimy wszyscy płacić!) przyznaje się prezesom państwowych spółek i dyrektorom państwowych instytucji zawrotne pensje, premie i odszkodowania. A parlamentarzystom wysokie diety za posłuszne podnoszenie rąk i przyciskanie guzików w czasie głosowania. Że już nie wspomnę o nagrodach i innych przywilejach.

Wracam do tematu głodnych polskich dzieci. Czas, aby przeprowadzić niezależne od władz badania. Jeżeli mają być wiarygodne, będą trwały długie miesiące. Ale to konieczne. Najwyższa pora aby poniektórzy politycy, dziennikarze i pseudoeksperci przestali wreszcie gadać głupoty.

Napisane 21 marca 2013

Gerhart Hauptmann

W roku 2012 cały kulturalny świat obchodzić będzie uroczyście sto pięćdziesiątą rocznicę urodzin wielkiego niemieckiego pisarza Gerharta Hauptmanna. Był jednym z najwybitniejszych dramaturgów w całej literaturze niemieckiej, uhonorowanym dokładnie sto lat temu, w roku 1912, literacką Nagrodą Nobla. Ktoś nie mający bezpośredniego związku z kulturą, mógłby zapytać dlaczego poświęcam cały felieton pisarzowi niemieckiemu. Odpowiedź jest łatwa: ponieważ Hauptmann był Dolnoślązakiem. Urodził się 15 listopada 1862 w Szczawnie-Zdroju (wówczas Bad Ober – Salzbrunn), a zmarł 6 czerwca 1946 w Jagniątkowie (Agentendorf) koło Szklarskiej Poręby. Dzia-

dek Hauptmanna był tkaczem w Bielawie (Langenbielau) i opowiadał wnukowi o strajku tkaczy w roku 1844, krwawo stłumionym przez władze. Ojciec przez krótki czas prowadził hotel w Szczawnie – Zdroju i tam też wychowywał się mały Gerhart. Potem uczył się we Wrocławiu. Kiedy był już sławnym pisarzem otrzymał honorowe obywatelstwo tego miasta. Tak więc moim zdaniem Hauptmann jako najwybitniejsza postać kultury w całej historii Dolnego Śląska powinien zostać uczczony w wyjątkowy sposób właśnie przez Wałbrzych. Bowiem nasze miasto leży mniej więcej w połowie drogi między Wrocławiem a Jelenią Górą i najbliżej Szczawna-Zdroju. Władze Wałbrzycha mają okazję, aby pierwsze wystąpić z inicjatywą wspólnych obchodów. Prezydent Szełemej mógłby zaprosić na robocze spotkanie prezydentów Wrocławia, Jeleniej Góry, Legnicy oraz burmistrza Szczawna-Zdroju. Przecież z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że Hauptmann jako chłopiec zwiedzał zarówno zamek Książ jak i górniczy Wałbrzych. Zbadanie takiej ewentualności to piękne pole do działania dla wałbrzyskich naukowców. W Książu mogłoby się odbyć międzynarodowe sympozjum np. na temat dolnośląskich śladów w twórczości Hauptmanna. Wystarczy wspomnieć słynnych „Tkaczy".

Mało kto wie o silnych związkach pisarza z muzyką. Był wielbicielem Wagnera a w swoim domu w Jagniątkowie urządzał regularne koncerty kameralne. Kto wie, może wykonywano na nich dzieła Chopina? A druga, ukochana żona Hauptmanna była koncertującą skrzypaczką i wolno przypuszczać, że miała w repertuarze utwory Wieniawskiego. O ile wiem, nikt z polskich muzykologów nie podjął takiego tematu. Natomiast wiele dzieł Hauptmanna inspirowało kompozytorów, wśród których byli tak wybitni jak Respighi, Dvorak, Janacek. Niewątpliwie najważniejszym owocem tej inspiracji okazała się opera Pendereckiego „Czarna maska", oparta na jednoaktówce o takim właśnie tytule, wystawionej w 1929 roku w wiedeńskim Burgtheater. Dzieło Pendereckiego w 1986 roku odniosło wielki sukces na Festiwalu Muzycznym w Salzburgu i zostało uznane za wyjątkowe wydarzenie. A może Opera Wrocławska chciałaby „Czarną maskę" wystawić? Albo Filharmonia Sudecka w tzw. wykonaniu koncertowym?

O tym, że wszystkie teatry dolnośląskie powinny zaprezentować sztuki Hauptmanna, nie muszę chyba pisać.

Kończąc ten felieton, pozwolę sobie przypomnieć, że w całej historii Dolnego Śląska nie było innego pisarza, który otrzymał literacką Nagrodę Nobla. Nie było również tak wielkiej postaci w dziedzinie kultury. A teraz, kiedy je-

steśmy w Unii Europejskiej, należy podkreślać z całą mocą ciągłość tej kultury. Nie dzielić na poprzednią niemiecką i obecną polską. Jesteśmy bowiem dziedzicami a nie zdobywcami. I dziedziczymy nie tylko ziemie, budowle, drogi, lecz także spuściznę niematerialną. Nie odcinajmy się od przeszłości. Przeciwnie, uważajmy się za kontynuatorów dorobku naszych poprzedników na Dolnym Śląsku, bez względu na to kim byli: Czechami, Austriakami, Niemcami, Żydami.

Obchody ku czci Gerharta Hauptmanna mogą stać się niepowtarzalną okazją do pokazania, że czujemy się dziedzicami wielkiej kultury europejskiej na Dolnym Śląsku.

Język ojczysty

W latach pięćdziesiątych wrócił do Polski z emigracji wybitny poeta Antoni Słonimski. Jego wiersz „Alarm" obok wiersza Broniewskiego „Bagnet na broń" podtrzymywał nas na duchu w okupowanej Warszawie. Dzisiaj użyto by określenia „kultowy". Umiało się go na pamięć i recytowało na tzw. tajnych wieczorach poetyckich. Po powrocie do kraju Słonimski udzielił w radio wywiadu, którego zakończenie brzmiało mniej więcej tak: „Człowiek może znać wiele języków, ale ojczysty język ma tylko jeden. I dlatego należy go szanować i kochać". Nigdy tego mądrego i pięknego sformułowania nie zapomniałem. Przez całe swoje długie życie starałem się i w mowie i w piśmie przestrzegać wskazania Słonimskiego.

Z prawdziwą zgrozą obserwuję teraz upadek języka polskiego w mediach, a szczególnie w telewizji. Przemawiający tak bardzo starają się „dobrze wypaść" przed kamerami, że zapominają o przestrzeganiu podstawowych reguł gramatycznych. Mylą czasy, rodzaje, tryby. Dotyczy to nie tylko zaproszonych gości, ale często również dziennikarzy prowadzących dyskusje, wywiady, rozmowy. W niechlubnym zachwaszczaniu języka ojczystego „wyróżniają się" niestety politycy i samorządowcy.

Oto kilka podstawowych błędów, które można obserwować dzień w dzień na ekranie telewizora. Zacznę od składni. Uczono mnie jeszcze przed wojną, że prawidłowo zbudowane zdanie złożone składa się z podmiotu, orzeczenia i dopełnienia. Przypuszczam, że te reguły obowiązują do dzisiaj, pomimo upływu kilkudziesięciu lat i paru zmian ustrojowych. A jak wygląda praktyka? In-

dagowany gość w studiu telewizyjnym po kilku „obowiązkowych" stęknięciach „y-y-y" zaczyna zdanie, które po jednym czy dwóch słowach przerywa (widocznie zbiera swoje cenne myśli!) i po kolejnym stęknięciu „wyławia" nowe słowa nie mające związku z poprzednimi. Przez litość nie podam nazwisk polityków (polityczek!), celujących w tego rodzaju wypowiedziach. Ciągłe przerywanie zdań lub raczej ich nie kończenie uniemożliwia w ogóle słuchaczom śledzenie toku myślenia osoby mówiącej. „Nie wiadomo o co mu (jej) chodzi" – kwitują to z niesmakiem telewidzowie.

Drodzy Czytelnicy, spróbujcie poświęcić trochę czasu i uwagi na próbę wyłowienia sensu z kilku choćby wywiadów przeprowadzanych z niektórymi posłami, senatorami czy działaczami samorządowymi. Zapewniam, że byłoby to zabawne, gdyby nie dotyczyło lekceważenia ojczystego języka.

Kolejny błąd dotyczy końcówek, nagminnie połykanych. Im jakiś polityk coraz bardziej ulega emocjom, tym częściej nie kończy słów. Jest tak podniecony, że brak mu widocznie czasu na dbałość o dopowiadanie końcówek. A są i tacy, którzy mylą się w ich prawidłowym artykułowaniu. Najpospolitszy błąd to wymowa końcówek „ą" i „om". Oto przykłady: „Związkowcy demonstrują". Nasz podniecony działacz mówi: „Związkowcy demonstrujom". Wyraźnie słychać końcówkę „om". Czy to pozostałość gwarowa czy zwykłe niechlujstwo? I przykład przeciwny: zdanie „nie wierzę przysięgom". Zaaferowany działacz mówi „nie wierzę przysięgą". Końcówka poprzedniego słowa zasugerowała widocznie błędną końcówkę słowa następnego. A skoro już mówimy o wymowie, to szczególnie rażące jest wręcz fatalne rozkładanie akcentów. Jak wiadomo, w języku polskim w wyrazach kilkusylabowych, akcentujemy z zasady przedostatnią sylabę. Wyjątków jest mało. Tymczasem wielu polityków i samorządowców ma wręcz obrzydliwą manierę akcentowania sylaby ostatniej. Czyżby celowo dla „udramatyzowania" wypowiedzi? I nie tylko akcentowania, ale w dodatku przeciągania tej ostatniej sylaby. Z „zaśpiewem".

Pozwoliłem sobie na wypunktowanie kilku zaledwie najbardziej rażących błędów naszych „domorosłych Demostenesów". Ale zająłem się tylko zagadnieniem jak posługujemy się w mowie językiem ojczystym. Osobną kwestią pozostaje co chcemy przekazać zarówno w mowie jak i na piśmie. Ponieważ owo „co" jest nie mniej ważne od „jak". Zostawiam to jednak do innego felietonu.

Książki kucharskie

W polskiej tradycji (a zapewne podobnie jest w wielu krajach) święta kojarzą się z jedzeniem. Nie ośmielę się wyrokować czy to dobrze czy źle; po prostu stwierdzam fakt. Tak więc nie będzie chyba pomyłką napisanie tego felietonu w okresie przedświątecznym.

Przez wiele lat kupowałem tzw. książki kucharskie, aby dla zaspokojenia zwykłej ciekawości porównywać rozmaite przepisy. Najstarsza książka w naszej domowej bibliotece pochodzi bodajże z lat sześćdziesiątych. Wydana na kiepskim papierze i fatalnie zszyta znajduje się po kilkudziesięciu latach w opłakanym stanie. I dlatego stronice z datą publikacji są tak zniszczone, że nie można ich odczytać. Tytuł krótki i prosty: „Książka kucharska". Nie ma tam wymyślnych potraw i egzotycznych składników. Ale przepisy są rzeczowe i wyczerpujące.

Natomiast większość książek kucharskich stojących u nas na specjalnej półce pochodzi z lat siedemdziesiątych. I papier i oprawa nie są w najwyższym gatunku, ale za to ceny były przystępne. A również przepisy łatwe do zastosowania. Ponieważ książek jest kilkadziesiąt, zajmę się tylko kilkoma najczęściej używanymi. Na początek niewielkich rozmiarów książeczka „W staropolskiej kuchni" (wyd.1979). Przejrzysty podział i urocze, dawniej używane nazwy potraw. Np. „gramatka albo faramuszka". Czy ktoś z Państwa wie co to za potrawa? Okazuje się, że to staropolska zupa postna z piwa i chleba. Ale są także bardziej wykwintne zupy, jak np. polewka winna z korzeniami albo zupa piwna ze śmietaną i twarogiem.

A oto inne przepisy: zrazy napoleońskie, pieczeń huzarska, indyk pieczony podwójnie nadziewany, prosię pieczone w całości faszerowane. Z warzyw warto zwrócić uwagę na przepis „Ziemniaki na sposób pasterski". Ja sam, przygotowując bigos po kasztelańsku, o który pisałem przed rokiem, opieram się na staropolskim bigosie z tej właśnie książeczki.

Jako ciekawostkę mogę przytoczyć tytuły potraw z wydanej w 1985 roku „Kucharki litewskiej". Na przykład: zupa ze zwierzyny czyli pasztetowa, zupa angielska klarowna z główki cielęcej, zupa na kształt z żółwia, zupa szara wyborna, zupa kwaśna zaciągana z suszonej rybki. Wystarczy? A dodatki do zup: grzanki z bułki z mięsnym siekaniem i parmezanem, albo pulpeciki szczupakowe do zup maślanych. Z mięs: polędwica przekładana chrzanem lub sardelowym masłem z kartoflaną masą, potrawka z mostku osmażonego z rumianym

sosem, sztuka mięsa z wieprza lub dzika ze śliwkowym sosem. Ryby: szczupak w łusce z naturalnym smakiem bez przyprawy do musztardy lub chrzanu, liny modro gotowane z sosem ze słoniny.

Znacie Państwo takie potrawy jak: auszpik, kwaszenina, amoretki, perduty, maćki, wereszczaka, melszpejz? A przecież jadali je nie tylko na święta nasi przodkowie, Polacy mieszkający w dzisiejszej Litwie i Białorusi. Najciekawsze są przepisy na torty i baby. Do niektórych potrzebowano kopy jajek. Dla młodszych Czytelników wyjaśnienie: kopa to 60 (słownie sześćdziesiąt !) sztuk. Jestem pewien, że baba na takiej ilości żółtek musiała być wspaniała. Chętnie bym spróbował.

Mam także małą książeczkę, wydaną w roku 1979. Nosi tytuł „Kuchnia i medycyna". Autorami są: Julian Aleksandrowicz i Irena Gumowska. Aleksandrowicz był lekarzem, wybitnym naukowcem, profesorem Akademii Medycznej w Krakowie. A Gumowska przez szereg lat pisała książki o dietetyce. „Kuchnia i medycyna" nie zawiera konkretnych przepisów, ale za to szczegółowe informacje o składnikach w naszym pokarmie. Jakie witaminy, minerały, tłuszcze czy białka są niezbędne dla organizmu. Oraz w jakich potrawach i w jakich ilościach się znajdują. Niezwykle pomocna książeczka zwłaszcza przy układaniu jadłospisu w okresie jesienno – zimowym. I niezbędna w prawidłowym odżywianiu dzieci.

Na zakończenie jeszcze jedna ciekawostka. W 2007 roku zostało opublikowane w Polsce tłumaczenie amerykańskiej książki pod tytułem „Kuchnia Leonarda da Vinci". Wspomniałem o niej przed rokiem. Zapewniam, że dla mnie była to bardziej pasjonująca lektura niż osławiony „Kod Leonarda da Vinci". Jest to historia kuchni włoskiej od XV wieku po czasy współczesne. Ze szczególnym uwzględnieniem dawnych przepisów, których autorami były wybitne postacie włoskiego renesansu z Leonardem da Vinci na czele. Okazało się, że ten wszechstronny geniusz interesował się także sztuką kulinarną. Pozostawił (niestety niekompletne) notatki dotyczące rozmaitych potraw oraz szkicowe przepisy. Warto je poznać. Dodatkową atrakcją tej pięknie wydanej książki są ilustracje przedstawiające naczynia kuchenne z czasów Leonarda oraz wygląd ówczesnej kuchni. Oczywiście nie do zrealizowania w naszych mieszkankach. Ale takie były w pałacach możnych protektorów artystów i uczonych, a wśród nich Leonarda da Vinci oraz autorów renesansowych książek kucharskich.

Mam odmienne zdanie

Po ogłoszeniu oficjalnych wyników wyborów parlamentarnych z dnia 9 października 2011 otrąbiono zwycięstwo Platformy Obywatelskiej. Głosowało na nią około 40% obywateli, co dało jej 207 posłów. Zachowała dzięki temu przewagę w Sejmie a zatem utrzymała władzę w Polsce.

Mimo tych niepodważalnych faktów – pozwolę sobie mieć przeciwną opinię. Według mnie wyniki wyborów świadczą nie o sukcesie a o porażce PO. Używając innego języka: zamiast zwyciężyć – przegrała. Przedstawię teraz pokrótce argumenty na poparcie mojej opinii. Najważniejszym z nich jest ilość głosujących. Do urn poszło bowiem mniej niż 50% uprawnionych. Ja uważam to za klęskę demokracji, a jednocześnie za wotum nieufności wobec rządzącej od czterech lat partii czyli Platformy Obywatelskiej. Dowodzi to, że poparło ją niewiele ponad 20% dorosłych Polaków. Rachunek jest prosty: z plus minus 48% głosujących 40% oddało swoje głosy na PO, co daje wymienione wyżej dwadzieścia kilka procent. Tak więc Platforma będzie rządziła, mając poparcie tylko co piątego Polaka! Przyznacie mi Państwo, że to wyjątkowo słaby mandat. I uzyskany po czterech latach podobno dobrych rządów. A okazało się, że prawie 80% Polaków ma o tych rządach przeciwne zdanie. Czy w takiej sytuacji można w ogóle mówić o zwycięstwie?

O porażce Platformy Obywatelskiej świadczą także fatalne rezultaty działalności niektórych resortów, a konkretnie niektórych ministrów. Kiedy w roku 2007 PO obejmowała władzę, jej liderzy twierdzili, że ma – w przeciwieństwie do pokonanego PiS – silne zaplecze intelektualne. To twierdzenie okazało się dalekie od rzeczywistości. Wprawdzie premier Tusk zgromadził wokół siebie kilku inteligentnych doradców, ale ich wpływ na działalność zarówno rządu jak i partii okazał się znikomy. O ile pamiętam, ograniczali się raczej do komentowania decyzji premiera, czy raczej może jedynie do usprawiedliwiania sporej ilości ewidentnych błędów. Nie chcę być nadmiernie złośliwy, ale trudno panów Gowina, Sikorskiego, Boniego, Czumę, Drzewieckiego, Chlebowskiego i innych określić mianem intelektualistów. Z paniami również nie było lepiej. Można oczywiście powiedzieć, że polityk nie musi być intelektualistą. Najważniejsze, aby był skuteczny. Zgadzam się z tym twierdzeniem, ale ilu np. ministrów PO było naprawdę skutecznych? Większość z nich działała bez jakiejś wizji, opieszale, chaotycznie. A w dodatku często z ich ust padały nieprzemyślane sformułowania.

Kolejna porażką Platformy okazały się poważne rozbieżności w kierownictwie. Przemilczane przed wyborami, ujawniły się z nadspodziewaną siłą w ciągu paru dni po wyborach. Jest to dowodem, że istniały od dawna. A według mnie świadczą one nie tylko o słabości partii, lecz także o tym, że dla jej liderów najważniejsze są stanowiska, powiązania, układy. Platforma Obywatelska okazała się partią bez jakiejkolwiek ideologii. Wszystko co słyszeliśmy z ust premiera, ministrów, posłów o Polsce i dobru jej obywateli – okazało się pustymi frazesami. Obnażyła się prawda o bezideowości „zwycięskiej" partii. Liczy się tylko władza i związane z nią przywileje, stanowiska, dochody.

Słyszeliśmy przez ostatnie lata, że PO jest partią otwartą, że mogą działać w niej ludzie o różnych światopoglądach. I że jest to siłą Platformy. Okazało się jednak, że ta otwartość służy tylko jednemu celowi – zdobyciu i utrzymaniu władzy. Dla PO w kraju, dla jej przewodniczącego w partii. Nigdy nie byłem zwolennikiem pana Donalda Tuska. Podobnie zresztą jak pana Bronisława Komorowskiego. Po prostu nie lubię wszelkiego rodzaju konserwatystów. Jak wiadomo jakikolwiek postęp może odbywać się wyłącznie poprzez zmiany. W nauce, sztuce, polityce. Dowodzi tego cała historia ludzkości. A prezydent Komorowski (wywodzący się z PO) i premier Tusk są niestety konserwatystami.

Aby uniknąć nieporozumienia, pozwolę sobie na przytoczenie definicji słów: konserwatysta i konserwatyzm. Otóż konserwatysta to człowiek o przekonaniach konserwatywnych, zwłaszcza w polityce. A konserwatyzm to ideologia i dążenie do zachowania istniejącego stanu rzeczy oraz niechęć do zmian, zwłaszcza nagłych. Inaczej: po prostu zachowawczość. I dlatego na zakończenie jeszcze jedna smutna refleksja: to my Polacy ponieśliśmy porażkę, ponieważ będą nami rządzić konserwatyści. Jest jednak nadzieja, że słaby mandat Platformy (przypominam – nieco ponad dwudziestoprocentowe poparcie społeczne!) zmusi ją oraz wyłoniony przez nią rząd do sukcesywnego wprowadzania zmian. I wówczas wyborcza porażka tej partii zmieni się w jej sukces.

Napisane 23 października 2011.

Marzenia

Nie jestem z wykształcenia językoznawcą, ale wydaje mi się, że słowo marzenie zrobiło „karierę" dopiero dzięki poetom romantycznym. Zaprzyjaźnieni malarze przedstawiali ich na portretach, wpatrzonych rozmarzonym spoj-

rzeniem w tzw. siną dal i dumających o utraconej (koniecznie !) miłości. A jak pięknie marzenia kontrastowały w wierszach z „modnym" wówczas określeniem *cierpienia miłosne*!

Można oczywiści kpić z romantycznej pozy, ale – moim zdaniem – życie bez marzeń byłoby bezbarwne, nudne i smutne. Marzenia można porównać do kwiatów: nagle rozkwitają, ozdabiają nasze życie i szybko więdną. Dla ludzi myślących wyłącznie w kategoriach wymiernych korzyści są mało przydatne. Szkoda na nie po prostu czasu. Ba, wręcz przeszkadzają w podejmowaniu racjonalnych decyzji. Osobiście mam całkowicie odmienne zdanie. Nie wyobrażam sobie życia bez marzeń, nawet w moim wieku. Nie zgadzam się z pełnym rezygnacji powiedzeniem: młodość to marzenia a starość – tylko wspomnienia. Marzyć można i trzeba zawsze. I z tym moim przekonaniem chciałbym się dzisiaj podzielić z Czytelnikami.

Przed kilkudziesięcioma laty przeczytałem niewielkich rozmiarów książeczkę, której tytuł i nazwisko autora całkowicie uleciały mi niestety z pamięci. Jedynie pamiętam, że był profesorem jakiegoś renomowanego uniwersytetu amerykańskiego. Autor wspominał, że już jako uczeń w szkole podstawowej cierpiał z powodu niskiego wzrostu i fizycznej słabości, które były przedmiotem drwin kolegów. Kiedy ukończył studia i rozpoczął karierę naukową, nadal męczyły go kompleksy. Nawet szybka kariera i zdobycie tytułu profesora nie wpłynęły na uspokojenie. Szczególnie dokuczały mu trudności z zasypianiem. W nocy leżał godzinami nie mogąc zasnąć. Po iluś latach wpadł wreszcie na pomysł; zamiast wspominać wydarzenia z dzieciństwa, lepiej oddać się marzeniom, choćby najbardziej oderwanym od rzeczywistości. Zmaltretowany bezsennością naukowiec zaczął wyobrażać sobie, że zdobył wytężonymi treningami wysoką technikę gry w baseball. Tak wysoką, że został pomimo niskiego wzrostu członkiem mistrzowskiej drużyny USA. Wyobrażając sobie ze szczegółami swoje kolejne zwycięstwa, rosnącą popularność, zachwyty publiczności, spadające na niego zaszczyty aż do wizyty w Białym Domu – zasypiał z łatwością noc po nocy przez wiele lat. Te marzenia, choć całkowicie niemożliwe do zrealizowania, uwolniły go od bezsenności.

Ja sam miałem także kłopoty z zasypianiem już w wieku trzydziestu lat. Po przeczytaniu wspomnianej książki, zastosowałem metodę autora i o dziwo! – wyleczyłem się z chorobliwej bezsenności. Zdradzę Czytelnikom o czym marzyłem przez dziesięciolecia. Moje marzenia nie miały charakteru sportowego; związane były z wykonywanym zawodem. Wyobrażałem sobie mianowi-

cie, że na jakimś moim koncercie pojawił się słynny amerykański impresario. Tak się zachwycił moim dyrygowaniem, że zaproponował mi współpracę, którą oczywiście z radością przyjąłem. Załatwiał mi po kolei koncerty z najlepszymi orkiestrami, aż zdobyłem światową sławę. Tych wieczornych marzeń starczyło mi na wiele lat i naprawdę były skutecznym lekarstwem na bezsenność.

Ktoś sceptyczny może stwierdzić, że tego rodzaju marzenia są jałowe i do niczego konkretnego nie prowadzą. Oczywiście, zgadzam się ale z jednym istotnym zastrzeżeniem. Traktowałem je, podobnie jak autor książki, wyłącznie jako lekarstwo zwalczające bezsenność. Natomiast w życiu miałem również marzenia, lecz mocno związane z rzeczywistością. Tak było z Filharmonią. Marzyłem w czasie jej zakładania w roku 1978, że rozrośnie się w 100-osobowa orkiestrę, posiadającą własną salę, a koncerty edukacyjne dla dzieci i młodzieży obejmą cały Dolny Śląsk. Tych marzeń nie udało się spełnić w całości z przyczyn ekonomiczno – politycznych. Ale odchodząc na emeryturę w roku 2005, zostawiłem orkiestrę 80-osobową w wyremontowanej sali, a koncertów edukacyjnych organizowałem prawie 1000 rocznie. I do tego zapisane w historii występy orkiestry w Paryżu, Berlinie, Wiedniu. Tak więc te marzenia udało się zrealizować przynajmniej w znacznej części.

A o innych moich marzeniach, jeszcze ciągle czekających na realizację napiszę następnym razem.

Miałem sen…

Pozwoliłem sobie strawestować słynną wypowiedź Martina Luthera Kinga, aby opowiedzieć Państwu o moim śnie w noc z 31 marca na 1 kwietnia. Był wręcz zaskakujący.

Śniło mi się, że szedłem ulicą Słowackiego w kierunku placu Magistrackiego, kiedy usłyszałem wiwaty i oklaski. Zaciekawiony przyspieszyłem kroku i nagle zobaczyłem idących w braterskim uścisku doktora Romana Szełemeja z doktorem Mirosławem Lubińskim. Stanąłem jak wryty, a przechodnie nadal wiwatowali. Obaj doktorzy, uśmiechając się promiennie pozdrawiali wszystkich: Szełemej prawą ręką a Lubiński lewą. Ktoś krzyknął – „To historyczny dzień!", wywołując jeszcze większy entuzjazm zgromadzonych. Naokoło kręcili się dziennikarze z aparatami fotograficznymi i kamerami oraz znane wszystkim z lokalnej telewizji dziennikarki.

I one również miały na twarzach uśmiechy: radosne, szczere, przyjacielskie. Jakże inne od tych, które znamy z ekranu, złośliwych, podstępnych, żmijowatych a`la Macierewicz.

Ale to był dopiero początek mojego niezwykłego snu. Obaj lekarze, nadal w uścisku, podeszli do gmachu prokuratury. A tam już stali prokuratorzy, policjanci i … młodociani przestępcy. Wszyscy uśmiechnięci. Szef prokuratury krzyknął – „Proponujemy amnestię!". Komendant policji zawołał wymachując czapką – „Popieramy!". A młodociani przestępcy chórem wyrecytowali – „Obiecujemy poprawę!". I zaśpiewali (na melodię dziecięcej piosenki „My jesteśmy krasnoludki") – „Już będziemy zawsze grzeczni hop sa sa,/ zdyscyplinowani, użyteczni hop sa sa./ Nie będziemy śmiecić, brudzić hop sa sa/ ale w szkole pilnie trudzić hop sa sa". Tłum na placu nagrodził piosenkę oklaskami, a policjanci pogłaskali młodocianych przestępców po główkach.

Wtem na placu pojawiły się dwie panie. Miały wzruszone twarze i oczy pełne łez. Były to radne: Danuta Marosz i Alicja Rosiak. Obecni – jak zauważyłem - przestraszyli się, że za chwilę – jak zwykle na sesjach – zacznie się gwałtowna polemika. Ale ku zaskoczeniu wszystkich radne rzuciły się sobie w objęcia. Coś tam do siebie mówiły, ale nie mogłem rozróżnić słów w powszechnym entuzjazmie. I wtedy na schodach ratusza pojawiła się nowa postać. Była to przewodnicząca Rady Miasta, doktor Maria Romańska. (A tak na marginesie zauważę, że tylu lekarzy we władzach Wałbrzycha zgodnie pracując, mogłoby uzdrowić atmosferę w mieście i znaleźć lekarstwa na wszystkie bolączki. Mam rację?)

Opowiadam dalej mój sen. Pani przewodnicząca już-już miała zejść po schodach, kiedy nagle za jej plecami ukazały się jeszcze trzy panie, czule objęte. Na ich widok cały plac zamarł. Zapadła cisza. Tego się nikt nie spodziewał. Nawet we śnie! Wszyscy bowiem wiedzieli, kim są te trzy panie stające teraz ramię w ramię obok doktor Romańskiej. Były to posłanki: Agnieszka Kołacz–Leszczyńska, Katarzyna Izabela Mrzygłocka i Anna Zalewska. Kiedy cała czwórka schodziła zgodnie po schodach, tłum na placu oszalał. Obcy ludzie padali sobie w objęcia, wszyscy krzyczeli, niektórzy tańczyli. Takiego entuzjazmu nie pamiętali nawet najstarsi.

Spontanicznie uformował się pochód. Na czele panie, nawzajem ustępujące sobie miejsca w pierwszym szeregu. Za nimi panowie. A potem tłumy mieszkańców Wałbrzycha. Nagle, jak to często bywa we śnie, pojawił

się zupełnie nieoczekiwanie ogromny transparent, niesiony przez Tuska, Kaczyńskiego, Palikota i Millera. Napis głosił „Za przykładem Wałbrzycha, wszelki spór ucicha".

I wtedy się obudziłem. Jaka szkoda.

Napisane tuż po przebudzeniu 1 kwietnia 2012

Moje niespełnione marzenia

Obiecałem w poprzednim felietonie, że następny poświęcę swoim niespełnionym marzeniom. Zgodnie z ta obietnicą opiszę teraz większe i mniejsze projekty, zamiary i pomysły związane z Wałbrzychem, a które chciałem zrealizować. Już w roku 1978, organizując Filharmonię, postanowiłem powołać do życia duży, mieszany, czterogłosowy chór. Wyjaśniam, że właśnie na taki zespół z towarzyszeniem orkiestry w minionych trzystu latach najwięksi kompozytorzy stworzyli dziesiątki arcydzieł. Wystarczy wymienić msze i pasje J.S. Bacha, oratoria G.F. Haendla, msze W.A. Mozarta czy IX symfonię L. Beethovena. Nie wspomnę z braku miejsca o ich znakomitych następcach w XIX i XX wieku.

Aby mógł powstać duży, kilkudziesięcioosobowy chór, należało ogłosić nabór. Dzisiaj już nie pamiętam w jaki sposób zostało to zrobione, ale wiem, że ówczesne władze uruchomiły wszelkie dostępne środki informacyjne. Niestety, w ustalonym terminie zgłosiło się zaledwie parę osób. Zabrakło w Wałbrzychu tradycji chórów amatorskich, z których słynęły Górny Śląsk i Wielkopolska. Tak więc po tej nieudanej próbie, moje marzenie nie zostało spełnione. A skutek? Na uroczystym otwarciu Filharmonii w dniu 24 listopada 1978 śpiewał (skądinąd świetny!) Chór Politechniki Szczecińskiej. I do dzisiaj do wykonania w Wałbrzychu arcydzieł wokalno-instrumentalnych trzeba zapraszać chóry z innych miast.

Jeśli dobrze pamiętam, w latach osiemdziesiątych ogromną popularność w całej Europie zdobył włoski chór dziecięcy. Śpiewały w nim naprawdę małe dzieci, ale śpiewały znakomicie, z wdziękiem i radością. Wymarzyłem sobie, że zorganizujemy w Wałbrzychu taki chór. I znowu na przeszkodzie w realizacji mojego marzenia stanęła niechęć rodziców do czegoś nowego, a także zwykłe lenistwo. Władze oświatowe, choć były zainteresowane, nie mogły przełamać tego bezwładu. Rodzice poinformowani o konieczności regularnego doprowadzania i dowożenia dzieci na próby, od razu wyrazili sprzeciw. Tę „antykultu-

ralną" postawę można było jednak częściowo usprawiedliwić polityczno-społeczną sytuacją w kraju. Tym niemniej moje kolejne marzenie legło w gruzach. Do dzisiaj nie mogę tego odżałować.

Nie udało się zrealizować innego mojego pomysłu, choć miałem poparcie władz wałbrzyskich. Zaproponowałem przebudowę całego obiektu, w którym mieściła się Filharmonia. Wyspecjalizowane przedsiębiorstwo w Warszawie przygotowało już wstępny projekt. A jednocześnie miały się rozpocząć starania władz, aby na Podzamczu zbudować wielki, nowoczesny Dom Kultury, w którym w rzeczywistości miał się znaleźć Wałbrzyski Teatr Operowy. Niestety oba te moje marzenia zostały przekreślone przez wydarzenia polityczne jesieni 1980 roku.

15 maja 1996 roku skończyłem 70 lat. Byłem wówczas drugą kadencję radnym miejskim. Po sesji przewodniczący zaprosił całą Radę na lampkę szampana i w toaście zapytał jakie mam jeszcze marzenia. Odpowiedziałem, że od lat marzę, aby przed wieczornymi wiadomościami zamiast planszy „ Telewizja Wrocław" zobaczyć nową z napisem „Telewizja Wałbrzych". Nie wiem czy akurat moje słowa stały się potem inspiracją działań mających na celu powołanie wałbrzyskiej stacji telewizyjnej. Niestety na przeszkodzie stanął splot przeróżnych przyczyn (głównie personalnych intryg) i nie utworzono ogólnomiejskiej telewizji. W następnych latach powstało kilka stacji, nie obejmujących całego obszaru miasta, ale za to prowadzących własną politykę informacyjną, a także – co gorsze – włączających się w brudne rozgrywki partyjne i personalne. I tak zniszczono kolejne moje marzenie.

Kiedy powstała Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa, zacząłem marzyć o Uniwersytecie Wałbrzyskim. Zdaję sobie sprawę, że jest to niezwykle trudne do zrealizowania. Wiem, że muszą zostać spełnione liczne warunki, przede wszystkim kadrowe. Ale nie mogę przestać marzyć o dniu, w którym w naszym mieście zainauguruje swoją działalność nowa wyższa uczelnia, integrująca – być może właśnie na bazie PWSZ – kilka już istniejących. Wzorem mogłyby być Kielce, gdzie nie mogąc utworzyć uniwersytetu, zorganizowano na razie Akademię Świętokrzyską. A ja nadal marzę, że być może dożyję dnia, w którym nowopowstały chór akademicki zaśpiewa „Gaudeamus igitur" na inauguracji Uniwersytetu Wałbrzyskiego.

Innym wielkim niespełnionym marzeniem jest t.zw. wielofunkcyjna sala widowiskowo-koncertowa. Nie jakiś megalomański „Teatr XXI wieku" ani filharmonia za wyssane z palca 200.000.000 zł. Bo i takie pomysły serwowa-

no nam w minionych latach. Nie, ja marzyłem i nadal marzę o wielkiej sali, w której będą odbywać się gościnne występy operowe, operetkowe, baletowe, teatralne. W której mógłby występować nasz Zespół Pieśni i Tańca, jeśli wróci do dawnego poziomu. A także gościnnie zespoły o światowej sławie, jak „Bieriozka" czy Chór Aleksandrowa, dla których brakuje w Wałbrzychu sali.

Ale o tym napiszę osobny felieton.

Nagrody i premie

W dzisiejszym felietonie chciałbym przedstawić swój punkt widzenia na sprawę przyznania sobie (podkreślam słowo „sobie") przez prezydium Sejmu znacznych premii, czy też nagród za jeden zaledwie rok pracy. Nie jest ważna nazwa: premia czy nagroda; ważny jest sam fakt jej przyznania i przyjęcia. O ile się bowiem orientuję, ani pani marszałek ani wszyscy wicemarszałkowie nie odmówili przyjęcia nagrody. Moim zdaniem jest to wyjątkowy skandal. A jeszcze gorsze wrażenie wywarły na mnie tłumaczenia niektórych wicemarszałków. Wstyd je powtarzać. W kraju, w którym miliony pracujących obywateli żyje na granicy ubóstwa, a inni cierpią prawdziwą biedę – przyznanie tak wysokich premii jest czymś po prostu obrzydliwym. Pozwolę sobie w tym miejscu przytoczyć kilka zdarzeń z mojego życia.

W latach sławetnej reformy Balcerowicza, uposażenia pracowników kultury były najniższe w kraju. Nawet nauczyciele zarabiali więcej. Po długich walkach na różnych szczeblach władzy, ówczesny wojewoda, któremu podlegała Filharmonia, powiadomił mnie wczesną wiosną, że od nowego sezonu, czyli od września, pracownicy otrzymają wreszcie podwyżki. Na które czekali zresztą dobre kilka lat i to w okresie potężnej inflacji i gwałtownego wzrostu cen. Na zakończenie rozmowy wojewoda oznajmił mi, że w uznaniu mojej pracy, przyznał mi podwyżkę już od maja czy czerwca. Podziękowałem, ale odmówiłem. Powiedziałem, że nie mogę już teraz przyjąć podwyżki, skoro moi pracownicy będą czekali na swoje przez lato. Decyzję potwierdziłem na piśmie. I wówczas i obecnie uważam, że postąpiłem słusznie.

Dugi przypadek miał miejsce w tym samym czasie. W latach 1990 – 1998 byłem radnym Wałbrzycha. Jak każdemu radnemu przysługiwały mi diety za udział w sesjach i zebraniach. Od razu po wyborze powiadomiłem przewodniczącego Rady Miejskiej, że zamierzam zrzec się wszystkich diet. Dowiedzia-

łem się wówczas, że nie istnieje prawna możliwość zrzeczenia się ustawowej diety. Po zaciętych dyskusjach stanęło na tym, że napiszę oficjalne pismo do Rady, prosząc o przekazywanie moich diet dla dzieci niepełnosprawnych. Dzięki temu nie musiałem się podpisywać na liście wypłat, a pieniądze Urząd Miasta przesyłał bezpośrednio do Ośrodka dla Dzieci Niepełnosprawnych. Nie pamiętam po upływie dwudziestu lat w jakiej miejscowości się znajdował. Do dziś uważam, że postąpiłem słusznie, tym bardziej, iż sesje i zebrania odbywały się w godzinach pracy, a odległość od Filharmonii, w której pracowałem, do ratusza liczyła plus minus 100 metrów! Moim zdaniem gdybym brał i diety i pensję za ten sam czas pracy – byłaby to zwykła nieuczciwość.

I jeszcze jedna sprawa. W ciągu swojego długiego życia odbyłem kilkaset najróżniejszych spotkań. Prowadziłem również setki prelekcji. Mogę zapewnić Czytelników, że nigdy nie wziąłem honorarium. Ani złotówki. W przeciwieństwie do prominentnych polityków. Przez delikatność nie wymienię ich nazwisk. Osobiście uważam (i tak było przez całe moje życie), że spotykanie się z różnymi środowiskami, od profesorów wyższych uczelni po dzieci w małych miasteczkach, jest wręcz moim moralnym obowiązkiem. A mówiłem (i nadal mówię) nie tylko o muzyce czy kulturze. Także o polityce, historii, psychologii. I o swoim życiu i o rodzinie. Jak za takie spotkania brać pieniądze?

Pierwszy tom „Potopu" kończy się rozmową pomiędzy Kmicicem i Bogusławem Radziwiłłem. Ten drugi porównuje Rzeczpospolitą do postawu czerwonego sukna, z którego każdy chce wyszarpnąć jak najwięcej dla siebie. Przykro mi, ale Radziwiłł miał rację. Tę mentalność prezentują dzisiaj niektórzy politycy. Zarówno lewicowi jak i prawicowi. I różne grupy zawodowe. A nawet Kościół w swoich żądaniach majątkowych. Podobno prezydent dysponuje kilkunastoma rezydencjami. A nie wystarczyłyby trzy: po jednej w Warszawie, w górach i nad morzem? Osobna sprawa to podróże członków rządu, posłów i senatorów do różnych, często bardzo odległych krajów. Czy cokolwiek z nich wynikło? Poza wycieczką takiego czy innego prominenta? Na koszt podatnika czyli każdego z nas, zwykłych obywateli.

Bez wstydu szarpie się u nas sienkiewiczowski postaw czerwonego sukna, aby jak najwięcej wyrwać dla siebie. Było takie słowo – prywata. Oddaje ono postępowanie wielu osób na świeczniku. A premie dla członków Prezydium Sejmu wpisują się idealnie w tę niechlubną tradycję. I to ma być wspaniałe dziedzictwo narodowe?

Napisane 23 stycznia 2013

Nie wypada

Od wielu lat znajomi (a czasem nawet całkiem obcy ludzie) proszą mnie o komentarz na temat jakiegoś wydarzenia lub wypowiedzi politycznej. Na ogół jest to pytanie w rodzaju: „Co pan sądzi o…?", albo: „Jakie pan ma zdanie o…?" Z reguły odpowiadam: „Do zajęcia stanowiska brak mi wystarczającej ilości wiarygodnych danych". I jest to zgodne z prawdą. Cóż bowiem mogę odpowiedzieć w sprawie katastrofy smoleńskiej? Albo kryzysu ekonomicznego? Lub wyroku sądu odnośnie kupowania głosów w czasie wyborów w Wałbrzychu? Czy wreszcie o przejściu do PO posłanki Kluzik – Rostkowskiej i Arłukowicza?

Kiedy jednak przeczytam jakiś autoryzowany wywiad lub na własne uszy usłyszę jakąś oficjalną wypowiedź partyjnego lidera, nie mogę uchylić się od odpowiedzi. W takich przypadkach stwierdzam po prostu, że „nie wypada tak mówić".

Uczono mnie w młodości, że czegoś nie wypada robić czy mówić. Od siorbania płynów, dłubania w nosie, spluwania na ulicy do używania wulgarnych słów, pchania się do drzwi przed kobietami, trzymania rąk w kieszeniach. Itd., itd. Było tych spraw dużych i małych tak wiele, że samo ich wymienienie zajęłoby dziesiątki stronic. Jak mawiał Szwejk (cytuję z pamięci po ponad pół wieku od przeczytania): „Argumentowanie g…. jest jak najbardziej słuszne, ale nie uchodzi w dobrym towarzystwie". Właśnie, nie uchodzi, czyli inaczej – nie wypada!

Nie wypada, aby minister sprawiedliwości stwierdzał, mówiąc o znanym kardiochirurgu: „Ten pan już nikogo więcej nie zabije". Nie wypada aby przewodniczący partii opozycyjnej mówił, że „Polska zmierza w kierunku komunizmu radzieckiego". Nie wypada, aby ksiądz, którego słuchają tysiące wiernych oświadczał, że Polską nie rządzą Polacy.

Wymieniłem tylko trzy najbardziej rażące wypowiedzi, które słyszałem na żywo. A mógłbym przytoczyć ich znacznie więcej, szczególnie w okresie przedwyborczym. Starożytni Rzymianie mówili „Nomina sunt odiosa", co po polsku znaczy mniej więcej: „wymienianie imion (nazwisk) jest niewskazane". Jak zapewne Czytelnicy zauważyli, w moich felietonach unikam nazwisk. Uważam bowiem, że NIE WYPADA tego robić, aby nie krzywdzić bliskich danego polityka, noszących to samo nazwisko. Czasami jednak od tej słusznej zasady w sytuacjach skrajnych należy odstępować.

Zajmijmy się teraz naszymi lokalnymi sprawami. Jest mi o tym trudno pisać, ponieważ znam osobiście prawie wszystkich wałbrzyskich prominentów. Ale do moralnego obowiązku felietonisty należy podejmowanie najtrudniejszych nawet tematów. I znowu: NIE WYPADA ich pomijać.

W czasie ostatniej kampanii wyborczej sięgano niestety po mało wybredne chwyty. Zadano np. w referendum pytanie: „czy chcesz płacić mniej za wodę?" Pytanie albo nieuczciwe albo po prostu głupie. Na tak postawione pytanie odpowiedź mogła być tylko jedna: „tak, chcę płacić mniej". Któż bowiem rozsądny nie chciałby płacić mniej? Dlatego uważam, że takiego pytania nie wypadało w ogóle stawiać. Plakaty głoszące, że „Lubiński = Rosiak", wydrukowane w kształcie żałobnej klepsydry były kolejnym przykładem działania, którego nie wypadało podejmować. Nie wypada również robić aluzji do czyjegoś zawodu i dotychczasowej pracy. Albo dowcipkować na temat podejmowania jakichkolwiek działań przez konkurenta do stanowiska prezydenta miasta.

Nie wypada także angażować autorytetu senatora w promowanie jednostkowej imprezy przygotowywanej wbrew wszelkim zasadom organizacyjno- artystycznym. I udostępniać biura parlamentarnego na próby do tej imprezy. I wysyłać zaproszeń w kopertach z nadrukiem Senator Rzeczpospolitej Polskiej.

Moim zdaniem nasi politycy zapomnieli o tym, co kiedyś nazywało się kindersztubą, czyli ogładą i umiejętnością zachowania się w określonych sytuacjach. I zapomnieli o tym, co wypada a czego nie wypada robić. Może warto, abyśmy im o tym przypomnieli.

O służbie zdrowia

Tak się niestety zdarzyło, że w styczniu przebywałem w wałbrzyskim szpitalu. Nie będę zanudzał Czytelników opisem mojej choroby ani operacji. Proszę się nie obawiać. Chciałbym natomiast podzielić się swoimi spostrzeżeniami na temat funkcjonowania służby zdrowia na przykładzie naszego szpitala. Jest to zresztą temat najczęściej chyba poruszany w mediach. Zacznę od porównań. W latach 1999 – 2000 przebywałem aż w siedmiu szpitalach: wałbrzyskim, katowickim i pięciu wrocławskich. Nie wiem jaki jest obecnie stan w Katowicach i Wrocławiu, ale mogę porównać nasz wałbrzyski. Z całą odpowiedzialnością i niewątpliwą satysfakcją zauważyłem ogromną zmianę. Dawny szpital, ten sprzed kilkunastu lat, był zaniedbaną prowincjonalną placówką. Obecny

jest nowoczesny, wyposażony w wysokiej klasy aparaturę i dysponujący urządzeniami ułatwiającymi życie pacjentom i usprawniającymi prace personelu. Ta różnica wręcz rzuca się w oczy. Obecnie wykonuje się w wałbrzyskim szpitalu zabiegi, o których nie było co marzyć przed kilkunastu laty. Na specjalne podkreślenie zasługuje czystość, pomimo że przebywałem w szpitalu w najgorszym okresie: obfitych roztopów spowodowanych przez opady śniegu i zmieniającą się niemal codziennie temperaturę. Obserwowałem permanentną pracę sprzątaczek, jakże często nie zauważaną i niedocenianą.

Zastanawiam się czy w podobny sposób nie traktujemy wszystkich wyżej wymienionych pozytywnych zmian. Nie widzimy ich, lub – co gorsza – przemilczamy. Przecież te zmiany nie dokonały się same. Ktoś musiał mieć wizję nowoczesnego szpitala, zapalić do niej kolegów – lekarzy, zdobyć znaczne fundusze z przeróżnych źródeł, wyremontować i przeprowadzić modernizację starych budynków. A to wszystko przy pełnej, nieprzerwanej działalności szpitala. Uważam jako wałbrzyszanin, nie tylko jako pacjent, że mam moralny obowiązek wyrazić swój podziw dla człowieka, który tego dokonał. Myślę, że mieszkańcy naszego miasta (i nie tylko) znają jego nazwisko. To doktor Roman Szełemej. Z goryczą dodam, że jest ciągle przedmiotem niewybrednych ataków jako obecny prezydent miasta. Ci „etatowi" krytycy przemilczają jego osiągnięcia na stanowisku dyrektora szpitala i kiedy teraz chce uzdrowić nasze miasto, wręcz kpią z tego. Ale nie zwracajmy na to uwagi. Doktor Szełemej już zapisał się chlubnie w historii Wałbrzycha i wierzę, że dalej będzie postępował tak jak dotąd. A o jego krytykach za ileś tam lat nikt już nie będzie pamiętał.

Z przyjemnością wymienię jeszcze dwa nazwiska lekarzy. Doktor Wiktor Jaremko przez ostatnich kilka lat zajmuje się moim nadwątlonym zdrowiem i na jego oddziale leżałem po operacji. I doktor Adam Majewski, który z zespołem wykonał jakże trudny zabieg operacyjny. Jak słyszałem ma „złotą rękę"!

I byłbym niesprawiedliwy, gdybym nie wspomniał o naprawdę troskliwej i fachowej opiece pielęgniarek na oddziale chirurgii ogólnej. Wprawdzie budziły mnie o szóstej rano w celu zmierzenia temperatury i aplikowały mnóstwo zastrzyków i paskudnych pigułek – ale rozumiem, że to było dla mojego dobra. Dlatego w tym miejscu składam im serdeczne podziękowanie.

Ponieważ służba zdrowia to przysłowiowy „chłopiec do bicia" dla mediów, pozwolę sobie na parę refleksji laika. Z rozmów z lekarzami dowiedziałem się, że wielu polityków i dziennikarzy po prostu kłamie. Komercjalizacja szpitala

to nie jego prywatyzacja. Tak mnie solennie zapewniano. To dwie zupełnie inne czynności prawne. Kiedy otrzymam więcej danych, napiszę na ten temat osobny felieton. I druga sprawa, którą chciałbym się zająć. Widziałem tłumy ludzi, przeważnie chorych i starych, czekających godzinami (dosłownie!) na wizytę u lekarza. A potem ewentualnie na zabieg w szpitalu. Był to naprawdę smutny widok i rozumiałem, że ci ludzie mają prawo czuć się pokrzywdzeni. Rozmawiałem z lekarzami; mają różne propozycje poprawy tej sytuacji. O tym też napiszę. A jako niepoprawny optymista wierzę, że może wszyscy doczekamy zasadniczej zmiany w polskiej służbie zdrowia.

Napisane 19 lutego 2013

O zadufkach

Jeden z największych fizyków XX wieku, laureat Nagrody Nobla, Richard Feynman, zaatakował w swojej autobiografii zadufanych w sobie naukowców. Ponieważ współgra to z tematem dzisiejszego felietonu, pozwolę sobie na parozdaniowy cytat.

Feynman pisze: „Na konferencji było mnóstwo durniów, do tego zadufanych w sobie, a zadufani w sobie durnie doprowadzają mnie do szału. Do zwykłych durniów nic nie mam; można z nimi porozmawiać i spróbować im pomóc. Ale zadufani w sobie durnie – ludzie, którzy stroją swą głupotę w różne czary-mary i popisują się, jacy są genialni – tego po prostu nie znoszę!"

Przez całe moje długie życie w podobny sposób jak Feynman reagowałem na zadufanych w sobie ludzi, których nazywałem krótko zadufkami. Szczególnie „obrodzili" w polityce. Takich zadufków spotykamy na wszystkich szczeblach władzy. Są to przeróżni ministrowie, parlamentarzyści, prezydenci, burmistrzowie, naczelnicy, dyrektorzy, prezesi itd.

Dawno, dawno temu władcy pisali o sobie: „My, z Bożej łaski, król….". nazywano ich z czcią pomazańcami. Nic zatem dziwnego, że stawiali się ponad prawem i decydowali o losie wszystkich poddanych. I wypowiadali się z namaszczeniem w każdej sprawie. Uważali się za nieomylnych. Te czasy szczęśliwie minęły, przynajmniej w krajach, które nazywamy cywilizowanymi. Rządzą w nich ludzie wybrani w sposób w miarę demokratyczny. Wydawało by się zatem, że nie powinni uważać się za „pomazańców bożych". W rzeczywistości jednak często przybierają takie pozy.

W Polsce przed transformacją poniektórzy dygnitarze partyjni wypowiadali się autorytatywnie na każdy temat. A nawet nie tylko dygnitarze, lecz nawet szeregowi pracownicy aparatu partyjnego. Pamiętam jak pouczali np. pisarzy jakie książki powinni pisać, a kompozytorów – jakie utwory muzyczne. Ci funkcjonariusze używali ciągle takich określeń, jak: „Partia uważa", albo „według Partii", a nawet o sobie „my, Partia". Typowe dla dawnych władców użycie liczby mnogiej, w odniesieniu do własnej osoby, zwane „pluralis majestaticus"! No i oczywiście występowanie zawsze w imieniu „ludu pracującego" lub „klasy robotniczej".

Ustrój się zmienił, przyszli nowi ludzie, ale nawyki pozostały. Z tym, że teraz funkcjonariusze wszystkich szczebli używają innych określeń. Występują w imieniu nie robotników lecz społeczeństwa czy narodu. Lub choćby miasta, ewentualnie nawet gminy. Ci zadufani w sobie durnie (jak ich nazywał bez ogródek Richard Feynman) wypowiadają się na każdy temat. Wiedzą jak należy uczyć w szkołach, leczyć w szpitalach, układać repertuar w filharmoniach i teatrach. No i oczywiście czego potrzebują Polacy.

Jeśli ktoś powie, że przesadzam, to zachęcam do czytania np. wypowiedzi różnych naszych parlamentarzystów. Albo do słuchania, co mówią w telewizji. Wymądrzają się na każdy dosłownie temat. Są tak zadufani w sobie, że nie wątpią, iż znają się na wszystkim.

Czy można przeciwstawić się temu zalewowi bełkotliwych opinii, ocen, sądów, porad? Moim zdaniem istnieje taka możliwość. Należy przy każdej okazji demaskować tych zadufków. Demaskować ich megalomanię i rzekomą „wszechwiedzę". Każdy z nas wie, że nie można znać się na wszystkim. A skoro tak, to nie należy zabierać głosu, zwłaszcza publicznie. Wydaje mi się, że lepiej nawet przyznać się do braku wiedzy w jakiejś dziedzinie, niż gadać głupoty.

Znakomity lekarz nie musi znać się na muzyce, a wybitny dyrygent na medycynie. Podobnie parlamentarzysta, radny, minister lub prezydent miasta nie musi mieć wiedzy we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Ale mądry funkcjonariusz państwowy lub samorządowy powinien postępować zgodnie z opiniami fachowców. Zaś przemądrzałych, „wszystkowiedzących" zadufków po prostu otwarcie wyśmiewajmy. Może zmusimy ich do zamilknięcia.

Odpowiedzialność za słowa

Równie dobrze ten felieton mógłby nosić przeciwny tytuł: „Brak odpowiedzialności za słowa", ponieważ wiele wypowiedzi naszych polityków cechuje właśnie elementarny brak odpowiedzialności za to, co mówią i piszą. Smutny przejaw lekceważenia obywateli przez ludzi, którzy rządzą lub rządzili całkiem niedawno i powinni być dla nas wzorem. Znamy ich nazwiska, wyśmiewamy bezsensowne wypowiedzi, złoszczą nas nieodpowiedzialne działania, propozycje, pomysły. To, że ci ludzie mogą zajmować eksponowane stanowiska jest niestety dowodem słabości naszej demokracji. Czołowe miejsce wśród nieodpowiedzialnych polityków od wielu lat zajmuje były prezydent Lech Wałęsa. I to pomimo publicznego ośmieszania go przez dziennikarzy. Pan Wałęsa w zadziwiający sposób łączy ignorancję z arogancją oraz wręcz chorobliwą megalomanią. W swoim mniemaniu zna się na wszystkim i ma wyrobione zdanie (najczęściej błędne) na każdy temat. Na własne uszy słyszałem jak po upadku muru berlińskiego oświadczył, że to on sam tego dokonał. O Reaganie, Janie Pawle II, Gorbaczowie w ogóle nie wspomniał. Pamiętam również jego wypowiedź, że gdyby rządy całego świata słuchały tego, co głosi Wałęsa, to wszędzie zapanowałyby pokój i dobrobyt.

Ostatnio pan Wałęsa raczył wypowiedzieć się o związkach partnerskich. Oświadczył, że homoseksualiści jako mniejszość nie mogą rządzić większością, złożoną z normalnych ludzi. Nie powinni demonstrować na ulicach, aby nie denerwować wnuków pana Wałęsy. A w sejmie mają nie zabierać głosu i siedzieć w ostatnich ławach. A potem dodał, że najlepiej (dosłownie!) za murem. W całej zaś wypowiedzi raz po raz używał słowa „demokracja", najwyraźniej nie rozumiejąc całkowicie co ono oznacza. Pamiętam jak na początku lat dziewięćdziesiątych ulubionym wyrazem pana Wałęsy był „pluralizm". Używał go przy każdej okazji. Sam słyszałem jak powiedział, że wśród przedsiębiorców powinien panować pluralizm. Teraz najczęściej pan Wałęsa posługuje się słowem „demokracja", co w połączeniu z proponowanym przez niego ograniczeniem praw homoseksualistów brzmi wręcz komicznie, by nie rzec - idiotycznie.

„Zaszczytne" miejsce w czołówce polityków mówiących w nieodpowiedzialny sposób zajmuje poseł Antoni Macierewicz. Z tego co mówił o działaczach lewicowych, o służbach specjalnych, o przeróżnych spiskach, o rządach rozmaitych krajów – można by ułożyć całą antologię. Raz po raz wykazywał

całkowity brak odpowiedzialności za wypowiedziane słowa. W przeciwieństwie do pana Wałęsy, który głosił swoje „prawdy" z niebywałą pewnością siebie i z pełnym wyższości uśmiechem, pan Macierewicz zieje nienawiścią, agresją, podejrzliwością. Jest w jednej osobie odkrywcą zbrodniczych spisków, oskarżycielem i nieomylnym sędzią. Ba, podejrzewam jednak, że za pełnym zjadliwości uśmieszkiem (bo trudno to nazwać uśmiechem) kryją się rozliczne kompleksy. Z kompleksem niedowartościowania włącznie. Jeszcze nigdy nie słyszałem aby pan Macierewicz mówił spokojnie. Z furią wyrzuca z siebie słowa, nie troszcząc się czy są odpowiedzialne. Jestem ciekaw czy sam wierzy w te nieudowodnione oskarżenia czy tylko odgrywa przedstawienie. Bo nie mogę pojąć jak pan Macierewicz może łączyć w spójną całość dwie sprzeczne teorie o przyczynach katastrofy smoleńskiej. Przez prawie dwa lata twierdził, że przyczyną katastrofy były karygodne zaniedbania przeróżnych urzędników i funkcjonariuszy. Domagał się postawienia przed sądem wielu osób, których nazwiska publicznie wymieniał. Wśród nich byli zarówno bezpośrednio (jego zdaniem) odpowiedzialni, jak i inni – tylko pośrednio. Pan Macierewicz pisał i mówił o tym dziesiątki razy. A potem nagle pojawiła się w jego wypowiedziach nowa teoria: o zamachu. O śladach dynamitu oraz iluś tam wybuchach. Doprawdy nie rozumiem, jak można łączyć te dwie sprzeczne teorie: zaniedbań i zamachu. Jedna wyklucza – moim zdaniem – drugą. Chyba?.... Chyba, że uwierzymy w międzynarodowy spisek, sięgający do najwyższych władz co najmniej dwóch państw, począwszy od premierów, poprzez służby specjalne, urzędników, obsługi lotnisk itd.? W to jednak trudno uwierzyć normalnemu człowiekowi.

I tak oto widzimy do czego prowadzi brak odpowiedzialności za wypowiadane słowa. Do wręcz paranoidalnego myślenia i nieobliczalnego zachowania. Czy przypadkiem nie jest to społecznie niebezpieczne?

Napisane 27 marca 2013

Radość życia

Należę do pokolenia, które w latach wojny przeżyło w Polsce głód i chłód. Walczyło o wolność i cierpiało w więzieniach i obozach. A potem po 1945 w ciężkich warunkach uczyło się i pracowało. Odbudowało zniszczony kraj: domy, mosty, drogi, koleje, a także naukę, oświatę, kulturę, służbę zdrowia.

I, co najważniejsze, zachowało radość życia. W przeciwieństwie do następnych pokoleń, które są skłonne do narzekań i obarczania wszystkich winą za swoje takie czy inne niepowodzenia. Oczywiście celowo upraszczam i uogólniam, aby wyostrzyć problem, ponieważ – jak wiadomo – w każdym pokoleniu znaleźć można zarówno entuzjastów jak i malkontentów.

Ja sam, pomimo dolegliwości związanych z wiekiem i licznymi chorobami, zachowałem to co nazywa się radością życia. Życia, w każdym jego przejawie. I temu właśnie chciałbym poświęcić dzisiejszy felieton. Z całym przekonaniem twierdzę bowiem, że można się cieszyć z każdego dnia. Wystarczy tylko uświadomić sobie, że człowiek ma tylko jedno życie. Ta świadomość była i jest do dziś podstawą mojego stosunku do otaczającej mnie rzeczywistości i do ludzi. Wszystkich: bliskich i dalekich, znanych i nieznanych, dobrych i złych. Jeżeli jestem pewny, że mam tylko jedno życie – to nie ulega wątpliwości, że muszę je jak najlepiej wykorzystać. A to oznacza, że szkoda tracić choćby jednej godziny na jałowe narzekania, na nicnierobienie i przede wszystkim na złość, zazdrość, nienawiść. Że już nie wspomnę o działaniu na szkodę innych ludzi. W tym miejscu pozwolę sobie przypomnieć stare i banalne powiedzenie „życie jest piękne". Bynajmniej ! Nie jest wcale piękne, ale jest jedyne i to my sami możemy uczynić je pięknym. A czym? Nadaniem mu jego wartości.

Jest takie, również stare i banalne powiedzenie „życie nie ma sensu". Oczywiście! Trudno bowiem odnaleźć sens w łańcuchu następujących zdarzeń: narodziny – dorastanie – choroby – starość – śmierć. Ale ograniczając życie tylko do takich biologicznych zdarzeń, gubimy prawdziwy sens życia i jego immanentną cechę: wartość. A tą fundamentalną wartością naszego życia jest to, co możemy zrobić dla innych ludzi. I zapewniam Państwa, że ta świadomość dawała mi przez całe życie ową tytułową radość. I energię do działania.

Proszę rozejrzeć się dookoła. Czyż to co widzimy nie może dostarczać nam wielu radości? Nie pozwólmy, aby codzienne trudności pozbawiły nas możliwości cieszenia się na przykład z widoku drepczącego z poważną miną malucha. Albo śmiesznych skoków jakiegoś szczeniaka. Ja sam wyszukuję w otaczającym mnie świecie rzeczy dające mi radość. Cieszę się z możliwości przeczytania nowej, dobrej książki. Nic mi nie zastąpi obcowania z utalentowanym autorem, który poszerza moje widzenie i rozumienie świata. A ile przyjemności dostarcza mi słuchanie wielkiej muzyki w wykonaniu znakomitego artysty. Albo kontakt z arcydziełem dramaturgii interpretowanym przez wspaniałego aktora. Znajduję też radość w zjedzeniu wyśmienitej potrawy, wi-

doku rozkwitłego kwiatu, urodzie pejzażu, majestacie gór i morza. A jak głęboka, pełna uniesienia może być radość obcowania z arcydziełami malarstwa, rzeźby i architektury.

Dość tych wyszczególnień. Przyznaję, mogą być i są tragedie, które pozbawiają człowieka radości życia. Choroba, cierpienie i śmierć bliskiej osoby, beznadziejna sytuacja materialna, utrata dachu nad głową. I to wszystko bez jego winy. Odwieczny dylemat. Czy możemy odczuwać radość życia, wiedząc o nieszczęściach innych ludzi? Nie znam odpowiedzi na tak postawione pytanie. Nie znaleźli jej również najwięksi myśliciele od tysięcy lat.

Ja sam nauczyłem się czerpać radość z samego faktu, że żyję. I to mi musi czasami wystarczyć. Moim zdaniem należy w ten czy inny sposób robić cokolwiek pożytecznego dla ludzi, a nie wykonywać pustych gestów i wznosić bezsensownych okrzyków. I będę się nadal starać, aby żadna choroba i żaden polityk nie pozbawili mnie radości życia.

Napisane 14 grudnia 2012

Trochę inaczej

Pozwalam sobie dzisiaj zaproponować Państwu drobną zmianę. Zamiast kolejnego felietonu o aktualnych tematach, proponuję Teatrzyk z krótkim wprowadzeniem na początku i równie krótkim oświadczeniem na zakończenie. Mam nadzieję, że ta jednorazowa zmiana przypadnie Państwu do gustu. A oto wprowadzenie.

Podejrzewam, że nie wszyscy ludzie zdają sobie na co dzień sprawę jak wiele zawdzięczamy starożytnej Grecji. Nie tylko w nauce i kulturze. Także w języku potocznym ciągle operujemy słowami pochodzącymi z greckiego. Wystarczy kilka przykładów: polityka, filozofia, teologia, Chrystus, Biblia, alfabet, historia, olimpiada, muzyka, fizyka, panika itd. itd. Również religia starożytnych Greków, którą nazywamy mitologią, od ponad dwóch i pół tysiąca lat inspiruje twórców i na stałe weszła do potocznego języka, np. heroizm (od słowa heros – bohater) czy odyseja (od imienia mitycznego Odyseusza, króla Itaki). A nasz dzisiejszy Teatrzyk poświęcony został najpopularniejszemu herosowi greckiej mitologii - Heraklesowi (po łacinie Herkulesowi). Myśląc o nim, mówimy np., że ktoś jest Herkulesem lub ma herkulesową siłę. Według mitu, nie wdając się w szczegóły, Herakles pod działaniem trucizny popełnił

zbrodnię. Wyrokiem bogów miał za nią odpokutować (choć nie był przecież winien!), wykonując dwanaście prac, przekraczających możliwości zwykłych ludzi. Najbardziej znaną stało się oczyszczenie stajni króla Elidy, Augiasza. Do dzisiaj „stajnią Augiasza" nazywamy ogromnych rozmiarów brud (dosłownie i w przenośni!), bałagan, dezorganizację itp. Po tym wprowadzeniu czas na Teatrzyk. Kurtyna w górę!

Teatrzyk
CZERWONY PAJĄK
przedstawia
dramat antyczny w trzech aktach pod tytułem

DWUNASTA PRACA HERAKLESA

Występują:
HERAKLES – heros
ZEUS – ojciec bogów, zwany Gromowładnym

AKT I

HERAKLES – Wykonałem, o wielki Zeusie, jedenaście prac. Czekam na ostatnią, dwunastą, po której zostanę nagrodzony nieśmiertelnością i zamieszkam między bogami na Olimpie.
ZEUS – Oto twoja ostatnia praca: oczyścisz ziemski zespół śpiewający i tańczący.

AKT II

HERAKLES – O wielki Zeusie, nie wykonałem pracy! Nie mogłem, nie dałem rady! Przerosła moją siłę i odwagę. Oczyszczenie stajni Augiasza było dziecinną igraszką wobec ewentualnego oczyszczenia ziemskiego zespołu śpiewającego i tańczącego. Uciekłem!
ZEUS – Tchórzliwy śmiertelniku! I ty uważasz się za herosa? Zawiodłeś mnie! Zrzucę cię na samo dno piekła! Do Tartaru!
HERAKLES – A może zanim mnie potępisz, ty sam, Gromowładny, spróbujesz wykonać tę pracę?
ZEUS – Jestem wszechmocny i zrobię to. Nic i nikt mi się nie oprze.

AKT III

ZEUS - Miałeś rację, Heraklesie. Nawet moja boska wszechmoc nie wystarczyła aby oczyścić ziemski zespół śpiewający i tańczący. Choć cały Olimp, siedziba bogów, trząsł się w posadach, kiedy to usiłowałem zrobić.

zamiast spadać – oświadcza:

„Powyższy tekst jest całkowitą fikcją opartą na mitologii starożytnej Grecji. Jakiekolwiek podobieństwo do współczesnych zdarzeń, instytucji i osób jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone przez autora. Oświadczenie stanowi zabezpieczenie przed ewentualnymi zarzutami oraz wyczerpującymi i kosztownymi procesami sądowymi. Przecież w ten sam sposób postępują autorzy i wydawcy książek, filmów, sztuk teatralnych w wielu cywilizowanych krajach". (Ha, ha, ha!)

Napisane 19 marca 2013

Hochsztaplerzy

Słowa „hochsztapler" czy „hochsztaplerstwo" spotyka się coraz rzadziej, choć samo zjawisko występuje nader często w różnych dziedzinach, począwszy od kultury i nauki, poprzez media aż po politykę. Słowa te wywodzą się z niemieckiego. „Hoch" – to wysoki, dostojny, wytworny, a „Stapler" dawniej oznaczał żebraka. Ten paradoksalny zlepek określał kogoś, kto jest nikim, a udaje ważną osobistość. Sprawdziłem w pięciu polskich słownikach, że hochsztapler to: oszust, aferzysta, kanciarz, szachraj, szalbierz, wydrwigrosz, niebieski ptak. A także osoba, która z premedytacją i na dużą skalę oszukuje, chcąc osiągnąć nielegalne zyski lub inne nieprawne korzyści. Zaś hochsztaplerstwo to oszukańcze działania i machinacje. Wspaniałą postać hochsztaplera stworzył Tadeusz Dołęga - Mostowicz w powieści „Kariera Nikodema Dyzmy", a Thomas Mann w „Wyznaniach hochsztaplera Feliksa Krulla". Niestety w naszych czasach roi się od przeróżnych ludzi, ucieleśniających w rzeczywistym życiu „klasyczny" typ hochsztaplera.

Po tych wstępnych wyjaśnieniach czas na przykłady. Gdybym chciał sięgnąć do wszystkich dziedzin życia społeczno-politycznego, zabrakłoby miejsca w felietonie; ograniczę się zatem tylko do kultury.

W pewnym ponad stutysięcznym mieście dyrektorem filharmonii zostaje osobnik mający pewne doświadczenie menadżerskie. Choć nie skończył studiów dyrygenckich, dyryguje większością koncertów i wmawia wszystkim dookoła jakim jest wybitnym artystą. Czyni to w tak sprytny a zarazem bezczelny sposób, że wierzą mu zarówno nie znający się na muzyce niektórzy sa-

morządowi prominenci jak i część dziennikarzy. Przy pomocy różnych metod uzyskuje poparcie zabiegającego o popularność prezydenta miasta i jego najbliższego otoczenia. Kiedy wreszcie po kilku latach okazało się, że doprowadził filharmonię niemal do upadku, popełniając przy tym szereg poważnych wykroczeń a nawet nadużyć finansowych – nadal wiele osób na wysokich stanowiskach samorządowych próbowało go bronić. I znaleźli się dziennikarze, którzy uważali tego osobnika za wielkiego artystę a jego odejście za stratę dla miasta. Oto jaka jest siła hochsztaplerstwa.

I jeszcze jeden przykład: osoba nieposiadająca żadnego wykształcenia w dziedzinie kultury, dzięki personalnym powiązaniom i układom zaczyna działać jako scenograf, kostiumolog, choreograf i reżyser. To niemal współczesny Leonardo da Vinci! Osoba ta potrafiła wmówić samorządowym władzom, że jest nie tylko pełnym wizji twórcą, lecz także natchnionym wyrazicielem i animatorem artystycznych ambicji lokalnej społeczności. W licznych wypowiedziach medialnych przedstawiała się jako ktoś wyjątkowy i niezastąpiony. I co zaskakujące, uzyskiwała nie tylko poparcie, lecz także znaczne dotacje. Imprezy przez tę osobę zrealizowane były szmirowate, tandetne, dyletanckie. Ale potrafiła wmówić przynajmniej części decydentów, że cechowało je nowatorstwo i zaspakajały społeczne potrzeby. Na tej podstawie osoba ta domagała się coraz większych dotacji i organizacyjnej pomocy dla swoich pomysłów. A przecież mecenat władz nadaje rangę imprezie i tym samym wprowadza w błąd odbiorcę. Uszczupla i tak zbyt niski budżet kultury, co jest społecznie szkodliwe. Nie mówiąc już o psuciu smaku estetycznego.

Czy można skutecznie walczyć z pleniącym się coraz bardziej hochsztaplerstwem? Jest to możliwe, choć z pewnością trudne. Najlepszą – moim zdaniem – metodą jest nieuleganie ludziom wygadanym, zbyt pewnym siebie, przekonanym o swoich wyimaginowanych umiejętnościach. I warto ich rzekomo genialne pomysły konfrontować z opiniami osób, które mają już jakieś osiągnięcia. A szczególną ostrożność władze winny zachować przy wydawaniu publicznych pieniędzy. Naprawdę szkoda każdej złotówki na „leczenie" kompleksów różnych sfrustrowanych, zawiedzionych, niespełnionych pseudoartystów. A w rzeczywistości zwykłych hochsztaplerów.

P.S.

Wszelkie podobieństwa do rzeczywistych osób i zdarzeń są przypadkowe.

„Kawał z brodą"

Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych (proszę policzyć ile to lat temu!) krążył po Warszawie, a potem po całym kraju dowcip. Pozwolę sobie przytoczyć go w całości.

„Istnieją w Polsce trzy stopnie luksusu. Pierwszy to posiadanie własnego samochodu. Trudne, ale możliwe. Drugi stopień luksusu to posiadanie własnej willi. Nie wyklucza pierwszego. Trzeci, najwyższy, a zarazem najtrudniejszy, stopień luksusu to posiadanie własnego zdania. Wyklucza pierwsze i drugie."

Ten ponad sześćdziesięcioletni „kawał z brodą" częściowo zachował do dzisiaj swoją aktualność. Na świecie padały imperia, zmieniały się ustroje, przemijali prezydenci i premierzy – a posiadanie własnego zdania nadal pozostało ryzykowne. Rządzący, niezależnie od wyznawanego światopoglądu, przekonań politycznych, religii, rasy, narodowości, pochodzenia społecznego – nie znoszą ludzi mających własne zdanie. A jeśli ci ludzie odważają się jeszcze na publiczne prezentowanie własnego zdania – stają się wrogami dzierżących władzę. I tępieni dozwolonymi lub nie dozwolonymi środkami. Doświadczyłem tego wielokrotnie.

Przypuszczam, że tak było zawsze, od tysięcy lat, od czasu kiedy pierwotni ludzie zaczęli tworzyć społeczne struktury. Pierwszy wódz hordy małpoludów lub pierwszy szaman posługujący się magicznymi obrzędami – nie mogli tolerować kogokolwiek, kto kwestionowałby ich władzę. Nawet jeśli go nie zabili, wystarczyło usunięcie poza obręb wspólnoty. W warunkach sprzed tysięcy lat samotna jednostka nie miała szans na przeżycie.

Potem przyszły kodeksy praw, sądy, lochy, tortury, inkwizycja, stosy. Historia ludzkości znaczona jest procesami i egzekucjami tych, którzy ośmielali się mieć własne zdanie i kwestionować nieomylność takiej czy innej władzy. Samo przytoczenie nazwisk zapełniłoby cały numer naszej gazety!

A jak ten problem przedstawia się dzisiaj, w XXI wieku, w naszym demokratycznym państwie? Położonym w środku cywilizowanej Europy?

Począwszy od najmniejszej komórki społecznej jaką jest rodzina, poprzez miejsce pracy aż po świat polityki znaczna część osób zajmujących kierownicze stanowiska wprost alergicznie nie znosi tych, którzy mają w najdrobniejszej choćby sprawie własne zdanie. Każdy z nas zna z życia przykłady mamy lub taty uważających, że ich polecenia muszą być wykonywane przez dzieci bez żadnej dyskusji. Podobnie z wieloma pedagogami. A podawanie w wątpliwość

decyzji szefa niektórzy uważają wprost za bunt. O tym co się dzieje w wojsku i w partiach politycznych nie warto nawet przypominać.

Czy można zmienić ten stan? Być może jestem niepoprawnym optymistą, ale nadal wierzę, że jest to możliwe przynajmniej na własnym podwórku. Ja w każdym razie postępowałem tak przez całe moje długie życie. Rodzina, kiedy już byłem dorosły, wspominała, że nawet jako małe dziecko wymuszałem płaczem respektowanie mojego odrębnego zdania w błahej często sprawie. A potem narażałem się kolejnym dyrektorom, ministrom, sekretarzom. Oczywiście ponosząc tego konsekwencje.

W tym miejscu muszę dodać, ze zgodnie ze swoimi przekonaniami uznawałem prawo każdego do prezentowania własnego zdania. Nawet jeśli było całkowicie odmienne od mojego. Do dzisiaj moi byli pracownicy wspominają, że pod tym względem byłem wyjątkowym dyrektorem.

I dlatego mogę teraz z czystym sumieniem namawiać Czytelników do przemyślenia tego felietonu i – być może – do podjęcia skromnych prób prezentowania własnego zdania. Choćby dlatego, aby ci mający nad nami władzę nie uważali nas, zwykłych obywateli, za stado baranów.

Zamiana ról

Zanim przejdę do tematu tego felietonu, konieczne jest – moim zdaniem – słownikowe wyjaśnienie dwóch wyrazów: demagogia i populizm. Demagogia to, mówiąc najkrócej, głoszenie chwytliwych haseł bez oglądania się na możliwości ich realizacji. A populizm… ba!, jeszcze w latach siedemdziesiątych określał tylko kierunek literacki, będący kontynuacją naturalizmu i zajmujący się opisywaniem życia ludzi z tzw. społecznych nizin. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych wszedł do języka polityków.

W XIX wieku rządzący nazywali pogardliwie działaczy lewicowych demagogami. Ich żądania ośmiogodzinnego dnia pracy, prawa zakładania związków zawodowych, zapewnienia opieki lekarskiej itd. uznawano za hasła demagogiczne. Czyli używając dzisiejszego języka – populistyczne. Mijały lata. Po II wojnie światowej w państwach demokratycznych lewicowe partie wywalczyły wreszcie owe rzekomo demagogiczne postulaty i wbrew katastroficznym przepowiedniom partii prawicowych, system kapitalistyczny nie uległ rozpadowi. Przeciwnie – osiągnął rozkwit.

I oto nagle okazało się, że lewica osiągnąwszy sukces – zaczyna tracić rację bytu. Najbardziej dotąd wykorzystywana klasa robotników przemysłowych uzyskała warunki godziwego życia. Przedstawiciele robotników znaleźli się nie tylko w radach nadzorczych koncernów, lecz także w parlamentach wielu krajów. Tzw. państwa opiekuńcze (np. skandynawskie) zapewniły wszystkim dzieciom opiekę, wykształcenie i równy życiowy start. Dawne hasła lewicy przestały być aktualne. A w dodatku nieudany, przerażający eksperyment z rzekomym państwem robotniczo – chłopskim w ZSRR zniechęcił miliony ludzi do marksizmu, socjalizmu, komunizmu. Przynajmniej w rozwiniętych krajach Europy i Północnej Ameryki.

Kryzys lewicy sprawił, co było zaskoczeniem dla wielu obserwatorów, że oto w końcu XX wieku niektóre partie prawicowe przejęły dawne demagogiczne hasła, zwane teraz „delikatniej" – populistycznymi. Można by powiedzieć, że historia potrafi robić czasami złośliwe dowcipy. Prawica – to, mówiąc ogólnie, partie konserwatywne. A zatem te, które uważają, że należy zachować i umacniać istniejący porządek społeczny. Tyle teoria. A jak wygląda praktyka? W niektórych krajach skrajnie prawicowe partie występują przeciwko rządowi, który także jest… prawicowy. Czyli zachowawczy, konserwatywny!

Nastąpiła zamiana ról, szczególnie widoczna w Polsce. Dawne hasła lewicowe przejęła prawica. Myślicie Państwo, że przesadzam? Proszę się zatem przyjrzeć polskiej polityce. I przysłuchać uważnie wypowiedziom niektórych polityków. Ktoś ich określił z przesadną złośliwością jako „prawicowych bolszewików". Ja nie idę tak daleko, ale twierdzę, że można w Polsce obserwować niezwykły fenomen. Zdezorientowana lewica straciła z oczu ogromną rzeszę ludzi, którzy nie mają szans na godziwe życie dla siebie i swoich rodzin. Nie zawsze z własnej winy. Takie zachowanie lewicy było dla mnie całkowicie niezrozumiałe, zwłaszcza w okresie rządów SLD w latach 2001 - 2005. Niektórzy obserwatorzy nazywali to brutalnie zdradą ideałów lewicowych. I wtedy na opuszczone przez lewicę miejsce weszło PiS. O ile bowiem w fizyce istnieje próżnia, o tyle nie może istnieć w życiu społecznym lub politycznym. Hasła głoszone przez PiS były chętnie słuchane przez tych, którzy czuli się opuszczeni, osamotnieni, zapomniani, skrzywdzeni. Powtarzam, nastąpiła całkowita zamiana ról. Panowała opinia, że SLD wbrew swojej nazwie zapomniał o lewicowości. A tymczasem politycy PiS obiecywali państwo, które zapewni porządek, równość, troskę o każdego Polaka. Oczywiście pod warunkiem, że będzie patriotą, przejdzie z pozytywnym rezultatem lustrację i zaakceptuje

sprawiedliwość w rozumieniu kierownictwa partii. A że wiele z głoszonych przez PiS populistycznych haseł było oderwanych od rzeczywistości – nie miało znaczenia.

Kończąc te rozważania, stwierdzam ze smutkiem, że zamiana ról między prawicą a lewicą jest po prostu sztuczna. Przypuszczam, że ma przynosić partiom doraźne korzyści polityczne. A konkretnie władzę. Stało się tak w roku 2001 kiedy zwyciężył Sojusz Lewicy Demokratycznej, a w roku 2005 Prawo i Sprawiedliwość. Jeżeli moje przypuszczenia są słuszne, to ta zamiana ról nie przyczyni się ani do poprawy życia Polaków ani uzdrowienia atmosfery w kraju. Przeciwnie, niesie – moim zdaniem – zagrożenie porządku społecznego.

Napisane 26 lutego 2012

Złamanie prawa

Nie mam złudzeń co do poziomu debat politycznych, zorganizowanych protestów i rzekomo spontanicznych demonstracji. Jednak to co wydarzyło się w piątek 11 maja pod Sejmem, przeszło moje najgorsze przewidywania. Na oczach całego kraju zostało złamane prawo. I to przed najważniejszym gmachem w państwie – Sejmem Rzeczpospolitej. W obecności zmasowanych sił porządkowych została ograniczona swoboda poruszania się posłów. Ludzi posiadających w każdym cywilizowanym kraju immunitet. I nikt nie kiwnął palcem, aby zapewnić posłom ten immunitet. To było jeszcze więcej niż złamanie prawa – to było naruszenie podstawowej zasady demokracji, czyli wolności osobistej. Taka jest brutalna prawda: związkowcy uwięzili posłów w gmachu Sejmu! I żadne demagogiczne „wygibasy" politykierów tego faktu nie zmienią.

Przywódcy „Solidarności" zhańbili historyczny etos związku. I to już na zawsze. Ciekawe co czuli dawni działacze, ci którzy walczyli o wolność dla Polski. Ich następcy zniszczyli to wszystko, z czego słusznie byliśmy dumni: pokojowej zmiany ustroju.

Celowo nie będę zajmował się problemem kto w sporze o emerytury ma rację. Czy ci którzy chcą reformy, czy ci, którzy przeciwko niej protestują. Ten ważki społecznie problem został zepchnięty na margines. Gorzej – przeciwnicy zaprzepaścili swoim działaniem najsłuszniejsze nawet własne argumenty. Związkowcy przyjechali bowiem do Warszawy nie na dyskusje, ale na rozróbę czy jak kto woli – zadymę. Przyjechali – jak się okazało – organizacyjnie

przygotowani. Z łańcuchami, kłódkami i niezbędnymi narzędziami. A przede wszystkim z zamiarem użycia fizycznej przemocy. Widok związkowców zamykających wyjścia z Sejmu był dla mnie wstrząsający. Przypomniały mi się lata okupacji. I obóz jeniecki z kolczastymi drutami. Nie przesadzam, tak to odebrałem.

I teraz jako zwykły obywatel stawiam pytanie: kto dał związkowcom a przede wszystkim ich przywódcom prawo do zamykania wybranych w sposób demokratyczny posłów? Przecież w każdym demokratycznym państwie aby kogokolwiek pozbawić wolności wymagany jest wyrok sądowy! Związkowcy zawłaszczyli sobie prawo do sądzenia posłów? Więcej: do wydawania wyroków bez procesu? Ale jest jeszcze jedna, nie mniej ważna sprawa. Związkowcy zakwestionowali prawo innych, w tym wypadku posłów, do posiadania odmiennych przekonań. Czyli zakwestionowali wolność sumienia. Czy muszę w tym miejscu przypomnieć czym jest demokracja? Że jest taką formą ustrojową, w której każdy (podkreślam – każdy!) członek ma jednakowe prawa. Także do posiadania i wyrażania własnych przekonań, odmiennych nawet od przekonań większości. A zatem posłowie głosując za reformą emerytalną mieli pełne prawo do wyrażania swoich przekonań. A to właśnie zakwestionowali związkowcy. Czyli tak czy inaczej popełnili przestępstwo.

Mogę zrozumieć emocje związkowców ale nie mogę usprawiedliwić sposobu wyrażania tych emocji. Ani tym bardziej zgodzić się z przygotowaną wcześniej formą demonstracji. I obwiniam wprost przywódców „Solidarności" i tych polityków, którzy stanęli po ich stronie. Wręcz obrzydliwe były wypowiedzi niektórych tzw. partyjnych liderów. Nie warto ich przytaczać, gdyż przekazywały je media. Były nie tylko demagogiczne, ale często ziejące nienawiścią do przeciwnej partii. I wtedy okazywało się, że reforma emerytalna to tylko pretekst do walki politycznej. A związkowcy są tylko pionkami w tej brudnej grze. Nawiasem warto by zwrócić uwagę demonstrantom sprzed Sejmu na tę ich żałosną rolę.

Nie chcę wchodzić w szczegółowe informacje, które do mnie dotarły już po 11 maja. Niektóre były wręcz obrzydliwe, jak na przykład ta, że blokujący związkowcy nie chcieli wypuścić posłanki, która spieszyła się do parotygodniowego dziecka. Albo ta, że część demonstrujących była pod wpływem alkoholu.

I sprawa ostatnia: słabość państwa. Znowu okazało się, że w trudnej sytuacji zawiodły wszystkie decyzyjne ośrodki władzy. Nie winię policjantów,

którzy unikali tzw. siłowej konfrontacji w celu uwolnienia posłów. Ale winię Ministra Spraw Wewnętrznych, Ministra Sprawiedliwości, Generalnego Prokuratora, Premiera wreszcie. Nie potrafili podjąć żadnej decyzji. Okazali się bezradni. Dopuścili do skandalicznej kompromitacji polskiej demokracji.

Napisane 13 maja 2012

Związki partnerskie

Sprawa legalizacji związków partnerskich przesłoniła w mediach w ostatnich tygodniach nawet podział dotacji unijnej na lata 2013/20. Pomimo iż dotyczyła przecież tylko mniejszości Polaków. Według różnych danych homoseksualistów jest zaledwie 5 - 10% przeciętnej populacji. Skąd zatem takie zainteresowanie mediów i zajadłe spory? Przecież – jak słyszałem – większość państw cywilizowanych problem związków partnerskich już uregulowała. Podobno w Unii Europejskiej jeszcze tylko Polska i Rumunia tego nie zrobiły. Moim zdaniem przyczyną tej „burzy" są wyłącznie różnice światopoglądowe. I na to właśnie chciałbym w tym felietonie zwrócić uwagę.

Przeciwnicy legalizacji szermują argumentem, że jakiekolwiek stosunki homoseksualne są anormalne i przeciwne prawom natury. Jest to argument całkowicie kłamliwy. Po pierwsze prawa natury, czy jak kto woli – prawa naturalne są diametralnie różne dla różnych gatunków, np. dla ptaków i dżdżownic. Ale nawet w obrębie naczelnych ssaków naturalna jest konieczność oddychania, jedzenia, wydalania itd. Naturalne jest także zaspokajanie popędu seksualnego w dowolnym miejscu (prokreacja!). I co na to moraliści? Piętrowe domy, samochody, telefony, a nawet odzież nie mają nic wspólnego z naturą. A tym bardziej obcinanie paznokci i włosów, nie wspomnę już o makijażu. Prawa naturalne nie rządzą nauką, (np. badaniami kosmosu czy matematyką), kulturą (np. komponowaniem symfonii lub tworzeniem poezji), filozofią, religią itd. Tak więc posługiwanie się argumentem o naruszaniu praw natury przez związki partnerskie nie może być traktowane poważnie w jakiejkolwiek rzeczowej dyskusji.

Następny „koronny" argument przeciwników legalizacji związków partnerskich jest jeszcze mniej logiczny. Twierdzą, że taka legalizacja zagrozi instytucji małżeństwa i szerzej – rodzinie. Aby wzmocnić swój sprzeciw, powołują się na konstytucyjny zapis o ochronie małżeństwa przez państwo. Nie mogę

pojąć w jaki sposób homoseksualne związki partnerskie mogłyby zagrozić dotychczasowym małżeństwom cywilnym czy kościelnym. Albo co wspólnego ma legalizacja takich związków z konstytucyjną ochroną instytucji małżeństwa. Pozostaje jeszcze wspomniana raczej marginesowo sprawa heteroseksualnych związków nieformalnych zwanych konkubinatem. Nie jest tajemnicą, że coraz więcej młodych ludzi nie chce się łączyć tzw. węzłem małżeńskim. Przyczyn jest sporo i mają najróżniejsze źródła. Należy w tym miejscu zaznaczyć, że uzyskanie rozwodu w Polsce jest nadal o wiele trudniejsze niż np. w Stanach Zjednoczonych. A tymczasem dane statystyczne są nieubłagane. W cywilizowanych państwach częstotliwość rozwodów rośnie z roku na rok. Podobno w niektórych krajach sięga 25% a nawet 30% zawieranych małżeństw! Myślę, że prawodawca musi brać pod uwagę te dane, aby uniknąć społecznych komplikacji. Zwłaszcza z uwagi na dobro dzieci.

I pozostaje jeszcze jedna kwestia najbardziej chyba drażliwa w Polsce: związek małżeństwa z religią katolicką. W naszym kraju jeszcze przed wojną liczyły się prawie wyłącznie małżeństw kościelne, uświęcone sakramentem. A zgodnie z doktryną małżeństwo takie jest nierozerwalne. Może być unieważnione, ale rozwód w ogóle w języku Kościoła nie istnieje. I powstaje absurdalna sytuacja. Młodzi ludzie (często pod presją rodzin) biorą ślub kościelny. Prędko okazuje się, że nie mogą ze sobą żyć. Rozchodzą się (oczywiście nieformalnie; węzeł małżeński nadal prawnie obowiązuje!), zakładają nowe, (choć oczywiście także nieformalne) rodziny. Ich dzieci nie mają jednak żadnych praw. Czy uważają to Państwo za właściwe? Przecież dzieci nie są winne cywilizacyjnemu zacofaniu naszego kraju. Najwyższy czas, aby unormować tę krzywdzącą, niesprawiedliwą sytuację. Tyle się ciągle mówi o wolności, o którą Polacy walczyli jeszcze w minionym stuleciu. Wolność słowa, wolność polityczna i ekonomiczna, wolność podróżowania i wyboru miejsca zamieszkania. A nadal nasi ustawodawcy nie mogą zdecydować się, aby dać wolność w tak ważnej, osobistej sferze jaką jest wybór życiowego partnera. Czyżby średniowieczne przesądy były w Polsce aż tak silne?

Napisane 22 lutego 2013

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK

przedstawia

Serial historyczny „PRL" w siedmiu odsłonach

ODSŁONA 1 – Rok 1945

Występują:
JOSIP WISSARIONOWICZ S.
DUCH IWANA WASILIEWICZA R.

AKT I

JOSIP- Ci Polacy ciągle o coś proszą. Pomimo, że dostali tyle ziemi na zachodzie, chcą jeszcze spornego obszaru między Odrą a Nysą Łużycką. Dać im?
DUCH IWANA – Dać.

AKT II

JOSIP – Ci Polacy mają kolejną prośbę. Pomimo że dostali tyle ziemi na północy, chcą jeszcze całego Szczecina: miasta, portu i okolic. Dać im?
DUCH IWANA – Dać.

AKT III

JOSIP – Ci Polacy chcą teraz więcej swobód, więcej niż my mamy u nas, w Związku Radzieckim. Dać im?
DUCH IWANA – Dać.
JOSIP – Co ty? Czyżbyś nagle pokochał Polaków?
DUCH IWANA – Co to – to nie. Ale im więcej im dasz wszystkiego, w tym swobody, tym prędzej się sami między sobą zagryzą.

KURTYNA

Spada w zadumie nad zawiłościami polityki.

ODSŁONA 2 – Rok 1956

Występują :
Pan TAK
Pan NIE

Akt I i ostatni

Pan TAK- Dzięki Odwilży zlikwidowano złowrogie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego i aresztowano zwyrodnialców na najwyższych stanowiskach: Romkowskiego, Fejgina, Różańskiego.

Pan NIE – Ale do nowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przeszli ich koledzy.

Pan TAK – Zniesiono na wsi przymus zakładania spółdzielni produkcyjnych i zezwolono na indywidualne gospodarstwa rolne.

Pan NIE – Ale obowiązkowe dostawy pozostały.

Pan TAK – Wprowadzono w fabrykach tzw. produkcję uboczną na potrzeby rynku.

Pan NIE – Ale centralne planowanie pozostało.

Pan TAK – Uwolniono kardynała Wyszyńskiego, przywrócono lekcje religii w szkołach i poprzednią redakcję „Tygodnika Powszechnego".

Pan NIE – Ale cenzura nadal dławi wolność słowa. Nie tego oczekiwało społeczeństwo : chciało niezależności i demokracji.

Pan TAK – Polski Październik nie kosztował ani jednej kropli krwi. A Węgrzy chcieli zdobyć siłą niezależność i zapłacili straszliwą cenę.

Pan NIE– milczy

KURTYNA

spada w ciszy

ODSŁONA 3 – Rok 1968

Występują:

STUDENCI

RZĄD

AKT I

STUDENCI- Dlaczego rząd nie ustosunkował się do listu 34 pisarzy i intelektualistów w sprawie zmniejszenia przydziału papieru na druk książek i czasopism oraz zaostrzenia cenzury?

RZĄD – milczy

AKT II

STUDENCI – Dlaczego rząd dyskryminuje profesorów pochodzenia żydowskiego za rzekome popieranie państwa Izrael?

RZĄD – milczy

AKT III

STUDENCI – Dlaczego rząd szykanuje polski Episkopat za „Orędzie do biskupów niemieckich"?

RZĄD – milczy

AKT IV

STUDENCI- Dlaczego rząd zawiesił przedstawienie „Dziadów" Mickiewicza?

RZĄD – milczy

AKT

STUDENCI - Dlaczego rząd rozpędza studenckie manifestacje przy pomocy milicyjnych pałek?

RZĄD – milczy

MORAŁ

Rząd milczy, ponieważ nie ma nic do powiedzenia

KURTYNA

spada ze wstydu

ODSŁONA 4 – ROK 1970

Występują:

HISTORYK

SEKRETARZ KC

AKT I

HISTORYK –W sobotę wieczorem 12 grudnia 1970 Gomółka wygłosił przemówienie radiowo - telewizyjne, w którym poinformował o zmianach cen. M.in. podrożało mięso, ryby i nabiał.

SEKRETARZ – Ale staniały telewizory, lodówki, pralki, maszyny do szycia.

AKT II

HISTORYK – W poniedziałek rano wybuchł strajk w Stoczni Gdańskiej. We wtorek w innych zakładach Trójmiasta, a w następnych dniach także w Elblągu, Słupsku i Szczecinie.

SEKRETARZ – Gomółka uznał te wydarzenia za działalność kontrrewolucyjną, podpalono bowiem budynki publiczne, w tym Komitety Wojewódzkie PZPR.

AKT III

HISTORYK – Za zgodą Gomółki zezwolono tzw. siłom porządkowym na uży-

cie broni. Zabitych było 46, rannych i bestialsko pobitych ponad 7 tysięcy.
SEKRETARZ – Zenon Kliszko powiedział : „Z kontrrewolucją trzeba walczyć przy pomocy siły. Jeżeli zginie nawet 300 robotników, to bunt zostanie zdławiony"

KURTYNA
spada przerażona

ODSŁONA 5 – Rok 1980

Występują:
MIĘDZYZAKŁADOWY KOMITET STRAJKOWY (zwany dalej MKS)
POLSKA ZJEDNOCZONA PARTIA ROBOTNICZA (zwana dalej PZPR)

AKT I

(W obecności reflektorów, kamer, mikrofonów)

MKS- Postulujemy m.in. powstanie niezależnego związku zawodowego „Solidarność", ustalenie wszystkich sobót jako dni wolnych od pracy, transmisji mszy św. w każdą niedzielę. W zamian będziemy przestrzegać Konstytucji PRL, uznajemy podstawy ustroju socjalistycznego i kierowniczą rolę PZPR w państwie. Dogadaliśmy się jak Polak z Polakiem.
PZPR – Zgadzamy się z wszystkimi postulatami. Nie ma przegranych ani wygranych.

AKT II

(bez reflektorów, kamer, mikrofonów)

MKS – Mówiąc między nami bez świadków i tak naszym celem pozostaje przejęcie całkowitej władzy.
PZPR – Mówiąc między nami bez świadków i tak nie zamierzamy spełnić zawartych w Szczecinie, Gdańsku i Jastrzębiu porozumień.

KURTYNA
spada ze wstydu

ODSŁONA 6 – Rok 1981

Występują:
LEONID B.
WOJCIECH J.

AKT I

LEONID B.- Albo wy ich za gardło, albo oni was. Kiedy wprowadzicie stan wyjątkowy?

WOJCIECH J. –Polacy są wrażliwi na suwerenność, na gwałconą niepodległość. Dlatego musimy się liczyć z gwałtowną reakcją społeczną, wręcz z powstaniem narodowym.

AKT II

LEONID B. –My bratniej Polsce nie damy krzywdy zrobić, nie zostawimy w biedzie.

WOJCIECH J.-To dlaczego zmniejszyliście nam dostawy ropy naftowej z 13 milionów ton do 4 milionów ton? Podobnie z innymi surowcami. A zima nadchodzi. To oznacza całkowity paraliż polskiej gospodarki.

AKT III

LEONID B. – No dobrze, nie wejdziemy. A jeśli się będzie komplikować – wejdziemy, wejdziemy.

AKT IV

13 grudnia WOJCIECH J. ogłosił wprowadzenie stanu wojennego. Wojska Układu Warszawskiego nie weszły do Polski.

KURTYNA

spada na złość fałszerzom historii

ODSŁONA 7 i ostatnia – Rok 1989

Występują:

OPTYMISTA

PESYMISTA

AKT I

OPTYMISTA – Mamy już niepodległość, suwerenność, wolne wybory, demokrację.

PESYMISTA – A także walki o stołki, wpływy, stanowiska, posady dla siebie, rodzin i znajomków.

AKT II

OPTYMISTA – Mamy wolność słowa, niezależne od władz media, zniesienie cenzury prewencyjnej.

PESYMISTA – I opluwanie przeciwników, intrygi, donosy. Walczą o władzę nie tylko prawica z lewicą, lecz także prawica z prawicą i lewica z lewicą. Partie

i partyjki zagryzają się wzajemnie. Gdzie się zapodział etos „Solidarności”?

AKT III

OPTYMISTA – Pamiętajmy, że nawet największe imperia padają, ustroje się zmieniają, politycy przychodzą i odchodzą, ale naród polski trwa. I przetrwa.

KURTYNA

spada optymistycznie

Teatrzyk
CZERWONY PAJĄK
przedstawia
komedię erotyczną w dwóch aktach z morałem pod tytułem

BOJKOT

występują:
MĄŻ, ŻONA, SĄSIAD, SĄSIADKA

Akt I

ŻONA - Ogłaszam bojkot wobec męża, bo ciągle mnie krytykuje. Ostatnio za rzekomo mało słoną zupę.
SĄSIAD - A czy ten bojkot rozciąga się i na mnie, sąsiada?
ŻONA - Ależ skąd, panie Jasiu!

Akt II

MĄŻ - Moja żona zastosowała wobec mnie bojkot. Czy Pani jako dobra sąsiadka nie chciałaby mnie pocieszyć?
SĄSIADKA - Oczywiście, z radością, panie Jurku!

MORAŁ

Nie należy zbyt pochopnie stosować bojkotu.

KURTYNA

bojkotuje autora i nie spada.

Teatrzyk
CZERWONY PAJĄK
przedstawia
tragedię historyczną w trzech aktach pod tytułem

DATY

Udział biorą:
DZIENNIKARZ, POSEŁ

AKT I

DZIENNIKARZ – Panie pośle, czy pan wie w którym roku miało miejsce powstanie warszawskie?
POSEŁ – Oczywiście, że wiem. W roku 1988.

AKT II

DZIENNIKARZ – Panie pośle, czy wie pan w którym roku wprowadzono stan wojenny?
POSEŁ – Oczywiście, że wiem. Był to 1989.

AKT III

DZIENNIKARZ – Panie pośle, czy wie pan w którym roku odbył się chrzest Polski?
POSEŁ – Oczywiście, że wiem. To było … dawno temu.

KURTYNA
spada ze wstydu

Teatrzyk
CZERWONY PAJĄK
przedstawia
horror wszechczasów w jednym akcie pod tytułem

III WOJNA ŚWIATOWA

Występują:
PREZYDENT
DORADCA

AKT I i ostatni w historii świata

DORADCA –Słyszałeś, że wybuchła III wojna światowa?

PREZYDENT – Kto z kim?

DORADCA – Rosja z Macierewiczem.

PREZYDENT – Ale kto zaczął?

DORADCA – Nie wiem. Źle był słychać. Macierewicz ma fatalną dykcję. Co robić? Ogłosić mobilizację?

PREZYDENT - Nie. Wysłać po Macierewicza ambulans.

DORADCA – Jaki?

PREZYDENT – Z domu wariatów.

KURTYNA

litościwie spada

Napisane 20 kwietnia 2012

Teatrzyk

CZERWONY PAJĄK

przedstawia

sztukę optymistyczną w trzech aktach pod tytułem

MIŁOŚĆ CI WSZYSTKO (PRAWIE) WYBACZY

Występują:

JAREK

ZBYSZEK

AKT I

JAREK – Precz z moich oczu i …. partii!

ZBYSZEK – Odchodzę pełen żalu.

AKT II

JAREK – Zbyszku, wróć! Czekam na ciebie. Bądźmy razem.

ZBYSZEK – A ja czekałem, Jarku, na te słowa, choć pamiętam, że to ty mnie wyrzuciłeś.

AKT III

JAREK – Ale przywódcą będę ja. I zwyciężymy.

ZBYSZEK – Wprawdzie łączy nas wspólna sprawa, ale wolę być osobno.

KURTYNA

spada, ponieważ nie wierzy w miłość …osobno.

Napisane 22 kwietnia 2012

Teatrzyk
CZERWONY PAJĄK
przedstawia
misterium w trzech aktach z komentarzem pod tytułem

MINISTER

Występują:
KOBIETY, MINISTER

AKT I

KOBIETY - Panie Ministrze, dlaczego jest Pan przeciwny podpisaniu konwencji Unii Europejskiej w sprawie przeciwdziałania przemocy w rodzinie i wobec kobiet?
MINISTER – (w milczeniu rozkłada ręce)

AKT II

KOBIETY – Panie Ministrze, dlaczego jest Pan przeciwny złagodzeniu restrykcyjnej ustawy antyaborcyjnej?
MINISTER – (w milczeniu składa dłonie)

AKT III

KOBIETY – Panie Ministrze, dlaczego jest Pan przeciwny refundacji przez państwo kosztów zapłodnienia in vitro dla par nie mogących posiadać dzieci?
MINISTER – (w milczeniu wznosi ręce do nieba)

Komentarz:

MINISTER uczy się dyrygowania chórami anielskimi?

KURTYNA

zamiast opadać – wznosi się do nieba

Teatrzyk
CZERWONY PAJĄK
przedstawia
sztukę w pięciu aktach z epilogiem pod tytułem

REFERENDUM

Występują:
OPOZYCJA
LUD
SCEPTYK

AKT I

OPOZYCJA – Ludu, czy chcesz wcześniejszej i większej emerytury?

LUD – Chcę!

SCEPTYK – A skąd wziąć na to pieniądze?

AKT II

OPOZYCJA – Ludu, czy chcesz niższych podatków?

LUD – Chcę!

SCEPTYK – A skąd wziąć na to pieniądze?

AKT III

OPOZYCJA - Ludu, czy chcesz niższych opłat za czynsz, wodę, prąd, gaz, ogrzewanie, transport?

LUD – Chcę!

SCEPTYK – A skąd wziąć na to pieniądze?

AKT IV

OPOZYCJA – Ludu, czy chcesz tańszego paliwa, żywności, towarów przemysłowych?

LUD – Chcę?

SCEPTYK – A skąd wziąć na to pieniądze?

AKT V

OPOZYCJA – Ludu, czy chcesz mniej pracować i więcej zarabiać?

LUD – Chcę!

SCEPTYK – A skąd wziąć na to pieniądze?

Epilog

OPOZYCJA – Oto wola ludu, wyrażona w demokratycznym referendum.

KURTYNA

trzęsąc się ze śmiechu spada na głowę OPOZYCJI

Teatrzyk

CZERWONY PAJĄK

przedstawia

dramat w trzech aktach pod tytułem

SESJA RADY MIEJSKIEJ

występują:

PRZEWODNICZĄCA

RADNA

Akt I

PRZEWODNICZĄCA – Proponuję …

RADNA – Nie zgadzam się!

Akt II

PRZEWODNICZĄCA – Stawiam wniosek…

RADNA - Protestuję!

Akt III

PRZEWODNICZĄCA – Mam pytanie….

RADNA - To zamach na demokrację!

KURTYNA

na znak sprzeciwu nie spada

INFORMATKA

Cykl: „Nasz felieton”

O samodzielnym myśleniu

Rozpoczynając cykl naszych felietonów, chciałbym zachęcić Czytelników do przemyślenia niezwykle – moim zdaniem – ważnego problemu. W zgiełku codziennych wydarzeń problem ten często uchodzi ludzkiej uwadze. Zajęci pracą i zmaganiami z takimi czy innymi trudnościami, nie mamy zbyt wiele czasu na rozmyślania. Zwłaszcza przy nieustannym, agresywnym zalewie informacji medialnych. Prasa, radio i – przede wszystkim – telewizja narzucają nam określony obraz otaczającej rzeczywistości i zachodzących w niej najrozmaitszych wydarzeń. Dlatego właśnie pozwalam sobie zaproponować Czytelnikom podjęcie próby samodzielnego myślenia.

Proponuję, aby każdą wiadomość, opinię, komentarz przyjmować z dużą ostrożnością i należytym dystansem. Niezależnie od tego kto je przedstawia: profesor, biskup, poseł, premier itd. I czy są wygłaszane z sejmowej mównicy czy kościelnej ambony. Przecież jesteśmy „posiadaczami” własnego mózgu, lub inaczej – jeśli ktoś woli to słowo – własnego umysłu. Ja sam właśnie w ten sposób postępowałem przez dziesiątki lat. Usłyszaną informację poddawałem rozmowom, lekturom, namysłowi. Dokonywałem porównań z tym, co już wiedziałem na dany temat i co uzyskałem z wcześniejszych lektur i rozmów. Zamiast biernie przyjmować przeczytane czy zasłyszane informacje, próbowałem konfrontować je z innymi opiniami, osądami, komentarzami.

Proszę mi wierzyć, że nie zabiera to zbyt wiele czasu i nie koliduje z codziennymi zajęciami domowymi czy zawodowymi. Myjąc się, goląc, czesząc czy ubierając itp. Można myśleć o rozmaitych problemach. A przede wszystkim odciąć się od stereotypowych zwrotów w rodzaju: „napisano w gazecie”, „powiedziano w radio”, „pokazano w telewizji”.

Bądźmy szczerzy, drodzy Czytelnicy, każdy z nas czytał i słyszał w mediach przeróżne bzdury. I widział preparowane obrazy w telewizji. Nie ulegajmy im bezkrytycznie. Mógłbym przytoczyć dziesiątki przykładów takiego jednostronnego przedstawiania faktów przez media. Chciałbym być dobrze

zrozumiany. Nie twierdzę, że politycy czy dziennikarze kłamią. Wprost przeciwnie – mogą przedstawiać fakty zgodnie ze swoimi przekonaniami i uważać je za prawdziwe. Ale ja mam prawo do ich samodzielnego zweryfikowania. Nie przyjmować – jak to się potocznie mówi – na wiarę. Żadne stanowiska, tytuły, pozycje zawodowe piszących lub mówiących nie wystarczą abym rezygnował z prób samodzielnego sprawdzenia każdego słowa. Wnioski, do których dojdę, mogą okazać się zgodne z nim lub nie. Ale będą miały jedną podstawową zaletę – będą moimi własnymi. Przyznaję, że mogą być nawet błędne. Wiemy jednak, że nikt nie jest nieomylny. Nie zrezygnuję z prawa do posiadania błędnych poglądów. I takie samo prawo przyznaję wszystkim ludziom. Pod jednym wszakże warunkiem: aby nie narzucać swoich przekonań innym.

A zatem raz jeszcze zachęcam Czytelników do prób samodzielnego myślenia. Zapewniam na podstawie własnego doświadczenia, że dostarcza to prawdziwej satysfakcji. I na zakończenie pytanie: może warto byłoby założyć nieformalny Klub Samodzielnie Myślących?

„Wałbrzyskie Wróbelki"

Jeśli mnie pamięć nie myli, w latach osiemdziesiątych minionego stulecia ogromną, międzynarodową sławę zdobył włoski chór dziecięcy „Piccolo Coro Dell`Antoniano", który od momentu powstania w 1963 towarzyszył solistom festiwalu „Zecchino d`oro". Używam określenia Chór przez szacunek dla założycielki i dyrygentki zespołu, Mariele Ventre. Dla mnie bowiem był to uroczy dziecięcy Chórek. Śpiewał wyłącznie proste piosenki napisane specjalnie dla tego zespołu. Piosenki były jednogłosowe, czasami także rozpisane na dwa lub trzy głosy.

Niektóre – jak pamiętam – miały spokojne melodie, ale większość była wesoła. Zdarzały się piosenki wręcz humorystyczne. Widać i słychać było, że dzieci śpiewają z radością. I one i dyrygentka traktowały występy jako zabawę. Było to wyjątkowe, muzyczne zjawisko. I co zasługiwało na podkreślenie, w Chórku śpiewały zarówno dziewczęta jak i chłopcy. Jeśli się nie mylę, od czterech lub pięciu lat.

Od dawna, zwłaszcza w kręgu kultury niemieckiej, działały chóry chłopięce, często połączone z męskimi. Sławne były w świecie szczególnie dwa: w Wiedniu i Monachium. Tak było i w Poznaniu. Najpierw powstał Chór

chłopięco – męski „Poznańskie Słowiki" pod dyrekcją Stefana Stuligrosza, a następnie Chór Chłopięcy zorganizowany przez Jerzego Kurczewskiego. Ich repertuar opierał się głównie na pieśniach czterogłosowych (chłopcy śpiewali partie sopranowe i altowe a mężczyźni tenorowe i basowe), skomponowanych przez wybitnych kompozytorów. Te chóry wykonywały również wielkie dzieła oratoryjne. Byłem na koncertach i podziwiałem zawsze piękne brzmienie chłopięcych głosów. Sam przed wojną śpiewałem sopranem „Requiem" Mozarta. Barwa głosów chłopięcych, jasna i czysta, znakomicie nadaje się do wykonywania muzyki religijnej.

Kiedy jednak pierwszy raz usłyszałem „Piccolo Coro", zachwyciło mnie zupełnie odmienne traktowanie śpiewania. To nie było pełne powagi wykonawstwo. Nie, to była po prostu radosna zabawa. I przez kilkadziesiąt lat marzyłem o tego rodzaju chórku w Polsce. Ale jakoś nie widziałem realnych możliwości realizacji. Teraz wreszcie, być może, pojawiła się szansa na stworzenie takiego chórku. Właśnie tutaj, w Wałbrzychu, w dzielnicy Podzamcze! Jak wiadomo, obecnie w jednym budynku mieści się przedszkole i biblioteka prowadząca zróżnicowaną działalność. A w sąsiedztwie dwie szkoły podstawowe. To wyjątkowa okazja, aby zorganizować unikalny zespolik, na wzór włoskiego „Piccolo Coro".

Centrum Edukacyjno – Kulturalne znajduje się w środku dużego osiedla z dogodnym połączeniem z innymi dzielnicami miasta. I co najważniejsze, mamy już grupę entuzjastów. Z repertuarem nie będzie kłopotów. Mamy mnóstwo prostych, dziecięcych piosenek. I jeszcze więcej uroczych wierszyków, do których polscy kompozytorzy z pewnością dopiszą muzykę. A śpiewać będą nasze „Wałbrzyskie Wróbelki".

Kołnierz rajców

Zupełnie przypadkowo zobaczyłem w telewizji reportaż z uroczystości ślubowania radnych w Słupsku. I ku swojemu zdziwieniu zauważyłem, że radni mieli jednakowe, szerokie kołnierze w czerwonym kolorze. Przyznaję, że bardzo mi się to podobało. Przypomniałem sobie wówczas, że w dawnych czasach, chyba już w renesansie, rajcy miejscy nosili długie szaty z łańcuchami, a na głowach specjalne birety. Dzisiaj tego rodzaju stroje noszą już chyba tylko kapłani różnych religii oraz profesorowie wyższych uczelni.

Patrząc teraz na ekran telewizora pomyślałem, że owe szerokie, przypominające małe pelerynki, kołnierze warto wprowadzić także w Wałbrzychu. Wyobraziłem sobie, że będą zielone, w kolorze herbu miasta. A z przodu, po obu stronach rozcięcia, należałoby umieścić wyhaftowane lub wdrukowane liście dębu. Takie kołnierze wkładaliby radni na sesje i różne uroczystości.

Ktoś może wzruszyć ramionami i zapytać komu to potrzebne. Na takie pytanie łatwo odpowiedzieć. Potrzebne nie tylko radnym, lecz także mieszkańcom Wałbrzycha. Ozdobne, wyszukane stroje księży, profesorów i żołnierzy kompanii honorowych nadają ceremoniom uroczysty charakter. Podkreślają ich społeczną doniosłość. Odróżniają od codzienności. Ale nie tylko. Niemniej ważne jest, że owe specjalne stroje dodają osobom noszącym je splendoru. A to zobowiązuje do odpowiedniego zachowania!

Dawni rajcowie byli mistrzami cechowymi, znanymi kupcami, statecznymi obywatelami. Czuli się odpowiedzialni za miasto. Byle mieszczanin nie mógł zostać rajcą. Kiedy taki rajca szedł ulicą, wszyscy mu się kłaniali. Ale to zobowiązywało. Rajca nie mógł być ubrany byle jak i co najważniejsze – musiał ważyć wypowiadane słowa. Tzw. pyskówki były nie do pomyślenia. Rajcy chodzili dostojnym krokiem i tak też się zachowywali!

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie da się wskrzesić dawnych strojów i zachowań. Trudno sobie wyobrazić dzisiejszego radnego jadącego na sesję w ozdobnym kołnierzu na jaskrawej nylonowej kurtce. I w dodatku w zatłoczonym autobusie. Ale już w ratuszu, przed rozpoczęciem sesji, po nałożeniu dużego kołnierza radny poczułby się w pełni odpowiedzialny za dobro mieszkańców Wałbrzycha.

Proszę zatem Radę Miasta, jej przewodniczącą i pana prezydenta o rozpatrzenie mojej propozycji. Uszycie takich szerokich, rozłożystych kołnierzy nie powinno naruszyć równowagi budżetowej miasta. A korzyści – moim zdaniem – będą różnorodne i społecznie doniosłe. Radny miasta Wałbrzycha, wyróżniony efektownym kołnierzem, będzie czuł się bardziej odpowiedzialny za to co robi i mówi. Przecież dlatego tak ważne są wszelkiego rodzaju nagrody i medale. Warto wyróżnić naszych radnych choćby tylko kołnierzem!

70 lat polskiego Wałbrzycha

Wiosną 1945 roku zakończyła się w Europie II wojna światowa. Tego historycznego faktu chyba nikt przy zdrowych zmysłach nie kwestionuje. Tym samym skończyła się przerażająca okupacja niemiecka, lub – jak kto woli – hitlerowska. I ten fakt – mam nadzieję – również nie budzi wątpliwości. Na skutek uzgodnień pomiędzy zwycięskimi państwami tzw. Dolny Śląsk znalazł się w obrębie Polski. A na Dolnym Śląsku według wszystkich znanych mi map leży miasto Wałbrzych, noszące poprzednio nazwę Waldenburg. Celowo piszę o tych oczywistych faktach, aby łatwiej przejść do meritum.

Zakończenie wojny wyzwoliło spod hitlerowskiej okupacji miasta na terenie przedwojennej Polski. Warszawę, Kraków, Łódź itd. Ale nie te, leżące przed wojną w obrębie Rzeszy Niemieckiej. Dlatego pisanie czy mówienie o wyzwoleniu Wrocławia, Szczecina czy Wałbrzycha jest zwyczajnym nonsensem. Jak można bowiem wyzwolić niemieckie miasto spod władzy państwa niemieckiego? Wałbrzych zatem nie został wyzwolony. Został na podstawie układów międzynarodowych wcielony do Polski, stając się tym samym polskim miastem. I to, co należy z naciskiem powtarzać, po raz pierwszy w historii! Najwyższy czas, aby to sobie w pełni uświadomić. Na tej ziemi nigdy przedtem nie było państwa polskiego. Kto nie wierzy, niech zajrzy do podręczników, encyklopedii, monografii. Państwo polskie, bez względu na to czy ze stolicą w Krakowie lub Warszawie, czy rządzone przez Piastów albo Jagiellonów – nigdy nie obejmowało swoim zasięgiem dzisiejszego Wałbrzycha.

Są tacy, którzy kwestionują suwerenność tzw. PRL. Ale nikt chyba nie zakwestionuje faktu, że po 1945 roku Wałbrzych stał się miastem polskim. W urzędach mówiono wyłącznie po polsku. We wszystkich instytucjach, przedsiębiorstwach, szkołach również. Wszelkiego rodzaju przepisy, rozporządzenia publikowano po polsku. W szkołach uczono także tylko w języku polskim. Z wyjątkiem oczywiście, co zrozumiałe, lekcji języków obcych. Gazety także drukowano wyłącznie po polsku. Czy wobec tego uprawnione jest kwestionowanie, że Wałbrzych był od 1945 miastem polskim? Lub jeszcze dobitniej: o Polsce w Wałbrzychu?

Jeśli tak, to w roku 2015 należy obchodzić nie tylko uroczyście, ale także radośnie, siedemdziesięciolecie polskiego Wałbrzycha. Nie bredzić (przepraszam za słowo!) o wyzwoleniu, odzyskaniu, powrocie do Macierzy! (jak twierdzono w minionym okresie).

Polski Wałbrzych jest rzeczywistością i nadszedł już najwyższy czas, aby mieszkańcy poczuli się jego patriotami. A do obchodów siedemdziesięciolecia włączyli się wszyscy, bez względu na światopogląd czy przekonania polityczne. Jesteśmy wałbrzyszanami, ponieważ tutaj jest nasza ziemia. Jest nasza gdyż od siedemdziesięciu lat, dzień po dniu potwierdzamy to zwykłą, często uciążliwą pracą. I zwykłym, codziennym, pełnym kłopotów życiem.

Dlatego pozwolę sobie w tym miejscu zwrócić się z prośbą do władz wszystkich szczebli oraz instytucji, stowarzyszeń i organizacji społecznych o zorganizowanie na wiosnę 2015 wspólnych obchodów 70-lecia polskiego Wałbrzycha. Naszego Wałbrzycha!

Asymilacja

Profesor Ludwik Hirszfeld, lekarz i uczony, po II wojnie światowej napisał swoją autobiografię „Historia jednego życia". Jej publikacja wywołała gwałtowne ataki środowisk żydowskich w kraju i za granicą. Prof. Hirszfeld przedstawił bowiem w ostatnim rozdziale kontrowersyjną tezę, że członkowie mniejszości narodowych powinni zrezygnować z podkreślania i pielęgnowania swoich odrębności. Przeciwnie : powinni dążyć do jak najszybszej i jak najpełniejszej asymilacji z gospodarzami. W ten sposób w ciągu dwóch, trzech pokoleń przestaną być mniejszością i utożsamią się z nimi całkowicie.

Hirszfeld twierdził, że to właśnie podtrzymywanie odrębności religijnej, językowej i obyczajowej było głównym źródłem antysemityzmu. I w konsekwencji doprowadziło do przerażającego Holokaustu. Środowiska żydowskie potraktowały tezę profesora jako hańbienie pamięci milionów niewinnych ofiar Zagłady. Ja jednak jako świadek tamtych lat musiałem zgodzić się w pełni z tezą profesora Hirszfelda.

Tutaj pozwolę sobie na dygresję. Dzieciństwo do roku 1939 spędziłem w Łodzi. Mało kto dzisiaj wie, że w tym mieście przed wojną było zaledwie 58% etnicznych Polaków, głównie zresztą robotników. Pozostałe 42% to byli Niemcy i Żydzi. Mieli własne gazety, teatry, świątynie, szkoły. O ile jednak odrębność Niemców nie rzucała się w oczy, o tyle Żydzi przede wszystkim przez swój wygląd stanowili swoistą egzotykę. Mówiąc krótko – na łódzkich ulicach byli obcym elementem.

Wracam jednak do podstawowej tezy profesora Hirszfelda. Drażnienie odrębnością powoduje rosnącą niechęć gospodarzy, która przeradza się (czy

może raczej wyradza się) we wrogość. Dotyczy to każdej mniejszości narodowej: Żydów, Romów, Arabów, murzynów, żółtych. Jeśli do tej odrębności etnicznej dołączą różnice w religii, języku, wyglądzie, obyczajach, ubiorach – tworzy się „wybuchowa mieszanka". W sprzyjających okolicznościach może prowadzić do krwawej przemocy.

Dlatego po przeczytaniu „Historii jednego życia" zgodziłem się z autorem, że członkowie mniejszości powinni dążyć do jak najpełniejszej asymilacji. I choć to smutne, nie zaznaczać publicznie swojej odrębności. A tradycję – przepraszam za brutalne sformułowanie – oddać do muzeum, ewentualnie kultywować w rodzinnym gronie. Albo wzorem niektórych grup polonijnych w USA, ograniczyć do wkładania krakowskich strojów na lokalnych pochodach, raz do roku, w dniu amerykańskiego święta Dziękczynienia.

A o zasługach zasymilowanych przedstawicieli mniejszości narodowych dla Polski napiszę innym razem. Teraz natomiast muszę poruszyć jeszcze temat terroru, związany ściśle z problemem islamskiej mniejszości. To również jest rezultat poczucia obcości, izolacji, lekceważenia a nawet wrogości zatruwającego członków tej mniejszości. A to rodzi agresję. I zbrodnicze zamachy. Poświęcę temu skomplikowanemu zjawisku kolejny felieton.

Terroryzm

Łacińskie „terror" oznacza strach od „terrere" - przerażać. A w języku polskim rzeczownik terror ma szereg znaczeń: strach, groza, gwałt, ucisk, represje. Zaś liczne słowa pochodne jak np. terrorysta, terrorystyczny, terroryzować, sterroryzowany, funkcjonują w rozmaitych kontekstach. Jednostkowy: mąż terroryzuje żonę, lub zbiorowym: społeczeństwo było sterroryzowane przez bandy chuliganów. Natomiast rzeczownik terroryzm to działania pewnych grup ekstremistycznych, mające na celu obalenie ustroju bądź rządu, wymuszenie takich czy innych ustępstw przy pomocy zabójstw, zamachów, porwań, sabotaży itd.

Terroryzm jako rodzaj ideologii pojawił się w drugiej połowie XIX wieku. I tak np. w carskiej Rosji powstała organizacja o nazwie Narodnaja Wola. W celu obalenia znienawidzonego caratu, dokonywała zamachów na generał-gubernatorów czy policmajstrów. Najbardziej spektakularne było rzucenie w roku 1881 bomby na cara Aleksandra II. Dokonał tego m.in. Polak Ignacy

Hryniewiecki. To zabójstwo rozpętało represje w całym rosyjskim imperium, ale ustroju nie zmieniło. Wtedy to Gieorgij Plechanow napisał w roku 1885, że indywidualny terroryzm nie obali żadnego ustroju. Do tego potrzebny jest ruch mas ludowych.

Pomiędzy I a II wojną światową pojawił się terror państwowy w postaci hitleryzmu i stalinizmu, ale omawianie jego przerażających rozmiarów i milionów ofiar nie mieści się w ramach i charakterze tych felietonów.

W latach pięćdziesiątych minionego wieku dawny indywidualny terroryzm znów dał znać o sobie w Niemczech i Włoszech. Tzw. Czerwone Brygady czy grupy w rodzaju Baader – Meinhof przez szereg lat dokonywały zabójstw i porwań. A potem pojawili się terroryści islamscy. Pamiętamy porwania statków i samolotów oraz zamachy na polityków czy przemysłowców. A nawet sportowców. W naszym kraju wstrząsem stał się zamach na papieża Jana Pawła II. Jeżeli już nawet przywódcy religijni stają się celem ataku, to każdy działacz publiczny nie może się czuć bezpieczny. A ostatni mord dziennikarzy i rysowników w Paryżu pokazał, że terroryści sami usunęli siebie poza jakiekolwiek normalne społeczeństwo.

Zawsze uważałem, że powiedzenie „cel uświęca środki" jest całkowicie fałszywe. Moim zdaniem nie ma takiego, nawet najbardziej wzniosłego celu, który uświęcałby zabijanie. Pozbawianie życia kogokolwiek nie da się niczym usprawiedliwić. I żadne ideologie, religie, światopoglądy tego nie zmienią. Być może istnieje jeden jedyny wyjątek: działanie w obronie życia innego człowieka. Przypuszczam, że ja sam widząc zbrodniarza, zamierzającego zabić niewinne dziecko – potrafiłbym zadusić go własnymi rękami.

Mogę zrozumieć nienawiść pewnych grup muzułmanów do chrześcijan za wielowiekowe prześladowania i pogardę, ale to w niczym nie usprawiedliwia mordowania niewinnych kobiet i dzieci w Iraku i Syrii. Mogę zrozumieć pragnienia Palestyńczyków do posiadania własnego państwa, ale to także nie usprawiedliwia ostrzeliwania izraelskich osiedli mieszkaniowych. A pokazywanie w telewizji egzekucji jest czymś odrażającym. Nie nazywam dżihadystów islamskich, podobnie jak separatystów na Ukrainie, terrorystami. Dla mnie są pospolitymi mordercami. W dodatku tchórzliwymi. Terroryści z Narodnej Woli dokonując zamachów ryzykowali własne życie. Dżihadyści mordując kobiety i dzieci w Nigerii, Jemenie, Iraku, Syrii czy Izraelu – nie ryzykują niczym. Hańba im!

Kto jest prawdziwym Polakiem?

Przed wieloma tygodniami napisałem felieton „Asymilacja", w którym twierdziłem, że jedynym właściwym rozwiązaniem problemu mniejszości narodowych jest całkowite „wtopienie się" członków tej mniejszości w społeczność gospodarzy. Dzisiaj chcę przedstawić jak zasymilowane jednostki stały się w Polsce wybitnymi obywatelami.

Oto pierwszy przykład.

Rdzenny Francuz, Mikołaj Chopin, przyjechał do Polski jako nauczyciel języka francuskiego. Ożenił się z Polką i wrósł w swoją nową ojczyznę. Synowi dał imiona: Fryderyk Franciszek. Tak, tak, to właśnie Fryderyk Chopin (o spolszczonym nazwisku Szopen) stał się największym polskim kompozytorem, pomimo że połowę życia spędził we Francji. Jemu zawdzięczamy stworzenie polskiej muzyki narodowej.

Jeszcze bardziej wyrazistym przykładem jest Oskar Kolberg. Ojciec – Niemiec, matka – Francuzka. A ich syn Oskar został największym polskim etnologiem muzycznym. Uratował od zapomnienia tysiące ludowych pieśni i tańców. Choć w jego żyłach nie płynęła ani jedna kropla polskiej krwi, był – moim zdaniem – najprawdziwszym Polakiem. I zasłużył się narodowi bardziej, niż ci wszyscy tzw. prawdziwi Polacy.

Pierwszy w historii słownik języka polskiego pisał w latach 1807 – 1814 Samuel Bogumił Linde. Niektórzy badacze twierdzą, że był Niemcem, inni, że Holendrem. Ja twierdzę, że był z wyboru Polakiem. I swojej nowej ojczyźnie dał wiekopomne dzieło, właśnie „Słownik języka polskiego". Jeszcze sto lat później Żeromski mówił, że się z tym słownikiem nie rozstawał.

Pochodzący z arystokratycznej francuskiej rodziny Jean (Jan Niecisław) Baudouin de Courtenay był wybitnym językoznawcą, zasłużonym profesorem uniwersytetów w Petersburgu, Kazaniu, Dorpacie, Krakowie, Warszawie. I autorem wielu prac naukowych, w tym opublikowanego w 1922 roku „Zarysu historii języka polskiego". Tego języka, którym do dzisiaj nie potrafi posługiwać się wielu „prawdziwych" Polaków.

A oto inny sławny uczony, Aleksander Bruckner, urodzony Niemiec, profesor uniwersytetu w Berlinie. Pokochał Polskę, jej kulturę i w szczególności język. Jego pracowitość dorównywała erudycji. Zostawił około 1500 książek i artykułów! Z jego „Słownika etymologicznego" korzystam jakże często przy pisaniu moich felietonów. Nie ma chyba nikogo, kto byłby równie zasłużony dla języka polskiego, jego – z wyboru – języka ojczystego.

Osobne miejsce należy się przedstawicielom żydowskiej mniejszości. W XX wieku to oni byli najwybitniejszymi polskimi poetami. Pochodzili – co podkreślam - z zasymilowanych całkowicie rodzin. Czy gdyby od dzieciństwa nie nasiąkali polską kulturą, gdyby w domu nie mówiło się czystą polszczyzną – mogliby tak dogłębnie czuć piękno języka? Ci wielcy poeci to Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Jan Lechoń i mój ulubiony Bolesław Leśmian.

Wystarczy tych przykładów? Czy mam jeszcze dodać Artura Sandauera, wybitnego znawcę współczesnej literatury polskiej? Albo nie ustępującego Franzowi Kafce naszego Bruno Schulza, jednego z największych prozaików XX wieku. A wracając do muzyki, należy przypomnieć choćby dwóch światowej sławy polskich artystów: pianistę Artura Rubinsteina i skrzypka Bronisława Hubermana.

Wszyscy ci wyżej wymienieni i jeszcze wielu innych to najprawdziwsi Polacy, niezależnie od etnicznego pochodzenia. I zasłużeni dla kraju, który mają prawo uważać za własny. Bo dali mu więcej niż ci wszyscy tzw. narodowcy, którzy potrafią tylko krzyczeć.

I dlatego pozwolę sobie przypomnieć, że miał rację profesor Hirszfeld twierdząc, iż tylko pełna asymilacja może zasypać bolesne podziały w naszym kraju i nadać określeniu „prawdziwy Polak" właściwe znaczenie.

Protestuję!

W budżecie Wałbrzycha na 2015 rok zmniejszone zostały dotacje dla instytucji kultury podlegających miastu. Składam w tym miejscu jak najbardziej zdecydowany protest przeciwko tej decyzji.

Rozumiem konieczność oszczędzania, ale nie mogę się zgodzić, że robi się to kosztem kilku instytucji, dysponujących i tak od lat niewystarczającymi na właściwą działalność pieniędzmi. Dlatego pozwolę sobie wzmocnić mój protest paroma informacjami, niezbędnymi do obiektywnego przedstawienia sytuacji. Dodatkowo wyjaśniam, że nie chodzi mi o całą wałbrzyską kulturę, ale o zaledwie trzy instytucje: Bibliotekę, Muzeum i Teatr Lalek.

Chyba nikt rozsądny nie zaprzeczy, że do wychowania młodego pokolenia niezbędny jest jak najwcześniejszy kontakt z kulturą. A co może taki kontakt zapewnić? Niestety trudno liczyć, aby wszystkie rodziny potrafiły to uczynić. Przedszkola, szkoły, Kościół również nie są w stanie takiemu

zadaniu podołać, ponieważ zostały powołane do innych celów. Pierwsze spotkanie z kulturą zapewnia dziecku już w wieku przedszkolnym teatr lalek. Tam dziecko nauczy się właściwego zachowania na sali teatralnej, zetknie się z grą aktorską i – przede wszystkim – pozna piękno mowy ojczystej. Tych najwcześniejszych doświadczeń nic nie zastąpi. Dlatego konieczne jest, aby każde wałbrzyskie dziecko co najmniej 3, 4 razy w roku odwiedziło teatr lalek. Przy zmniejszonej dotacji jest to całkowicie niemożliwe, ponieważ kierownictwo teatru nie ma wystarczających pieniędzy na taką ilość premier.

Nie można wychować przyszłego świadomego obywatela, który nie znałby przeszłości swojego kraju, regionu, miasta. A uzyskanie takiej wiedzy zapewnia najlepiej muzeum. Dzięki stałej ekspozycji i okresowym wystawom. Już uczniowie szkół podstawowych winni w nich uczestniczyć, ponieważ to, co zapewniają wizyty w muzeum stanowi niezbędne uzupełnienie jak najszerzej pojętych lekcji historii.

I wreszcie biblioteka. Czy potrzebuję przypominać czym są książki, literatura, język ojczysty? Napisano o tym tomy na przestrzeni tysięcy lat. To właśnie słowa, mówione i pisane, odróżniają nas od zwierząt. Biblioteki, gromadzące myśl ludzką i piękno języka istniały już w starożytności. Były i są nadal skarbami ludzkości. Współczesne biblioteki dzięki zdobyczom techniki mogą rozwijać różnorodną działalność. I bez przerwy wzbogacać księgozbiory, zbiory nut, płytoteki, organizować spotkania i wykłady, wystawy książek i dokumentów, prowadzić szkolenia. To właśnie nowoczesne biblioteki powinny stać się swoistymi centrami kultury w swoich środowiskach. Powinny i mogłyby, gdyby… no właśnie, gdyby miały środki finansowe.

Pozwolę sobie zatem zaapelować do nowej Rady Miasta, a szczególnie do komisji kultury o przywrócenie jeszcze w tym roku trzem wymienionym instytucjom: Bibliotece, Muzeum, Teatrowi Lalek – odebranych w ramach oszczędności kilkudziesięciotysięcznych kwot. Działalność tych instytucji jest – w moim przekonaniu - ważniejsza niż okazjonalne imprezy, choćby najbardziej reklamowane. Mój protest wynika z troski o prawidłowy rozwój wałbrzyskiej kultury, niezbędnej obywatelom naszego miasta od przedszkola do starości. Pracuję dla tej kultury od 1978 roku. Myślę, że daje mi to prawo do wyrażenia tego protestu.

I na zakończenie jeszcze jedna osobista prośba. W przyszłym, 2016 roku, skończę 90 lat. Może Rada Miasta i pan prezydent Roman Szełemej jako pre-

zent dla mnie powiększy jeszcze dodatkowo dotacje dla Biblioteki, Muzeum i Teatru Lalek. Czy nie byłby to piękny i szlachetny gest?

Warto przemyśleć

Kiedyś, na którymś kolejnym spotkaniu, pozwoliłem sobie na przedstawienie kontrowersyjnej hipotezy, że prawo i sprawiedliwość nie zawsze są tożsame. Rozpętałem wówczas burzliwą i długotrwałą dyskusję. A teraz słuchając wypowiedzi czołowych działaczy Prawa i Sprawiedliwości, przekonałem się, że dla tej partii pojęcia: bezprawie i niesprawiedliwość stały się wręcz nierozerwalne w przypadku wyroku skazującego Mariusza Kamińskiego na trzy lata bezwzględnego więzienia.

Nie zamierzam zajmować się uzasadnieniem wyroku, ale pragnę zwrócić uwagę na argumenty działaczy PiS w obronie Mariusza Kamińskiego. Brak w nich merytorycznej polemiki, ale tylko mniej lub więcej gwałtowne ataki na sędziego, jego rzekomych mocodawców i polskie prawodawstwo w ogóle. Pozwolę sobie oprzeć ten felieton na oryginalnych cytatach oraz ewentualnie krótkich do nich komentarzach.

„Dzień złodzieja. Macie dziś swoje święto". „Wyrok w sprawie Kamińskiego to sygnał dla łapówkarzy: możecie dalej to robić". „To wyrok rażąco sprzeczny z elementarnym poczuciem sprawiedliwości i potwierdzenie tego, że od ośmiu lat złodzieje w naszym kraju mają się coraz lepiej…". „Kamiński to pierwszy więzień polityczny III RP".

I takie oto porównania: „Władza traktuje Kamińskiego jak Putin Chodorkowskiego". „Kiedyś skazywało się Żołnierzy Wyklętych, dziś skazuje się Mariusza Kamińskiego". Powyższe porównania urągają nie tylko faktom, lecz także zdrowemu rozsądkowi. Kamiński polskim Chodorkowskim? Kamiński Żołnierzem Wyklętym? Wręcz absurdalne! Ale te wszystkie wypowiedzi działaczy PiS zmierzają do konkluzji. Nie trzeba jej zgadywać; została przedstawiona expressis verbis: „Nie żyjemy już w wolnym kraju".

Kolejne cytaty: „Rządzą nami złodzieje, kłamcy, złoczyńcy, częstokroć udający katolików". „…od dziś każdy kto będzie udawał nadal, że III RP jest demokracją, nie tylko będzie dawał dowody zakłamania, ale przede wszystkim udzielał poparcia pasożytniczym klikom oligarchicznej władzy opartej na gołej sile oraz wsparciu Rosji i Niemiec". „Nasz kraj powoli zmierza ku całkowitemu

zrównaniu z rzeczywistością rosyjską". „Możemy być wolni i bardzo szybko się rozwijać (…). Musimy tylko zrzucić z pleców naszego narodu worek kamieni, którym jest obecna władza". I wreszcie promyk nadziei: „…społeczeństwo jest gotowe wystawić wreszcie rachunek tej obmierzłej kaście właścicieli III RP".

Ufff! Oto obraz naszego kraju w oczach prącej do władzy partii. Stek inwektyw, pomówień, obelg. I to wszystko preparowane zgodnie z wypróbowaną przez dawnych propagandystów metodą. Jak mówił bodajże doktor Joseph Goebbels: „Kłamstwo sto razy powtarzane staje się prawdą". A pani doktor Magdalena Ogórek zna zapewne oskarżenia stawiane w XIV wieku templariuszom. Kiedy król Filip IV potrzebował pieniędzy, oskarżył ich o homoseksualizm i przy pomocy Kościoła wymordował. A przez setki lat te fałszywe oskarżenia były uważane za prawdziwe. Metoda PiS jest skuteczna i opiera się na ludowym porzekadle: „Obrzuć błotem ile wlezie, zawsze coś przylgnie".

Brudy, intrygi, oszczerstwa od wieków towarzyszyły ludzkości. Były i zapewne jeszcze niestety długo będą. Wyrosłem już z dziecięcej naiwności i nie zamierzam odwoływać się do tkwiącej w człowieku dobroci, życzliwości, przyzwoitości. Mam jednak nadzieję, że oczywiste, obrzydliwe i chamskie kłamstwa nie zostaną nie zauważone. Że Czytelnicy przemyślą przytoczone w tym felietonie cytaty i nie ulegną niewybrednej propagandzie. Bez względu na to kto ją uprawia i jakich, choćby najbardziej wzniosłych słów używa.

Skandaliczny afront

Trójstronne stosunki Polska – Rosja, Polska – Ukraina, Rosja – Ukraina są dla nas niekorzystne. Powiem więcej – są szkodliwe. Nad polską polityką zagraniczną ciąży – moim zdaniem – stare porzekadło: „Wrogowie naszych wrogów są naszymi przyjaciółmi". To porzekadło jest niestety dalekie od prawdy i mamy na to sporo przykładów w bliższej i dalszej przeszłości.

Nad naszymi stosunkami z Rosją ciążą wydarzenia historyczne. Rozbiory, sto kilkadziesiąt lat niewoli, krwawo tłumione powstania, brutalna rusyfikacja, zesłania na Sybir. A potem po dwudziestu zaledwie latach niepodległości zagarnięcie przez ZSRR wschodniej części Polski, różnorodne prześladowania i wielotysięczne ofiary. Są to bezsporne fakty, dobrze nam wszystkim znane. Ale czas, abyśmy sobie wreszcie uświadomili, że to jednak przeszłość. I dla dobra nas wszystkich nie wolno do niej ciągle wracać w bieżącej polityce. Zwłasz-

cza do tworzenie histerycznej atmosfery rzekomego zagrożenia. I szukania dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa sojuszników. Na jednego z nich wybraliśmy najgorszego – jak sądzę – kandydata. Jest nim Ukraina. Zapewne w myśl przytoczonego w pierwszym akapicie porzekadła.

Ukraina ma prawo żywić, tak jak my, uzasadnioną niechęć do Rosji. Więcej – wrogość. Za zniewolenie, prześladowania, setki tysięcy śmiertelnych ofiar. Ale my, Polacy, musimy sobie z całą jasnością uświadomić, że w przeszłości stosunki polsko – ukraińskie były równie krwawe. Wystarczy przeczytać „Ogniem i mieczem". A w czasie rozbiorów to właśnie Kozacy w służbie cara najbardziej bezwzględnie rozprawiali się z Polakami walczącymi o wolność. Ich okrucieństwo przewyższało rosyjskie. Zostało to zapisane w historii.

I czas wreszcie przypomnieć lata II wojny światowej. Ukraińcy postanowili zemścić się na „polskich panach", nazywanych pogardliwie Lachami. Korzystając z okupacji niemieckiej zaczęli mordować Polaków. Organizowali zbrojne oddziały i zabijali niewinnych ludzi, w tym kobiety i dzieci, tylko dlatego, że to znienawidzone „Lachy". Znamy to z polskich podręczników historii. Ale i Ukraińcy tych faktów bynajmniej nie ukrywają; nadają im jedynie inną interpretację. Po upadku Związku Radzieckiego i uzyskaniu niepodległości Ukraina morderców obwołuje bohaterami. Stawia im pomniki, ich nazwiskami upamiętnia ulice i place. A rząd Polski milczy. Aby nie urazić wątpliwego sojusznika?

Rano w czwartek 9 kwietnia prezydent Polski wygłasza przemówienie w Radzie Najwyższej Ukrainy. Oczywiście pełne frazesów i ukłonów pod adresem gospodarzy. A niecałe trzy godziny później Rada Najwyższa uchwala przygotowaną wcześniej uchwałę o pamięci narodowej, gloryfikującą UPA! Celowy afront? Nie tylko wobec polskiego gościa, ale przede wszystkim wobec polskiego narodu. I tysięcy zamordowanych Polaków. W lutym 2010 roku Parlament Europejski wyraził ubolewanie z powodu nadania Stepanowi Banderze tytułu Bohatera Ukrainy. A teraz, w 2015 w myśl nowej uchwały za nazwanie go mordercą grozi kara więzienia!

Czy polski rząd zareagował na te wydarzenia? Ależ skąd! Pozwala na opluwanie grobów pomordowanych Polaków, nie reagując na czczenie takich pseudo-bohaterów jak Stepan Bandera i Roman Suchewycz oraz całej formacji UPA. Ciekawe czy polski rząd tak samo zachowywałby się, gdyby Bundestag uznał za bohaterów Himmlera, Heydricha, Eichmanna, von dem Bacha? Albo gdyby rosyjska Duma ogłosiła bohaterami Stalina i Berię?

Słowa warte zapamiętania

„Miłość wasza niech będzie bez obłudy. Miłością braterską nawzajem się miłując, w okazywaniu czci jedni drugich uprzedzając (…) Błogosławcie prześladujących was, błogosławcie a nie przeklinajcie. Nie uważajcie siebie samych za zbyt mądrych. Nikomu złem za zło nie oddawajcie, ale starajcie się czynić dobro nie tylko przed Bogiem, ale i przed wszystkimi ludźmi. Jeśli to możliwe, i o ile od was zależy, ze wszystkimi ludźmi pokój zachowujcie. Nie brońcie samych siebie, najmilsi. (…)".

„Nie daj się zwyciężać złu, ale zło dobrem zwyciężaj. (…) Każdy niechaj będzie poddany władzom wyższym. Nie masz bowiem władzy jeno od Boga, a te, które są, od Boga są ustanowione. Przeto kto sprzeciwia się władzy, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu. A kto się sprzeciwia, sam na siebie ściąga potępienie. (…) A ty czemuż potępiasz brata twego? Albo czemuż pogardzasz bratem twoim? Tedy więcej już nie sądźcie jedni drugich, ale roztrząsajcie raczej to, abyście nie byli dla brata waszego obrazą albo zgorszeniem. Wiem i jestem pewny w Panu Jezusie, że nic nie jest nieczyste same w sobie tylko dla tego, kto je za nieczyste uważa. (…) przeto starajmy się o to co służy pokojowi, a pilnujmy tego, co ma na celu wzajemne zbudowanie. My przeto, którzy jesteśmy mocniejsi, winniśmy znosić ułomności słabych, a nie iść za własnym upodobaniem. Każdy z was nich się bliźniemu podoba ku dobremu, dla zbudowania. (…) A proszę was, bracia, abyście się strzegli tych, którzy wywołują zwady i zgorszenia wbrew pouczeniom, któreście otrzymali. Strońcie od nich".

„Ma tedy biskup być nienaganny mąż jednej żony, rozsądny, roztropny, poważny, wstydliwy, gościnny, zdolny do nauczania, nie skłonny do pijaństwa lub bicia, lecz powściągliwy, nie kłótliwy, nie chciwy, ale w domu swym rządny, mający dzieci karne i czyste. Bo kto nie umie własnym domem zarządzać, jakże będzie miał pieczę o Kościele Bożym? (…) A winien też mieć dobre świadectwo od tych, którzy nie należą do Kościoła, aby nie ściągnął na siebie wzgardy i nie wpadł w sidła szatańskie".

„Bądźcie wszyscy jednomyślni, współczujący, braci miłujący, miłosierni, skromni, pokorni, nie oddając złem za złe, ani złorzeczeniem za złorzeczenia, lecz przeciwnie, błogosławcie, bo na to wezwani jesteście, abyście błogosławieństwo w dziedzinie otrzymali. Albowiem kto chce miłować żywot i oglądać dni szczęśliwe, niech pohamuje swój język od złego, a usta jego niech nie mó-

wią zdrady. Niech stroni od złego, a niech czyni dobrze, niech szuka pokoju i niech za nim zdąża."

Krótkie wyjaśnienie.

Pierwsza część cytatów pochodzi z listu świętego Pawła do Rzymian. Końcówka o biskupach, z listu do Tymoteusza, towarzysza św. Pawła w apostolskich wędrówkach. Ostatni akapit zaczerpnąłem z I Listu św. Piotra, aby unaocznić zgodność poglądów dwóch największych apostołów. Czy te wszystkie cytaty potrzebują komentarza? Sądzę, że nie. Ich archaizowany język nie przesłania jakże aktualnej treści. Myślę, że warto się nad nimi zastanowić. Dodam, że tłumaczenia z Wulgaty dokonał ks. Eugeniusz Dąbrowski, a opatrzył je „Imprimatur" kardynał August Hlond w roku 1946. Tłumacz za swoją pracę otrzymał Apostolskie Błogosławieństwo papieża Piusa XII. I wydanie – rok 1946, II wydanie – 1949. Czyli w PRL, w najgorszym okresie stalinowskim! To także warto zapamiętać.

PS.

Gdybym chciał być złośliwym, wysłałbym kilka egzemplarzy tego felietonu: ks. abp. Gądeckiemu, ks. Oko, posłance Pawłowicz, red. Terlikowskiemu i in.

„Nowa Kronika Wałbrzyska"

Kiedy ukazał się I tom „Nowej Kroniki Wałbrzyskiej" naprawdę się ucieszyłem. Od dawna brakowało takiego wydawnictwa. Jednak po zapoznaniu się z zawartością tomu, byłem rozczarowany. Zanim wyjaśnię dlaczego, krótka definicja pojęcia kronika. Tak więc według słowników kronika to: a) zapis ważniejszych wydarzeń ułożonych chronologicznie; b) stały przegląd bieżących wydarzeń. Niestety I tom nie spełnia żadnego z tych wymagań. Po prostu prezentuje kilkanaście artykułów z rozmaitych dziedzin. W dodatku o nader zróżnicowanym znaczeniu.

Polskie kroniki, od najstarszej, Galla Anonima, dostarczają nam wręcz bezcennych informacji nie tylko o epoce, lecz także mentalności autorów oraz ich widzeniu i rozumieniu minionych czasów. Niezależnie od tego czy zawierają prawdziwe fakty czy legendy, są niezastąpionym źródłem dla historyków.

A czego dowiedziałby się przyszły historyk z lektury I tomu „Nowej Kroniko Wałbrzyskiej"? Niewiele. Oto parę przykładów.

Artykuł „Woda dla Wałbrzycha". Imponujący wiedzą autora wykład o dziejach wody w czwarto- i trzeciorzędzie na terenie Dolnego Śląska liczy 11 stronic. A o wodzie dla Wałbrzycha zaledwie pięć! Jak to się ma do pojęcia kronika? W innych artykułach proporcje są jeszcze bardziej zachwiane. W artykule „Zarys dziejów województwa wałbrzyskiego" jest mnóstwo informacji z różnych dziedzin, ale o kulturze zaledwie jedna i to niecała strona, w dodatku poświęcona wyłącznie inauguracji nowej Filharmonii. O teatrach: dramatycznym i lalkowym ani słowa! „Za to" o amatorskim teatrzyku „Kleks" aż dziewięć stron i liczne fotografie.

Największy zarzut kieruję pod adresem autorki artykułu „Struktura organizacyjna biblioteki publicznej w Wałbrzychu w latach 1945 - 2011". O ile pisząc o początkach wymienia szereg nazwisk, to później nie uważa za właściwe wspomnieć najbardziej zasłużonych, tych, dzięki którym dzisiaj instytucja ma odpowiednią siedzibę i może prowadzić bogatą działalność. Raz tylko autorka artykułu podaje nazwisko Bogusława Lamcha. Nazwisko Andrzeja Tywsa w ogóle nie pada! Tak się składa, że popierałem walkę (bo tak to trzeba nazwać) Bogusława Lamcha o zdobycie obecnej siedziby. A potem byłem świadkiem wyjątkowych osiągnięć Andrzeja Tywsa, który został dyrektorem po tragicznej śmierci Lamcha. I to właśnie dzięki działalności Tywsa Biblioteka Wałbrzyska zyskała miano jednej z najlepszych w kraju. Ale, jak zaznaczyłem wyżej, autorka w artykule nie wymienia w ogóle jego nazwiska. Jakby po prostu nie było go w historii naszej Biblioteki. Wstyd!

Oczekiwałem, że może w II tomie „Nowej Kroniki Wałbrzyskiej" (2014) w artykule „Stan zatrudnienia kadr w Bibliotece Publicznej w Wałbrzychu w latach 1945 - 2011" znajdę przynajmniej wzmianki o Bogusławie Lamchu i Andrzeju Tywsie. Zawiodłem się. Ta sama autorka, pisząc o kadrach, za które przecież odpowiadają dyrektorzy, nie uznała za słuszne wymienienie ich nazwisk. Brak mi słów, aby to skomentować.

I to ma być wiarygodne źródło wiadomości dla przyszłych historyków? Rzetelna kronika wałbrzyska?

Muzeum Wałbrzycha

Mój dobry znajomy, inż. Józef Sakowicz, zgłosił na zebraniu Rady Seniorów pomysł utworzenia Muzeum Wałbrzycha. Pomysł spotkał się z aprobatą. A potem zaczęła się dyskusja w mniejszych i większych gremiach. Pojawiły się

zastrzeżenia natury organizacyjnej, ekonomicznej i – jakże by inaczej – politycznej. Z tych różnych uwag pozwoliłem sobie ułożyć konkretny projekt:

Do końca bieżącego roku kalendarzowego należy zorganizować wystawę pod tytułem „70 lat polskiego Wałbrzycha. Ludzie i wydarzenia." Na wystawie należałoby zgromadzić najróżniejsze eksponaty, od życiorysów i fotografii pionierów aż po sztandary górnicze. Od dokumentów oficjalnych po opublikowane lub nie wspomnienia o charakterze osobistym, od artykułów prasowych, wywiadów, polemik, po relacje z ważnych historycznych wydarzeń siedemdziesięciolecia. Itd. Najwłaściwszym miejscem dla ekspozycji takiej wystawy byłaby oczywiście Stara Kopalnia.

Po zamknięciu wystawy wszystkie eksponaty powinny stać się tzw. wirtualnym muzeum, co oznacza, że mogłyby być oglądane na specjalnej stronie internetowej.

Od roku 2016 rozpocząć należałoby starania o powołanie przyszłego Muzeum Miasta Wałbrzycha. Inne możliwe nazwy to: Muzeum Ziemi Wałbrzyskiej albo Muzeum Regionu Wałbrzyskiego. Wymagałoby to skomplikowanych starań zarówno u władz dolnośląskich jak i centralnych. Zdaję sobie sprawę z różnorakich trudności organizacyjnych i finansowych. Wierzę jednak, że obecne władze miasta podołałyby temu zadaniu. I nie mam wątpliwości, że siedzibą przyszłego Muzeum musi być Stara Kopalnia.

Otwarcie Muzeum mogłoby nastąpić – jak sądzę – nie wcześniej niż na wiosnę 2020 roku. Ta data wydaje się pozornie zbyt odległa. Jestem jednak niepoprawnym realistą. Zgromadzenie eksponatów z całej udokumentowanej historii Wałbrzycha, uzyskanie niezbędnych zezwoleń, zabezpieczenie środków finansowych i przygotowanie kompetentnej kadry wymaga – moim zdaniem – czasu i spokoju.

Oto pierwszy z brzegu przykład. Całkiem niedawno dowiedziałem się, że wydobycie węgla na naszym terenie sięga aż XIII wieku. Każdy historyk wie ile czasu zajmuje zdobycie wiarygodnej informacji gdzie trzeba szukać potrzebnych dokumentów. A potem dotarcie do nich. Zwłaszcza, że będą to dokumenty w języku staroniemieckim. To naprawdę praca na lata, a wykonać ją mogą tylko młodzi, pełni entuzjazmu historycy. Mamy dzisiaj takich w Wałbrzychu?

Jak dotąd aktualne opracowania bliższych i dalszych dziejów Wałbrzycha nie są niestety zadowalające. Zajęci pokonywaniem trudności codziennego życia, zbyt mało czasu poświęcaliśmy czasu i uwagi przeszłości. Pomimo że mamy w Wałbrzychu wyższe uczelnie, kadrę naukową i tysiące studentów. Je-

stem przekonany, że warto zwrócić się do nich z konkretną propozycją zajęcia się historią Wałbrzycha. Zapewniając im wsparcie finansowe w postaci tzw. grantów i oczywiście gwarancję publikacji w przyszłości najbardziej wartościowych prac.

Jak wiedzą czytelnicy naszej gazetki, jestem człowiekiem pozbawionym złośliwości. Czyż nie? Ale teraz na zakończenie pozwolę sobie na jedną kąśliwą uwagę. Dla promocji Wałbrzycha ważniejsze będą już same wszelkiego rodzaju działania zmierzające do powołania Muzeum niż wątpliwej wartości rozrywkowe koncerty, kosztujące dziesiątki tysięcy złotych.

Oto hasło wyborcze dla wałbrzyskich kandydatów na nadchodzące wybory parlamentarne: STWORZYMY MUZEUM WAŁBRZYCHA!

„Święto Miasta"

W czerwcu byłem w Kaliszu na uroczystej sesji Rady Miejskiej z okazji dorocznego Święta Miasta. I o tym chciałbym napisać.

Jak wiadomo są święta państwowe, kościelne, wojskowe, zawodowe itd. Również miejskie. Mają – moim zdaniem – rację bytu. Społeczność miejska ma prawo do uroczystego obchodzenia własnego święta z okazji jakiegoś wydarzenia, które uważa za historyczne. Polacy obchodzą datę uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Francuzi 14 lipca rocznicę zburzenia Bastylii. A paryżanie uroczysty przemarsz wojsk ulicami Paryża w dniu wyzwolenia. Dla warszawiaków ważne jest wkroczenie do Warszawy żołnierzy Wojska Polskiego w dniu 17 stycznia 1945 roku. Uważam, że należy kontynuować tradycję miejskich świąt, niezależnie od politycznych zawirowań.

Wałbrzych nie ma dotąd takiego święta. Żadne tzw. Dni Wałbrzycha z najrozmaitszymi imprezami artystyczno – sportowo - rozrywkowymi nie zastąpią uroczystego święta, związanego z datą ważnego wydarzenia. Ważnego dla całego miasta i wszystkich jego mieszkańców. Czy mamy taką datę? Jak najbardziej; znalazłem aż trzy. Pierwsza to dzień, w którym radziecki komendant wojskowy Wałbrzycha przekazał pełną władzę nad miastem przedstawicielowi państwa polskiego. Od tego dnia Wałbrzych stał się po raz pierwszy w historii polskim miastem. Z własną administracją. Było to 28 maja 1945 roku. Drugą datą odpowiednią dla święta naszego miasta będzie pierwsza sesja nowo wybranej Miejskiej Rady Narodowej. Odbyła się 3 maja 1946 roku w sali kina

Polonia. I wreszcie ostatnia data: pierwsza sesja nowo wybranej Rady Miejskiej w czerwcu 1990 już w Ratuszu. Dobrze ją pamiętam, ponieważ brałem w niej udział jako radny. Było nas – jeśli się nie mylę – czterdziestu pięciu.

Poddaję pod rozwagę obecnym radnym wybór najodpowiedniejszej z trzech proponowanych dat. Nie dajcie się wciągnąć w rozgrywki polityczne. Święto Wałbrzycha musi być wspólnym świętem wszystkich Wałbrzyszan. Pamiętajcie, że partie powstają i znikają, władze przychodzą i odchodzą, ale społeczność polskiego Wałbrzycha zostanie.

A teraz pozwolę sobie opowiedzieć Państwu jak wyglądał przebieg uroczystej sesji w Kaliszu, zaplanowanej na późne popołudnie. W holu przed aulą uniwersytecką witali przybywających gości prezydent miasta i przewodniczący Rady Miejskiej. Na ramionach mieli ozdobne łańcuchy z symbolem miasta. Ogromna aula była zapełniona do ostatniego miejsca. Obecni byli: parlamentarzyści, wojewoda i marszałek województwa wielkopolskiego, prezydent i przewodniczący Rady Miejskiej Poznania, prezydenci i burmistrzowie miast wielkopolskich, prezydenci i radni Kalisza poprzednich kadencji. A także zasłużeni kaliszanie i znaczące postaci Kalisza. Po dwóch, na szczęście krótkich i treściwych przemówieniach prezydenta i przewodniczącego RM zaproszono na estradę wyróżnione osobistości. I tutaj ważna dygresja: Rada Miejska Kalisza ustaliła, że wszelkiego rodzaju nagrody, medale, tytuły wręczane będą raz do roku, wyłącznie na uroczystej rocznicowej sesji. Moim zadanie to słuszna decyzja. Nadaje odpowiednią rangę i odznaczonym i tej właśnie sesji.

Relacjonuję dalej. Dwie osoby otrzymały tytuł honorowego obywatela Kalisza, cztery czy pięć zasłużonego dla miasta i również kilka osób nagrody. Oczywiście przed aktem dekoracji przeczytano krótkie życiorysy wszystkich wyróżnionych. Na zakończenie poproszono, abym przemówił w imieniu wyróżnionych. Nie ukrywam, że zrobiłem to z satysfakcją. Po obowiązkowym podziękowaniu powiedziałem, że największą wartością naszego życia jest to, co dobrego możemy zrobić dla innych ludzi. A potem nastąpiły okolicznościowe wystąpienia gości. Niestety – i to był jedyny mankament całej długiej uroczystości. Parę osób zrezygnowało z zabrania głosu, co wywołało entuzjastyczne oklaski. Następnie zaproszono wszystkich na imponujący bankiet.

I na zakończenie pozwolę sobie przypomnieć słowa, które kilkaset lat temu powiedział Henryk IV Burbon, kiedy został królem i zakończył krwawe walki między katolikami a hugenotami: „Paryż wart jest mszy". Strawestuję je i powiem: „Wałbrzych wart jest własnego święta".

„Tak mi dopomóż…”

W polskim języku (podobnie jak w wielu innych) funkcjonują rozmaite przysłowia, porzekadła, powiedzonka. Niektóre sięgają głęboko w przeszłość. Są czasami tzw. mądrością ludową, ale często stają się po prostu anachroniczne. Zwłaszcza w odniesieniu do współczesności. W dzisiejszym felietonie chciałbym zająć się jednym powiedzeniem, które zyskało niemal oficjalny charakter.

Zacznę od krótkiego wyjaśnienia. Przy obejmowaniu niektórych publicznych stanowisk w urzędach, formacjach, organizacjach, instytucjach itd. obowiązuje przysięga lub ślubowanie. Według słownika przysięga to uroczyste zapewnienie, przyrzeczenie, zobowiązanie. Dokładnie to samo znaczy ślubowanie: uroczyste przyrzeczenie, zapewnienie, zobowiązanie, przysięga. O ile się orientuję, przysięgę stosuje się w wojsku i pokrewnych organizacjach, a ślubowanie obowiązuje przede wszystkim posłów, senatorów, radnych.

Po wyborach nowi parlamentarzyści wysłuchują tekstu ślubowania i kolejno wypowiadają jedno słowo „ślubuję” na znak, że przyjęli na siebie obowiązek służenia narodowi oraz inne zobowiązania wynikające z zajmowanego stanowiska. Od roku 1989 niektórzy parlamentarzyści dodają jeszcze dawny zwrot „tak mi dopomóż Bóg”. Muszę przyznać, że kiedy usłyszałem po raz pierwszy te słowa – osłupiałem. Przecież, poza jego czysto historyczną wartością, nie ma dzisiaj żadnego znaczenia. Gdyby jeszcze wyrażał przekonania religijne we „wrogim ateistycznym świecie” – mógłby być dowodem odwagi. Ale w naszej rzeczywistości?

Lecz te moje wątpliwości pomijają sprawę najważniejszą. Powiedzenie „tak mi dopomóż Bóg” w połączeniu ze ślubowaniem jest po prostu całkowicie nielogiczne. Dziwne, że nikt jakoś tego nie zauważył. Przecież formuła ślubowania wyraźnie mówi o uroczystym zapewnieniu wypełniania podjętego uroczyście zobowiązania. Przecież ślubowanie to przysięga! Wypowiadając słowo „ślubuję” parlamentarzysta (lub radny czy ktokolwiek inny) przysięga służyć narodowi itd. Natomiast dodawanie zwrotu „tak mi dopomóż Bóg” stawia pod znakiem zapytania całe ślubowanie.

Nie chcę być złośliwy, ale nasuwa się pytanie: a co będzie jeśli wezwany na pomoc Bóg nie dopomoże? To co, dany parlamentarzysta nie wypełni swojego ślubowania? Logiczny tok rozumowania brzmi w tej sytuacji następująco: jeśli Bóg nie dopomoże – nie będę uczciwym, porządnym, pracowitym posłem lub

senatorem. Ba, a może to rodzaj asekuracji? Chciałem być dobrym parlamentarzystą, ale cóż – Bóg nie dopomógł. I dlatego wykorzystałem stanowisko dla osobistej korzyści, fałszowałem listy wydatków, dopisywałem koszty?

Przypominam przy okazji przykazanie z Dekalogu „Nie będziesz wzywał imienia Pana Boga swego nadaremno". Czy dodatek do roty ślubowania nie jest takim niepotrzebnym użyciem imienia Boga? Nie mieszajmy wszechmocnego Stwórcy do naszych przyziemnych spraw. Tak myślę, że warto aby parlamentarzyści przed złożeniem ślubowania zastanowili się choć przez chwilę. A jak ich znajomość Pisma Świętego jest zbyt słaba, niech zapytają się biskupów. Wydaje mi się, że dla krótkiej demonstracji swojej wiary nie warto naruszać reguł logiki i wzywać Boga. Prawdziwa i mocna wiara nie potrzebuje chyba takich powierzchownych działań?

A przy okazji pozwolę sobie przypomnieć, że serce u człowieka znajduje się po lewej stronie ciała i mniej więcej na wysokości pachy. Telewizja w transmisji z uroczystości pokazywała, że niektórzy parlamentarzyści trzymali dłoń nie na sercu ale na żołądku. Czyżby nie chciało im się trochę bardziej wyciągnąć ręki?

(napisane 27 IX 2015)

Rondo na Podzamczu

Trwa, jak najbardziej potrzebna, przebudowa skrzyżowania na Podzamczu. Podobno ma być zakończona w listopadzie. Choć na razie zbieg ulic Grodzkiej, Kasztelańskiej i Jana Pawła II wygląda jak po trzęsieniu ziemi, już zaczęły się spekulacje jakie imię nadać przyszłemu rondu. Nie wdając się w szczegóły, mam nadzieję, że mieszkańcy Podzamcza i władze miasta nie ulegną dominującej u nas niestety tendencji cierpiętniczo-martyrologicznej. Nieporównywalnie częściej czcimy klęski niż zwycięstwa. Dotyczy to zresztą nie tylko spraw militarnych. Pamiętamy – i co gorzej uczymy młodzież – nazwisk przegranych generałów, a nader rzadko twórców sukcesów gospodarczych. I to z dalszej czy bliższej przeszłości. Ilu Polaków wie kim był Władysław Grabski lub Eugeniusz Kwiatkowski? Doradzam: warto sprawdzić w encyklopedii. Równie fatalnie byłoby ze znajomością uczonych z różnych dziedzin, którzy zdobyli międzynarodową sławę oraz wykładali (i nadal wykładają) na czołowych uczelniach świata. A nasi kompozytorzy i wykonawcy, występujący na największych scenach i estradach? Kto potrafi wymienić ich nazwiska?

Są kraje, których nazw przez grzeczność nie wymienię, potrafiące „sprzedawać" najmniejsze nawet osiągnięcia swojaków. Można z lekceważeniem wzruszać ramionami i twierdzić, że to megalomania. Ale takie nastawienie buduje optymistyczne widzenie świata. Czy zauważyliście Państwo, że niektórzy nasi przedstawiciele wysokiego szczebla i w kraju i za granicą w oficjalnych wystąpieniach często pomniejszają rzeczywiste polskie osiągnięcia? Mówią o Polsce w ruinie albo uznają, że nasz kraj nie jest sprawiedliwy. Wprost niewiarygodne! Potrafią za to bez przerwy przypominać o naszych cierpieniach, ofiarach, męczeństwie i tragediach.

Te ogólne gorzkie uwagi przyszły mi do głowy w związku z drobną w istocie sprawą nazwy dla podzamczańskiego ronda. Już niektórzy gorliwcy sięgnęli do martyrologicznych wspominek. Nie mających nic wspólnego z przyjemnym przecież faktem budowy ronda w polskim Wałbrzychu. Dlatego pozwolę sobie w tym felietonie przedstawić swoje dwie propozycje nazw.

Gdyby Podzamcze znajdowało się bliżej zamku Książ, najprostsza byłaby jedna z dwóch nazw: Rondo Zamkowe lub Rondo Książańskie. Ba, ale każda z tych nazw byłaby –mówiąc delikatnie – z lekka naciągnięta. Przyszłe rondo nie wiąże się w jakikolwiek sposób z ruchem pieszym lub kołowym Książa. Trudno. Moja propozycja nazwy ronda brzmi następująco, choć – być może - dla niektórych będzie zbyt „rewolucyjna". Proponuję otóż do wyboru dwie nazwy, dla mnie obie po prostu optymistyczne. Cieszę się bowiem, że jestem mieszkańcem polskiego Wałbrzycha. Miasta, które wreszcie zaczyna przełamywać zapaść po likwidacji kopalń. I wychodzi z dwudziestoletniego marazmu. Które ostatnio zaczyna wreszcie mieć liczące osiągnięcia w różnych dziedzinach. Czy to nie powód do optymizmu?

Mam zatem dwie nazwy; podobają mi się obie: Rondo Radości lub Rondo Uśmiechu.

Już słyszę w wyobraźni, jak ładnie brzmiałoby powiedzenie : „proszę skręcić przy Rondzie Radości". Albo : „sklep jest obok Ronda Uśmiechu".

Może wreszcie uda się przełamać nawyk cierpiętniczo-martyrologicznego nazewnictwa. Może warto nauczyć się tego, co charakteryzuje małe dzieci – umiejętności cieszenia się. Czy nie jest piękny widok uśmiechu na dziecięcej buzi z radości, że znalazło się kwiatek, kamyczek, patyczek? Niech na naszych twarzach częściej zagości uśmiech zadowolenia niż skrzywienie dezaprobaty, drwiny, lekceważenia. Zapewniam, że łatwiej żyć z naiwnym nawet optymizmem niż ze zgorzkniałym pesymizmem.

A zatem co wybieramy na nazwę podzamczańskiego ronda: Radość czy Uśmiech? Innej możliwości nie widzę!

(napisane 18 IX 2015)

Wolność – Równość – Braterstwo

Jedno z najpiękniejszych haseł jakie zna historia. Stworzone w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej w roku 1793: Liberte, Egalite, Fraternite. Przez lata wiodło ludzi na barykady w różnych krajach. Bo czyż może być coś wspanialszego i szlachetniejszego niż treści, które te trzy słowa zawierają?

Ba, ale jako „zaprzysięgły" sceptyk mam wątpliwości co do możliwości ich realizacji. W przeszłości, niebawem po ich ogłoszeniu jak również w dzisiejszych czasach. Zacznijmy od ostatniego słowa. Cóż bowiem znaczy pojęcie braterstwa? Uczucie pokrewieństwa i bliskości, chęć pomocy w każdej sytuacji, gotowość do ustępstw i poświęcenia. Brzmi pięknie, ale jak przedstawia się w realnym świecie? Jak wiadomo to dumnie głoszone braterstwo doprowadziło natychmiast w rewolucyjnej Francji do wojny domowej i gilotynowania niewinnych ofiar. Nie było litości ani przebaczenia zarówno w szeregach zwolenników starego porządku (ancient regime) jak i wśród bojowników rewolucji.

Generał Bonaparte chciał wyzwolić naród włoski, ciemiężony przez despotyczne reżimy w rodzaju republiki weneckiej czy okupacyjnego cesarstwa habsburskiego. A potem tenże Bonaparte już jako Napoleon usiłował podbić Hiszpanię. Również w imię braterskiej miłości? Aby uwolnić lud hiszpański spod terroru monarchii i przede wszystkim ucisku inkwizycji? I zapewne dlatego Napoleon usadowił na trenie hiszpańskim swojego… brata. Znamienne, że ten przejaw miłości braterskiej nie przypadł jakoś do gustu Hiszpanom.

Ciekawe, że i potem za oceanem pionierzy amerykańscy nie uważali za braci rdzennych mieszkańców kontynentu, zabijając ich i pozbawiając niezbędnych do życia terenów łowieckich. A czy dzisiaj we współczesnym świecie jest inaczej? W stosunkach pomiędzy narodami, religiami, klasami społecznymi trwa ustawiczna okrutna wojna, wykluczająca jakikolwiek odruch braterstwa.

Czy może istnieć bardziej dumne słowo niż wolność? A przecież w jego imieniu dokonywano przerażających czynów. W Europie, Azji, Ameryce, Afryce. Pozbawiano miliony ludzi elementarnych swobód: Indian, Mu-

rzynów, Hindusów. Zniewalano całe narody, m.in. Polaków przez ponad 120 lat! Zbyt długo trzeba by wymieniać, dlatego na tych przykładach poprzestanę.

Ale nawet w krajach, które są wolne, nie udało się zrealizować ostatniego hasła Rewolucji – równość. Ponieważ – moim zdaniem – wolność wyklucza równość. I odwrotnie. Spróbuję to w miarę zwięźle wyjaśnić. Zacznijmy od tego, że w naturze nie ma (i chyba być nie może?) jakiekolwiek równości. Nie istnieją np. dwa całkowicie identyczne liście. A tym bardziej dwa identyczne osobniki ludzkie. Ciekawe, czy jeśli kiedykolwiek uda się sklonować człowieka, będzie to faktycznie możliwe. Osobiście w to wątpię. Zostawmy jednak uczonym te specjalistyczne biologiczne rozważania. Powtarzam – absolutnie nie wierzę w możliwość połączenia wolności i równości!

Różnice pomiędzy ludźmi są wręcz nie do ogarnięcia. Nasze charaktery, temperamenty, zdrowie, budowa, wygląd, zdolności itd., itd. decydują o naszej odmienności w społeczeństwie. Całkowitej. A na to nakładają się różnice w sferze kultury. Różnimy się kolorem skóry, językiem, światopoglądem, przekonaniami. I te określenia również można mnożyć. Ale to jeszcze nie wszystko. Właśnie wolność potęguje różnice. Pozwolę sobie na najprostszy przykład z codziennego życia. Ktoś w kamienicy lubi słuchać muzyki. Tej rozrywkowej. Im głośniejszej tym lepszej. A w tej samej kamienicy ktoś woli ciszę, niezbędną choćby dla jego zdrowia czy pracy. I oto następuje zderzenie. Wielbiciel głośnej muzyki jest wolnym człowiekiem i w godzinach 6 – 22 ma prawo swojej ulubionej muzyki słuchać. Jeśli chcielibyśmy mu tego zabronić – ograniczymy jego wolność. Odwróćmy ten przykład. Ktoś lubi ciszę. Każdy hałas, każde głośniej wypowiedziane słowo narusza jego wolność i prawo do spokojnego życia. Jak to pogodzić z wolnością innych osób, które chcą głośno rozmawiać, śmiać się czy śpiewać. Następuje zderzenie dwóch, zawarowanych prawem wolności. Przykłady można mnożyć. I to o wiele bardziej skomplikowane.

Właściciel prywatnego zakładu pracy, np. sklepu czy warsztatu jest według prawa wolnym człowiekiem i może ustalać wysokość cen usług i towarów, a także płac dla zatrudnionych pracowników. Oczywiście klient jest także wolnym obywatelem i nie musi korzystać z towarów i usług właściciela, jeśli ceny mu nie odpowiadają. Również zatrudnieni pracownicy są wolnymi obywatelami i nie muszą zgadzać się na warunki płacowe właściciela. Ba, ale on ma koncie miliony, a oni – jak to się mówi - z trudem wiążą koniec z końcem. I to ich różni. I gdzież tu równość? Wolność ją wykluczyła.

Przykro mi to napisać, ale nie da się pogodzić w realnym świecie dwóch szczytnych haseł: wolności i równości. Wzajemnie się wykluczają. I cóż nam pozostało? Duma z faktu, że ludzie wymyślili tak imponujące i piękne hasła. I nadzieja, że może kiedyś w przyszłości…..

Kolejna reforma oświaty?

Wiosną 1938 roku zdałem obowiązkowy egzamin i zostałem przyjęty do I klasy państwowego gimnazjum w Łodzi. Miałem lat dwanaście. Do dzisiaj pamiętam tablicę z orłem na okazałym budynku: Państwowe gimnazjum męskie im. Mikołaja Kopernika. W Łodzi – o ile mnie pamięć nie zawodzi – były dwa gimnazja męskie, czyli dla chłopców i jedno żeńskie, dla dziewcząt. W tamtych czasach nie było państwowych gimnazjów koedukacyjnych. Cały system oświaty dzielił się na sześcioklasowe szkoły powszechne (obecnie noszące nazwę podstawowych) i również sześcioklasowe gimnazja. Jeśli dobrze pamiętam, po czterech klasach gimnazjum uczeń mógł zakończyć naukę i uzyskać tzw. małą maturę. Ostatnie dwie klasy w gimnazjach nazywały się liceami, ale stanowiły integralną całość organizacyjną: ten sam budynek, ten sam dyrektor, ci sami pedagodzy i nazwa jednostki oświatowej. I co także ważne, mówiło się potocznie: maturzysta, absolwent gimnazjum (a nie liceum!). Po małej maturze nie można było studiować w wyższej uczelni, a jedynie np. w tzw. seminarium nauczycielskim.

Te fragmentaryczne z konieczności wspomnienia były mi potrzebne aby zabrać głos w sprawie reformy oświatowej. Od razu zastrzegam, że nie jestem zawodowym pedagogiem. Wprawdzie uczyłem w różnych szkołach muzycznych (a nawet przez trzy lata byłem dyrektorem), ale nie uważam się za eksperta od spraw oświaty. Tym niemniej pozwolę sobie wyrazić opinię, że reforma wprowadzona przez premiera Jerzego Buzka była po prostu błędna. Mówiłem o tym nie raz publicznie. Nie wdając się w szczegóły, wystarczy stwierdzić, że reforma nie uwzględniała zmian w mentalności kilkunastolatków, zwłaszcza w miastach. Potwierdziły to liczne badania. A obecnie nawet na wsiach dzieci korzystają już nie tylko z telewizji czy komputera ale także z internetu. Obecny, „buzkowy" system oświatowy nie uwzględnia wręcz rewolucyjnego rozwoju umysłowego dzieci i młodzieży. Dzisiejszy dziesięciolatek nieporównywalnie więcej wie o otaczającej go rzeczywistości niż jego rówieśnik sprzed 15 - 20 lat.

Oczywiście, można wątpić czy więcej z tej rzeczywistości rozumie. Nie chcę być złośliwy, ale podobne zjawisko obserwujemy wśród osób dorosłych, w tym także nauczycieli. To zresztą zrozumiałe. Postęp techniczny jest szybszy niż zmiany w mentalności. Można to odwrócić: nasza mentalność po prostu nie nadąża za rozwojem nauk, zwłaszcza ścisłych i opartej na nich technice.

Zostawiam jednak te rozważania i wracam do planowanej reformy oświatowej (czyli powrotu 8 - klasowej szkoły podstawowej). Wiemy, że dotychczasowy system nie zdał egzaminu. Mówią o tym liczni pedagodzy. Uważam, że warto przywrócić stary, przedwojenny podział: osobno podstawówki, osobno gimnazja, czy – jak kto woli – licea. Osobno organizacyjnie i lokalowo. Przy obecnym niżu demograficznym będzie to chyba możliwe.

Z reformą oświaty wiąże się kwestia rozpoczynania nauki: w wieku sześciu czy siedmiu lat? I znowu posłużę się wspomnieniami z mojego życia. Nie pamiętam, czy rozpoczynając naukę w wieku sześciu lat musiałem poddać się jakimś badaniom psychologicznym. I czy w ogóle w tamtych czasach coś takiego miało miejsce. Wiem natomiast, że ojciec na wcześniejsze rozpoczęcie przeze mnie nauki dysponował odpowiednim zezwoleniem kuratorium. Podobnie było zresztą kilkadziesiąt lat później z naszą córką. Odbyła jako pięciolatka rozmowę z psycholożką i otrzymała zgodę na pójście do tzw. starszaków w przedszkolu. Tak, tak! A potem po roku drugą zgodę na rozpoczęcie nauki w szkole podstawowej. Jestem, co wielokrotnie powtarzałem publicznie, zwolennikiem tego, co wprowadziły już dawno cywilizowane państwa. Oto parę liczb: na 202 państwa w 134 obowiązuje rozpoczęcie nauki w szkole od szóstego roku życia. Na 27 państw Unii Europejskiej w 22. Tak więc - sześciolatki do szkoły!

Znam argumenty przeciwników i częściowo podzielam ich obawy. Ale twierdzę z całą stanowczością, że rozwój kilkuletniego dziecka zależy przede wszystkim od rodziców czy innych opiekunów. Jeśli w domu stoją regały z książkami, a rodzice czytają w każdej wolnej godzinie – dziecko również będzie traktowało książki jako niezbędny element życia. I wówczas da sobie radę w szkole, mając sześć lat. Ba, ale jeżeli rodzice w ogóle nie czytają albo – co gorzej – w domu nie ma w ogóle książek – to tym bardziej należy jak najwcześniej rozpocząć naukę w szkole. Aby zapoznać dziecko z bogactwem słowa pisanego. „Oderwać" je od rodziców, dla których kontakt ze światem ogranicza się do oglądania w telewizji meczów i seriali.

Czas skończyć z mitologizowaniem domu rodzinnego jako najwyższej wartości. Jako świętości. Wiemy przecież, że przeciętnej rodzinie daleko do

ideału. Zaryzykuję twierdzenie, ze rozpoczęcie nauki w szkole od lat sześciu pomoże dobrej kochającej się rodzinie w rozwoju dziecka. A tą dysfunkcyjną, skłóconą rodzinę przynajmniej pozbawi choć częściowo wpływu na ten rozwój. Przykro mi to powiedzieć, ale z pewnością szkoła znacznie mniej dziecku zaszkodzi niż inne czynniki, np.: nienawidzący się rodzice, „podwórkowe" grupy i grupki, hipokryzja, zakłamanie, cwaniactwo, brutalność, deprawujące przykłady zachowania dorosłych. Itd.

I na zakończenie powtarzam: jestem za mądrą, dalekowzroczną reformą systemu oświaty. Dla dobra dzieci.

(napisane 15 listopada 2015)

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK
przedstawia serial historyczny pod tytułem
POLSKIE DYNASTIE

Odcinek pierwszy – PIASTOWIE

Osoby:
STUDENT
PROFESOR

STUDENT – Panie profesorze, podobno Mieszko I nie był etnicznym Polakiem, a Wielkomorawianinem?
PROFESOR – Masz rację, wskazują na to ostatnie badania.
STUDENT – Pierwszą żoną Mieszka była Czeszka Dubrawa, zwana u nas Dąbrówką. A druga, Rycheza, Niemką. Jak zatem można nazwać Piastów polską dynastią?
PROFESOR – Oczywiście, że można. Kolejni królowie i książęta rządzili na ziemi zamieszkałej głównie przez plemię Polan i ich potomków. A to, że panujący żenili się z Niemkami, Rusinkami, Czeszkami nie miało większego znaczenia. Tak samo było zresztą w całej Europie.
STUDENT – Ale czy w wystarczający sposób władcy dbali o dobro kraju?

PROFESOR – Nie bądź dziecinny. Dbali przede wszystkim o swój osobisty interes. Potem o korzyści dynastii. Inne sprawy były na dalszym planie.
STUDENT – To zupełnie jak w naszych czasach!
PROFESOR – Widzę, że wreszcie zaczynasz rozumieć historię.

KURTYNA
nie rozumiejąc – spada.

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK
przedstawia serial historyczny pod tytułem
POLSKIE DYNASTIE

Odcinek drugi - ANDEGAWENI

osoby:
STUDENT
PROFESOR

STUDENT – Panie profesorze, dlaczego po śmierci króla Kazimierza Wielkiego i wygaśnięciu dynastii Piastów, panowie małopolscy zdecydowali się oddać koronę polską królowi węgierskiemu z rodu Andegawenów?
PROFESOR – Z wielu powodów. Po pierwsze matka Ludwika, Elżbieta Łokietkówna, była siostrą Kazimierza Wielkiego. Po drugie francuski ród Andegawenów, inaczej Anjou, był jednym z najpotężniejszych w Europie, spokrewnionym z panującymi we Francji Kapetyngami. Członkowie rodu Andegawenów byli kiedyś królami jerozolimskimi. Jako Plantageneci władali Anglią. A także Neapolem, Sycylią, Węgrami.
STUDENT – Ale ich rządy nie wzmocniły pozycji Polski?
PROFESOR – Niestety nie. Ludwik zaraz po koronacji w Krakowie na króla Polski wyjechał na Węgry, mianując matkę regentką. A kiedy i ona opuściła Polskę, władzę przejęła Rada Królewska. Po śmierci Ludwika w 1382 i po trwających dwa lata przeróżnych intrygach i przetargach, królową została jego najmłodsza córka Jadwiga. Koronowano ją w roku 1384, kiedy miała zaledwie 10 lat. A już dwa lata później została żoną Jagiełły.
STUDENT – Ślub z dwunastolatką? I to za zgodą Kościoła?
PROFESOR – Oczywiście. Takie były czasy.
STUDENT – Czy Jadwiga jako królowa w znaczący sposób przyczyniła się do

rozwoju Polski?
PROFESOR – Niespecjalnie. Dopiero w testamencie zapisała dotację dla krakowskiej Akademii.
STUDENT – A dlaczego została uznana za świętą?
PROFESOR- To pytanie, mój chłopcze, skieruj pod innym adresem

KURTYNA

również nie znając odpowiedzi, spada

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK
przedstawia serial historyczny pod tytułem
POLSKIE DYNASTIE

Odcinek trzeci - JAGIELLONOWIE

Osoby :
STUDENT
PROFESOR

STUDENT – Czy prawdą jest to czego uczą nas w szkołach, że za czasów Jagiellonów Polska była mocarstwem?
PROFESOR – Wolę nie używać współczesnych określeń. Powiedzmy, że Polska za panowania królów z dynastii Jagiellonów była znaczącym krajem w środkowo-wschodniej Europie.
STUDENT – Ale co spowodowało, że straciła swoją wysoką pozycję?
PROFESOR – Przyczyn było sporo. Po pierwsze ustrój oparty na nadmiernych przywilejach szlachty i możnowładców. Po drugie słabość mieszczaństwa. Po trzecie egoistyczna polityka dynastyczna samych Jagiellonów. Po czwarte rozbieżne interesy senatorów, posłów, duchowieństwa polskiego, litewskiego, ruskiego. Pamiętaj, że był to okres kiedy państwo polskie sięgało naprawdę od morza do morza. A członkowie rodu Jagiellonów rządzili także w Czechach i na Węgrzech.
STUDENT – A może zabrakło wybitnych osobowości wśród polskich władców?
PROFESOR – Trafne pytanie. Być może większość Jagiellonów miała słabe charaktery i łatwo ulegała wpływom. Na przykład legata papieskiego Cesariniego czy kardynała Zbigniewa Oleśnickiego. A na starość król Zygmunt I był

pod przemożnym wpływem żony, Bony Sforza. Zaś jego syn, Zygmunt August nadmiernie słuchał rad magnata litewskiego Mikołaja Radziwiłła.
STUDENT – I tak raz za razem marnowano szanse na rozwój Rzeczypospolitej.
PROFESOR – Dobrze to ująłeś, mój chłopcze. Tak samo raz za razem tracimy kolejne szanse w dzisiejszych czasach. Bo nadal brak nam silnych osobowości przywódczych. Mięczaki i obsesjoniści ich nie zastąpią.

KURTYNA
spada z rozpaczy

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK
przedstawia serial historyczny pod tytułem
POLSKIE DYNASTIE

Odcinek czwarty - WAZOWIE

Osoby:
STUDENT
PROFESOR

STUDENT – Panie profesorze, czy Wazów można nazwać polską dynastią, skoro byli rodowitymi Szwedami i każdy z nich marzył o tronie szwedzkim. I z tego powodu wciągnęli nasz kraj w długotrwałe polsko – szwedzkie wojny.
PROFESOR – Ale w tamtych czasach podobnie było w innych europejskich krajach.
STUDENT – Czy zatem można powiedzieć, że wszyscy trzej królowie z dynastii Wazów bardziej dbali o własny interes niż o dobro Polski.
PROFESOR – Oczywiście, ale musisz zrozumieć, że szlachta również bardziej troszczyła się o własne przywileje i inne korzyści niż o to, co nazywa się dobrem Polski. A czy nasze obecne partie polityczne zachowują się inaczej? Pamiętaj, że jeszcze gorzej zachowywali się magnaci.
STUDENT – To pamiętam nawet z „Potopu" Sienkiewicza.
PROFESOR – A Zygmunt III Waza zapewne dlatego przeniósł stolicę Polski z Krakowa do Warszawy, aby być bliżej Szwecji. Zaś jego syn, Władysław IV, snuł ambitne plany, choć całkiem nierealistyczne, przewodzenia europejskiej wyprawie przeciwko Turcji. A po jego śmierci, młodszy brat Jan Kazimierz, zrzekł się godności kardynała i poślubił wdowę po nim. Pochodzącą zresztą

z rodziny hiszpańsko – francuskiej. A na koniec, nie mogąc porozumieć się z magnatami, Jan Kazimierz abdykował i wyjechał do Francji. W rodzinnej Szwecji też go nie chcieli. I tak skończyło się panowanie dynastii Wazów, które przyniosło Polsce więcej nieszczęść niż sukcesów.

KURTYNA
spada z ulgą

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK
przedstawia serial historyczny pod tytułem
POLSKIE DYNASTIE

Odcinek piąty i ostatni – WETTINOWIE czyli SASI

Osoby:
STUDENT
PROFESOR

STUDENT – Panie profesorze, dlaczego możnowładcy i szlachta zdecydowali się znowu na króla nie-Polaka?

PROFESOR – Bardzo trafnie pytanie. Niestety doświadczenie z dwoma polskimi królami, Wiśniowieckim i Sobieskim nie były dla posłów i senatorów zbyt zachęcające. Ale wybór elektora saskiego z rodu Wettinów okazał się wręcz fatalny. August II był władcą o wybujałych ambicjach. Chciał w Polsce zaprowadzić monarchię absolutną na wzór Francji, Rosji i Prus. Było to w ówczesnych warunkach polskich całkowicie niemożliwe do zrealizowania. Część potężnych magnatów i zazdrośnie strzegącej swoich przywilejów szlachty zawiązała konfederację, która wybrała na króla wojewodę wielkopolskiego Stanisława Leszczyńskiego. A August II, chcąc powiększyć rodowe posiadłości, napotkał opór młodego i awanturniczego króla szwedzkiego Karola XII. Ten poparł Leszczyńskiego, ale car rosyjski i król pruski ujęli się za Wettinem. Przez całą Polskę przewalały się wojska szwedzkie, rosyjskie, pruskie. Gospodarka upadała, ludność cierpiała od samowoli żołdactwa.

STUDENT – To brzmi przerażająco.

PROFESOR – Masz rację. A po śmierci Augusta II tron objął jego syn, August III. Stanisław Leszczyński musiał opuścić kraj. Na „pociechę" otrzymał księstwo lotaryńskie. A w Polsce zapanował chaos. Możnowładcy dosłownie rozdrapywali kraj. Sejmy stały się fikcją. De facto rządziły różne koterie, często

przekupywane przez sąsiednie państwa.
STUDENT- I nie było w Polsce żadnej siły, która mogłaby zahamować ten upadek?
PROFESOR – Niestety nie. Dlatego można zaryzykować opinię, że panowanie Sasów doprowadziło do rozkładu Polski pod względem politycznym, gospodarczym i moralnym.

KURTYNA
w tej sytuacji spada

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK
przedstawia
tragikomedię w trzech aktach pod tytułem
OPLUW

Osoby:
OJCIEC
SYN

AKT I

SYN – Tato, nie mogę znaleźć pracy. Mówią, że studia kończyłem w nierenomowanej, prywatnej uczelni, a życiorys i podanie napisałem z błędami ortograficznymi.
OJCIEC – Nie martw się, synku. Zapisz się do jakiejś partii i opluwaj jej przeciwników.

AKT II

SYN – Miałeś rację, tato. Po kolejnym opluwaniu zwrócił na mnie uwagę sam prezes. Zaproponował pisanie felietonów. Czy potrafię?
OJCIEC – Koniecznie pisz i opluwaj co sił.

AKT III

SYN – Znowu miałeś rację, tato. Prezes czytał moje felietony i mianował mnie rzecznikiem prasowym partii. Dam radę?
OJCIEC – Oczywiście, że dasz radę. Opluwaj ile się da, a zrobisz karierę. Jak mówią doświadczeni ludzie: „Nie wiedza, nie praca – tylko OPLUW się opłaca"

KURTYNA
aby nie zostać oplutą - spada

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK

przedstawia

dramat w jednym akcie pod tytułem

DEBATA

Osoby:

PROWADZĄCY DEBATĘ

ZABIERAJĄCY GŁOS

AKT I

PROWADZĄCY – Rozpoczynamy debatę o ważnym społecznym problemie. Proszę o zabieranie głosu.

GŁOS 1 – Pla-pla-pla, pla-pla-pla.

GŁOS 2 – Ble- ble- ble, ble-ble-ble.

GŁOS 3 – Ple-ple-ple, ple-ple-ple.

GŁOS 4 – Bla-bla-bla, bla-bla-bla.

GŁOS 5 – La-la-la, la-la-la.

GŁOS 6 – He-he-he, he-he-he.

GŁOS 7 – Wrrrr, wrrr, wrrrrrrrrrr.

PROWADZĄCY – Dziękuję za cenny wkład w tak ważną debatę.

KURTYNA

zdezorientowana poziomem debaty, nie wie czy może spadać

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK

przedstawia

dramat intelektualny w czterech aktach

BEZ TYTUŁU

Osoby:

SCEPTYK

DZIENNIKARZ

AKT I

SCEPTYK –Podobno nie zgadza się pan z opiniami papieża Franciszka na temat rozrodczości i rodziny?

DZIENNIKARZ – Papież idiota!

AKT II

SCEPTYK – Czy swoją wiedzę o życiu, prawdzie i o tym, co dobre a co złe czerpie pan z nauk naszego wielkiego Rodaka, papieża Jana Pawła II?

DZIENNIKARZ – Oczywiście!

AKT III

SCEPTYK- Czy przeczytał pan jego dzieła?

DZIENNIKARZ – Nie muszę czytać. Mam je nie w głowie ale w sercu!

AKT IV

SCEPTYK – A tak w ogóle to jakie książki pan czyta?

DZIENNIKARZ – Oczywiście, że czytam. Jedną, tę najważniejszą, zawsze noszę ze sobą. To żaden opasły tom, to mała książeczka. Domyśla się pan co to za książeczka?

Kurtyna

spada w osłupieniu

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK

przedstawia horror militarny w trzech aktach

PLANY MINISTRA

Osoby:

DZIENNIKARZ

MINISTER

AKT I

DZIENNIKARZ – Czy rzeczywiście zamierza pan zakupić rakiety „Tomahawk"?

MINISTER – Rzeczywiście zamierzam.

AKT II

DZIENNIKARZ – Czy ma pan plany dalszych zakupów?

MINISTER – Oczywiście, że mam. Planuję zakup między innymi eskadry bombowców strategicznych, lotniskowca i ewentualnie silosów z rakietami międzykontynentalnymi.

AKT III

DZIENNIKARZ – Czy mamy aż tylu wrogów, którzy mogliby nam zagrozić?

MINISTER – Wrogów zawsze można sobie wynaleźć?

KURTYNA

spada w przerażeniu

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK

przedstawia dramat w trzech aktach pod tytułem

HOLOKAUST A POLSKA

Osoby:

PREZYDENT

DORADCA

AKT I

PREZYDENT – Słyszałem, ze nasz człowiek uraził podobno Polaków, oskarżając ich o współudział w Holokauście. Czy muszę ich przeprosić za niesłuszne oskarżenie?

DORADCA – Zobaczymy co się da zrobić.

AKT II

DORADCA – Polacy są obrażeni, pomimo iż znaczna ich część to antysemici. Ale coś będziemy musieli zrobić, bo ostatecznie są naszymi sojusznikami.

PREZYDENT – Pomyśl czym można by ich usatysfakcjonować.

AKT III

DORADCA – Powiadom Polaków, że dyrektor FBI po prostu się przejęzyczył. Chciał powiedzieć, że to właśnie Polacy współdziałali w ratowaniu Żydów przed Holokaustem a nie współdziałali w nim.

PREZYDENT – Uwierzą?

DORADCA – Uwierzą, jeśli dodasz argumenty w postaci rakiet „Patriot" i kilku przestarzałych samolotów F16

PREZYDENT – Świetnie! Mogę jeszcze przy okazji poklepać po plecach tego ich – jak tam się nazywa – prezydenta.

KURTYNA

spada aby nie słyszeć dalszego ciągu tej rozmowy

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK

przedstawia tragifarsę w trzech aktach z epilogiem pod tytułem

TOLERANCJA

Osoby:

ANTYSEMITA

ANTYKOMUNISTA

ANTYISLAMISTA

AKT I

ANTYSEMITA – Trzeba raz na zawsze pozbyć się z Polski Żydów.

AKT II

ANTYKOMUNISTA – Trzeba wreszcie całkowicie unieszkodliwić byłych komunistów, postkomunistów, neokomunistów i wszelkiego rodzaju lewaków.

AKT III

ANTYISLAMISTA – Trzeba natychmiast zamknąć granice naszego kraju przed muzułmanami.

Epilog

Polska to kraj, w którym istnieją: antysemici, choć brakuje semitów; antykomuniści, choć nie ma śladu komunistów; antyislamiści, choć rząd nie przyjął jeszcze żadnego uchodźcy muzułmanina.

KURTYNA

na wszelki wypadek - spada

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK

przedstawia dramat heroiczny w trzech aktach pod tytułem

WYWIAD

Osoby:

DZIENNIKARZ

MINISTER

AKT I

DZIENNIKARZ – Panie ministrze, przewodniczący Parlamentu Europejskiego, Martin Schultz zarzucił naszemu rządowi, że działa w stylu Putina. Co pan na to?

MINISTER – Żaden Niemiec nie będzie pouczał Polaków jak mają u siebie rządzić.

AKT II

DZIENNIKARZ – Unia Europejska ma zastrzeżenia do tego co dzieje się teraz w Polsce. Jaka będzie Pana reakcja?

MINISTER – Polska jest suwerennym krajem i nie pozwoli na jakąkolwiek ingerencję w decyzje naszego prezydenta i rządu.

AKT III

DZIENNIKARZ – A co będzie jeżeli prezydent Obama skrytykuje na przykład

naszą ustawę o mediach jako niedemokratyczną?
MINISTER – Odpowiem, że prezydent Obama nie będzie nas uczył demokracji. Taka odpowiedź dla nas będzie łatwa i bezpieczna, ponieważ wiadomo, że niebawem mister Obama opuści na zawsze Biały Dom.

KURTYNA

spada także łatwo i bezpiecznie

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK

przedstawia dramat polityczny w trzech aktach pod tytułem

PREZYDENT

Osoby:
DORADCA
PREZYDENT

AKT I

DORADCA – Ludzie mówią, że decyzja o ułaskawieniu Mariusza Kamińskiego przed prawomocnym wyrokiem sądu była niezgodna z prawem.
PREZYDENT – Niezgodna z prawem? Hm, może ktoś chciałby ją zakwestionować… ale przecież jako prezydentowi wolno mi podejmować takie decyzje.

AKT II

DORADCA – Ludzie mówią, że zatarg z sędziami Trybunału Konstytucyjnego był naruszeniem prawa.
PREZYDENT – Przesada, przesada…. Jako prezydent mogę przecież podejmować śmiałe decyzje.

AKT III

DORADCA – Ludzie mówią, że swoje decyzje podejmuje pan nie samodzielnie, ale wyłącznie za zgoda Prezesa.
PREZYDENT – Czyż jako prezydent nie mogę decydować zgodnie z wolą Prezesa? Chyba tyle mi wolno.

KURTYNA

nie czeka na wolę Prezesa i spada.

(napisane 29 XII 2015)

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK

przedstawia dramat ekonomiczny w trzech aktach pod tytułem

WIZJA

Osoby:

DZIENNIKARZ

WICEPREMIER

Akt I

DZIENNIKARZ – Panie wicepremierze, dlaczego ograniczył się pan w planie rozwoju kraju tylko do 25 lat? Czy nie lepiej byłoby od razu na lat 50?

WICEPREMIER – Jeśli chciał pan być dowcipny, to pańskie pytanie nie jest zabawne. Niech pan sobie wyobrazi, że mamy wizję rozwoju Polski nawet na 100 lat!

Akt II

DZIENNIKARZ – To aż tak długo macie zamiar rządzić?

WICEPREMIER –Sztuka i umiejętność rządzenia polegają na długofalowym przewidywaniu. Oraz na śmiałym i konsekwentnym realizowaniu wizji.

AKT III

DZIENNIKARZ – Ale przecież świat się zmienia bez względu na pańską wizję?

WICEPREMIER – Bez obawy! Najpierw zmienimy Polskę, potem Unię Europejską, a potem cały świat. I nie przeszkodzą nam tacy sceptycy jak pan. Dopasujemy ludzi do naszej wizji. Pana też, redaktorze.

KURTYNA

spada, aby nie zostać dopasowana do wizji

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK

przedstawia monodram w czterech aktach pod tytułem

PATRIOTA

Osoba – DYREKTOR

Akt I

DYREKTOR – Pismaki twierdzą, że nie znam się na koniach. A przecież już ksiądz Chmielowski w pierwszej polskiej encyklopedii „Nowe Ateny" z roku 1745 napisał: „Koń, każdy widzi jaki jest". No, to widzę. Patriotycznie.

Akt II

DYREKTOR – Pismaki kłamią, że nigdy nie jeździłem na koniu. A ja już jako

chłopiec pędziłem na koniu na biegunach. Patriotycznie.

Akt III

DYREKTOR – Jestem ekonomistą. Ten zawód bliski jest w nazwie ekonomowi. A ekonom był zarządcą majątków. Z tego wynika, że mam wystarczające kwalifikacje aby zarządzać stadniną. Ekonomicznie i patriotycznie.

Akt IV

DYREKTOR – Dowodem moje niezwykłej skromności jest oświadczenie, że mając tak rozległe kompetencje, będę się jeszcze uczył specyfiki kierowania stadniną. I, być może, zmienię wreszcie nazwę rasy końskiej z „arabskiej" na „polską". Patriotycznie. Ot co!

KURTYNA

spada galopem. Patriotycznie!

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK

przedstawia dramat medyczny w trzech aktach pod tytułem

KLAUZULA SUMIENIA

Osoby:

REDAKTORKA

MINISTER

Akt I

REDAKTORKA – Co sądzi pan, panie ministrze, o tym, że w regionie wschodnio-beskidzkim nie ma ani jednego szpitala, w którym kobieta może dokonać legalnej aborcji?

MINISTER – Jako katolik i lekarz uważam, że klauzula sumienia jest ważniejsza od świeckiego prawa.

Akt II

REDAKTORKA – Jaka jest pańska opinia o wstrzymaniu refundacji kosztów zapłodnienia in vitro?

MINISTER – Jako katolik i lekarz uważam, że stosowanie zapłodnienia in vitro jest łamaniem prawa naturalnego.

Akt III

REDAKTORKA – Czy uważa pan, że cofamy się o dziesiątki lat w rozwoju medycyny?

MINISTER – Jako katolik i lekarz jestem przekonany, że to co pani redaktor uważa za rozwój medycyny, jest w rzeczywistości upadkiem moralności.

KURTYNA
spada, aby nie upaść moralnie

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK
przedstawia
ALFABET WIŁKOMIRSKIEGO
LITERA A
AMERYKA

Ameryka to nazwa kontynentu rzekomo odkrytego przez Kolumba. Jak można bowiem odkryć coś, co istniało od milionów lat? Ameryka składa się z dwóch nierównej wielkości części: południowej i północnej. O południowej nie ma co mówić. Jej mieszkańcy zajmują się przeważnie rewolucjami i piłką nożną. Bez widocznych rezultatów.

Ameryka północna to dwa kraje: Kanada i Stany Zjednoczone. W Kanadzie panuje taki dobrobyt, że najważniejszym problemem jest wybór urzędowego języka. Jedni obywatele wolą angielski, a drudzy francuski. Natomiast Stany Zjednoczone, to, ho-ho! Najpotężniejsze na świecie państwo pod względem militarnym (jeszcze!) i ekonomicznym (na razie!). Najlepsze „produkty" made USA (angielski skrót od Stanów Zjednoczonych) to: Mark Twain, Myszka Miki i Coca-Cola! A poza tym uwierzyły, że u nich wszystko jest najlepsze i z tego powodu mają prawo do rządzenia światem.

KURTYNA
na wszelki wypadek spada

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK
przedstawia
ALFABET WIŁKOMIRSKIEGO
Litera E
EUROPA

Mały cypelek kontynentu azjatyckiego. Jego mieszkańcy uważają się za centrum świata. Są dumni, że w Europie żyli i działali od starożytności tacy geniusze jak np. Homer, Arystoteles, Euklides, Kopernik, Galileusz, Newton, Kant, Einstein, Bach, Mozart, Beethoven, Rembrandt, Michał Anioł, Leonardo da Vinci, Szekspir, Molier, Balzac, Dostojewski.

Czy to jednak wystarczający powód, aby dzisiejsi mieszkańcy Europy uważali się za lepszych od mieszkańców innych kontynentów? Tym bardziej, że to Europejczycy wymyślili Świętą Inkwizycję, hitleryzm, stalinizm? I rozpętali obie wojny światowe?

KURTYNA
spada ze wstydu

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK
przedstawia
ALFABET WIŁKOMIRSKIEGO
Litera E
ALBERT EINSTEIN

Narodowość bez znaczenia. Urodził się Niemcem w roku 1879, zmarł Amerykaninem w roku 1955, a żył jako obywatel całego świata. Jako uczeń w szkole był całkiem przeciętny i podobno zmartwiony nauczyciel powtarzał : „Oj Einstein, Einstein, co z ciebie wyrośnie?"
W roku 1905 opublikował szczególną teorię względności, dzięki której dowiedzieliśmy się o tajemnicach otaczającej nas rzeczywistości. I niestety przyczyniła się także do powstania bomby atomowej. W roku 1915 (właśnie mija sto lat!) sformułował ogólną teorię względności, która ukazała się drukiem rok później. I przyczyniła się do powstania i utrwalenia takich teorii i hipotez, jak zasada równoważności, czarne dziury, ugięcie czasoprzestrzeni w polu grawitacyjnym masy, horyzont zdarzeń, Wielki Wybuch. I wiele innych.
Czy Państwo coś z tego rozumieją? Bo ja nie. Ale na pocieszenie dodam, że podobno na świecie nie ma nawet 10 uczonych, którzy rozumieją odkrycia Einsteina. Najważniejsze jednak, że był wielkim człowiekiem. Był jednym z nas.

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK
przedstawia
ALFABET WIŁKOMIRSKIEGO
litera D

DEMAGOGIA to publiczne głoszenie haseł, obietnic, postulatów, propozycji chętnie słuchanych, ale nie mających szans na realizację. Obecnie zwana po-

pulizmem. Używana przez polityków, szczególnie w okresie przedwyborczym, liczących na poklask. Demagog to ktoś, kto zna rzeczywiste potrzeby ludzi i wykorzystuje je do osiągnięcia swoich celów. Pomimo iż wie, że z przyczyn obiektywnych nie są możliwe do zrealizowania. Jest to po prostu nieuczciwe granie na ludzkich emocjach. Mówiąc jeszcze bardziej otwarcie – jest to celowe wprowadzanie w błąd opinii publicznej. Wolno użyć jeszcze mocniejszego określenia: zwyczajne kłamstwo ukryte za rzekomą troską o dobro społeczeństwa. I wykorzystujące wiarę ludzi w uczciwość polityka.

Demagogią posługiwali się rewolucjoniści i wszyscy ci, którzy dążyli do przejęcia władzy. Niestety w każdej zbiorowości znajdują się jednostki, które zaufają demagogom. Jak wiadomo z historii, skutki poddania się demagogii bywają tragiczne. Najbardziej ponury przykład to wyborcze zwycięstwo Adolfa Hitlera w roku 1933 w Niemczech.

DWUTYGODNICZEK

Cykl: „Okiem sceptyka”

Co z tą komuną?

4 czerwca 1989 pani Joanna Szczepkowska oświadczyła wieczorem w telewizji: „Dzisiaj w Polsce skończyła się komuna”. Zdanie to wygłoszone patetycznym tonem dotyczyło – jak wiadomo – wyników wyborów parlamentarnych.

5 czerwca 2014 o godz. 23.35 pani Anna Zalewska oświadczyła w telewizji: „Dzisiaj do Polski wróciła komuna”. Opinia ta, wygłoszona posępnym tonem, dotyczyła – jak należy mniemać – wyników wyborów do parlamentu europejskiego.

Tak więc Polska była wolna od komuny dokładnie 25 lat i jeden dzień! Pozwólcie, drodzy Czytelnicy, że zanim skomentuję te dwa powyższe oświadczenia, parę wspomnień.

W roku 1956 lub 57 należałem w Warszawie do kilkunastoosobowej grupy, która w ramach tzw. odwilży postanowiła założyć związek zawodowy artystów. Przewodniczącym był znany aktor Andrzej Szczepkowski. Na jedno ze spotkań przyprowadził kilkuletnią córeczkę Joasię. Ponieważ lubię dzieci, trochę się nią zajmowałem, aby odciążyć przewodniczącego od ojcowskich obowiązków.

Jak wiadomo władze nie wyraziły zgody na powstanie związku artystów i zamiast tego utworzyły bezkształtny twór – Związek Zawodowy Pracowników Instytucji Artystycznych. Do niego oczywiście nie wstąpiłem.

Mijały lata. Mała Joasia stała się znaną aktorką i świetną recytatorką. Kiedy, bodajże w roku 1979 lub 80, zostałem kierownikiem artystycznym Festiwalu Muzyki Rosyjskiej i Radzieckiej w Lądku Zdroju, celem wzbogacenia programu, zaprosiłem Szczepkowską na specjalny koncert. Pięknie recytowała wiersze wybitnych poetów rosyjskich i radzieckich. Potem znowu straciłem ze Szczepkowską kontakt.

A teraz obiecany komentarz.

Według słownika wyrazów obcych komunizm to ideologia rewolucyjnego ruchu robotniczego oparta na marksizmie – leninizmie. Podobne określenia stosują inne słowniki, dodając np. „postuluje zniesienie prywatnej własności środków produkcji”.

Natomiast komuna to wspólnota. Grupa ludzi połączonych wspólnymi celami, majątkiem, miejscem zamieszkania. Np. rolna, samorządowa.

U nas – nie wiadomo dlaczego – w języku potocznym słowo to nabrało znaczenia pejoratywnego, by nie rzec ostrzej – obelżywego i wręcz nienawistnego. Moim zdaniem nie ma to żadnego sensu, ale tam gdzie rządzą emocje, rozsądek przegrywa. A o logice nie ma nawet co marzyć. Tak więc dla mnie wypowiedź pani Szczepkowskiej była po prostu śmieszna. W Polsce nawet w krótkim stalinowskim okresie tzw. błędów i wypaczeń nie było ustroju, który przypominałby słownikowy komunizm. Po transformacji żyjemy w czymś, co przypomina demokrację, ale to już temat na inny felieton.

Nie wiem natomiast czemu przegrane przez PiS wybory do europarlamentu mają oznaczać powrót „komuny". Czy zwycięska PO jest według pani Zalewskiej partią komunistyczną?

Pani Szczepkowska – moim zdaniem – ośmieszyła się swoją „historyczną" wypowiedzią w roku 1989. Ale – i to chyba było dla niej najważniejsze – zaistniała. Stała się osobą jeszcze bardziej znaną i do dzisiaj cytowaną. Czyżby pani Zalewska pozazdrościła pani Szczepkowskiej wątpliwego rozgłosu? Czy swoim bezsensownym wystąpieniem także chce przejść do „historii"? Nawet kosztem ośmieszenia się? A może to po prostu przejaw kompleksu niedowartościowania? Nie mam odpowiedzi na te pytania.

Rozpustny Kubuś Puchatek

Czy ktoś jako dziecko nie zachwycał się dwiema książeczkami o Kubusiu Puchatku? Ja przeczytałem je dopiero po wojnie jako dorosły człowiek i byłem oczarowany subtelnym dowcipem, prostotą języka, starannie ukrytą dydaktyką i przede wszystkim zrozumieniem dziecięcej mentalności. Niektóre przygody bohaterów pamiętam dokładnie, podobnie jak ich imiona. Zachwycające również były ilustracje, jakże trafiające do wyobraźni dziecka! Piszę to dzisiaj po latach przywołując w pamięci także relacje mojej córki.

Autorem dwóch książek o Kubusiu Puchatku jest angielski pisarz Alan Alexander Milne. Pierwsza nosi tytuł „Kubuś Puchatek" (1926 rok), a druga „Chatka Puchatka" (1928). Książki zostały przetłumaczone na dziesiątki języków i zapewniły autorowi światową popularność.

Piszę o tym, ponieważ polskie media podały szokującą wiadomość. Radni kilkunastotysięcznego miasteczka Tuszyn w województwie łódzkim odrzucili wniosek mieszkańców o nazwanie nowego placu zabaw dla dzieci Placem Kubusia Puchatka. Była to naprawdę szokująca wiadomość. Główną oponentką i inicjatorką sprzeciwu była jakaś radna, a podstawowym zarzutem… rzekoma nagość biednego misia! Rzeczywiście, jej, jakże wysoce moralna spostrzegawczość, sprawiła, że ja sam zauważyłem dopiero – o zgrozo – iż Kubuś Puchatek ubrany jest tylko w kusą koszulinę. I nie ma żadnych spodni, lub chociażby majtek, nie wspominając o długich kalesonach!

Głupota tuszyńskiej radnej oraz jej koleżanek i kolegów z rady, nie warta byłaby napisania felietonu (wystarczyłoby wspomnieć o tym żenującym wydarzeniu jedynie w naszej Małej Antologii Głupoty), gdyby nie fakt, że jest to przejaw głębszego problemu. Niewątpliwie wydarzenia z roku 1968 w kilku krajach Europy przyspieszyły to, co nazywamy rewolucją seksualną. Przybierała ona przez lata rozmaite formy, aż wreszcie „rozlała się szeroką strugą" dzięki Internetowi. Ta swoboda obyczajowa musiała wywołać naturalne reakcje tzw. kręgów konserwatywnych. Szczególnie kościelnych. Przybierając często – jak wiadomo – wręcz karykaturalne formy. Przypomina mi się stary żołnierski dowcip, który pozwolę sobie przytoczyć.

Sierżant-szef na rozkaz dowódcy kompanii ma wyjaśnić rekrutom znaczenie słowa kojarzyć. Pyta: „Z czym wam się, ćwoki, kojarzy słowo chustka?" Jeden z rekrutów mówi: „Mnie, panie sierżancie, z matką". „Dlaczego?". „Bo matula wycierała chustką oczy, kiedy płakała żegnając mnie na dworcu". „Bardzo dobrze, rekrucie". A drugi mówi: „Mnie kojarzy się z nosem". „Bo co?" „Ano, kiedy mam katar, to chustką wycieram nos". „Też dobrze". A na to trzeci: „Mnie kojarzy się z d…ą". „Co? Dlaczego?" „A bo mnie wszystko kojarzy się z d…ą".

Właśnie, właśnie tak. Niektórym ludziom wszystko kojarzy się z d…ą czyli seksem. Kiedy oglądałem ilustracje w „Kubusiu Puchatku" nie miałem jakichkolwiek skojarzeń seksualnych. Kubuś to misiek, a ten zawsze był dla mnie pozbawiony płci. Był aseksualny. Ale widocznie radnej z Tuszyna wszystko kojarzy się z seksem. Nawet Kubuś Puchatek. Czyżby ta pani była erotomanką? A może po prostu jest seksualnie niewyżyta? Permanentnie niezaspokojona? Składam wyrazy głębokiego współczucia. Tylko dlaczego prywatne niezaspokojenie seksualne radnej ma wpływać na tuszyńską społeczność?

I nasuwa się zasadnicze pytanie: czy wypatrywanie wszędzie seksu, nawet w Kubusiu Puchatku, nie jest po prostu obsesją, czyli stanem chorobowym?

Zlikwidować IPN!

Ustawą z dnia 18 grudnia 1998 Sejm powołał Instytut Pamięci Narodowej, zwany w skrócie IPN. Już w czasie publikowania wstępnego projektu byłem jego przeciwnikiem. Dawałem temu wyraz w kolejnych wypowiedziach. Nie byłem odosobniony. Głosy krytyczne – jak się okazało – były jednak w tamtym okresie za słabe. Przewidywany zakres działań przyszłego Instytutu wzbudzał od początku liczne zastrzeżenia historyków i politologów. Ja sam wskazywałem, że w projektowanym kształcie IPN stanie się narzędziem w rozmaitych grach i gierkach politycznych. A także personalnych rozgrywkach. Niestety, Sejm odrzucił zastrzeżenia i wątpliwości. I fatalna - moim zdaniem – ustawa weszła w życie. Niebawem okazało się, że najgorsze przewidywania stały się rzeczywistością.

W przeciwieństwie do wcześniej powołanego niemieckiego Instytutu Gaucka, IPN nie stał się jedynie archiwum historycznych dokumentów znajdujących się w teczkach tajnych służb. Przeciwnie, posłużył do bezwzględnego rozliczania tysięcy ludzi, żyjących i pracujących w tzw. PRL. A to zaowocowało ustawą z 18 października roku 2006 o ujawnianiu informacji zawartych w teczkach SB. Według mnie często wykorzystywano ją jako narzędzie obrzydliwej, personalnej zemsty. W dodatku opartej na oszczerstwach, pomówieniach, kłamstwach, wymysłach.

Wykorzystujący te materiały pracownicy IPN nie zauważyli w swoim zacietrzewieniu, że uwiarygodnili działania SB! Ta potępiana i pogardzana instytucja znienawidzonego ustroju stała się nagle źródłem rzetelnych informacji. Ba, niemalże kopalnią czystej prawdy o ludziach tamtych czasów! Każda, nawet odręczna notatka agenta SB zamieniała się w bezcenny, niezbity dowód. Cóż za żenujący paradoks! A zarazem złośliwy grymas historii.

IPN, a właściwie jego pracownicy stali się samozwańczymi śledczymi, prokuratorami i wreszcie sędziami. Oskarżali bez żadnej kultury setki zasłużonych osób jedynie na podstawie znajdujących się w teczce donosów. Które potem często okazywały się całkowicie fałszywe.

Można uważać PRL za nie w pełni suwerenne państwo. Ale należy pamiętać, że było uznawane przez dziesiątki wolnych, demokratycznych krajów. Włącznie ze Stanami Zjednoczonymi. PRL należała do ONZ i utrzymywała stosunki dyplomatyczne z dużymi i małymi państwami na całym świecie. Pozwalam sobie przypomnieć o tych oczywistych faktach, aby uświadomić pra-

cownikom IPN (i nie tylko im!), że współpracy obywateli PRL z funkcjonariuszami rozmaitych państwowych instytucji nie można uważać za przestępstwo. Pewne jej formy wolno traktować jako wątpliwe moralnie, np. donosicielstwo. Ale czy obmowa, plotki, intrygi nie są również godne potępienia? Albo obłuda, hipokryzja, lizusostwo, karierowiczostwo, chciwość? Dlatego uważam, że do zawartości teczek SB należy podchodzić z wielką ostrożnością. I nie wierzyć bezkrytycznie w ich zawartość.

I sprawa ostatnia. Rozliczenia osób winnych łamania prawa w czasach PRL należało dokonać zaraz po roku 1989. Zamiast powoływania IPN dopiero po prawie dziesięciu latach. I co jeszcze gorsze, pozwolić na bezkarną i kosztowną działalność do dnia dzisiejszego. Kiedy ludzie odpowiedzialni za takie czy inne wątpliwe moralnie czyny albo już poumierali, albo z racji podeszłego wieku stoją nad grobem.

Narzekamy słusznie w Polsce na nieżyczliwość w stosunkach międzyludzkich, na brak empatii, zazdrość, nieufność, podejrzliwość. Często niestety wręcz na wrogość. Naukowcy poszukują przyczyn tego, jakże szkodliwego społecznie, stanu. Myślę, że przyczyn jest wiele i niektóre sięgają głęboko w przeszłość. Ale warto zastanowić się ile tych naszych wad zostało pogłębionych przez działanie IPN. Kto wzbudzał i umacniał nieufność wobec osób zasłużonych? Kto podważał autorytety? Kto przede wszystkim najpierw oskarżał, a potem przygotowywał dowody, które często okazywały się fikcyjne? Krzywdzono niewinnych ludzi, ale zarazem krzywdzono całe społeczeństwo nieprawdziwymi oskarżeniami, niszcząc w ten sposób więzi międzyludzkie. Dlatego powtarzam: zlikwidować IPN! I to jak najprędzej dla naszego wspólnego dobra.

Przywileje

Chciałbym na początku tego felietonu zaryzykować stwierdzenie, że jedną z największych słabości naszego państwa jest nadmiar przywilejów.

Jak wiadomo ze słownika, przywilej to w średniowieczu akt monarchy nadający określonym osobom, stanom lub miejscowościom specjalne uprawnienia. Bądź uchylający ogólne wobec nich prawa. Z biegiem lat zakres oddziaływania przywilejów rozszerzał się na coraz to inne dziedziny. Dzisiaj mamy także przywileje o charakterze międzynarodowym, np. dyplomatyczne

czy konsularne. W dawnej Polsce Kościół i szlachta wymuszali na kolejnych królach elekcyjnych coraz to nowe przywileje. Po roku 1945 nadawano różnym grupom zawodowym szczególne przywileje., które znamy z codziennej praktyki. Dotyczą między innymi tzw. służb mundurowych, nauczycieli, kombatantów, kolejarzy, energetyków, górników. Część to drobne sprawy, jak np. bezpłatne przejazdy środkami komunikacji miejskiej dla osób, które ukończyły 70 lat. Ale inne związane są ze znacznymi korzyściami finansowymi (np. możliwość przejścia na dużo wcześniejszą emeryturę lub tzw. trzynastki z nawet czternastki). I właśnie w istnieniu takiej ilości przeróżnych przywilejów upatruję poważne problemy społeczne.

Jednym z podstawowych praw w demokratycznych państwach jest – jak wiadomo – równość wobec prawa. Każdy przywilej narusza tę równość! Oczywiście prawodawca w uzasadnieniu przyznania określonego przywileju wymienia rozmaite i liczne przyczyny, ale nie zmienia to faktu, że osoby posiadające przywilej sytuują się wyżej od pozostałych obywateli. A zatem naruszona zostaje równość wobec prawa, fundamentalna zasada demokracji. Powoduje to oczywiście niezamierzony przez prawodawcę ferment społeczny. Obywatele nie objęci danym przywilejem czują się „gorsi". Przykłady można mnożyć. Mało tego, osoby objęte jakimś przywilejem zaczynają uważać, że to im się należy. I jakiekolwiek próby zniesienia lub choćby częściowego ograniczenia przywileju traktują jako zamach na należne im prawa. Przykładów na takie sytuacje mamy aż nadto wiele. Podają je od lat media. I co jest dla mnie osobiście szczególnie przykre to fakt, że jakakolwiek próba naruszenia przywilejów wywołuje gwałtowne protesty. A jeśli protestująca grupa jest wystarczająco silna, władze ustępują, nawet kiedy jest to ze szkodą dla państwa jako całości.

Nie mniej szkodliwe dla społeczeństwa jest poczucie, że naruszona została sprawiedliwość. W wyniku transformacji ustrojowej tysiące, dziesiątki i setki tysięcy ludzi straciło pracę. I ówczesne władze nie otoczyły ich żadnymi osłonami ani szczególną opieką. Uznano to widocznie za bolesną cenę, którą trzeba zapłacić za przejście Polski do społeczności krajów demokratycznych. (Niektórzy wolą określenia wolnorynkowych albo kapitalistycznych!). A teraz socjologowie stwierdzają w oparciu o rzetelne badania naukowe, że polskie społeczeństwo jest wyjątkowo podzielone. Więcej – zantagonizowane. Znikła solidarność, wzajemne zrozumienie, zwyczajna życzliwość.

Ośmielam się stwierdzić, że ten niebezpieczny podział naszego społeczeństwa został spowodowany między innymi właśnie przez nadmierną ilość

najrozmaitszych przywilejów. Ludzie nie czują więzi z najbliższym nawet sąsiadem. Bo dlaczego mają czuć taką więź, jeśli wiedzą, że ten sąsiad korzysta z takich czy innych przywilejów, niezależnie od jakości swojej pracy. Dobrzy czy kiepscy nauczyciele korzystają na równi z przywilejów wynikających z Karty Nauczyciela. Dobrzy czy kiepscy policjanci posiadają jednakowe przywileje, obejmujące wszystkich funkcjonariuszy.. Podobnie z górnikami. Słyszałem o górnikach częściej pijących niż fedrujących. Ale z przywilejów górniczych korzystali bez ograniczeń. Szczytem absurdu jest, że z prawa do wcześniejszej emerytury korzystają też muzycy w orkiestrach wojskowych. Świadomość tego stanu ma pozostała większość społeczeństwa i nic dziwnego, że czuje się pokrzywdzona. A to poczucie krzywdy dzieli.

Czy możliwe jest w obecnej sytuacji – politycznej, społecznej, ekonomicznej – zasypanie tych podziałów? Czy możliwa jest likwidacja choćby części przywilejów, dzielących społeczeństwo? Nie znam odpowiedzi na te pytania. Może poszukają ich mądrzejsi ode mnie? Na przykład socjologowie? Albo politycy, ha – ha - ha!

Nienawiść

Nienawiść to jedno z najsilniejszych uczuć. Być może – silniejsze nawet i trwalsze niż miłość. Ma wiele synonimów i wyrazów bliskoznacznych: wrogość, niechęć, pogarda, obrzydzenie, wstręt, agresja, przemoc, sadyzm. Nienawiść może być skierowana do kogoś lub czegoś. Można nienawidzić pojedynczego człowieka albo cały naród. Jakiejś religii, ideologii, obyczajów, nawet określonej potrawy. Można także nienawidzić abstrakcyjnego pojęcia, na przykład grzechu.

To potężne uczucie zatruwa społeczeństwa ludzkie od tysięcy lat. Można je uznać za właściwe człowiekowi. To smutne stwierdzenie. Wiemy, że już pierwotni ludzie walczyli o terytorium, wodę, zwierzęta, kobiety. Toczyli krwawe, bezlitosne boje. Pokonanych torturowano i mordowano. Wielcy zdobywcy nie znali litości. Mieszkańców wsi i miast oddawali na pastwę swoich zwycięskich wojowników. Ba, często wydawali przed bitwą lub po niej okrutne rozkazy w rodzaju „zabić wszystkich".

Nienawiść nie musi rządzić się jakimkolwiek interesem. Jest po prostu uczuciem, zaspokajającym wrodzone okrucieństwo. Zdawało by się, że religie

powinny hamować tę nienawiść. Niestety, było i jest wręcz przeciwnie. Ludzie głęboko wierzący w szczytne ideały religijne czy świeckie nienawidzą z wyjątkową siłą. I co jeszcze smutniejsze – uważają, że postępują zgodnie z wyznawanymi ideałami i własnym sumieniem.

Nienawiść zatruwa stosunki między ludźmi, zarówno między jednostkami jak i grupami. Ale najgorsze, że nienawiść jest przerażającą trucizną także dla tych, którzy jej ulegają. Chciałoby się powiedzieć „są na nią chorzy". To straszna choroba! Ludzkość doświadcza jej od tysiącleci.

Czy można sztucznie wzbudzić nienawiść w zwykłych ludziach? Niestety, wiemy aż nadto dobrze, że to możliwe. Cała historia tego dowodzi. Chrześcijanie w średniowieczu nienawidzili muzułmanów, a przedtem heretyków. Muzułmanie nienawidzili chrześcijan, a nawet siebie nawzajem. Przykładem szyici i sunnici. Zaś w Europie całkiem niedawno, w XVII wieku, przez trzydzieści lat mordowali się wzajemnie katolicy i protestanci. Święta Inkwizycja z nienawiści do grzechu spaliła na stosach tysiące grzeszników, aby oczyścić płomieniami ich dusze!

Nienawiść do Żydów doprowadziła w XX wieku do Holokaustu. A w Związku Radzieckim nienawiść do byłych obszarników, kapitalistów, wyzyskiwaczy itd. zabiła miliony niewinnych Rosjan, Polaków, Tatarów, Litwinów, Ukraińców. Nienawiść nie pojawia się spontanicznie. Zawsze zostaje celowo wywołana i spotęgowana przez całą machinę ideologiczno – polityczną i przez systematyczne „wychowywanie" społeczeństwa wdrożone przez rządzących, którzy są „chorzy na nienawiść". Znamy różne patologie, jedną z nich jest właśnie nienawiść. Ba, ale czy istnieje na nią lekarstwo? Czy można pokonać tę najgroźniejszą chorobę?

Megaloman z pędzlem

W styczniu 2015 wałbrzyskie Biuro Wystaw Artystycznych zorganizowało w zamku Książ wystawę obrazów niejakiego pana Zbigniewa Macieja Dowgiałło. Nie znam jego dotychczasowego dorobku artystycznego, a ocenę obrazów pozostawiam fachowcom. Nie mogę natomiast powstrzymać się od komentarza do wypowiedzi malarza a czasie wernisażu.

Zamiast mówić o malarstwie, całe swoje wystąpienie pan Dowgiałło poświęcił wyłącznie polityce i w dodatku o wiecowym charakterze. Z niezwykłą

pewnością siebie oceniał nasz kraj, szermując demagogicznymi hasłami. Oto kilka przykładów.

Według pana Dowgiałły zadaniem artysty jest „nieść głos wolności". Przypomina mi to radzieckie nazywanie artystów „inżynierami dusz". Artysta ma być „…zdolny poprowadzić ludzi na barykady". Tego nawet Lenin i Stalin nie wymagali! Jeszcze bardziej bulwersująca jest ocena dzisiejszej Polski. Mówi, że „…dzisiaj mamy ustrój totalitarny". Na czym ten totalitaryzm polega i w czym się przejawia – już nie wyjaśnia. Chce natomiast w swojej twórczości przedstawiać walkę o wolność. Oto tytuły poszczególnych obrazów: „Zatopienie tratwy pełnej komunistów", „Zwycięstwo nad Moskwą", „Zdobywcy Moskwy". Są to obrazy ze stanu wojennego. I dodaje : „Wtedy były to czasy wielkiej wojny o niepodległość i te czasy wróciły teraz, ponieważ od 2010 roku nasz kraj jest całkowicie upodlony i nie ma teraz u nas niepodległości." Cóż za pesymistyczna wizja!

Historiozofia pana Dowgiałły jest zarówno prymitywna jak naiwna. Fakty w rzeczywistym świecie myli ze swoimi fobiami, nastrojami, emocjami. Być może jest to zrozumiałe u artysty. Z jednym wszakże zastrzeżeniem – że jest się artystą.

A do tego, czy pan Dowgiałło jest artystą, mam wątpliwości na podstawie jego własnych wypowiedzi. Mówi: „Moja sztuka wynika z głębi mojego serca, z mojej jaźni, z mojego życia. Jest jakby kwintesencją mojej osobowości. Jest ekspresyjna, jest barokowa, jest wybujała, piękna i wspaniała. I mocna, i energetyczna".

Powyższe słowa to zwyczajny bełkot. Można by dokonać analizy każdego użytego określenia i udowodnić, że wszystkie są nie tylko zwykłymi frazesami, ale połączone ze sobą nie mają w ogóle sensu. A nazwanie swojej sztuki „piękną i wspaniałą" dowodzi wręcz chorobliwej megalomanii. Znałem w moim życiu malarzy, pisarzy, kompozytorów i nigdy nie słyszałem aby swoje dzieła nazywali „pięknymi i wspaniałymi". Genialny Cezanne, kiedy był już na starość dosłownie czczony jako mistrz i autorytet, napisał w liście do rodziny: „maluję od rana do wieczora i mam wrażenie, że robię postępy w rysunku". Oto pokora prawdziwego artysty.

I ostatnia sprawa. Biuro Wystaw Artystycznych jest instytucją samorządową, dotowaną z budżetu miasta Wałbrzycha. Jako obywatel chciałbym zadać pytanie: czy nie szkoda pieniędzy na zorganizowanie wystawy pana Dowgiałły? Jestem wrogiem każdej cenzury (sam miałem w dawnych czasach kłopoty

z Urzędem Kontroli Prasy i Widowisk) i uważam, że nie wolno zabraniać komukolwiek malowania i mówienia. Ale czemu za nasze publiczne pieniądze, których – jak wiadomo – ciągle brakuje na działalność kulturalną?

Nie tylko in vitro

O tej metodzie zapłodnienia pozaustrojowego, czyli o in vitro, wypowiedziano i napisano tyle głupot, że można by samymi cytatami zapełnić nie jedną gazetkę. Dlatego dzisiaj nie zajmę się samą metodą (tym bardziej, że nie jestem ani genetykiem ani lekarzem), ale pewnymi aspektami prawno – moralnymi.

Jak wiadomo Episkopat wydał w sprawie in vitro oficjalne oświadczenie, potępiające samą metodę a popieranie jej uznał za grzech. Aby nie było żadnych wątpliwości, stwierdzam, że w moim przekonaniu przywódcy każdej religii mają prawo publicznego wypowiadania się na wszelkie tematy dotyczące nie tylko wiary i moralności. Mają prawo także zabierać głos we wszystkich innych sprawach: naukowych, artystycznych, edukacyjnych, społecznych, politycznych, ekonomicznych. I głos ten powinien być wiążący dla wyznawców danej religii. Ale – podkreślam – tylko dla nich. To co powiedzą biskupi Kościoła Katolickiego – musi obowiązywać katolików, co ajatollahowie – muzułmanów, co rabini – Żydów wyznających judaizm.

Wydaje mi się, że członkowie Episkopatu czyli najwyższego organu polskiego Kościoła Katolickiego nie chcą tego zrozumieć. Cywilizowane, demokratyczne państwa nie są państwami wyznaniowymi. W przeciwieństwie do niektórych państw islamskich. Trzeba sobie wreszcie z całym naciskiem powiedzieć, że niezależnie od tego ile procent Polaków uważa się za katolików, w Polsce jako państwie nie ma obowiązującej prawnie religii panującej. Według Konstytucji wszyscy obywatele bez względu na światopogląd, pochodzenie etniczne, rasę, wyznanie itd. są równi wobec prawa. Przypominam o tych oczywistych faktach, aby uświadomić Czytelnikom, że w naszym kraju obowiązuje tylko i wyłącznie prawo polskie, prawo polskiego państwa. I obowiązuje ono wszystkich obywateli. I nikt nie może narzucać jakiegokolwiek innego prawa. Niestety zdarzają się takie próby i oświadczenie Episkopatu w sprawie in vitro tego dowodzi.

Jeśli biskupi stwierdzają, że stosowanie pozaustrojowego zapłodnienia jest grzechem i prowadzi do wykluczenia z wspólnoty wiernych – obowiązuje to

tylko katolików. Ale nie dotyczy wyznawców innych religii i niewierzących. Jest to dla mnie jasne i nie wymaga uzasadnienia. Ba, ale tylko w teorii. Praktyka bowiem jest odmienna. Co ma bowiem zrobić poseł Rzeczpospolitej, będący wierzącym i praktykującym katolikiem? Przecież uroczyście ślubował, że będzie działał dla dobra obywateli? A 70% obywateli RP jest za wprowadzeniem i finansowaniem in vitro. Poseł powinien zatem dla dobra tych 70 procent głosować za rządowym projektem. No tak, ale wtedy wykluczy się ze wspólnoty wiernych. To poważny dylemat.

Przykro mi, ale oświadczenie Episkopatu w sprawie in vitro to coś więcej niż tylko suwerenne prawo Kościoła do formułowania nakazów i zakazów dla wiernych. To jest także nieuprawniona ingerencja w funkcjonowanie świeckiego państwa i jego władz: prezydenta, rady ministrów, sejmu, senatu. W ten sposób biskupi uzurpują sobie prawo do narzucania zasad jednej religii wszystkim Polakom. Czy nie jest to przypadkiem naruszanie fundamentalnych, konstytucyjnych podstaw demokracji? Czy nie jest to zmierzanie do przekształcenia Polski w państwo wyznaniowe?

Moja wielka wina

Wyznaję, jestem chyba bardzo złym człowiekiem. Ośmielam się bowiem mieć odmienne zdanie w wielu akceptowanych przez znaczną część społeczeństwa sprawach. I co gorzej, przyjętych przez główne partie jako fundamentalne.

Wierzę, że życie człowieka zaczyna się dopiero od momentu przyjścia na świat, czyli od urodzenia. A nie od poczęcia. Uważam, że bicie dzieci jest przestępstwem. Nawet niewinny rzekomo klaps. Moim zdaniem dziecko nie jest własnością rodziców. Dlatego protesty przeciwko rozpoczynaniu nauki w szkole od 6 lat są bezprawne, a dla dzieci wręcz szkodliwe. Uważam natomiast, że rodzice nie mają obowiązku utrzymywania dzieci powyżej 18 roku życia. Ewentualnie w drodze wyjątku do zakończenia studiów, ale nie dłużej niż do 25 lat. Według mnie dzieci nie mają obowiązku utrzymywania rodziców. Za to co zrobili dla nich, odpłacają utrzymywaniem własnych dzieci. Tzw. rodziny wielopokoleniowe nazywam w dzisiejszych czasach szkodliwym anachronizmem.

Jestem chyba bardzo złym człowiekiem, ponieważ uważam wszystkie ideologie za zbędne, zarówno religijne jak i świeckie. A opieranie na nich polity-

ki za niebezpieczne. Wszelkie ideologie, moim zdaniem, ograniczają wolność jednostki, zwłaszcza wówczas, kiedy stają się podstawą prawodawstwa. Prawo nie może być w żadnej mierze ideologiczne. Należy pamiętać, że prawo to usystematyzowany zbiór nakazów i zakazów stworzony przez człowieka dla umożliwienia funkcjonowania każdej grupy ludzi. Dlatego mówienie o prawach natury czy prawach naturalnych jest nonsensem. Natura nie jest myślącym bytem i nie może ustanawiać jakichkolwiek praw. Zwrot „prawa natury" używany przez biologów czy fizyków jest jedynie skrótem myślowym. Prawa zwane boskimi są zwykłym nadużyciem, mającym na celu poddanie wyznawców regułom religijnym wymyślonym przez założycieli tych religii. A następnie uzupełnianym przez wieki przez ich następców.

Tylko w matematyce istnieją tzw. aksjomaty czyli twierdzenia nie wymagające dowodu. W żadnej innej nauce nie mogą mieć miejsca. A tym bardzie w życiu społecznym. Każde twierdzenie musi być udowodnione. Osobiste przekonania czy wiara nie są wystarczającymi dowodami. Wszyscy wiemy, że wiele naukowych pewników zwanych paradygmatami, na przestrzeni wieków straciło swoją ważność. Choć wspierały się na uznanych autorytetach. Niektóre z tych paradygmatów stawały się nawet zwykłymi przesądami.

Jestem chyba bardzo złym człowiekiem, ale nie potrafię wierzyć w cokolwiek tylko dlatego, że jakaś większość tak twierdzi. Żyję zbyt długo, aby nie doświadczyć upadku tzw. prawd. Określenie „odwieczne prawdy" nie jest dla mnie przekonywujące. A już szczególnie nie ufam prawdom politycznym. W ich obronie ludzie oddawali życie. A potem okazywało się, że były zwykłymi kłamstwami. Dobro i zło traciły swoje uniwersalne znaczenie. Obserwując wystąpienia polityków widzę względność prezentowanych przez nich idei. I bynajmniej nie mam na myśli pospolitych fałszów, przeinaczeń, kłamstw. Nawet jeśli politycy są uczciwi, szczerzy i wierzą w to co mówią, nie przestaję być krytyczny. Z życiowego doświadczenia wiem, że już następnego dnia ich słowa mogą stracić jakąkolwiek wartość. Na moich oczach waliły się najpiękniejsze idee. A historia jest pełna takich przykładów. I dlatego nie byłem, nie jestem i zapewne nie będę w przyszłości bezkrytycznym wyznawcą najwspanialej nawet brzmiącej idei. Religijnej czy świeckiej. Wolę już być takim bardzo złym człowiekiem, ponieważ myślę, że moja pełna niewiary w idee postawa nikomu nie szkodzi. A wręcz przeciwnie, mam nadzieję, że komuś może pomóc. Chociażby w zdobyciu niezależności myślenia.

Dzień bez kłamstwa

W końcówce lat czterdziestych ubiegłego wieku, czyli ponad sześćdziesiąt lat temu (jak ten czas leci!) widziałem w teatrze komedię zatytułowaną „Dzień bez kłamstwa". Nazwiska autora niestety nie pamiętam. Treścią sztuki był zakład dwóch młodych mężczyzn o to, czy można mówić prawdę choćby przez jeden dzień. Punktualnie o godzinie dwunastej w południe ten młodzieniec, który postanowił nie kłamać, został zapytany przez narzeczoną, jak mu się podoba jej nowy kapelusz. Zgodnie z prawdą odpowiedział, że jest ohydny. Narzeczona spoliczkowała go i z płaczem odeszła. Za chwilę pojawiła się jej mamusia i w czasie ostrej wymiany słów usłyszała od młodzieńca, że uważa ją za starą wiedźmę, która nie powinna się wtrącać. I tak się zaczęło.

Młody człowiek powiedział rodzicom, że od lat udają wzorowe małżeństwo, a w rzeczywistości się nie znoszą. Przyszłemu teściowi oświadczył, że wie o jego licznych kochankach, a swoim dwóm kolegom, iż uważa ich za debili. I tylko dlatego skończyli studia, że ich ojcowie sponsorowali uczelnię. Nawet przyjaciela, z którym się założył, nie oszczędził. Stwierdził, że udaje przyjaźń, a w rzeczywistości zaleca się do jego narzeczonej. Na koniec młody człowiek spotkał swojego szefa. Ten zapytał go co sądzi o działalności firmy. Zgodnie z prawdą biedny młodzieniec musiał wyznać, że wie o rozmaitych przekrętach szefa.

Następnego ranka okazało się, że narzeczona zamierza zerwać zaręczyny, a szef przygotowuje dyscyplinarne zwolnienie nielojalnego – jak stwierdził – pracownika. Rodzice, teściowie, koledzy a nawet przyjaciel omawiali możliwość zastosowania czegoś w rodzaju ostracyzmu towarzyskiego. Po prostu zerwać wszelkie kontakty.

I kiedy mają mu to uroczyście oświadczyć, zegar na kościelnej wieży wybija godzinę dwunastą. Zakład wygrany! Młodzieniec odwołuje to, co mówił, stwierdzając, że... kłamał dla żartu. Oświadcza uroczyście, że kapelusz narzeczonej jest śliczny, a teściowa troskliwą, ukochaną mamusią, której rady są wręcz bezcenne. Zaś teść to przykładny, wierny mąż. Swoich rodziców młodzieniec uznał za tak wyjątkowo zgodne małżeństwo, że będą dla niego wzorem na całe życie. Itd. Najtrudniej było ułagodzić szefa, ale udało się po złożeniu obietnicy, że sam osobiście będzie wspierał go we wszystkich działaniach.

Optymistyczne zakończenie komedii? A może wręcz przeciwnie – pesymistyczne? Jaki wniosek? Że żyjemy w społeczeństwie zakłamanym? Że hipokryzja jest naszą codziennością? I że nie chcemy słuchać prawdy? Wprawdzie

Michał Anioł napisał: „Lepiej kłamać kiedy prawda boli." Zapewne, ale czy to wystarczające usprawiedliwienie? Najwięksi filozofowie od tysięcy lat zajmowali się problemem prawdy. Tak jak najwięksi pisarze. Ale ich opinie nie przekładają się na codzienną praktykę zwykłych ludzi. Na osobne omówienie zasługiwałaby działalność polityków (zwłaszcza w świetle niedawnej kampanii). Zajęłoby to jednak zbyt dużo miejsca. W dodatku z kłamstw polityków nie udałoby się sklecić jakiejkolwiek komedii. Po prostu nie ma się z czego śmiać.

Kto się boi „Czarnego Luda"?

Kiedy na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku byłem małym chłopcem, bawiłem się w „Czarnego Luda". Chyba nie muszę objaśniać na czym ta zabawa polegała, tym bardziej, że ludzie bawią się w nią od wieków. A „czarnym ludem" jest śmierć. Boicie się Czarnego Luda? Odpowiedź brzmi „nie!" Wszyscy uciekają, ale goniący „Czarny Lud" na pewno jedną osobę złapie.

Znacząca ilość (może nawet większość?) ludzi boi się śmierci. To lęk nie tylko przed chorobami, ranami, cierpieniami, lecz także przed tym nieznanym, co czeka nas po śmierci. Tę obawę, strach, niepewność wykorzystują religie. Obiecują następne życie, które będzie wiecznie trwało. W większości religii będzie to szczęście obcowania z bogiem czy bogami, wolne od bólu i w otoczeniu innych błogosławionych duchów. Islam obiecuje tym, którzy zginą za wiarę, przebywanie w towarzystwie pięknych (i chętnych) hurys. Ba, ale to dotyczy tylko mężczyzn. A co dostaną bogobojne kobiety? O tym święta księga nie mówi. Stąd wniosek, że nawet w raju nie ma równouprawnienia.

Ci co wierzą w tzw. reinkarnację czyli kolejne wcielenia, mają wyraźną wskazówkę moralną. Jeśli będziesz żył cnotliwie, po śmierci „awansujesz" na wcielenie do wyższej „kategorii". Jeśli w tym życiu byłeś np. śmieciarzem, to po śmierci twoje zasługi spowodują, że odrodzisz się jako np. rzemieślnik. Po następnym, równie cnotliwym życiu, znowu „awansujesz" – powiedzmy – na urzędnika. I tak wznosząc się coraz wyżej, możesz wreszcie po wielu, wielu wcieleniach, zostać nawet posłem lub ministrem. Ale jeśli twoje życie będzie grzeszne, w kolejnych wcieleniach będziesz spadał coraz niżej aż zostaniesz wreszcie ekspedientką w podrzędnym domu towarowym. Ale to bynajmniej nie koniec. Jeszcze niżej sytuują się zwierzęta. Możesz skończyć jako kundel na zbyt krótkim łańcuchu. Albo dżdżownica.

Drodzy Czytelnicy, nie śmiejcie się. W reinkarnację, którą możecie uważać za komiczną, wierzy według badań, jedna trzecia obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej! Podobnie jak miliony muzułmanów wierzą w rajskie hurysy. A w co wierzą chrześcijanie? Ano w niebo, czyściec i piekło. W piekielne męki, anielskie chóry i cierpienia dusz czyśćcowych, nie mogących obcować z Bogiem. A w co wierzą mniej pobożni chrześcijanie? W „życie po życiu". Różni badacze cytują opowiadania ludzi, którzy byli w śpiączce, lub tzw. śmierci klinicznej. Słyszymy o wędrówkach przez ciemny tunel, na końcu którego błyska jakieś tajemnicze światełko. Albo o unoszeniu się w powietrzu nad stołem operacyjnym i oglądaniu swojego ciała. Albo o cytowaniu rozmów lekarzy na temat czy uda się pacjenta przywrócić do życia. Trudno, jestem sceptykiem. Tego rodzaju relacje nie mogę uważać za miarodajne. Według mnie to zwykłe fantazjowanie, choć nie koniecznie celowe kłamstwa.

Rozumiem tęsknotę człowieka za nieśmiertelnością. Wiedząc, że czyha na nas „Czarny Lud" i że nikt nie uniknie jego łap czyli śmierci, szukamy najróżniejszych możliwości przedłużenia naszego życia, zamkniętego w przedziale kilkudziesięcioleci. I od zarania ludzkości szukamy odpowiedzi na pytanie czy jest cokolwiek po śmierci. Pociechą są religie, a także przeróżne magiczne obrzędy. A dla niektórych przemądrzałych Europejczyków i Amerykanów także wiara w seanse spirytystyczne. W wieku XIX było to wręcz „modne". Tzw. media nawiązywały kontakt ze zmarłymi, czy raczej duchami zmarłych. Czasem nawet duchy pojawiały się osobiście. W wielu krajach działały Towarzystwa Spirytystyczne. Wydawano książki i czasopisma. Niestety, jak dotąd nie zdobyto przekonywujących dowodów dla takich jak ja sceptyków i niedowiarków.

Czy boicie się Czarnego Luda? Na to pytanie z dziecięcej zabawy należy chyba odpowiedzieć zupełnie poważnie: „Nie warto. Uciec się nie da. Na pewno nas złapie".

Orędzie

Nowo wybrany prezydent RP, pan Andrzej Duda, wygłosił 6 sierpnia w sali sejmowej orędzie. Po wysłuchaniu byłem zgnębiony. We własnym, dobrze pojętym interesie, chciałbym, aby pan Duda był dobrym prezydentem. Niestety to pierwsze, jakże ważne wystąpienie, całkowicie rozczarowało. Aby nie być gołosłownym, pozwolę sobie zacząć od najkrótszych definicji dwóch słów:

- orędzie to uroczyste przemówienie, wystąpienie, wezwanie głowy państwa do ogółu (np. narodu) w sprawie wielkiej wagi.
- expose` to wypowiedź programowa premiera (ew. ministra) przed parlamentem.

W świetle powyższych definicji wystąpienie pana Dudy w dniu 6 sierpnia nie było w żadnej mierze orędziem. W najlepszym wypadku można je nazwać expose`. Dla mnie było po prostu kontynuacją przedwyborczych spotkań. Te same postulaty, obietnice, zwroty językowe, myślowe skróty. I banały, które znamy na pamięć. Szkoda, że pan Duda, obejmując urząd prezydenta, nie wykorzystał rzeczywiście jedynej w życiu szansy wygłoszenia prawdziwego orędzia. A mógł. Mógł sprawić, że orędzie przeszłoby do historii i po latach byłoby wspominane. I cytowane. Pozwolę sobie teraz wytknąć najbardziej elementarne błędy.

Pan prezydent Duda wielokrotnie użył zwrotu „proszę państwa". Nie rozumiem do kogo je adresował. Jeśli zgodnie z definicją do narodu, to zupełnie niewłaściwie. „Proszę państwa" mówimy na rozmaitych spotkaniach, zebraniach, imprezach. Używają tego „neutralnego" zwrotu szefowie w stosunku do pracowników, prezesi do członków, prelegenci do słuchaczy, konferansjerzy na imprezach rozrywkowych. Ale żeby prezydent mówił do narodu per „proszę państwa"? Wręcz nieprzyzwoite! W orędziu należało – moim zdaniem – użyć bardziej odpowiednich dla tak ważnego wystąpienia słów: obywatele, rodacy, Polacy. Sam nie lubię używać tzw. wielkich słów, ale orędzie nowo wybranego prezydenta wymagało ich zastosowania.

Jeśli nawet pan prezydent uznał, że mówi tylko do Zgromadzenia Narodowego, to i tak zwrot „proszę państwa" nie pasował. Przecież – jak wiadomo – Zgromadzenie Narodowe to Sejm i Senat, czyli obie Wysokie Izby. I takie tytuły im przysługują. Szkoda, że pan prezydent o tym zapomniał. Tak na marginesie pozwolę sobie zauważyć, że w moim długim życiu zawsze do rady miejskiej zwracałem się „Wysoka Rado", a do sądu „Wysoki Sądzie". Przez szacunek dla polskich obyczajów.

Pan prezydent Duda, używając wielokrotnie banalnego zwrotu „proszę państwa" nie uszanował ani polskiego społeczeństwa ani Zgromadzenia Narodowego. A na zakończenie popełnił jeszcze jeden nietakt. Kiedy obecni na Sali sejmowej oklaskiwali go na stojąco, pomachał przyjaźnie. Naprawdę! Jak na zakończenie wiecu! Czy w otoczeniu pana prezydenta nie mam nikogo kto powiedziałby jak należy zachowywać się na tak podniosłej uroczystości? Pamię-

tamy, że kiedyś było stanowisko szefa protokołu. Chyba w każdym cywilizowanym kraju. A jak jest teraz – nie wiem. Amerykanie zachowują się swobodnie, ich prezydent klepie po ramieniu swoich rozmówców. Ale na uroczystościach nie machają rękami, stoją wyprostowani, z prawą dłonią na sercu.

Możliwe, że jestem staroświecki. Możliwe, że nie zauważyłem, iż czasy się zmieniły. Jednak prezydent to prezydent a nie wiecowy przywódca. Ale może warto wrócić do niektórych dawnych zwyczajów. Choćby z uwagi na młodzież. Swoboda swobodą, ale nie zapominajmy o polskiej tradycji. Czasem wydaje się śmieszna, przestarzała, nie pasująca do współczesnego świata. Ale bywa także piękna.

Obłuda myśliwych

Nasi pra-pra-praprzodkowie musieli zabijać drapieżne zwierzęta w obronie życia własnego i swoich rodzin. A ponieważ należeli do drapieżnego gatunku homo sapiens (smutne to ale niestety prawdziwe), zabijali także bezbronnych roślinożerców. Prawdopodobnie bez mięsnego białka mózg naszych przodków nie rozwinąłby się tak szybko. A potem ludzie nauczyli się hodowli zwierząt i zabijali je kiedy nadawały się już do spożycia. W dalszych wiekach władcy zastrzegali sobie prawo polowań i surowo karali za jego przekroczenie. Na przykład w średniowiecznej Anglii za upolowanie nawet małej sarny w królewskim lesie groziła kara śmierci. I tak polowanie stało się przywilejem możnych, rozrywką, zabawą.

Używam słowa „polowanie", a powinienem pisać „zabijanie". Zabijanie niewinnych, bezbronnych zwierząt. I na tym polega właśnie obłuda, inaczej hipokryzja. Myśliwi uzasadniają swoje działania przy pomocy eufemizmów. Za mojej młodości nazywało się to „dorabianiem ideologii". Ileż razy słyszałem, że polowania są korzystne dla zwierząt(!). Oczyszczają stada od osobników starych, chorych, niedołężnych. Mało tego, regulują wielkość poszczególnych populacji. Oczywiście nie ma żadnych naukowych dowodów na poparcie tych twierdzeń.

Kiedyś, w zamierzchłych czasach, myśliwy mógł zginąć w czasie polowania. Siły między nim a potężnym drapieżnikiem były mniej więcej wyrównane. Ale w miarę postępu, kiedy człowiek zyskał oręż (najpierw oszczep a potem łuk), proporcje zostały zachwiane. Po wynalezieniu broni palnej, przewaga człowie-

ka doprowadziła do wyginięcia wielu gatunków zwierząt. I podkreślam, nie będących już zagrożeniem dla ludzkiej populacji. A polowania stały się tylko i wyłącznie sportem. Myśliwi sami używają słowa „hobby". Czyżby nie zdawali sobie sprawy, że tym słowem określają zabijanie? Zbieranie znaczków, podróżowanie, gra w szachy itd. to typowe hobby czyli inaczej pasja, konik, ulubione zajęcie, osobiste zainteresowanie, odprężenie. Ale zabijanie?

Pozwolę sobie w tym miejscu na osobistą dygresję. Do dzisiaj staram się nie zabijać najdrobniejszych nawet stworzeń. Jeśli do mieszkania wleci pszczoła czy tzw. końska mucha, staram się wypędzić ją przy pomocy ręcznika lub gazety. Całkiem niedawno zostałem użądlony, ponieważ nieostrożnie chciałem wygonić pszczołę ręką. Bolało, ale pomimo to powściągnąłem złość i pozwoliłem pszczole odlecieć. Nigdy nie zniszczyłem mrowiska i staram się nie rozdeptać żadnego owada, który przypadkiem znalazł się na mojej drodze. Jedno co mi się zdarza, to zabijanie komarów. Ale usprawiedliwiam się, że robię to we własnej obronie. Piszę o tym, ponieważ uważam, że każde stworzenie ma prawo do życia.

I jeszcze jedna sprawa. Nie jestem wegetarianinem. Lubię dobre potrawy mięsne i rybne. Sam potrafię niektóre z nich przyrządzać. Próbowałem jeść różne kotlety sojowe. Nie mogą równać się z mięsnymi. Albo znakomite potrawy rybne. Są podobno zdrowsze od mięsnych. Być może, ale do bigosu nie pasują! A wartości odżywczej rosołu z kurczaka dla dziecka chyba nic nie zastąpi. Oczywiście chciałbym aby hodowla zwierząt, ich transport i zabijanie były jak najbardziej humanitarne. Ale na to niestety nie mam najmniejszego wpływu. Czy to wystarczające usprawiedliwienie – nie wiem.

Wracając do myśliwych, to z całym naciskiem powtórzę: czerpanie radości z udanego polowania jest dla mnie po prostu obrzydliwe. Bo – mówiąc wprost – to radość z zabijania. A wszelkiego rodzaju tłumaczenia są zwykłą obłudą. Chyba nigdy w moim długim życiu nie znałem żadnego myśliwego. I całe szczęście. Bo nie wiem jak bym się zachował i czy zdobyłbym się na podanie mu ręki. Nigdy nie zaglądałem do czyjegokolwiek sumienia. Ale nie mogę się powstrzymać od refleksji: jak godzą przeciwnicy in vitro, aborcji, eutanazji z przyzwoleniem na zabijanie niewinnych, bezbronnych zwierzęcych matek i dzieci?

(napisane 1.IX.2015)

Biurokracja nie zastąpi kształcenia

W ciągu ostatnich kilku miesięcy przeczytałem osiem dramatycznych artykułów w tzw. opiniotwórczych tygodnikach. Napisanych przez wybitnych naukowców: profesorów i rektorów czołowych polskich uczelni. Wszystkie artykuły dotyczyły zauważalnego obniżenia poziomu kształcenia. Pozwolę sobie na wypunktowanie najpoważniejszych zarzutów, formułowanych nie przez ludzi spoza uczelni, ale przez uczonych zatrudnionych na etatach, z dorobkiem naukowym, o znanych nazwiskach i zajmujących różne eksponowane stanowiska w rozmaitych radach i komitetach oraz społecznych organizacjach.

Najpoważniejszy zarzut to zbiurokratyzowanie pracy naukowców, czasami do wręcz komicznych rozmiarów. Profesor ma obowiązek określić rodzaj spotkania: wykład, seminarium, konwersatorium, ćwiczenia. Następnie rozpisać konkretne tematy i przewidzieć ile na każdy z nich potrzeba będzie godzin. Ale to tylko wstęp. Profesor musi określić do każdego tematu Krajowe Ramy Kwalifikacji i przypisać punkty ETCS zgodnie z tzw. Konwencją Bolońską. Przyznaję, że się pogubiłem. A potem uzyskać zatwierdzenie przez Komisję Wydziału. Uff! Wręcz przerażająca biurokracja!

Pojawia się pytanie: kiedy profesor, skądinąd często wybitny naukowiec, ma zajmować się nauką? Przygotować do wykładu, mieć czas na dyskusje ze studentami? A przecież podstawową funkcją uczelni ma być kształcenie młodego pokolenia. Podobnie zresztą dzieje się w służbie zdrowia. Lekarze skarżą się, że wypisywanie przeróżnych formularzy ogranicza czas, który powinni poświęcać choremu, czas na badania i rozmowę. Pamiętam, że za czasów tzw. PRL narzekaliśmy na rozbudowaną w porównaniu z Zachodem biurokrację. Ba, teraz to dopiero mamy wszechwładne, wszechogarniające, zbiurokratyzowane państwo. Oplatające wszystkich od góry do dołu.

W końcówce lat czterdziestych byłem studentem dwóch uczelni: Uniwersytetu Łódzkiego i Wyższej Szkoły Muzycznej. Wśród moich profesorów były sławy międzynarodowe. Ich nazwiska znaleźć można do dzisiaj w encyklopediach różnych krajów. Opublikowali setki książek i artykułów. A przede wszystkim kształcili nas, studentów. Mógłbym poświęcić niejeden felieton na wspominanie długich rozmów i dyskusji z tymi wielkimi profesorami. Dla nas mieli zawsze czas!

Autorzy alarmujących artykułów niestety piszą także o upadku obyczajów naukowych uczelni. O personalnych rozgrywkach pomiędzy promoto-

rami a recenzentami, których ofiarami padają doktoranci. O pochlebnych recenzjach, za które trzeba płacić „z rączki do rączki". O czołowych profesorach, którzy mają po trzy, cztery(!) etaty w różnych uczelniach, najczęściej prywatnych. Te uczelnie chwalą się znanymi wykładowcami, a wykładowcy inkasują pieniądze za fikcyjne często wykłady. Czy można zatem się dziwić, że spadł autorytet profesorów? „Po znajomości" i „za prezenty" można załatwić stopień doktora. Media podają tytuły tych dysertacji doktorskich. Za czasów moich studiów nie byłyby nawet przyjęte jako prace magisterskie. A potem absolwent wyższej uczelni oburza się, że nie może znaleźć pracy. Chociaż pisze „ból" przez „u" otwarte, „umorzyć" przez „ż", a „pożyczkę" przez „rz", filharmonia przez „ch", wiolonczela przez „ą". Daję słowo, że wszystkie przykłady są autentyczne!

A co na to wszystko kolejni ministrowie nauki i szkolnictwa wyższego? Nadal będą „płodzili" kolejne biurokratyczne przepisy?

(napisane 9 IX 2015)

Cena zwycięstwa

Spróbuję podzielić się z Państwem osobistymi refleksjami na temat pierwszych, wstępnych wyników wczorajszych wyborów parlamentarnych.

Moim zdaniem, miażdżące zwycięstwo Prawa i Sprawiedliwości poza satysfakcją przyniesie tej partii problemy po prostu nierozwiązywalne. Spróbuję przedstawić niektóre z nich.

Członkowie i sympatycy PiS będą – co zrozumiałe – oczekiwali korzyści w postaci intratnych stanowisk. Kierownictwo partii będzie musiało je zaspokoić. A wbrew pozorom ilość takich stanowisk jest mimo wszystko ograniczona. Tym bardziej, że niektóre wymagają określonych, często bardzo wysokich kompetencji. Choćby znajomości jakiegokolwiek (ha-ha-ha!) obcego języka. Niezaspokojenie tych oczekiwań wywoła w partii falę intryg, personalnych rozgrywek, „podjazdowych wojenek", urażonych ambicji i ambicyjek. A potem poczucia rosnącego rozgoryczenia. Przecież setki osób liczą na objęcie stanowisk w ministerstwach, urzędach centralnych, spółkach skarbu państwa, placówkach dyplomatycznych, radach nadzorczych itd. Są przekonani, że lojalność zastąpi merytoryczne kwalifikacje.

Ba, ale oczekiwania członków i sympatyków partii to drobiazg w porównaniu z rozbudzonymi oczekiwaniami różnych grup społecznych. Przecież w kampanii wyborczej pan prezydent, pan prezes i przyszła pani premier składali wręcz niewiarygodną ilość obietnic. Teraz będą musieli wywiązać się z nich w ciągu najbliższych tygodni lub miesięcy. Czy jest to w ogóle możliwe? Było kiedyś takie stare powiedzenie: słowo wypowiedziane ptakiem - wraca wołem. Niebawem sprawdzi się jego słuszność. Obiecano, że rząd nie zamknie ani jednej kopalni. Ha, jak to zrobić? Skąd wziąć miliardy złotych i co na wspomaganie z budżetu nierentownych kopalń powie UE?

Przywrócenie poprzednio obowiązującego wieku emerytalnego to kolejna obietnica. Kosztująca również miliardy. A drażliwa sprawa obiecywanych podwyżek? Czekają na nie m.in. nauczyciele, służby mundurowe, urzędnicy samorządowi. Obiecano także zająć się tzw. umowami śmieciowymi. (Nawiasem mówiąc uważam tę nazwę za wyjątkowo głupią, ale to temat na osobny felieton). A czy nie słyszeliśmy z ust prominentnych polityków PiS o konieczności zwiększenia roli państwa? Ta obietnica, czy może raczej zapewnienie, przypomniała – jako żywo – zbiurokratyzowaną, zetatyzowaną ….PRL! I to ma być ta oczekiwana przez społeczeństwo zmiana? Ja należę do pokolenia, które jeszcze pamięta uciążliwą ingerencję państwa (i partii!) w rozmaite, nawet drobne sprawy. I zalew odgórnych przepisów. Ciekawe jak zareaguje dzisiejsze społeczeństwo na zwiększenie roli państwa w codziennym życiu obywateli. Czy składający takie obietnice politycy PiS nie rozumieją, że tego rodzaju plany są regresem i nawiązują do czasów sprzed transformacji z roku 1989?

A palący problem uchodźców? Możemy oczywiście ich nie przyjąć wbrew ustaleniom większości państw UE. Ale jak potem polski rząd będzie mógł domagać się zwiększenia dotacji na następne lata dla naszego kraju? W obecnym zglobalizowanym świecie nie można zapominać o przeróżnych współzależnościach gospodarczych, ekonomicznych, politycznych.

Kończąc te rozważania „na gorąco", zaryzykuję kontrowersyjną tezę: druzgocące zwycięstwo wyborcze PiS stanie się klęską tej partii. Dysponując pełnią władzy politycy PiS nie będą mogli swoich takich czy innych niepowodzeń tłumaczyć działaniami opozycji. Jak wiadomo, rządy najczęściej mówią społeczeństwu: „chcieliśmy to zrobić, ale opozycja przeszkadzała". Ten wykręt nie ma racji bytu kiedy dysponuje się pełnią władzy. Obecnie PiS łączy prezydenturę z miażdżącą przewagą sejmową. A obiecuje ponadto dokonać zmian w sądownictwie i mediach publicznych. I chce także uchwalić nową konstytucję.

Wtedy zniknie demokratyczny podział na władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Brrr! I to miałby być ten upragniony postęp?

Gdzieś w zakamarkach mojej pamięci kołacze się słowo „totalitaryzm". Podobno istnieje w Rosji i na Białorusi. Podobno chce go wprowadzić na Węgrzech Orban. Ale jestem przekonany, że nie da się totalitaryzmu narzucić Polakom. Dlatego nie przestraszyłem się wyników ostatnich wyborów. I dlatego powtórzę: zwycięstwo PiS w tych wyborach niesie – moim zdaniem – zapowiedź klęski tej partii. I dlatego, po trzecie, patrzę w przyszłość optymistycznie.

(napisane 26 X rano!)

Więcej pokory

Uważne wczytanie się w oficjalne wyniki wyborów parlamentarnych pozwoliło mi na wyciągnięcie zaskakujących wniosków. Pozwolę sobie na ich prezentację.

Według danych z roku 2013 było nas, Polaków, 38.530.000. Nie sądzę aby ewentualne dane z bieżącego roku bardzo się różniły. Uprawnionych do głosowania było 30.629.150 pełnoprawnych i pełnoletnich obywateli. Ważnych głosów oddano 15.200.671. Powyższe liczby podaję na podstawie oficjalnie publikowanych informacji. Z porównania takich liczb wynika, że głosowało zaledwie 50,02% uprawnionych. To pierwszy zaskakujący, jakże smutny wniosek. Prawie połowa Polaków zrezygnowała z fundamentalnego prawa demokratycznego: udziału w wolnych wyborach! Demonstracyjny bojkot czy obojętność? A może niewiara w skuteczność jakiegokolwiek wyboru? Naprawdę nie potrafię odpowiedzieć na te pytania. Przecież przez lata opozycja w PRL walczyła o prawdziwie wolne wybory. Nawet te z roku 1989 uznała za nie w pełni wolne i demokratyczne. Co takiego stało się zatem, że frekwencja w całkowicie wolnych wyborach w roku 2015 była wręcz katastrofalnie słaba? Nikt – o ile się orientuję – nie kwestionował legalności partii, które zdobyły wymaganą ilość głosów poparcia na zgłaszanych listach. Partie i kandydaci prezentowali szerokie spektrum światopoglądowe, od skrajnie lewicowych do skrajnie prawicowych. Od w pełni legalistycznych do radykalnie antysystemowych. Przepraszam za kolokwialne stwierdzenie: było w czym wybierać. Ale pomimo to prawie połowa Polaków nie chciała wybierać. Dlaczego?

Wracajmy jednak do liczb. Na zwycięską partię, PiS, głosowało 5.711.687 obywateli. Ta ilość to 37,58% głosujących. PO mniej – 24,09%. Kolejno: Kukiz 15 – 8,81%, Nowoczesna – 7,60% i PSL 5,13%. Pozostałe partie nie uzyskały wymaganych limitów. Tak więc w Sejmie znalazło się pięć partii.

Na tym mógłbym zakończyć prezentację wyników wyborów gdyby nie jedna bardzo istotna kwestia. Reakcja zwycięskiej partii, a może raczej jej członków i sympatyków. Ta reakcja była dla mnie wręcz zaskakująca. Spróbuję teraz wyjaśnić dlaczego.

Zaledwie 37% głosujących jest rzeczywiście znakomitym wynikiem. A raczej byłby, gdyby tych głosujących nie było niewiele ponad 50% uprawnionych. Jak wiadomo liczby nie kłamią. Te 37% to zaledwie…18,64% wszystkich uprawnionych. (Te liczby podaję za oficjalnymi publikacjami). Trudno uważać taki wynik za miażdżące zwycięstwo. Za oszałamiający sukces. Podam prosty przykład. Wyobraźmy sobie 100 osób, np. jakieś stowarzyszenie. Członkowie wybierają przewodniczącego. Po przeliczeniu głosów okazuje się, że zdobył 18 czy 19. Czyli tylko tylu członków obdarzyło go zaufaniem. Czy ktoś z nas chciałby w takiej sytuacji objąć stanowisko przewodniczącego? Przy tak skromnym zaufaniu?

Zdaję sobie sprawę, że wybory parlamentarne to coś zupełnie innego niż wybór przewodniczącego małego stowarzyszenia. Ale problem moralny pozostaje. Ilu Polaków zaufało PiS-owi? 5.711.687. Dużo to czy mało? Przecież to niewątpliwa mniejszość w stosunku do całej populacji. Zaledwie niecałe 19%. To nawet nie jedna czwarta! Ledwo – ledwo niecała jedna piąta! Słaby to mandat dla partii. Według mnie zbyt słaby aby dokonywać rewolucyjnych zmian. I stąd tytuł tego felietonu. Moim zdaniem, członkowie i sympatycy PiS powinni okazać więcej pokory. Powinni pamiętać, że będą rządzić ponad 38 milionami Polaków w imieniu niecałych 6 milionów. To ogromna odpowiedzialność.

Mili Państwo, czytający moje felietony. Dobrze wiecie, że unikam tzw. wielkich słów. Nie napiszę zatem, że ci, którzy zgodnie z demokratycznymi prawami będą teraz rządzili, odpowiedzą przed historią. I ponadto, co jest znacznie mniej przyjemne, przed narodem. I to nie kiedyś w przyszłości, ale w ciągu najbliższych lat. A niestety, obserwując zachowanie kierownictwa PiS, zauważam rosnące samozadowolenie, by nie rzec – triumfalizm. I bynajmniej nie skrywane plany przejmowania wszelkich możliwych stanowisk, czyli pełnię władzy. A także coraz częstsze, wyrażane otwarcie przekonanie o własnej nieomylności. Pamiętam aż nadto dobrze zwrot, który powtarzali działacze

różnych szczebli przez kilkadziesiąt lat PRL: „ależ towarzysze, to my mamy rację". Wiemy czym się to skończyło.

Dlatego jeszcze raz powtarzam, więcej pokory także w stosunku do tych, którzy mają inny światopogląd, polityczne przekonania, sympatie. I do tych, co nie poszli na wybory. Aby za cztery lata z pełnym zaufaniem oddali swoje głosy… A na kogo, naprawdę nie potrafię powiedzieć.

Muzyka łagodzi obyczaje?

Podobno to jeszcze sam Arystoteles sformułował takie piękne zdanie. Równie piękne jak nieprawdziwe. Przykro mi to pisać, ale nie sądzę, aby muzyka mogła w ogóle cokolwiek łagodzić. Podobnie zresztą jak inne sztuki piękne. Żadna powieść lub poemat, nawet arcydzieło literatury, nie miały wpływu na politykę czy wydarzenia historyczne. Także święte księgi z Biblią włącznie nie oddziaływały na rzeczywistość. Opisywały ją, komentowały, ale nie miały bezpośredniego wpływu na to co działo się aktualnie w życiu społeczeństw. Niestety. Również cudownie piękne świątynie, rzeźby i obrazy nie powodowały wzrostu religijności. Były wyrazem pobożności wiernych a nie jej przyczyną. Tak samo z muzyką.

Jeśli naprawdę genialny filozof Arystoteles był autorem tytułowej sentencji, to należy ją traktować jako hołd dla innego genialnego filozofa, Platona. To właśnie Platon uznał muzykę za ważny czynnik wychowawczy społeczeństwa, a zwłaszcza młodzieży. W swoim fundamentalnym dziele zatytułowanym „Państwo", Platon wyznaczył muzyce najważniejszą rolę w codziennym życiu. (Oczywiście poza filozofią). Ustalił nawet jaki rodzaj muzyki należy śpiewać i grać o danej porze dnia i przy wykonywaniu jakich czynności. Brr! Pomimo tych zaleceń nie udało się Platonowi – jak wiadomo – stworzyć idealnego społeczeństwa. A obyczaje skłóconych obywateli państewek starożytnej Grecji trudno byłoby nazwać łagodnymi.

Na płaskorzeźbach starożytnej Asyrii widzimy rzędy harfiarzy, wzmagających muzyką zapał bitewny wojowników. A król Dawid, który według mitu grał na harfie, nie dość, że długo podbijał sąsiednie państwa, to jeszcze muzyka nie przeszkodziła mu w uwiedzeniu cudzej żony i wysłaniu jej męża na śmierć. W średniowieczu przy wtórze nabożnych pieśni świętego Ambrożego spalono na stosach tysiące katarów, albigensów, templariuszy. A kiedy działała inkwi-

zycja, w kościołach rozbrzmiewała wielka muzyka nadwornego kompozytora papieża Marcelego – Giovanniego Palestriny. Czy muszę jeszcze przypomnieć, że w okresie rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich powstawały arcydzieła Mozarta i Beethovena? A w czasie paryskiej „Wiosny Ludów" powstały w tym samym mieście pełne romantycznej czułości, delikatności i zadumy miniatury Chopina i Liszta. Kiedy kilkadziesiąt lat później wojska carskie krwawo tłumiły w Polsce powstanie listopadowe, światowej sławy polski skrzypek Henryk Wieniawski był nadwornym muzykiem… cara Aleksandra II. I grał dla niego polskie polonezy, mazurki, kujawiaki, oberki.

Czym była I wojna światowa, nie trzeba przypominać. W tym samym czasie we Francji tworzyli tacy wielcy kompozytorzy jak Debussy i Ravel, a w Niemczech Richard Strauss. Ale może raczej powinienem odwrócić kolejność i napisać: pomimo że komponowali Debussy, Ravel i Strauss – politycy i generałowie wysyłali na bezsensowną śmierć tysiące ludzi?

II wojna światowa i lata ją poprzedzające dostarczyły nowych argumentów, że wbrew Arystotelesowi muzyka nie łagodzi obyczajów. Hitler i znaczna część dostojników III Rzeszy była ….melomanami. Zostało to udokumentowane w historii. Wystarczy tutaj jeden przykład. Przerażający zbrodniarz, Reinhardt Heydrich, twórca SD i namiestnik Czech był w młodości skrzypkiem. O najbardziej muzykalnym narodzie w Europie, czyli Niemcach, napiszę – być może kiedyś – osobny felieton. O łączeniu zamiłowania do muzyki z Holokaustem.

Pamiętam, że już jako trzydziestolatek mówiłem głośno, że nie należy mylić kategorii. Rozumiałem pod określeniem „kategoria" różne dziedziny ludzkiej działalności. Egzystują obok siebie, ale wypływają z różnych źródeł, odmienne mają cele i mogą – ale nie muszą! – wpływać na siebie wzajemnie. I przy ich rozważaniu trzeba brać pod uwagę uwarunkowania danej epoki, wychowanie, otoczenie, tradycje. A przede wszystkim charaktery samych twórców. Przykro mi to napisać, ale wielu geniuszy nie było osobami na najwyższym poziomie moralnym. Wśród nich możemy znaleźć – przepraszam za słowo – zwykłych awanturników, pijaków, złodziei, oszustów, tzw. dziwkarzy, lizusów, karierowiczów, snobów, niewiernych mężów, różnego rodzaju zboczeńców a nawet jednego mordercę. Oczywiście byli to nie tylko kompozytorzy, ale także pisarze, malarze, rzeźbiarze, architekci. Ich obyczajów muzyka jakoś nie złagodziła.

Odważyłem się nie zgodzić z Arystotelesem. Muzyka nie tylko nie łagodzi czyichkolwiek obyczajów, ale nie potrafi nawet uszlachetnić samych kompozy-

torów i wykonawców. I zaryzykuję twierdzenie, że jej społeczne znaczenie to tylko i wyłącznie zawarte w dźwiękach piękno. Nieśmiertelne!

P.S.

O obecnej, tzw. muzyce użytkowej nie warto – moim zdaniem – w ogóle pisać. Na pewno nikogo i niczego nie złagodzi.

(napisane 25 sierpnia 2015)

Współczuję Kaczyńskiemu

Zapewniam, że ten tytuł nie zawiera jakiejkolwiek złośliwości. Szczerze, bez żadnych ubocznych myśli, współczuję panu Jarosławowi Kaczyńskiemu jako człowiekowi. A dlaczego – spróbuję wyjaśnić.

W zawodzie muzyka, podobnie jak tancerza czy aktora, wieczorne powroty do domu są czymś nader częstym. Czasami bywają to powroty po dłuższej nieobecności, na przykład po zakończeniu tournee w kraju lub zagranicą. Ale najwięcej tych wieczornych powrotów ma miejsce po zwykłych koncertach i spektaklach. I wiem z własnych doświadczeń oraz zwierzeń koleżanek i kolegów jak ważne jest aby po wyjściu z autobusu, tramwaju, własnego samochodu czy taksówki móc zobaczyć choćby w jednym oknie mieszkania zapalone światło.

Oho, pali się lampa, ktoś bliski na mnie czeka. Zapyta jak było na koncercie czy spektaklu. Odniosłem sukces? Jak długo klaskano? A może czuję niezadowolenie z występu? Zdaję relację, zwierzam się, odpowiadam na pytania. Nie jestem sam ze swoimi myślami i emocjami. Jest przy mnie bliska osoba. Przeżywałem te wieczorne powroty i rozmowy dosłownie setki razy. I wiem, że tak samo przeżywali to znajomi muzycy, aktorzy, tancerze.

A jak wyglądają powroty pana Kaczyńskiego? Po całym dniu pracy wraca do pustego domu. W żadnym oknie nie pali się światło. Nikt bliski nie czeka. Przerażająca samotność. Obcy ludzie, agenci bezpieczeństwa, odejdą. Oczywiście będą mniej lub bardziej z ukrycia pilnować spokoju pana Kaczyńskiego. To ich obowiązek, za to otrzymują pensję. Ale czy to zastąpi troskliwość bliskiej osoby?

Miła Czytelniczko, Miły Czytelniku wyobraź sobie, że wracasz do pustego domu czy mieszkania, gdzie nikt na ciebie nie czeka. Gdzie nikt nie zapali

światła w oczekiwaniu na twój powrót. To światło jest znakiem, że nie jesteś sam. Mieliśmy kiedyś w rodzinie małego, rozpieszczonego pieska. Cieszył się z każdego mojego powrotu, witał mnie radośnie. Ocierał się o moją nogę, a ja obowiązkowo musiałem go głaskać. Kiedy miał dość pieszczot, odchodził na swoje posłanie. Już mu nie byłem potrzebny. Moje sprawy nie były jego sprawami. A bliska osoba, choćby nie wiem jak zmęczona, zostawała ze mną, abym nie czuł się samotny.

Z panem Kaczyńskim nikt nie zostanie. Dlatego mu współczuję. W ciągu dnia otacza go tłum zwolenników, słyszy niewybredne pochlebstwa. Ale kiedy wraca do domu – zostaje sam. Oczywiście mógłby zatrzymać na te wieczory dowolną ilość osób. Tylko czy byłyby naprawdę bliskie panu Kaczyńskiemu? Znamy z historii mnóstwo relacji o wieczorach i nocach, które czołowi mężowie stanu spędzali z najbliższymi współpracownikami. A ci wysłuchiwali monologów swoich szefów albo oglądali z nimi filmy. A może powinienem jeszcze dodać jeden czasownik „musieli". Te fakty są udokumentowane w historii. Gdy tylko władca odchodził wreszcie do sypialni, ci najbliżsi współpracownicy, zajmujący przeważnie najwyższe w państwie stanowiska, mogli wreszcie udać się na spoczynek.

Najwspanialsze pałace, apartamenty oświetlone rzęsiście przez setki reflektorów, nie zastąpią jednej lampki w pokoju ogrzanym uczuciem bliskiej osoby. I dlatego – powtarzam – współczuję z całego serca Kaczyńskiemu. Jak człowiek człowiekowi. Zapewne nigdy się o moim współczuciu nie dowie. A być może lata jego działalności politycznej spowodowały, że nie potrzebuje już ciepła bliskiej osoby. Że wystarczą mu zwolennicy, wielbiciele, wyznawcy. Jeśli tak jest, to tym bardziej mu współczuję. Stracił – być może - bezpowrotnie ogromną wartość: zdolność wzruszania się światłem w oknie, którą zapalił ktoś, kto czeka. To naprawdę więcej warte niż wszystkie zaszczyty, pochlebstwa i hołdy.

(napisane 22 XII 2015)

Do broni!

Politycy z prawa i z lewa prześcigają się w wezwaniach do zwiększania obronności kraju oraz w straszeniu zagrożeniem bezpieczeństwa obywateli. Metody, sposoby i argumenty bywają różne. Spróbujmy zająć się niektórymi,

dominującymi w tej atmosferze bliskiej histerii. I pełnej zarazem patriotycznych frazesów.

Najczęściej bodaj używanym argumentem była jakoby potrzeba posiadania silnej armii. Nie rozumiem tego określenia; jest zbyt enigmatyczne. Co oznacza przymiotnik „silna"? 100.000 żołnierzy czy cały milion? Ile samolotów lub czołgów? A co z flotą? Póki co z tym u nas nie najlepiej. Podobno jednak mamy za to najwięcej w NATO generałów. Aby zorganizować „silną armię", trzeba, jak wiadomo, mnóstwa pieniędzy. Skąd je wziąć? Z edukacji, służby zdrowia, kultury? Bogatsze i większe od nas Niemcy zabezpieczyły w budżecie 1,6% na tzw. obronę. A my w Polsce już teraz mamy 2% budżetu. Czyżbyśmy chcieli jeszcze więcej?

Ale najbardziej szokujące okazuje się, że w porównaniu z kwotami, które na zbrojenia wydają Stany Zjednoczone, Chiny czy Rosja – to gdybyśmy nawet „wyskrobali" z budżetu 3%, to i tak nie zbudujemy silnej armii w porównaniu z tamtymi państwami.

I dlatego zaryzykuję twierdzenie, że każda złotówka wydana przez nas na zbrojenia będzie – mówiąc brutalnie – zmarnowana. Ponieważ w żaden sposób nie zapewni Polsce tak upragnionego przez polityków bezpieczeństwa. W rzeczywistości – rzekomego! Przykro mi to powiedzieć, ale nasi politycy prezentują w swoich wypowiedziach anachroniczne myślenie. Moim zdaniem, we współczesnym świecie bezpieczeństwo zapewniają niestety gry i gierki wielkich mocarstw. Oraz ich, nie zawsze czyste, interesy.

A tak na marginesie, warto byłoby sprawdzić jaki procent swoich budżetów wydają na zbrojenia najbogatsze państwa świata. Ja w każdym razie pamiętam, że po roku 1945 Japonia przez dziesięciolecia nie miała w ogóle armii. I na tym właśnie zbudowała swoje bogactwo i międzynarodową pozycję. Bo o sile państwa nie świadczą dzisiaj czołgi i żołnierze, ale gospodarka i kultura społeczeństwa.

Skoro już mówimy o naszym bezpieczeństwie, to może należałoby zadać pytanie: kto Polsce mógłby zagrozić? Z najbliższych sąsiadów, złożonych głównie z małych państw – raczej nikt. Pozostają trzy większe: Ukraina, Niemcy, Rosja. Tę pierwszą można wyłączyć. Trudno bowiem wyobrazić sobie ukraińską armię wkraczającą do Polski w charakterze agresora, skoro nie może sobie dać rady z separatystami na wschodzie kraju. No, a Niemcy? Też mało prawdopodobne z uwagi na wciąż żywe resentymenty z II wojny światowej. Ha, to pozostaje Rosja! Muszę przyznać, że prezydent Putin nie cieszy się moją sympatią

i uważam go za polityka raczej nieprzewidywalnego. Ale jestem przekonany, że nie ma samobójczych myśli. Nie trzeba być strategiem, aby przewidzieć skutki ewentualnej agresji rosyjskiej na Polskę. Czytałem kiedyś wywiad z polskim generałem w stanie spoczynku. Wręcz wyśmiał głoszone przez niektórych pseudo-ekspertów „proroctwa". Stwierdził, że armia rosyjska pokonałaby polską w 7 - 10 dni. Ba, ale co dalej? Ewentualna rosyjska okupacja Polski kosztowałaby zbyt dużo. Po prostu byłaby nieopłacalna. I Polacy i Rosjanie wiedzą, że nas nie da się ujarzmić. Przekonali się o tym Niemcy w czasie lat okupacji.

Kończąc te przydługie rozważania, proszę miłych Czytelników. Nie dajcie się zastraszyć politykom. Nie grozi nam żadna agresja. Ani ze strony Rosji ani tym bardziej jakichkolwiek uchodźców. Naprawdę jedyne realne zagrożenie stanowimy my sami. A tak! Nasze fobie, mity, przesądy. To my sami jesteśmy niestety własnymi wrogami. Aby pokonać tę wrogość, złość, agresję, nienawiść nie potrzeba ani miliardów złotych, ani nowoczesnego uzbrojenia. Wystarczy jedynie w rodakach zobaczyć braci.

(napisane 21 X 2015)

Wszyscy jesteśmy uchodźcami

W roku 1919 moja rodzina przyjechała pociągiem z Rosji Radzieckiej do Polski. Opowiadał mi o tym później mój ojciec. A po wielu latach niemal dokładnie ten sam opis przeczytałem w „Przedwiośniu" Żeromskiego. Nazwał tamten pociąg eszelonem. Rodzina składała się wówczas z mojego ojca i jego ojca w stadium daleko posuniętej sklerozy, chorej na zaawansowaną gruźlicę żony oraz trojga dzieci: 19-letniego Kazimierza, 16-letniego Michała i 15-letniej Marii. Ponieważ ojcu nie udało się zatrudnić na stałe w Warszawie, pojechali wszyscy do Kalisza. Tam ojciec został dyrektorem szkoły muzycznej i prezesem Towarzystwa Muzycznego.

Piszę o tym, ponieważ wszyscy z mojej rodziny byli Polakami wyznania rzymskokatolickiego. W domu (tak opowiadał mi ojciec) rozmawiało się wyłącznie po polsku. Ale… ale – o ile wiem – wszyscy rodzili się w Rosji! Tam mieszkali, uczyli się, pracowali. I nader istotny szczegół: ojciec mojego ojca, czyli mój dziadek, był lekarzem wojskowym carskiej armii. Tak więc mogę nazywać moją rodzinę uchodźcami. Osiedlili się – jak wyżej napisałem – w Kaliszu. Tam umarł mój dziadek i pierwsza żona ojca. Po jej śmierci ojciec ożenił

się po raz drugi i z tego małżeństwa w roku 1926 urodziłem się ja, jako potomek uchodźców. I to zaledwie w pierwszym pokoleniu.

Ten przydługi wstęp był konieczny, aby przedstawić zawiłe losy milionów Polaków. Przecież po I wojnie światowej do nieznanej często ojczyzny przybyli uchodźcy z wielu krajów, nieraz bardzo odległych. Jak mi opowiadano, zdarzało się, że niektórzy słabo mówili ojczystym językiem. Mój ojciec na przykład do końca życia zmiękczał końcówki niektórych słów. Co – przyznaję – bardzo mnie śmieszyło w dzieciństwie. Ci wszyscy uchodźcy włączyli się w odbudowę odzyskanej ojczyzny. Jak wiadomo z historii byli wśród nich oficerowie zaborczych armii, którzy szybko awansowali na generałów Wojska Polskiego. Inni zostali wysokimi urzędnikami w centralnych urzędach. Uchodźcy stworzyli polską naukę a niektórzy zdobyli międzynarodową sławę. Podobnie było w kulturze. Wystarczy sięgnąć do encyklopedii aby znaleźć dziesiątki nazwisk. A wśród nich Józefa Piłsudskiego! Pochodził przecież z kresowej rodziny.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że istnieje zasadnicza różnica pomiędzy przybyłym do odrodzonej Polski po I wojnie światowej kresowiakiem lub reemigrantem z Niemiec. Ale do Polski przyjechali również uchodźcy z Rosji, uciekający przed nową, bolszewicką władzą. A potem także uciekinierzy z hitlerowskich Niemiec. Tysiące osiedliły się zarówno w Polsce jak i w licznych krajach zachodniej Europy, a także w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Nie mogę w tym miejscu powstrzymać się od przypomnienia, że gdyby nie europejscy uchodźcy nie powstałaby bomba atomowa! Warto zastanowić się dlaczego ci wielcy uczeni i artyści opuszczali swoje rodzinne kraje.

Moim zdaniem podstawową przyczyną była zmiana politycznego ustroju. To właśnie autorytaryzm stalinowski i hitlerowski uniemożliwił tym wybitnym osobowościom życie i pracę w rodzinnym kraju. Wystarczy kilkanaście nazwisk: Einstein, Toscanini, Shoenberg, Adorno, Picasso, Jaspers, T. Mann, H. Mann, Fermi, Klemperer, Meitner, Schroedinger, Neumann, Strawiński, Rachmaninow, Kusewicki, Szaliapin, Zweig.

My w Polsce również wiele zawdzięczamy przybyszom z innych krajów. Byli wśród nich np. Żydzi, którzy uciekli w XV w. z Hiszpanii. To ich potomkowie w ciągu następnych wieków weszli do polskiej elity naukowej i kulturalnej. Dali nam wybitnych matematyków, prawników, lekarzy. A także światowej sławy artystów. Skąd możemy wiedzieć czy wśród potomków obecnych uchodźców z Bliskiego Wschodu nie pojawią się wybitne jednostki, które „odpłacą

się" za gościnę, udzieloną dzisiaj ich rodzicom czy dziadkom. Ale powyższe wywody nie są tak ważne jak zwykła ludzka solidarność. Uchodźcy to przecież nasi bliźni. Czy można odmówić im pomocy, życzliwości, troski, zrozumienia. Nie wymagam miłości do uchodźców ani nawet zwykłej sympatii. Myślę, że wystarczy jeśli zobaczymy w nich po prostu ludzi w potrzebie. Czy to jest aż tak bardzo trudne?

Czego brakuje politykom?

Odpowiedź na pytanie zawarte w tytule brzmi: wielu rzeczy. I powinienem dodać, że na szczęście nie wszystkim politykom, choć – niestety – znacznej ilości. Po pierwsze brakuje inteligencji. Tak, tak! Brakuje tej najzwyklejszej inteligencji. Niezależnej od wykształcenia, wieku, pochodzenia społecznego, zajmowanego stanowiska. A czymże jest ta inteligencja? Pokrótce: zdolność rozumienia, kojarzenia, wyciągania właściwych wniosków i celowych reakcji. Czytając i słuchając wypowiedzi jakże wielu polityków można zauważyć że smutkiem brak inteligencji, pomimo obfitego słowotoku.

Następnym, jeszcze poważniejszym mankamentem wielu polityków jest brak kompetencji czy – jak kto woli – kwalifikacji. Posłużę się przykładem z mojego życia zawodowego. Kiedy jakikolwiek muzyk zgłasza się do pracy w orkiestrze symfonicznej, musi zostać przesłuchany publicznie przez komisję składającą się z dyrygenta i kilku najlepszych instrumentalistów. Musi zgrać ileś tam utworów solowych i orkiestrowych. Po przesłuchaniu odpowiada na różne pytania, m.in. jakie ma studia i staż. Mnie osobiście mniej to interesowało, zgodnie ze starym powiedzeniem, że „dyplom nie gra". Nigdy natomiast nie padają pytania o sprawy osobiste: rodzinne, światopoglądowe, przekonania, polityczne itd.

Kiedy potrzebuję porady lekarskiej, zupełnie nie interesują mnie również sprawy osobiste lekarza, w tym jego światopogląd i przekonania polityczne. Jedynie ważne są jego medyczne kompetencje. Być może kogoś urażę, ale jeśli dowiem się, że znakomity chirurg, który będzie mnie operował, bije swoją żonę i dzieci – straci w moich oczach jako człowiek. Nie wpłynie to jednak na moje zaufanie do niego jako wybitnego fachowca. Jakże często mylimy fachowość z moralnością. Znałem wielu znakomitych muzyków i aktorów o nader wątpliwym morale w życiu osobistym. Ale na estradzie i scenie byli prawdzi-

wymi artystami i dostarczali tysiącom słuchaczy czy widzów niezapomnianych przeżyć.

Użyłem w poprzednim akapicie słowa „kompetencje". Czas aby to wyjaśnić. Kompetencja to odpowiedni zakres wiedzy i umiejętności, fachowości i odpowiedzialności. A to samo słowo użyte w liczbie mnogiej określa formalny zakres uprawnień do jakiegoś działania. Podobne znaczenie ma słowo kwalifikacje. To nic innego jak zasób wiedzy i umiejętności wymagany do wykonywania jakiegoś zawodu lub zajmowania danego stanowiska. Nie sięgajmy do przykładów z rozlicznych zawodów, tak odmiennych jak np. lekarz i kierowca autobusu, aktorka i hydraulik, fizyk i krawiec. Zajmijmy się politykami. Otóż zaryzykuję w tym miejscu pogląd, że naszym politykom najbardziej brakuje w istocie kompetencji. Obserwując to, co mówią i piszą, a przede wszystkim co robią – bez trudu można zauważyć brak kompetencji. Tak, właśnie tak! Moim zdaniem brak kompetencji rządzących w Polsce jest największą słabością całego państwa. Aby nie być gołosłownym, posłużę się paroma najbardziej ewidentnymi przykładami.

Kompetentny polityk wie, że każda podejmowana decyzja będzie miała skutki sięgające w przyszłość. Pięćsetzłotowa zapomoga na dziecko od 1 kwietnia bieżącego roku będzie działała w następnym roku już od 1 stycznia. A zatem odpowiednia kwota zabezpieczona ewentualnie w tegorocznym budżecie (o ile w ogóle!) na osiem miesięcy, nie wystarczy na dwanaście miesięcy roku przyszłego. Inne przykłady. Czy jakikolwiek kompetentny ekonomista obliczył ile decyzja o obniżeniu wieku emerytalnego będzie kosztowała budżet państwa? Zmiana obowiązku szkolnego z 6 lat na 7 spowoduje konieczność zwolnienia nauczycieli. A co jeżeli zabranie miejsc w przedszkolach . Czy ktoś z kompetentnych socjologów, statystyków, demografów przeprowadził badania i wie jakie będą skutki pochopnej decyzji nowej pani minister edukacji?

I tutaj dochodzimy do najpoważniejszej sprawy. Jak to się mogło stać, że podjęto tyle wątpliwych decyzji? I kto jest za to odpowiedzialny? Rzetelna odpowiedź wymagałaby dogłębnej analizy, na którą nie ma miejsca w krótkim felietonie. Spróbuję jednak zasugerować kilka przypuszczeń. Obserwując od wielu lat jakie stosowane są kryteria przy wyborze kandydatów na stanowiska ministrów, zauważyłem, że podstawowym okazuje się …lojalność wobec szefa partii. To nie żart, drodzy Czytelnicy! Przypominam sobie o czym pisałem na początku tego felietonu. Dla mnie podstawowym, a może nawet jedynym, kryterium zatrudnienia muzyka była umiejętność grania. Umiejętność czyli

fachowość czyli kompetencja. A ilu jest i było w rządzie (obecnym i poprzednich!) kompetentnych fachowców? Czy liczyła się wiedza i umiejętność? Nie! Liczyła się partyjność.

Szczycimy się, że nasz ustrój nazywa się demokracją. Niestety, należałoby zmienić tę nazwę. To nie demokracja lecz partiokracja!

A jaki jest nasz parlament? Jakie kwalifikacje mają posłowie i senatorowie by stanowić prawo? Przecież niektórzy z nich nie potrafią nawet posługiwać się poprawną polszczyzną. A jeśli nawet sklecą jakieś zdanie, to mówią urągające rozsądkowi głupoty. Przykro mi, że ten felieton utrzymany jest w minorowej tonacji. Ta muzyczna aluzja ma pokazać, że drzemią we mnie resztki dawnej zawodowej kompetencji. I na zakończenie majorowy, czyli optymistyczny akcent: mam nadzieję, że doczekam jeszcze dnia, kiedy naszym krajem będą rządzili kompetentni ludzie. Kiedy ideologia nie będzie zastępowała wiedzy i umiejętności. Dla naszego wspólnego dobra.

Obłuda Europy

Kiedy słyszę różne antymigracyjne wypowiedzi, nie wiem czy mam się oburzać czy śmiać. Zaiste, Europejczycy są ostatnimi ludźmi, którzy mają moralne prawo, aby oskarżać muzułmanów z państwa islamskiego o zbrodnie. Przecież liczba ofiar w historii Europy jest wręcz przerażająca. Spróbuję przypomnieć najbardziej znane.

Rzymianie przez setki rządzili ogromnymi obszarami wokół Morza Śródziemnego. Stosowali słynne rzymskie prawo, którego do dzisiaj uczą się studenci wydziału prawa wszystkich uniwersytetów. To prawo zezwalało na okrutne widowiska w amfiteatrach, od krwawych walk gladiatorów aż do rozszarpywania niewinnych ludzi (w tym dzieci) przez dzikie zwierzęta. Jak Rzymianie zemścili się na zbuntowanych gladiatorach Spartakusa – wiemy. Podobnie postąpili z Kartagińczykami i Żydami. Wszystko to zapisali czołowi rzymscy kronikarze. O prześladowaniu chrześcijan również.

Kiedy chrześcijaństwo w IV wieku stało się w cesarstwie rzymskim obowiązującą religią, zaczęło postępować tak samo. Zabijano nie tylko pogan (przy okazji nawracania!) lecz także heretyków, czyli odstępców od jedynej prawdziwej wiary. W czasie tzw. krucjat przeciwko albigensom, waldensom, katarom wymordowano setki tysięcy niewinnych ludzi. Tylko dlatego, że mieli

inny pogląd na Trójcę Świętą albo podwójną naturę Chrystusa. Kiedy wojska króla Francji szykowały się do decydującego natarcia na miasto Beziers, gdzie schroniły się resztki katarów, wódz Szymon de Monfort zapytał legata papieskiego Arnolda Amalrica co mają robić po zdobyciu miasta. Znajdowali się tam przecież, poza heretykami, prawowierni chrześcijanie. Odpowiedź była krótka: „Zabijcie wszystkich. Bóg odróżni swoich". Był to rok 1209. Na stosach w roku 1314 spalono setki Rycerzy Chrystusowych zwanych templariuszami z wielkim mistrzem Jakubem de Molay.

Inni rycerze - zakonnicy, których nazywamy Krzyżakami, wymordowali dwa plemiona: Jaćwingów i Prusów. Po tych pierwszych nie pozostała nawet nazwa, a po drugich jedynie nazwa terytorium.

Kiedy Europejczycy zdobywali nowe ziemie, zabijali rdzennych mieszkańców. Tak postępowali Hiszpanie i Portugalczycy. Potem także Anglicy, Francuzi, Holendrzy, Belgowie.

Niewolnictwo w Stanach Zjednoczonych to następna czarna karta w dziejach Europy. Przecież wszyscy bez wyjątku Amerykanie byli emigrantami z Europy! I uważali się za właścicieli murzyńskich niewolników. To było prawo białego człowieka. Wymordowanych tubylców z Ameryki Północnej i Południowej historycy liczą na miliony.

Wróćmy jeszcze do wypraw krzyżowych. Jak zapisali europejscy kronikarze po zdobyciu Jerozolimy w roku 1099, rycerze krzyżowi zabili około 100 000 muzułmanów. Ale to jeszcze nic w porównaniu z IV wyprawą. Sfinansowała ją Republika Wenecka. Flota z krzyżowcami zawinęła do Konstantynopola i zamiast płynąć dalej do Ziemi Świętej aby wyzwalać Grób Święty, pobożni rycerze zaczęli rabować, palić, niszczyć, zabijać chrześcijańskich mieszkańców stolicy cesarstwa wschodnio - rzymskiego. Nie oszczędzali nawet kościołów. A tym bardziej zakonnic, które „dla zabawy" (co zapisała historia) gwałcili specjalnie na ołtarzach. Bowiem zarówno kościoły jak i zakonnice były prawosławne!

Palenie w Europie czarownic stało się masowe między XV a XVII wiekiem. Według historyków okrutną śmierć poniosło ponad milion niewinnych kobiet i dziewcząt. W roku 1496 opublikowano unikalne w dziejach ludzkości dzieło. Nosiło złowrogi tytuł „Młot na czarownice" („Maleus Maleficarum") i było podręcznikiem dla członków inkwizycyjnych sądów. Autorami byli dwaj inkwizytorzy: Institoris i Sprenger. Watykan dzieło zatwierdził. W tym miejscu warto przypomnieć o kolejnym przykładzie obłudy Europy. Sądy inkwizycyjne

były w ręku ojców dominikanów. Ale kiedy torturami sprawiono, że oskarżone przyznawały się do obcowania płciowego z diabłem i do rzucania czarów – oddawano nieszczęsne ofiary w ręce świeckiego wymiaru sprawiedliwości. Czyż w podobny sposób nie działali osławieni „urzędnicy zza biurek" w hitlerowskich Niemczech?

A co mam jeszcze dodać z „pełnej chwały" historii Europy? Wojnę stuletnią między Anglią i Francją? Może także wojnę trzydziestoletnią? W jej wyniku zniszczono przecież połacie Śląska i wymordowano tysiące ludzi. A warto się zastanowić nad tym kto z kim walczył. Chrześcijanie z …chrześcijanami! Protestanci mordowali katolików, a katolicy protestantów. I to wszystko w imię tego samego Boga. A my teraz piętnujemy muzułmanów, że szyici zabijają sunnitów, a sunnici szyitów.

I wreszcie obie wojny światowe. Rozpętali je Europejczycy. Wielkie i wspaniałe osiągnięcia nauki i sztuki nie przeszkodziły mieszkańcom naszego kontynentu w wywołaniu najbardziej przerażającego kataklizmu w dziejach ludzkości. Ilość ofiar i zniszczeń przekracza wyobraźnię. Rozmiary samego Holokaustu są nieporównywalne z największym nawet barbarzyństwem minionych epok obciążającym ludy pozostałych kontynentów.

I sprawa ostatnia. My, Europejczycy, brzydzimy się publicznym ścinanie głów przez żołnierzy tzw. państwa islamskiego. Kolejny przejaw europejskiej hipokryzji. Przecież już od czasów rzymskich wszelkiego rodzaju egzekucje były publiczne. I wręcz wywoływały entuzjazm widzów. A potworne auto--da-fe? Lub palenie na stosie na głównych placach stołecznych miast Europy? A w czasie Rewolucji Francuskiej, którą słusznie się szczycimy, na osławionym placu de Greve Paryżanie od świtu zajmowali całymi rodzinami miejsca o najlepszej widoczności. Zaś stare kobiety, nazywane „ciotkami rewolucji", patrząc na spadające głowy robiły zimowe skarpety dla żołnierzy, którzy nieśli przez Europę szczytne hasła „Wolność -Równość- Braterstwo".

Kończąc te smutne rozważania, chciałbym powtórzyć to, co napisałem na początku naszego felietonu. My, Europejczycy, Nie mamy żadnego moralnego prawa, aby oskarżać mieszkańców innych kontynentów. Toż to szczyt obłudy! Uderzmy się najpierw we własne piersi. Nie pouczajmy innych. I pamiętajmy o słowach z Ewangelii: „Kto z was jest sam bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem". Dedykuję je wszystkim tzw. moralistom. Czas skończyć z obłudą oficjalną i prywatną. Ba, ale czy to w ogóle możliwe?

Mity a rzeczywistość

Czy nam się to podoba czy nie, mity pełnią ważną rolę w życiu każdej społeczności. Warto zatem poświęcić im choć jeden skromny felieton. Na początek krótka definicja: mit to sakralna opowieść, uzasadniająca wierzenia religijne. W socjologii natomiast to irracjonalne wyobrażenia o wydarzeniach bieżących lub minionych. Funkcjonuje także określenie mit założycielski, wykorzystywane w polityce. Szczególnie przez partie i ruchy społeczne. Przypuszczam, że większość społeczeństw dysponuje własnymi mitami, ważnymi dla zapewnienia sprawnego działania danej grupy.

Zajmę się teraz niektórymi z polskich mitów. Zacznę od początków naszej państwowości. Nikt z poważnych historyków nie kwestionuje, że w ostatnim dziesięcioleciu X wieku na terenie dzisiejszej Polski był władca o imieniu Mieszko. Są na to liczne dowody pisemne. Ale już do mitów należy postać Piasta, który nadał nazwę całej dynastii. Mitem, lub jak kto woli legendą, jest opowieść o trzech braciach: Lechu, Czechu i Rusie. Oraz o orle w gnieździe. A przecież od kilku stuleci powtarza się ją bezkrytycznie polskim dzieciom.

Mitem jest opowieść o królu Bolesławie Szczodrym, który jakoby własnoręcznie zabił i posiekał biskupa Stanisława ze Szczepanowa. Ta zbrodnia rzuciła klątwę na nasz kraj, co spowodowało jego podział przez Bolesława Krzywoustego. Ten mit również przetrwał kilkaset lat. Niestety bowiem mity mają dłuższy żywot niż fakty.

W okresie zaborów rozpowszechniło się wiele mitów. Pełniły ważną rolę – „pokrzepiały serca". Dzięki talentowi naszych wieszczów przeszły do historii literatury, co wzmocniło ich mitotwórczą siłę. Najlepszym przykładem „Reduta Ordona". W wierszu Mickiewicza Ordon wysadza redutę, której był dowódcą. Dzięki temu czynowi, jak pisze poeta, „nie odda wrogom prochów". Bohater. Wzór dla przyszłych pokoleń. Ba, tyle tylko, że to mit. W rzeczywistości Ordon przeżył i uciekł z kraju. Żył potem jako emigrant we Włoszech i zmarł śmiercią samobójczą pięćdziesiąt lat później. Ale mit przetrwał dzięki poezji.

Największym mitotwórcą polskim był Sienkiewicz. Obrona Zbaraża a szczególnie Jasnej Góry to czyste fikcje. Dla rzeczywistego przebiegu działań bojowych miały minimalne znaczenie. A nawet tak nieodległa II wojna światowa także obrosła już mitami.

Tutaj pozwolę sobie na osobiste wspomnienia. Kiedy moi koledzy i ja, czyli resztki naszej kompanii dowiedzieliśmy się o kapitulacji, powiedzieliśmy

zgodnie, że my do niewoli nie pójdziemy. Ordon i Wołodyjowski mogli się wysadzić, to my „palniemy sobie w łeb". Autentyczne! Ponieważ był to już koniec Powstania, każdy z nas miał własny zdobyczny pistolet. (Ja miałem Walthera 7). Kiedy dowódcy dowiedzieli się o naszej decyzji, przez kilka godzin tłumaczyli, że skoro nie zginęliśmy, to naszym obowiązkiem jest teraz doczekać w jenieckim obozie do końca wojny. A potem odbudować zniszczony kraj. Na szczęście użyli także „magicznego" określenia: „To rozkaz!". Usłuchaliśmy.

Niestety już historia Polski Ludowej została zaciemniona mitami. Spróbuję kiedyś poświęcić im cały felieton. Dzisiaj wspomnę o jednym, według mnie najbardziej pozbawionym sensu. To mit, że wszyscy Polacy niczym innym się nie zajmowali jak tylko opozycją wobec narzuconej przez bolszewików władzy. To kto w takim razie z niekłamanym entuzjazmem odgruzowywał w tzw. społecznych czynach Warszawę? A kto uczył w szkołach na uniwersytetach? Kto tworzył symfonie, filmy i obrazy nagradzane za granicą? Kogo oklaskiwano na estradach całego świata? Zapewniam Państwa, że większość Polaków niezależnie od światopoglądów po prostu pracowała w swoich zawodach dla dobra Polski. Tej od Bugu do Odry i od Tatr do Bałtyku. Ponieważ innej nie było. I tylko ona była rzeczywistością a nie mitem.

Duże litery

Kiedy miałem zaledwie dwanaście lat, śmieszyły mnie plakaty, na których marszałek Edward Rydz - Śmigły patrzył w dal. A pod spodem widniał napis: „Silni – Zwarci – Gotowi". Do dzisiaj nie wiem co mnie rozśmieszało: duma na obliczu marszałka czy podświadomie odczuwany patos napisu. Potem nadszedł wrzesień 1939 roku i najwyższe polskie władze uciekły za granicę. Z marszałkiem, czyli naczelnym wodzem, na czele. Okazało się, że nasz kraj nie był ani silny, ani zwarty, ani gotowy. I tak zaczęła się moja nieufność do patetycznych haseł i dużych liter na plakatach.

Pamiętam hasło " Ein Volk – ein Fuhrer". Co po nim zostało? Miliony trupów, nieopisane cierpienia i największe zniszczenia w dziejach. Potem przyszedł czas na Generalissimusa. Największego geniusza w historii ludzkości. A wraz z nim patetyczne zapewnienia, że oto rozpoczyna się nowa era ogólnej szczęśliwości. Z jakim patosem opisywano i u nas kolejnych pierwszych sekretarzy. O, przepraszam, zapomniałem o dużych literach! Pierwszy Sekretarz

– to brzmiało dumnie. Witano ich w całym tzw. obozie socjalistycznym z entuzjazmem. Przychodzili jako mężowie opatrznościowi – odchodzili w niesławie. Tłumy śpiewały: Towarzyszowi Pierwszemu Sekretarzowi Władysławowi Gomółce „Sto lat" w roku 1956. Ach, ach! A w roku 1970 następnemu Pierwszemu Sekretarzowi Edwardowi Gierkowi na jego pytanie: „Pomożecie?" lud obiecał: „Pomożemy". Ta pomoc czyli poparcie skończyły się w 1980 roku.

I tak życie nauczyło mnie niewiary w masowy entuzjazm, wielkie słowa i patetyczne zapewnienia. Bez względu na towarzyszące im okoliczności. Kiedy słyszę gromkie okrzyki, wzniosłe frazesy – zaczynam być nieufny. Zaczynam po prostu podejrzewać, że za tymi dużymi literami kryją się całkiem małe interesy. Działają na mnie odstręczająco. Czy słowo ojczyzna musi być zawsze pisane z dużej litery a wymawiane z namaszczeniem? Mógłby sporządzić listę słów, których według polityków należy używać z odpowiednio uroczystym wyrazem twarzy. A najlepiej w pozie wyrażającej szacunek. Ba, w dodatku z oczami wzniesionymi do nieba.

Przykro mi, że piszę z drwiną, ale zalew patosu w ostatnich latach jest wręcz przytłaczający. Odnoszę wrażenie, że ten patos często ukrywa pustkę emocjonalną. Lub gorzej – intelektualną. Albo jedną i drugą! Moim zdaniem o sprawach ważkich można i powinno się mówić zwykłym językiem. Czy jeśli napiszę o narodzie polskim, to koniecznie muszę użyć dużej litery? Czy mój naród stanie się mniejszy, jeśli napiszę po prostu naród a nie patetycznie Naród? Czy duża litera wyróżni go spośród innych narodów? Dobrze pamiętam, że moi rodzice mówiąc o ojczyźnie, narodzie polskim, muzyce, obowiązkach itd. nie używali języka „ociekającego patosem". Czyli nie używali w przenośni dużych liter. I pamiętam również, że w czasie Postania nigdy nie rozmawialiśmy z kolegami o tzw. wielkich sprawach. O tym, że walczymy o wolność Polski, że spełniamy swój patriotyczny obowiązek, że byliśmy gotowi złożyć swoje życie w ofierze. Gdyby ktokolwiek użył takiego języka – zostałby po prostu wyśmiany. A o czym rozmawialiśmy? O przeczytanych książkach, o zabawnych zdarzeniach, o dziwactwach krewnych i znajomych. Przyznam się, że umiejąc opowiadać – choć najmłodszy w naszej kompanii – cieszyłem się pewną estymą. Podobnie było potem w obozie. Zwrot: „Józek opowiadaj" słyszałem ciągle. Ale to już zupełnie inny temat. Mogę tylko dodać, że opowiadając nie używałem patetycznego języka. Wystarczało mi zwykłe słownictwo. A pisząc swoje felietony również unikam dużych liter. I PATOSU!

Kończę i pozwolę sobie podzielić się z Czytelnikami nadzieją, że ta fala

patosu i dużych liter opadnie i wrócimy do poczciwej, zwykłej polszczyzny. A jedzenie jabłek czy szynki nie będzie aktem patriotyzmu. Mówiąc inaczej zaczniemy myśleć, mówić i pisać w sposób normalny. Taka właśnie dobra zmiana jest nam najbardziej i to od zaraz potrzebna.

Głos wodza

Myślę, że czas, aby wybrać choć kilka cytatów z wypowiedzi pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Chyba nikt nie wątpi, że jest najważniejszym obecnie polskim politykiem. I że rządzi niepodzielnie zwycięską partią. W tej sytuacji każde jego słowo wytycza kierunki polityki państwa.

„Niech nikt nie liczy na naszą uległość" – powiedział. Czy ktoś w ogóle mógł kiedykolwiek na nią liczyć? Przecież już w czasie kampanii wyborczej stwierdził: „Możemy być wolni i bardzo szybko się rozwijać. Musimy tylko zrzucić z pleców naszego narodu worek kamieni, którym jest obecna władza". A szukając poparcia u biskupów na wszelki wypadek ostrzegał przeciwników: „…każda ręka podniesiona na Kościół, to ręka podniesiona na Polskę". Zaiste, nie ma dzisiaj w naszym kraju żadnej poważnej siły politycznej, która ośmieliłaby się „podnieść rękę" na Kościół. Po co więc takie stwierdzenie?

Rozgrywkę z Trybunałem Konstytucyjnym Kaczyński prowadził głównie przy pomocy działaczy PiS. Czy ktokolwiek wątpił, że za ich napastliwymi wypowiedziami nie stoi Prezes? Raz jednak zabrał głos w sposób autorytatywny: „Opublikowanie orzeczenie TK będzie złamaniem konstytucji". I dodał: „Orzeczenia TK będą traktowane jako *non est*, nieistniejące". Wyłania się pytanie – przez kogo? Jak dotąd znaczące postacie ze świata prawników mają diametralnie odmienną opinię. Aby złagodzić swoją wypowiedź, pan Prezes określił siebie jako człowieka, który „…nie lubi konfliktów i ma spokojną naturę". (sic!) Temu oświadczeniu zaprzecza gwałtowny atak na działaczy Komitetu Obrony Demokracji. Ale już Komisję Wenecką zaatakował osobiście w sposób mało delikatny: „Opinia Komisji Weneckiej jest absurdalna z punktu widzenia prawa". Trzeba być naprawdę niezwykle pewnym siebie, aby takimi słowami określać opinię wybitnych europejskich prawników.

„Za KOD-em stoją siły, które chcą utrzymać Polskę jak najniżej, by służyła innym, by była kolonią. Nie będziemy kolonią i niech nikt nie spodziewa się od PiS, że się na taki status zgodzi. (…) Polska pod naszymi rządami na to się nie

zgodzi. Nie zgodzimy się na upokarzanie Polski. Sami będziemy rozwiązywali polskie sprawy, ale bez obcej interwencji".

Te liczne powtórzenia byłyby zapewne interesującym materiałem do badań dla psychologa. Ba, a może to dowód słabości?

W Suwałkach pan Prezes jeszcze raz mówił o tym, że „…KOD tworzą ci co chodzili do rosyjskiej ambasady skarżyć się na PiS", „…że chcą odrzucić Polskę", „gardzą Polską i chcą być kimś innym", „…życzą sobie, żeby Polska była kolonią", „...nie działają bezinteresownie".

Powyższa wypowiedź jest pełna insynuacji. Moim zdaniem świadczy o obsesji. Skąd pan Prezes wie, że uczestnicy demonstracji KOD-u chodzili do ambasady rosyjskiej i tam się skarżyli? Skąd wie, że „gardzą Polską", „chcą odrzucić Polskę", „życzą sobie, żeby Polska była kolonią" itd.? Takie inwektywy nie przystoją prawdziwemu politykowi, a tym bardziej mężowi stanu. Zwolennicy pana Kaczyńskiego prześcigają się w komplementach, że jest wybitnym strategiem i wielkim Polakiem. Te i inne pochlebstwa brzmią wręcz żenująco.

W moim długim życiu znałem wielu wybitnych ludzi działającym w różnych dziedzinach życia społecznego i zajmujących eksponowane stanowiska. Byli wśród nich także politycy, choć niezbyt liczni. Znałem jedenastu ministrów, jednego wiceministra, aż (!) pięciu sekretarzy. Za to sporo naukowców, artystów, dziennikarzy. Łączyły ich następujące cechy: skromność, kulturalne zachowanie, ostrożne i wyważone wypowiedzi. Niestety żadnej z tych cech nie zauważyłem u pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Zwłaszcza w wypowiedzi, którą dzieli rodaków. Tych, którzy go nie wielbią bezkrytycznie nazywa brutalnie „Polakami gorszego sortu". Cóż za elegancja!

Don Kichot

W bieżącym roku przypada tzw. okrągła rocznica 400 lat od śmierci Miguela Saavedra Cervantesa. A przed rokiem 400 lat od ukończenia jego arcydzieła: opowieści o „Don Kichotcie, przemyśnym szlachcicu z La Manchy".

W historii literatury niewiele jest dzieł, których tytuł kojarzy się nierozerwalnie z nazwiskiem twórcy. Oto kilka przykładów. Jak „Faust" – to Goethe, „Anna Karenina" i „Wojna i pokój" – to Tołstoj, „Pani Bovary" – to Flaubert, „Zbrodnia i kara"- to Dostojewski, „Sto lat samotności" – to Marquez. Itd. Dla Polaków nie ma wątpliwości, że „Pan Tadeusz" wywołuje natychmiast w pa-

mięci nazwisko Mickiewicza, a „Quo vadis" lub „Potop" Sienkiewicza. Rekordzistami są zapewne: Molier ze „Świetoszkiem", „Skąpcem", i „Mieszczaninem szlachcicem" (słynnym Panem Jourdinem) oraz oczywiście Szekspir. Kiedy słyszymy takie imiona jak Hamlet, Macbeth, Romeo i Julia wiemy, że te postacie stworzył Szekspir.

Podobnie jest z innymi sztukami pięknymi: muzyka czy malarstwem. Jak „Requiem" to oczywiście Mozart, choć przecież inni wielcy kompozytorzy również pozostawili znakomite msze żałobne. A „Pory roku" zawsze będą nam kojarzyć się z Vivaldim. Zaś obraz „Lekcja anatomii" z Rembrandtem, podobnie jak „Mona Lisa" czy „Gioconda" z Leonardem da Vinci, a freski w kaplicy sykstyńskiej z Michałem Aniołem. (???) Arcydzieła unieśmiertelniły nazwiska twórców.

Ale nie tylko. Stworzone przez geniuszy postacie stały się symbolami i weszły do potocznego języka. Znakomity filozof Carl Jung nazwał je archetypami. Niezależnie od interpretacji widzów, słuchaczy lub czytelników, arcydzieła żyją – jeśli wolno mi użyć takiego określenia – własnym życiem.

Powyższe rozważania prowadzą nas do „Don Kichota". Ta opowieść sprzed czterystu lat jest jedną z najpopularniejszych książek świata. A niektóre z jego przygód potocznymi zwrotami. Chyba każdemu zdarzyło się użyć określenia „walka z wiatrakami". Nawet jeśli nie wiedział, że pochodzi z „Don Kichota" Cervantesa. Dla jednych ma znaczenie pejoratywne. Dla innych wręcz przeciwnie – komplementujące. Dla tych pierwszych oznacza po prostu wariata dla drugich nieustępliwego bojownika. Don Kichotowi zdawało się, że wiatrak to smok, a zatem jako prawdziwy rycerz staje do walki. To jego obowiązek. Jedni czytelnicy pukają się w czoło, ale drudzy twierdzą, że nawet z urojonymi wrogami trzeba walczyć. Genialność Cervantesa sprawiła,że czytelnik musi sam znaleźć interpretację tego zdarzenia. I co więcej – samej postaci Don Kichota.

Ileż to razy każdemu z nas zdarzyło się użyć zwrotu „wydaje mi się". No właśnie! Don Kichotowi wydawało się, że wiatrak to smok. A smok to przecież niebezpieczeństwo dla bezbronnych ludzi. Zatem rycerz ma moralny obowiązek ich obrony. I nie jest ważne czy tylko wydaje mu się, że wiatrak to smok czy też jest rzeczywistym zagrożeniem. Don Kichot musi stanąć do walki.

Zająłem się jedną z przygód „Rycerza Smutnego Oblicza". A w książce jest ich dużo, dużo więcej. Większość kończy się przegraną. Tak jak to często bywa w realnym życiu. Don Kichot szedł (a raczej jechał) za swoimi marzeniami. Że często okazywały się tylko urojeniami? Jakie to ma znaczenie? Rozejrzyjmy się

dookoła. Czyż w otaczającej nas rzeczywistości nie znajdujemy ogromnej ilości przykładów, że nasze plany, zamiary, dążenia okazują się w zderzeniu z realnym światem niestety jedynie urojeniami? I to wpędza nas we frustrację? Lub – co gorsze – w chorobliwą depresję? Ba, ale Don Kichot sam płacił za swoje klęski. Gorzej, jeśli za niepowodzenia w próbach realizacji swoich urojeń płacą inni ludzie. A tak – jak wiadomo – dzieje się często w polityce.

Gdyby Don Kichot słuchał swojego służącego, Sancho Pansy, uniknąłby wielu klęsk. Ba, ale wówczas nie powstałoby arcydzieło literatury. Przecież w konsekwencji to Don Kichot odniósł ostateczne zwycięstwo – stał się nieśmiertelny.

P.S.

I na zakończenie osobista refleksja. Ileż to razy zdarzyło mi się „walczyć z wiatrakami"! I choć oczywiście przegrywałem – nie żałuję.

Polska „Żelazna Dama"?

W piątek, 20 maja 2016 roku pani Beata Szydło, premier rządu RP wygłosiła w Sejmie… właśnie, co wygłosiła? Miała to być informacja o pracy rządu, a w rzeczywistości była wiecowym przemówieniem, nadającym się nie do Wysokiej Izby lecz raczej na przedwyborczą agitację. Wrażenie to potęgowała dodatkowo artykulacja pani premier. Na ogół mówi płaczliwym tonem, ale tym razem po prostu krzyczała.

Większość wystąpienia pani premier była po prostu atakiem na poprzedni rząd. Zamiast informacji o dokonaniach jej rządu, było wyliczanie błędów, zaniedbań, słabości poprzedników. Moim zdaniem można tego rodzaju przemówienie nazwać pospolitą demagogią. Mówiła to, co chcieli usłyszeć posłowie PiS i tzw. żelazny elektorat. A przy okazji powiedziała mnóstwo głupot.

Po pierwsze nadużywała słowa suwerenność. Tak samo zresztą nadużywają go inni pisowscy pseudopolitycy i schlebiający im dziennikarze. Suwerenność bowiem według słowników ma wyraźnie określony zakres znaczeniowy. W różnych okresach historycznych i w zależności od ustroju społeczno – politycznego znaczenie słowa suwerenność ulegało zmianie. Obecnie na ogół przyjmuje się skróconą definicję: suwerenność państwa to wolność i niezależność od zewnętrznych wpływów. Dlatego nawet apologeci PRL przyznają, że było to państwo o ograniczonej suwerenności. Ba, ale czy dzisiejsza Polska jest naprawdę całkowicie suwerenna? I czy w ogóle może taka być? Przecież wstępując do NATO dobrowolnie zrzekli-

śmy się całkowitej niezależności w sensie militarnym. A członkostwo w Unii Europejskiej zobowiązało nas do przestrzegania prawnych zasad, reguł a nawet praw. Należy to sobie wyraźnie uświadomić, że jakakolwiek międzynarodowa umowa ogranicza każdą ze stron. Konkordat z Watykanem również. Powtarzanie zatem przez panią Szydło zdania, że Polska jest w pełni suwerennym państwem, mija się po prostu z prawdą. Dlatego powtarzam, że podpisanie międzynarodowej umowy jest zrzeczeniem się jakiejś części własnej suwerenności.

Następnym moim zarzutem pod adresem pani Szydło jest pokazywanie swojej rzekomej siły. Mówiła, że niczego się nie boi. Za mojego dzieciństwa nazywało się to przechwałkami. Przypuszczam, że każdy człowiek o zdrowych zmysłach czegoś lub kogoś się boi. Często jest to zresztą całkowicie irracjonalny lęk. Jedni boją się śmierci, inni wizyty u dentysty. Jeszcze inni podróży samolotem albo zastrzyku, pszczół, komarów. A pani Szydło ogłosiła, że niczego się nie boi. Gdybym był złośliwy, zapytałbym czy prezesa PiS również? Ale podejrzewam, że w rzeczywistości pani premier obawia się o stanowisko, które – jak wiadomo – może stracić każdego dnia. I dlatego chce przekonać słuchaczy, a najbardziej zapewne samą siebie, że jest nieulękła.

To przypomina mi wielokrotne zapewnienia, wygłaszane przez pana Andrzeja Dudę: „jestem nieugięty". On również chciał zapewnić wszystkich, w tym przwdopodobnie najbardziej siebie, że jest tzw. twardym facetem. Ba, ale okazało się, iż jest zwykłym mięczakiem. Mamy tego sporo dowodów.

Pani Szydło chciałaby przypuszczalnie stać się kimś w rodzaju pani premier Margaret Thatcher. Słynnej „Żelaznej Damy". Nigdy nie należałem do jej wielbicieli, ale muszę przyznać, że była to wybitna osobowość. Mój światopogląd różnił się diametralnie od jej światopoglądu. Moje przekonania polityczne również. Tym niemniej podziwiałem jej konsekwencję, bezkompromisowość, szerokość perspektyw. I przede wszystkim odwagę. Potrafiła przeciwstawić się potędze związków zawodowych i doprowadziła do zamknięcia deficytowych kopalń, ratując w ten sposób angielską gospodarkę. A wysyłając w roku 1982 bez porozumienia z USA wojsko na pomoc mieszkańcom Wysp Falklandzkich, oddalonych od Anglii o tysiące kilometrów, pokazała siłę swojego charakteru. Dla mnie było to imponujące.

Być może pani Szydło chciałaby się zapisać w historii jako polska „Żelazna Dama". Niestety nie osiągnie tego krzycząc w Sejmie, kłócąc się z Komisjami Europejską i Wenecką, obrażając opozycję, ulegając biskupom i przypochlebiając się… wiadomo komu…

Impresje fotograficzne





90.
Maestro





Podczas sesji Rady w Wałbrzychu władz

urodziny Wiłkomirskiego

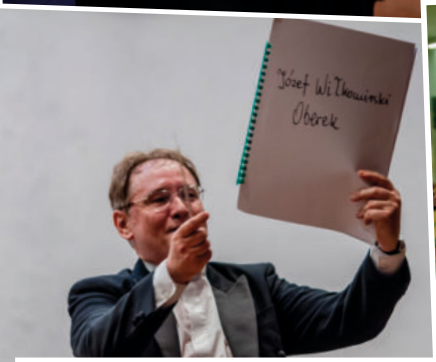




uroczystej Miejskiej z udziałem Kalisza






Józef Wiłkomirski
Oberek




FILHARMONIA
Sudecka
INAUGURACJA SEZONU
ARTYSTYCZNEGO
2016/2017
KONCERT Z OKAZJI
90. URODZIN
JÓZEFA
WIŁKOMIRSKIEGO
9 WRZEŚNIA, GODZ. 19
MIEJSCE: SALA KONCERTOWA FILHARMONII SUDECKIEJ
ORKIESTRA SYMFONICZNA FILHARMONII SUDECKIEJ
WOJCIECH CZEPIEL DYRYGENT
PIOTR MOKRZYCKI AKTOR
PROGRAM:
J. WIŁKOMIRSKI – STELA 70. PRZYGODY KACPERKA, OBEREK
M. RAVEL – PAVANA NA ŚMIERĆ INFANTKI
C. DEBUSSY – PRELUDIUM DO „POPOŁUDNIA FAUNA"
M. RAVEL – BOLERO



urodziny
Wiłkomirskiego









w Filharmonii
w Wałbrzuchu





90. urodziny Maestro Wiłkomirskiego w Kaliszu







w Filii „Biblioteki pod Atlantami" na Podzamczu

Ogromna aktywność Mestro w życiu publicznym

















Mestro Wiłkomirski żegna się z dyrygowaniem

Józef Wiłkomirski podczas uroczystości odsłonięcia tablicy ku jego czci w Filharmonii Sudeckiej














SALA
IM.
ALFREDA
WIELKOMIRSKIEGO




SCHIMMEL
















JÓZEFEM
MIRSKIM



w Filii
pod Atlantami”
Podzamczu













Spotkania „Ogród w Szczawnie

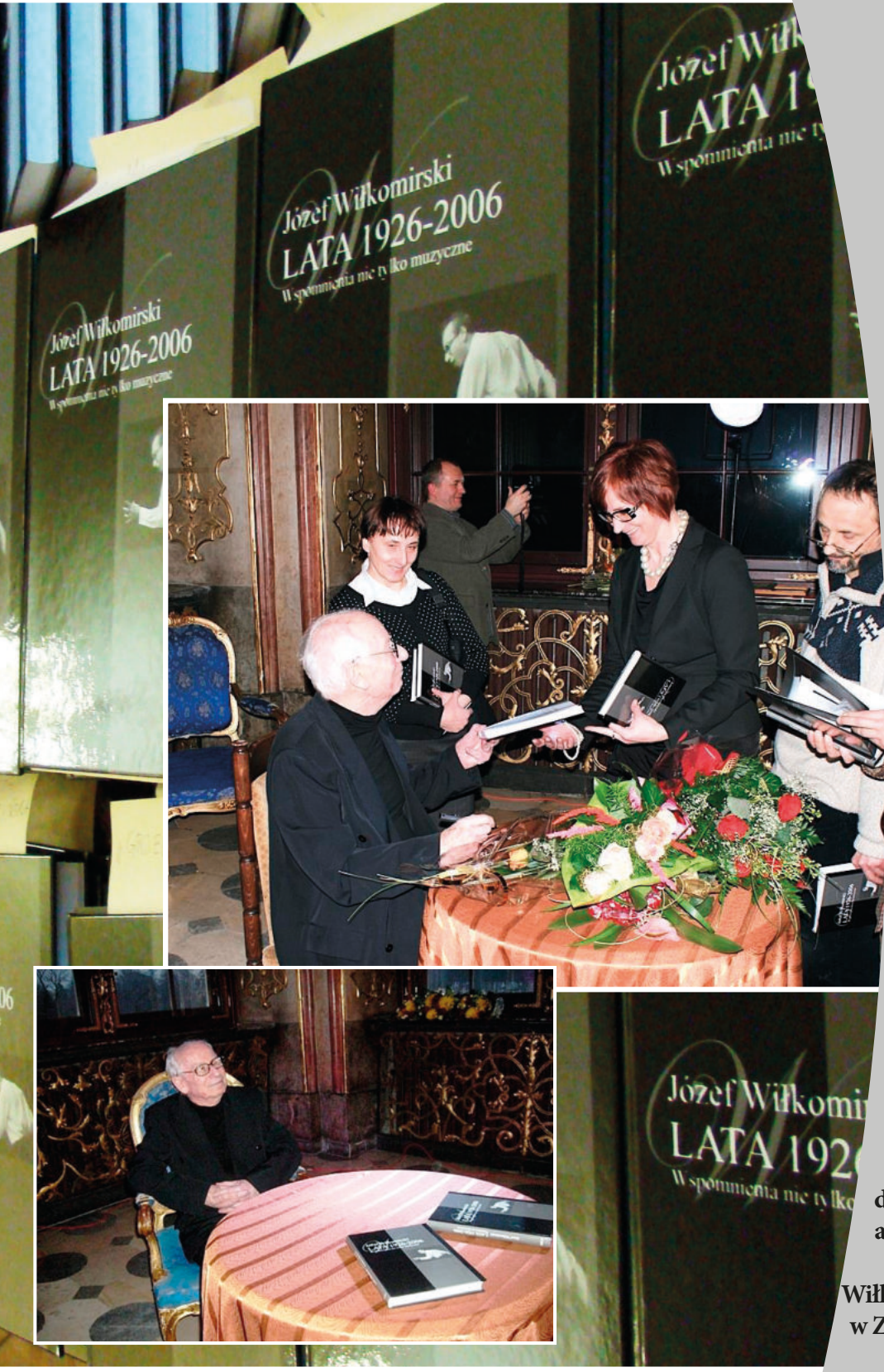
w Cafe-Galerii
Sztuki”
-Zdroju











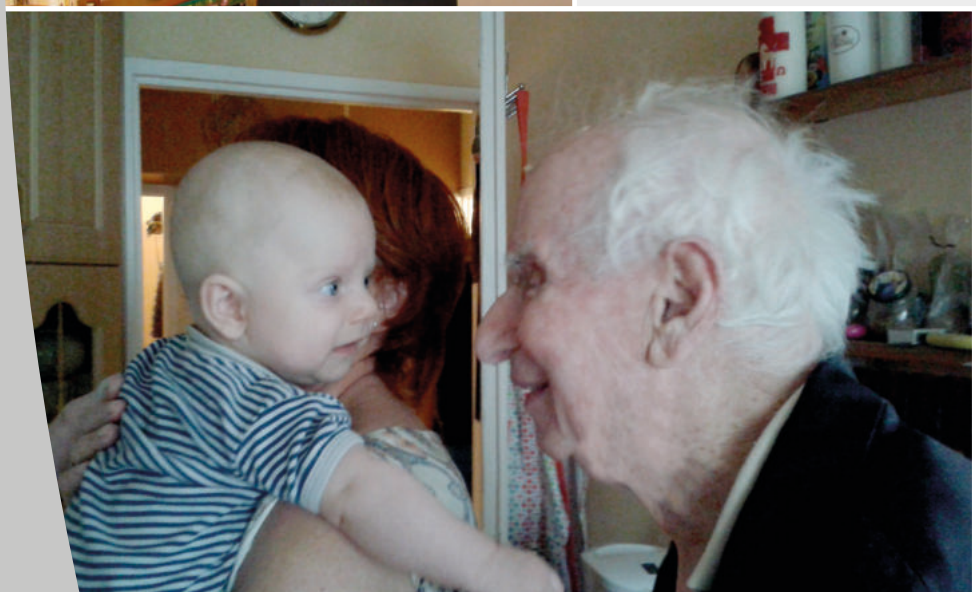
Promocja dwutomowej autobiografii Józefa Wiłkomirskiego w Zamku Książ w 2010 r.

Józef Wiłkomirski w domu podczas dykusji i spotkań oraz z książkami i pamiątkami, a także z wnuczkiem Piotrem









Wydawnictwo dofinansowane
przez Gminę Wałbrzych

Rotary Klub Świdnica – Wałbrzych w ciągu dwudziestu jeden lat prowadził działalność charytatywną głównie na rzecz dzieci i młodzieży. W tej dziedzinie ważną rolę odgrywały Bożonarodzeniowe Koncerty Rotariańskie, mające miejsce w Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu. Swoje powodzenie zawdzięczały w dużej mierze Maestro Józefowi Wiłkomirskiemu, który od początku – jeszcze jako dyrektor Filharmonii Sudeckiej – przygotowywał i prowadził nasze koncerty. Choć już w ostatnich latach nie dyrygował, to nieprzerwanie opracowywał ich atrakcyjne programy oraz prowadził je, radując słuchaczy barwnymi opowieściami.
Wspierając niniejsze wydawnictwo dziękujemy Maestro Józefowi Wiłkomirskiemu za owocną współpracę zarówno jako artyście, jak i prezydentowi naszego Rotariańskiego Klubu podczas kadencji 2000/2001 roku.

Członkowie
Klubu Rotary Świdnica - Wałbrzych

Współpraca z Panem Józefem Wiłkomirskim przy organizowaniu koncertów charytatywnych, odbywających się nieprzerwanie od 20 lat w Filharmonii Sudeckiej napawa mnie ogromną satysfakcją i stanowi jakże cenne doświadczenie. Dziękuję Maestro za opracowywanie atrakcyjnych programów, dyrygowanie koncertami oraz ich prowadzenie do dziś.

Aleksandra i Jerzy Ignaszak

Spis treści

Minęło 10 lat 9

Rozmowy duchów lub Rozmowy z tamtego świata
albo raczej Rozmowy nie z tej ziemi 49
I Homer i Święty Paweł 50
II Homer i Szekspir 55
III Szekspir i Freud 60
IV Elżbieta I i Katarzyna II 65
V Bach i Mozart 72
VI Czyngis-Han i Aleksander Wielki 79
VII Cornelia i Katarzyna Medycejska 86
VIII Święty Franciszek i Tomas Terquemada 94
IX Kleopatra i Teodora 102
X Newton i Einstein 110
XI Juliusz Cezar i Napoleon 119
XII Kopernik i Galileusz 129

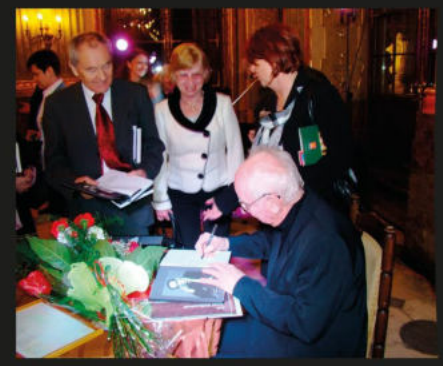
Felietony 137
„DB 2010” 138
„Informatka” 222
„Dwutygodniczek” 265

Impresje fotograficzne 309


JÓZEFEM
WIŁKOMIRSKIM









Józef Wiłkomirski – dyrygent, kompozytor, wiolonczelista, popularyzator kultury, pisarz i publicysta. Znajduje się w wielu encyklopediach i wydawnictwach Who is Who na świecie.

Urodził się 15 maja 1926 r. w Kaliszu, w rodzinie z bogatymi tradycjami muzycznymi. Jego ojciec, Alfred wykładał w konserwatorium w: Warszawie, Łodzi, Lublinie. Przyrodnie rodzeństwo: Maria i Kazimierz byli znanymi muzykami i aktywnymi uczestnikami życia muzycznego w Polsce. Siostra, Wanda, jako skrzypaczka zyskała międzynarodową sławę.

Józef Wiłkomirski - żołnierz Armii Krajowej walczył w Powstaniu Warszawskim w 1944 r. W ciągu kolejnych lat powojennych pozostawał aktywnym uczestnikiem życia kulturalnego i społecznego, świadkiem i bacznym obserwatorem najważniejszych wydarzeń w powojennej Polsce. Jest m.in. współzałożycielem Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, które funkcjonuje do dziś.

Po wojnie studiował grę na wiolonczeli oraz dyrygenturę w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi, potem w Warszawie. Uczelnię warszawską ukończył w 1950 r. Od 1946 r. był wiolonczelistą w orkiestrze Państwowej Filharmonii w Łodzi i orkiestrze Opery Warszawskiej. Był dyrygentem orkiestry w Państwowej Filharmonii w Krakowie (1950 – 51), Państwowej Filharmonii w Poznaniu (1954 – 57). W latach 1957 – 71 zajmował stanowisko dyrektora i kierownika artystycznego Państwowej Filharmonii w Szczecinie.

W 1978 r. dyrygował koncertem inaugurującym działalność Filharmonii Sudeckiej w Wałbrzychu, której Józef Wiłkomirski był założycielem i pozostawał jej dyrektorem naczelnym i artystycznym do września 2005 r.

Autor wspomnień dyrygował orkiestrami na ponad tysiąc sześciuset koncertach w dwudziestu sześciu krajach Europy, Azji i Ameryki. Komponuje od 1968 r. i jego utwory wykonywane były w czternastu krajach europejskich, amerykańskich i azjatyckich.

Przez wszystkie te lata bardzo bliska była mu edukacja muzyczna dzieci i młodzieży. Z jego inicjatywy szeroki zasięg zyskały lekcje i audycje muzyczne w dolnośląskich szkołach oraz przedszkolach Dla najmłodszych odbiorców skomponował też setki utworów, wśród których były baśnie muzyczne z jego tekstami.

Po zakończeniu pracy zawodowej nie zaprzestał aktywnej działalności. Przez parę lat pozostawał czynnym dyrygentem. Potem, ze względu na stan zdrowia, oddawał się komponowaniu, działalności publicznej w Wałbrzychu. Kontynuował autorskie spotkania i wykłady, cieszące się dużym zainteresowaniem. Podobnie jak poprzednio uprawiał publicystykę na tematy nie tylko muzyczne.

Dziewięćdziesiąte urodziny Józefa Wiłkomirskiego – 15 maja 2016 r. - były w Wałbrzychu uroczyście obchodzone. W Kaliszu, miejscu jego urodzenia, również fetowano tę znaczącą rocznicę.

Odznaczony m.in.: Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (1998), Orderem Sztandaru Pracy I klasy (1986), Krzyżem Powstańczym (1985), Krzyżem Armii Krajowej (1995), Medalem Komisji Edukacji Narodowej (1984), Złotym Medalem „Gloria Artis" (2008). Uhonorowany Dolnośląskim Kluczem Sukcesu (2002), medalami za działalność na rzecz dzieci, tytułem Zasłużony dla Miasta Wałbrzycha oraz wieloma nagrodami i tytułami zasłużonego dla różnych miast i regionów.

„Minęło 10 lat...”

Minęło10 lat... Mało to czy dużo? Nie zamierzam wdawać się w analizę lingwistyczno - psychologiczną. A tym bardziej w biologiczną. Pozwolę sobie jedynie na wspominanie tego, co spotkało mnie w tym 10-letnim okresie (2007 – 2016) i przede wszystkim, co robiłem w szerokim zakresie słowa „robić”. (...)

„Rozmowy duchów...”

Rozmowa czwarta - Elżbieta I i Katrzyna II

Elżbieta

Wiesz, cesarzowo, co myślę? Łączyła nas jeszcze jedna cecha. Nie bałyśmy się ludzi mądrzejszych od nas. Nasi doradcy, z którymi często nie zgadzałyśmy się w pierwszych rozmowach, potrafili nas na końcu przekonać. Nie bałyśmy się słuchać ludzi mądrzejszych od nas.

Katarzyna

Masz zupełną rację. Ileż to razy krzyczałam na swoich ministrów, wyrzucałam za drzwi, straszyłam dymisją. A oni w milczeniu wysłuchiwali moich słów, a potem cierpliwie, godzina po godzinie, tłumaczyli, perswadowali, przekonywali. Aż wreszcie sama dochodziłam do wniosku, że to nie ja miałam rację. I ustępowałam.

Elżbieta

Myślę, że to jeszcze jedno podobieństwo między nami. I myślę także, że może właśnie dlatego nazwano nas Wielkimi. Bo prawdziwy władca otacza się mądrymi ludźmi, a nie pochlebcami. Szkoda, że jako duchy nie możemy tej wiedzy przekazać żywym.

Katarzyna

A myślisz, królowo, że wysłuchaliby nas?

Felietony

Teatrzyk CZERWONY PAJĄK
przedstawia
dramat w trzech aktach pod tytułem
SESJA RADY MIEJSKIEJ
występują:
PRZEWODNICZĄCA
RADNA
Akt I
PRZEWODNICZĄCA – Proponuję …
RADNA – Nie zgadzam się!
Akt II
PRZEWODNICZĄCA – Stawiam wniosek…
RADNA - Protestuję!
Akt III
PRZEWODNICZĄCA – Mam pytanie….
RADNA - To zamach na demokrację!
KURTYNA
na znak sprzeciwu nie spada

O samodzielnym myśleniu

(…) Proponuję, aby każdą wiadomość, opinię, komentarz przyjmować z dużą ostrożnością i należytym dystansem. Niezależnie od tego kto je przedstawia: profesor, biskup, poseł, premier itd. I czy są wygłaszane z sejmowej mównicy czy kościelnej ambony. Przecież jesteśmy „posiadaczami” własnego mózgu, lub inaczej – jeśli ktoś woli to słowo – własnego umysłu. (…) A zatem raz jeszcze zachęcam Czytelników do prób samodzielnego myślenia.

Moja wielka wina

Wyznaję, jestem chyba bardzo złym człowiekiem. Ośmielam się bowiem mieć odmienne zdanie w wielu akceptowanych przez znaczną część społeczeństwa sprawach. I co gorzej, przyjętych przez główne partie jako fundamentalne. (…) Jestem chyba bardzo złym człowiekiem, ponieważ uważam wszystkie ideologie za zbędne, zarówno religijne, jak i świeckie. A opieranie na nich polityki za niebezpieczne (…) Jestem chyba bardzo złym człowiekiem, ale nie potrafię wierzyć w cokolwiek tylko dlatego, że jakaś większość tak twierdzi. (…)

(wybrane fragmenty)

ISBN 978-83-930022-2-1